



Victor Hugo

NĘDZNICY_III



Spis treści

- [CZĘŚĆ TRZECIA c.d.](#)
 - [KSIĘGA ÓSMA](#)
 - [ROZDZIAŁ XX](#)
 - [ROZDZIAŁ XXI](#)
 - [ROZDZIAŁ XXII](#)
- [CZĘŚĆ CZWARTA](#)
 - [KSIĘGA PIERWSZA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
 - [ROZDZIAŁ VI](#)
 - [KSIĘGA DRUGA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [KSIĘGA TRZECIA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
 - [ROZDZIAŁ VI](#)
 - [ROZDZIAŁ VII](#)
 - [ROZDZIAŁ VIII](#)
 - [KSIĘGA CZWARTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [KSIĘGA PIĄTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
 - [ROZDZIAŁ VI](#)
 - [KSIĘGA SZÓSTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)

- [ROZDZIAŁ III](#)
- [KSIĘGA SIÓDMA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
- [KSIĘGA ÓSMA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
 - [ROZDZIAŁ VI](#)
 - [ROZDZIAŁ VII](#)
- [KSIĘGA DZIEWIĄTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
- [KSIĘGA DZIESIĄTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
- [KSIĘGA JEDENASTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
 - [ROZDZIAŁ VI](#)
- [KSIĘGA DWUNASTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)
 - [ROZDZIAŁ IV](#)
 - [ROZDZIAŁ V](#)
 - [ROZDZIAŁ VI](#)
 - [ROZDZIAŁ VII](#)
 - [ROZDZIAŁ VIII](#)
- [KSIĘGA TRZYNASTA](#)
 - [ROZDZIAŁ I](#)
 - [ROZDZIAŁ II](#)
 - [ROZDZIAŁ III](#)

NĘDZNICY

Tom III

Victor Hugo

CZEŚĆ TRZECIA c.d.

KSIĘGA ÓSMA

NIEGODZIWY BIEDAK

(Ciąg dalszy)

ROZDZIAŁ XX

Zasadzka

Drzwi do izby otworzyły się gwałtownie i ukazało się w nich trzech mężczyzn w niebieskich płóciennych bluzach i maskach z czarnego papieru. Pierwszy był chudy i miał w ręku długą, okutą żelazem pałkę; drugi był olbrzymem i trzymał przez środek trzonka, ostrzem na dół, wielki topór rzeźnicki. Trzeci, barczysty, nie tak chudy jak pierwszy i nie tak atletyczny jak drugi, dzierżył w garści potężny klucz, skradziony z jakiejś bramy więziennej.

Jondrette pewno tylko czekał na ich przyjście. Zawiązała się szybka rozmowa między nim a mężczyzną z pałką, owym chudzielcem.

— Wszystko gotowe? — zapytał Jondrette,

— Gotowe — odrzekł chudy.

— A gdzie jest Montparnasse?

— Pierwszy amant gada z twoją córką.

— Z którą?

— Ze starszą.

— Dorożka czeka?

— Tak.

— Bryczka zaprzężona?

— Zaprzężona.

— W dwa dobre konie?

— Doskonałe!

— Czekaj tam, gdzie kazałem?

— Tak.

— Dobra! — rzekł Jondrette.

Pan Biały był bardzo blady. Rozglądał się po izbie jak człowiek, który rozumie, gdzie trafił; głowa jego, zwracając się kolejno ku wszystkim głowom, które go otaczały, obracała się z uważną, zdziwioną powolnością, lecz w postawie jego nie było nic podobnego do strachu. Zrobił sobie ze stołu zaimprovizowany szaniec; człowiek ten, który przed chwilą wyglądał tylko na poczciwego, starszego pana, przemienił się nagle w atletę i położył swą potężną pięść na poręczy krzesła nieoczekiwanie groźnym ruchem.

Starzec ten, tak zdecydowany i dzielny wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa, wydawał się jedną z tych natur, które z łatwością i prostotą łączą odwagę i dobroć. Ojciec ukochanej kobiety nie jest dla nas nigdy obcy; Mariusz był dumny z nieznanego.

Trzej mężczyźni o obnażonych ramionach, o których Jondrette powiedział, „to zduny”, wyciągnęli ze stosu żelastwa jeden — wielkie nożyce, drugi — obcęgi, trzeci — młot i bez słowa zatarasowali drzwi. Stary nie ruszył się z łóżka, tylko otworzył oczy. Jondrette'owa usiadła obok niego.

Mariusz pomyślał, że lada chwila będzie musiał interweniować, i podniósł prawą rękę ku sufitowi, w kierunku korytarza, gotów do strzału.

Zakończywszy rozmowę z człowiekiem z pałką, Jondrette zwrócił się znowu do pana Białego i powtórzył pytanie wtórując sobie cichym, stłumionym, straszliwym chichotem:

— A więc pan mnie nie poznaje?

Pan Biały spojrział mu prosto w twarz i odparł:

— Nie!

Wtedy Jondrette podszedł do stołu. Pochylił się nad świecą, skrzyżował ramiona, przybliżył swą okrutną, kanciastą szczękę ku spokojnej twarzy pana Białego i choć przysunął ją najbliżej, jak mógł, tamten ani drgnął; w tej postawie dzikiego zwierza, szczerzącego kły, Jondrette wrzasnął:

— Nie nazywam się Fabantou, nie nazywam się Jondrette, nazywam się Thénardier! Jestem karczmarzem z Montfermeil! Słyszysz pan? Thénardier! Teraz mnie pan poznaje?

Ledwo dostrzegalny rumieniec przepłynął po czole pana Białego, który odpowiedział cichym, zrównoważonym głosem z właściwym sobie spokojem:

— Nie więcej niż przedtem.

Mariusz nie dosłyszał tej odpowiedzi. Ten, kto ujrzałby go w tej chwili, wśród tych ciemności, zobaczyłby, że osłupiał jak rażony gromem. Kiedy Jondrette wypowiedział słowa: „Nazywam się Thénardier”, Mariusz zadrżał na całym ciele i oparł się o ścianę, jak gdyby poczuł chłód ostrza szpady przeszywającej mu serce. Po czym jego prawa ręka, gotowa w każdej chwili dać umówiony sygnał, opadła powoli, a kiedy Jondrette powtórzył: „Słyszysz pan! Thénardier!”, omdlałe palce Mariusza omal nie wypuściły pistoletu. Jondrette, ujawniając, kim jest, nie wywołał żadnego wzruszenia w panu Białym, lecz wstrząsnął głęboko Mariuszem. To nazwisko „Thénardier”, którego pan Biały zdawał się nie znać wcale, było tak dobrze znane Mariuszowi! Przypomnijmy sobie, czym było dla niego! Nazwisko to, zapisane w testamencie ojca, nosił niegdyś na sercu. Teraz nosił je w myśli, nosił je w głębi pamięci, w tym świętym zleceniu: „Pewien człowiek, nazwiskiem Thénardier, uratował mi życie. Jeśli syn mój spotka go kiedykolwiek, niech zrobi dlań wszystko, co będzie w jego mocy.” To nazwisko, jak pamiętamy, było jednym z najświętszych wspomnień jego duszy; otaczał je czcią, łącząc zawsze z nazwiskiem swego ojca. Jakże to? Więc to był ów Thénardier, ów karczmarz z Montfermeil, którego od tak dawna na próżno szukał? Odnalazł go wreszcie, ale jak? Ten wybawca jego ojca był bandytą! Ten człowiek, któremu Mariusz tak żarliwie pragnął się poświęcić, był potworem! Ten wybawiciel pułkownika Pontmercy zamierzał właśnie w tej chwili dokonać gwałtu, którego istoty Mariusz wprawdzie jeszcze dokładnie nie znał, lecz który zakrawał na morderstwo; i to kogo chciał zamordować? Boże wielki! Co za fatalny splot wypadków! Jaka gorzka ironia losu! Z głębi mogiły ojciec nakazywał mu zrobić dla Thénardiera wszystko, co będzie w jego mocy. Od czterech lat Mariusz nie przestawał myśleć o tym, by spłacić dług ojca; i właśnie w chwili, gdy miał wydać w ręce sprawiedliwości zbrodniarza popełniającego

zbrodnię, przeznaczenie zawołało: „To Thénardier!” Nareszcie mógł zapłacić temu człowiekowi, który uratował życie ojca pod gradem kul na bohaterskim polu Waterloo; i to zapłacić czym? Stryczkiem! Obiecował sobie tylekroć, że jeśli odnajdzie kiedykolwiek Thénardiera, to upadnie mu do nóg. I oto odnalazł go, istotnie, ale by go wydać w ręce kata. Ojciec przykazywał mu: „Wspomóż Thénardiera”; a on odpowiadał na ten święty, umiłowany głos — gubiąc Thénardiera. Cóż to za widok dla ojca, w grobie: człowiek, który go niegdyś, wyrwał śmierci z narażeniem własnego życia, zostanie ścięty na placu Św. Jakuba, i to za sprawą syna, za sprawą Mariusza, któremu w spadku przekazał był tego człowieka! Cóż to za drwina — po to nosić tak długo na piersi ostatnią wolę ojca, spisana jego ręką, by postąpić wbrew jej nakazom?! Ale z drugiej strony, być świadkiem tej zasadzki i nie przeciwdziałać jej? Jakże to? Poświęcić ofiarę, a oszczędzić mordercę? Czyż wobec takiego nikczemnika obowiązuje jakakolwiek wdzięczność?

Wszystkie myśli, którymi Mariusz żył od czterech lat, zostały jak przeszyte na wskroś tym nieoczekiwanym ciosem. Drżał. Wszystko zależało od niego. Trzymał w rękulosc tych istot, które, nieświadome tego, miały się przed jego oczyma. Jeśli wystrzeli z pistoletu, pan Biały ocaleje, a Thénardier będzie zgubiony; jeśli nie wystrzeli, pan Biały będzie stracony, a Thénardier — kto wie? — wyjdzie cało. Czy zgubi jednego, czy pozwoli zginąć drugiemu, i tak zawsze będzie miał wyrzuty sumienia. Co robić? Co wybrać? Sprzeniewierzyć się nakazowi pamięci, sprzeniewierzyć się najgłębszym zobowiązaniom, powziętym wobec samego siebie, sprzeniewierzyć się najświętszemu obowiązkowi, zleconemu wyraźnie w ostatniej woli ojca — czy pozwolić na popełnienie zbrodni? Zdawało mu się, że słyszy z jednej strony błagania swojej „Urszuli”, by uratował jej ojca, a z drugiej głos pułkownika, polecający mu los Thénardiera. Czuł, że ogarnia go szaleństwo. Kolana uginały się pod nim, a scena, na którą patrzył, rozgrywała się z taką gwałtownością, że nie miał nawet czasu, by ją dobrze rozważyć. Był to istny wir, przez chwilę zdawało mu się, że panuje nad nim, ale oto wir ten pochwycił i jego. Był bliski omdlenia.

Tymczasem Thénardier (nie będziemy go już odtąd nazywali inaczej) przechadzał się tam i z powrotem przed stołem w jakimś obłądnym, triumfalnym podnieceniu.

Schwycił całą garścią świecę i postawił ją na kominku tak gwałtownie, że omal nie zgasła, a łój opryskał ścianę. Po czym odwrócił do pana Białego straszliwą twarz i bluznął:

— A co! Mam cię, ptaszku! Wpadłeś na całego! Nie ujdzie ci to na sucho!

I znowu zaczął chodzić, wybuchnąwszy z niepohamowaną gwałtownością:

— A! — wołał — odnalazłem cię nareszcie, mości filantropie! Obdarty milionerze! Rozdawaczu lalek, ty stary bęcwale! Aa! pan mnie nie poznaje! Nie! To może nie ty byłeś u mnie w Montfermeil, w mojej karczmie, osiem lat temu, w wieczór wigilijny w 1823 Toku? To nie ty uprowadziłeś ode mnie dziecko Fantyny, Skowronka? To nie ty miałeś wtedy na sobie żółty surdut, co? A w rękę tobołek z przyodziewkiem, tak samo jak tutaj dziś rano?! Patrzaj no, żono, on chyba ma manię roznoszenia po domach tobołków z wełnianymi pończochami! Widzicie go, miłosierny staruch! Czy masz sklep z pończochami, mości milionerze, i rozdajesz biednym swój asortyment, świątobliwy człeku? Co za błazen! A więc nie poznajesz mnie? Ale za to ja cię poznaję! Poznałem cię od razu, jakieś tu wetknął swą mordę! No, teraz zobaczysz, że nie zawsze tak ładnie i składnie można wejść do czyjegoś domu, pod pozorem, że to tylko oberża, w nędznym ubiorze, z miną biedaka, która aż prosi o jałmużnę, oszukiwać ludzi, udając hojnego, odbierać im zarobek i odgrażać im się w lesie. A potem, kiedy się ich już zniszczyło do szczętu, obdarzać ich za wielką salopą i dwoma nędznymi, szpitalnymi kocami! Myślisz, że to wyrównało nasze rachunki, stary obwiesiu, złodzieju dzieci?!

Umilkł i zdawał się przez chwilę rozmawiać sam ze sobą. Rzekłbyś, że jego wściekłość, jak Rodan, przepadła w jakiejś podziemnej czeluści. A potem, jakby kończąc głośno to, co sobie powiedział po cichu, stuknął pięścią w stół i wrzasnął:

— Ach, ta jego dobrotliwa mina!

Po czym dalej urągał panu Białemu:

— Do diaska! Zakpiłeś sobie kiedyś ze mnie. Jesteś sprawcą wszystkich moich nieszczęść! Za tysiąc pięćset franków dostałeś dziewczynę, która była u mnie, a której rodzice byli z pewnością bogaci. Przyniosła mi już sporo pieniędzy, a mogłem żyć z niej do końca moich dni! Dziewczynę, która by mi zwróciła wszystko, com stracił w tej przeklętej garkuchni, gdzie forsa płynęła jak woda i gdzie przejadłem, jak ostatni kiep, cały dobytek. Bodaj wszystko wino, które kiedykolwiek u mnie wypito, zamieniło się w truciznę dla tych, co je wypili! Ale pal sześć! Powiedz no, musiałeś zdrowo natrzęsać się ze mnie, kiedyś sobie poszedł ze Skowronkiem? Ale miałeś w lesie swoją pałkę! Byłeś silniejszy. Wet za wet! Dzisiaj moje na wierzchu! Wpadłeś, kruszyno! Wpadłeś! Ho, ho, boki zrywać ze śmiechu! Doprawdy, boki zrywać! Ale dałeś się wziąć na fundusz! Naopowiadałem mu, że jestem aktorem, że się nazywam Fabantou, że grywałem kiedyś z panną Mars, że gospodarz żąda zapłaty jutro, to znaczy 4 lutego, a on ani się spostrzegł, że przecież czynsz się płaci 8 stycznia, a nie 4 lutego. Taki dureń! I przynosi mi głupie cztery dwudziestki! Łajdak! Nie raczył nawet dać całych stu franków. A jak się dał nabrać na moje koszałki-opałki! Ubawiłem się setnie! Mówiłem sobie: „Czekaj, ty barania głowo! Mam cię! Rano

liżę ci łapy! Wieczorem wyrwę ci serce z piersi!"

Thénardier umilkł. Był zadyszany. Jego wąskie, zapadnięte piersi pracowały jak kowalskie miechy. W oczach płonęła nikczemna radość istoty słabej, okrutnej i podłej, która nareszcie może powalić tego, kogo się lękała, i znieważać tego, komu schlebiała, radość karta, który postawił nogę na głowie Goliata, radość szakala, który zaczyna rozszarpywać chorego byka, na tyle martwego, żeby już się nie mógł bronić, na tyle żywego, żeby jeszcze rnął cierpieć.

Pan Biały nie przerywał mu, ale gdy on sam przerwał, rzekł:

— Nie rozumiem, co pan mówi. Pan się myli. Jestem

człowiekiem biednym, a nie żadnym milionerem. Nie znam pana. Pan mnie bierze za kogo innego.

— Aa! — ryknął Thénardier. — Bujanie gości! Upierasz się przy tych bzdurach! Bredzisz, gagatku! A, nie przypominasz sobie? Nie widzisz, kim jestem?!

— Przepraszam bardzo — odpowiedział pan Biały uprzejmym tonem, który w podobnej chwili zabrzmiał dziwnie i mocno — widzę, że pan jest bandytą!

Któż nie zauważył, że istoty podłe łatwo się obrażają, że potwory bywają drażliwe. Na dźwięk słowa: „bandyta”, Thénardierowa zerwała się z barłogu, a Thénardier chwycił krzesło, jakby chciał je złamać w rękach.

— Nie ruszaj się! — krzyknął do żony. I zwracając się do pana Białego zawołał:

— Bandyta? Tak, wiem, że tak nas nazywacie, panowie bogacze! Ano cóż, zbankrutowałem, to prawda, ukrywam się, nie mam chleba, nie mam złamanego grosza — jestem bandytą! Od trzech dni nic nie miałem w ustach — jestem bandytą! Tak! A wy, wy sobie grzejecie nogi, macie trzewiki od Sakowskiego, nosicie watowane salopy, niczym arcybiskupi; mieszkacie na pierwszym piętrze w eleganckich domach, z portierem w bramie, zajadacie trufle, zajadacie szparagi — po czterdzieści franków pęczek w styczniu! — zielony groszek, obżeracie się, a jak chcecie wiedzieć, czy jest zimno na dworze, to sprawdzacie w gazecie, ile też stopni pokazuje termometr inżyniera Chevalier. A my? My sami jesteśmy termometrem! My nie potrzebujemy chodzić na bulwar do wieży zegarowej patrzeć, ile jest stopni, bo nam krew krzepnie w żyłach i mróz dochodzi aż do serca. I mówimy sobie: „Nie ma Boga w niebie!” A wy przychodzicie do nor — tak, do naszych nor! Nazywać nas bandytami! Ale my was zjemy! Ale, biedactwa moje, my was pożremy!

Wiedz jedno, mości milionerze: byłem człowiekiem jako tako urządzonym, miałem patent, byłem wyborcą, jestem obywatelem, ja, a pan, mój panie, może

wcale nim nie jest!

Tu Thénardier postąpił krok ku ludziom stojącym przy drzwiach i dodał rozdygotanym głosem:

— I pomyśleć, że taki śmie do mnie mówić jak do kopyciarza.

Po czym zwrócił się znów do pana Białego, krzycząc w przypiływie wzmożonej wściekłości:

— I wiedz jeszcze jedno, mości filantropie! Nie. jestem człowiekiem podejrzanym, nie jestem człowiekiem, którego nazwiska nikt nie zna; który łązi po domach i wykrada dzieci! Jestem dawnym żołnierzem francuskim, miałem dostać order! Byłem pod Waterloo, w bitwie uratowałem życie jednemu generałowi, co się nazywał hrabia jakoś tam. Powiedział mi swoje nazwisko: ale, miał już, cholera, tak słaby głos, że nie dosłyszałem. Usłyszałem tylko: *merci*. Wolałbym usłyszeć jego nazwisko niż podziękowanie. To by mi pomogło potem go odnaleźć. A ten obraz, który tu widzisz, malowany przez Davida w Brukseli, wiesz, kogo przedstawia? Mnie! David chciał uwiecznić ten bohaterski czyn. To ja dźwigam tego generała na grzbiecie i wynoszę go spod gradu kul. Tak to było! A ten generał nawet mi nic dobrego nigdy nie zrobił i tyle samo był wart co i wszyscy inni! A ocalałem go z narażeniem własnego życia i mam na to kupę świadectw! Jestem żołnierzem spod Waterloo, do kroćset tysięcy diabłów! A teraz, kiedy łaskawie powiedziałem ci o tym, kończmy naszą rozmówkę. Potrzeba mi pieniędzy, potrzeba mi dużo pieniędzy, potrzeba mi bardzo dużo pieniędzy albo cię zamorduję, do stu piorunów!

Mariusz opanował nieco wzburzenie i słuchał. Ostatnie wątpliwości rozwiąły się. Był to istotnie ów Thénardier z testamentu. Mariusz zadrżał na zarzut niewdzięczności zrobiony jego ojcu, którego on sam niemal nie potwierdził tak tragicznie. Niezdecydowanie jego wzrosło. Ponadto w słowach Thénardiera, w jego tonie, w ruchach, w spojrzeniu, które krzeszała ogień z każdego słowa, w całym tym wybuchu podłej natury odsłaniającym wszystko, w tym splocie przechwałek i nikczemności, pychy i małości, wściekłości i głupoty, w tym bezwstydzie złego człowieka, upojonego rozkoszą przemocy, w tym bezczelnym obnażeniu szpetoty duszy, w tym płomiennym wybuchu cierpienia i nienawiści — było coś ohydneho jak zło i przejmującego jak prawda.

Czytelnik już zgadł, że owo dzieło mistrza, ów obraz Davida, którego nabycie Thénardier proponował panu Białemu, był po prostu szyldem jego dawnej karczmy, namalowanym, jak pamiętamy, przez niego samego, ostatnim szczątkiem ocalałym z jego bankructwa w Montfermeil.

Ponieważ Thénardier usunął mu się z pola widzenia, Mariusz mógł nareszcie

przyjrzeć się obrazowi i w tym nieudolnym malowidle rozpoznał rzeczywiście bitwę, tło z dymu i człowieka niosącego na plecach drugiego człowieka. Byli to Thénardier i Pontmercy, sierżant-wybawca i wybawiony pułkownik. Mariusz był jak odurzony; obraz ten zdawał się wskrzeszać jego ojca: nie był to już szyldek karczmy z Montfermeil, lecz zmartwychwstanie; mogiła się otworzyła i wstało z niej widmo. Mariusz słyszał, jak mu tętno bije w skroniach. W uszach grały mu działa spod Waterloo, ojciec, krwią zbroczony, namalowany niewyraźnie na tym ponurym obrazie, przerażał go: zdawało mu się, że ta bezkształtna postać spogląda na niego przenikliwie.

Thénardier, który oddychał już spokojniej, wlepił w pana Białego nabiegłe krwią żrenice i rzekł cicho, a dobitnie:

— Co masz do powiedzenia, nim ci zagramy do tańca?

Pan Biały milczał. Wśród tej ciszy jakiś ochrypły głos odezwał się z korytarza ze złowrogą drwiną:

— Wzglądem rąbania drzewa to już jestem gotów! - To cieszył się człowiek z toporem. Równocześnie przez drzwi zajrzała olbrzymia twarz, ziemista i porośnięta szczecina, ukazując w ohydny śmiechu nie zęby, lecz kły.

Była to twarz człowieka z toporem.

— Czemu zdjęłeś maskę? — krzyknął nań z wściekłością Thénardier.

— Żeby się śmiać! — odpowiedział tamten.

Od pewnego czasu pan Biały zdawał się śledzić uważnie każdy ruch Thénardiera, który, zaślepiony i oślepiony własną wściekłością, chodził tam i z powrotem po swej norze, z pewnością siebie, jaką dawało mu przeświadczenie, że drzwi są strzeżone, że trzyma zbrojną ręką bezbronny człowieka i że jest ich dziewięciu na jednego (licząc Thénardierową tylko za jednego mężczyznę). Besztając ostro człowieka z toporem odwrócił się plecami do pana Białego. Pan Biały wykorzystał ten moment, odepchnął nogą krzesło, a pięścią stół i z niewiarogodną zwinnością, nim Thénardier zdołał się odwrócić, jednym susem znalazł się przy oknie.

Otworzyć je, skoczyć na nie, przerzucić nogę za parapet było dziełem jednej chwili. Połowa ciała znalazła się już na zewnątrz, gdy sześć mocnych rąk uchwyciło go i gwałtownie wciągnęło z powrotem do izby. To trzech „zdunów” rzuciło się na niego. Jednocześnie Thénardierowa złapała go za włosy.

Na zgiełk, który przy tym powstał, nadbiegli z korytarza inni bandyci. Stary, który siedział na łóżku i wydawał się pijany, zlaźł z barłogu i zataczając się,

zbliżył się także, z młotem do rozbijaniakamieni w ręku.

Jeden ze „zdunów”, którego uczernioną twarz oświetlała świeca i w którym — mimo tego uczernienia — Mariusz rozpoznał Panchauda, zwanego też Wiosennym albo Urwipołciem, podniósł nad głową pana Białego rodzaj żelaznej pałki, mającej po obu końcach kule z ołowiu.

Mariusz nie mógł dłużej patrzeć na to spokojnie. „Daruj mi, ojcze!” — pomyślał. I palcem poszukał cyngla pistoletu. Już miał paść strzał, gdy nagle rozległ się głos Thénardiera:

— Nie robić mu nic złego!

Rozpaczliwy wysięk ofiary zamiast bardziej rozwścieczyć Thénardiera, uspokoił go. Było w nim bowiem dwóch ludzi: człowiek dziki i człowiek zręczny. Do tej pory, w upojeniu triumfu wobec ofiary, powalonej i nie dającej znaku życia, przemawiał człowiek dziki; kiedy ofiara zaczęła się bronić i usiłowała walczyć, obudził się w nim człowiek zręczny i wziął górę nad dzikusiem.

— Nie robić mu nic złego! — powtórzył, nie domyślając się, że tym rozkazem powstrzymał przede wszystkim gotowy do strzału pistolet i obezwładnił Mariusza; znikła bowiem konieczność natychmiastowej interwencji i wobec tej nowej sytuacji Mariusz uznał, że może jeszcze poczekać. Kto wie? Może zajdzie jeszcze jakaś pomyślna okoliczność, która uwolni go od okrutnego wyboru między wydaniem na zgubę ojca Urszuli a zgubieniem wybawcy pułkownika.

Rozpoczęła się herkulesowa walka. Jednym uderzeniem pięści w samą pierś pan Biały powalił starego na podłogę, dwoma ciosami na odlew położył dwóch innych napastników i przygniótł każdego kolanem; przyduszeni nędznicy rżęzili jak pod ciężarem młyńskiego kamienia. Lecz czterej pozostali bandyci chwycili straszliwego starca za obie ręce i za kark i trzymali go, siedzącego okrakiem na powalonych „zdunach”. W ten sposób, pokonawszy jednych, pokonany przez drugich, gniotąc tych, których miał pod sobą, dławiony przez tych, co siedzieli na nim, szamocąc się daremnie z przemocą, która się na niego zwała, pan Biały ginął pod skłębioną gromadą opryszków, jak odyniec pod skowyczącą sforą ogarów.

Zdołali go wreszcie powalić na łóżko stojące w pobliżu okna i tam opanować. Thénardierowa nie puściła z rąk jego włosów.

— Nie wtrącaj się do tego — rzekł jej Thénardier: — Podrzesz sobie szal. — Usłuchała, jak wilczyca słucha wilka, z niechętnym pomrukiem.

— A wy — dodał Thenardier — przetrząśnijcie mu kieszenie.

Zdawało się, że pan Biały zaniechał oporu. Przeszukano mu kieszenie. Miał w nich tylko skórzaną sakiewkę zawierającą sześć franków i chustkę do nosa.

Thénardier wsunął sobie chustkę do kieszeni.

— Co? Nie ma pugilaresu? — zapytał.

— Ani zegarka — odpowiedział jeden ze „zdunów”.

— Ano, tak — mruknął głosem brzuchomówcy człowiek w masce trzymający ogromny klucz. — To tęgi gracz.

Thénardier poszedł do kąta koło drzwi, wziął pęk postronków i rzucił go im.

— Przywiążcie go do nogi łóżka! — rzekł. I spostrzegając starego, który leżał bez ruchu na podłodze, powalony ciosem zadany mu przez pana Białego, zapytał:

— Czy Boulatruelle zabity?

— Nie — odparł Urwipość. — Pijany.

— Odsuńcie go w kąt! — rzekł Thénardier. Dwóch „zdunów” nogami popchnęło pijaka w stronę kupy żelastwa.

— Babet, na co ich tylu przyprowadziłeś? — zapytał szeptem Thénardier człowieka z pałką. — To zupełnie niepotrzebne!

— Cóż chcesz — odrzekł tamten — wszyscy się napraszali. Ogórki. Nie ma widoku na żadną robotę.

Barłóg, na który powalono pana Białego, przypominał szpitalną pryczę, wspartą na czterech z grubsza ociosanych, drewnianych podpórkach. Pan Biały nie bronił się. Bandyci skrępowali go na stojąco i przywiązali mocno do nogi łóżka, w miejscu najdalszym od okna i najbliższym komina.

Gdy ostatni węzeł został zaciągnięty, Thénardier przysunął sobie krzesło i siadł prawie naprzeciw pana Białego. Odmienił się całkowicie; w ciągu paru chwil wyraz jego twarzy przeszedł od szaleńczej wściekłości do łagodnej i chytrej słodyczy. Mariusz ledwo mógł rozpoznać w tym układnym uśmiechu biuralisty bestialskie usta, które przed chwilą pieniły się złością; z osłupieniem obserwował tę fantastyczną i niepokojącą przemianę i doświadczał uczuć człowieka, który patrzyłby na tygrysa zmieniającego się w adwokata.

— Proszę pana... — zaczął Thénardier.

I oddalając ruchem ręki zbójów, którzy przytrzymywali jeszcze pana Białego, rzekł:

— Odsuńcie no się trochę i dajcie mi porozmawiać z panem.

Wszyscy cofnęli się ku drzwiom, a on ciągnął:

— Źle pan zrobił próbując wyskoczyć przez okno. Mógł pan sobie złamać nogę. Teraz, jeśli pan pozwoli, porozmawiamy spokojnie. Naprzód muszę się z panem podzielić pewnym spostrzeżeniem, jakie zrobiłem: pan jeszcze nie krzyknął ani razu.

Thénardier miał rację tak było istotnie, choć Mariusz w swoim wzburzeniu nie zwrócił na ten szczegół uwagi. Pan Biały wymówił zaledwie parę słów, nie podnosząc wcale głosu, i nawet w czasie walki przy oknie z sześcioma zbójami zachował najgłębsze i najosobliwsze milczenie. Thénardier mówił dalej:

— Gdyby pan pokrzyczał sobie trochę: „Ratunku! Ratunku!”, nie uważałbym tego za niewłaściwe. Mój ty Boże! „Na pomoc! Bandyci!”, tak się przecie zwykle woła w takich razach i jeśli o mnie chodzi, nie wzięłbym tego panu za złe. To zrozumiałe, że człowiek narobi trochę hałasu, kiedy się znajdzie w towarzystwie osób, które nie wzbudzają w nim zbytniego zaufania. I gdyby pan tak postąpił, nikt by panu nie przeszkodził; nawet nie zakneblowalibyśmy panu ust. Zaraz panu powiem, dlaczego. Otóż dlatego, że z tej izby nie przedostaje się na zewnątrz żaden hałas. Innych zalet nasza izba nie ma, ale tę jedną ma. To istny loch. Mogłaby tu bomba wybuchnąć, a na najbliższym odwachu słyhać by było tyle co chrapanie pijaka. Tutaj wystrzał z armaty zmieniłby się w „bum!”, a grzmot w „paf!” Wygodne mieszkanie. No, ale pan nie narobił krzyku, to i lepiej, moje uznanie! Ale powiem panu zaraz, jaki z tego wyciągam wniosek: kiedy się krzyczy, drogi panie, to kto przychodzi? Policja. A tuż za policją? Sprawiedliwość. Otóż, pan nie krzyczał: więc widocznie, tak samo jak my, nie życzy pan sobie przybycia policji ani sprawiedliwości. Od dawna już się domyślam, że pan ma jakiś interes w tym, żeby coś ukryć. Nam też na tym zależy, możemy więc dojść do porozumienia.

Mówiąc to, Thénardier nie spuszczał wzroku z pana Białego i zdawał się przewiercać ostrzem swych źrenic najtajniejsze myśli swego więźnia. Zresztą mowa jego, nacechowana jakimś utajonym i umiarkowanym zuchwalstwem, była uprzejma, a nawet wyszukana; w tym nędzniku, który jeszcze przed chwilą był zwykłym bandytą, czuło się teraz „człowieka, który się kierował na księdza”.

Trzeba przyznać, że milczenie, jakie zachowywał więzień, ta ostrożność, posunięta aż do lekceważenia troski o własne życie, to powściągnięcie pierwszego, naturalnego odruchu, jakim jest wołanie o pomoc, wszystko to —

od czasu uwagi wypowiedzianej przez Thénardiera — dręczyło i niemile dziwiło Mariusza.

Uzasadnione spostrzeżenie Thénardiera pogłębiało jeszcze w oczach Mariusza tajemniczy mrok, jaki otaczał tę dziwną, poważną postać, której Courfeyrac rzucił przydomek „pana Białego”. Ale kimkolwiek był ten człowiek, skrupowany sznurami, otoczony przez oprawców, do połowy pogrążony, rzecz można, w przepaści, w której z każdą chwilą zagłębiał się coraz bardziej, pozostał on niewzruszony, zarówno wobec wściekłości Thénardiera, jak i jego układnej słodyczy. I Mariusz nie mógł nie podziwiać w podobnej chwili tej twarzy, pełnej dostojnego smutku.

Była to najwyraźniej dusza, do której bojaźń nie ma dostępu i która nie zna uczucia paniki. Był to jeden z tych ludzi, którzy panują nad sobą w beznadziejnych sytuacjach, mimo całej rozpaczliwości swego położenia, mimo nieuniknionej katastrofy; nie było w tym wszystkim nic z konwulsyjnej agonii topielca, który otwiera pod wodą przerażone oczy.

Thénardier podniósł się bez ostentacji, podszedł do komina, odsunął parawan, oparł go o sąsiednie łóżko i odłonił w ten sposób pełen żaru piecyk, w którym więzień mógł zobaczyć rozpalone do białości obcegi, migocące tu i ówdzie szkarłatnymi gwiazdkami.

Po czym znów usiadł naprzeciw pana Białego.

— Wracam do naszej sprawy — rzekł. — Możemy dojść do porozumienia. Załatwimy to po przyjacielsku. Źle zrobiłem, że się uniosłem przed chwilą, sam nie wiem, co mi strzeliło do głowy, zagalopowałem się i nagadałem głupstw. Na przykład dlatego, że pan jest milionerem, powiedziałem, że żądam pieniędzy, dużo pieniędzy, mnóstwa pieniędzy! To by nie miało sensu. Mój ty Boże, co z tego, że pan jest bogaty; pan też ma wydatki, któż ich nie ma?! Nie chcę pana zrujnować, nie jestem ostatecznie zdziercą! Nie należę do ludzi, którzy — mając przewagę — wykorzystują ją w głupi sposób. Niech tam! Niech stracę i też poniosę ofiarę. Trzeba mi tylko dwustu tysięcy franków.

Pan Biały nie wyrzekł ani słowa. Thénardier ciągnął:

— Sam pan widzi, że ja do zgody jak ryba do wody. Nie znam pańskiego stanu majątkowego, ale wiem, że pan nie jest dusigroszem, człowiek tak miłosierny jak pan może dać dwieście tysięcy franków ojcu rodziny, który znalazł się w potrzebie. Pan też na pewno jest rozsądnym człowiekiem i nie sądzi chyba, że zadałem sobie tyle trudu i urządziłem tak wszystko na dzisiejszy wieczór — a zdaniem wszystkich tu obecnych panów, to jest dobra robota! — tylko po to, aby poprosić pana o mały datek na szklaneczkę wina i kawałek mięsa! Taka

robota warta jest dwustu tysięcy franków. A jak już ta bagatelka wyfrunie z pańskiej kieszeni, to ręczę słowem, że sprawa załatwiona i włos panu z głowy nie spadnie. Pan rni na to powie: „Ależ ja nie mam przy sobie dwustu tysięcy!” Och, ja nie jestem aż tak wymagający! Wcale ich nie żądam natychmiast. Proszę tylko o jedno: niechaj pan zrobi mi tę grzeczność i napisze to, co mu podyktuję!

Tu urwał, po czym dodał z naciskiem, uśmiechając się w stronę żelaznego piecyka:

— Uprzedzam, iż nie uwierzę w to, że pan nie umie pisać!

Tego uśmiechu mógłby Thénardierowi pozazdrościć sam wielki inkwizytor.

Thénardier przysunął stół aż do pana Białego, wyjął kałamarz, pióro i arkusz papieru z szuflady, którą zostawił wysuniętą. Lśniło w niej długie ostrze noża. Położył arkusz papieru przed panem Białym.

— Proszę pisać.

Więzień przemówił nareszcie:

— Jakże mam pisać? Jestem związany.

— Prawda! Przepraszam! — rzekł Thenardier. — Ma pan słuszność!

I zwrócił się do Urwipołcia:

— Odwiąż panu prawą rękę.

Panchaud, zwany Wiosennym, zwany też Urwipołciem, wykonał rozkaz Thénardiera. Kiedy więzień miał już prawą rękę wolną, Thénardier umoczył pióro w atramencie i podał mu:

— Zwracam pańską uwagę — rzekł — że jest pan w naszej mocy, że jest pan zdany całkowicie na naszą łaskę i niełaskę, że żadna siła ludzka pana stąd nie wyrwie i że byłoby nam doprawdy bardzo niemiło, gdybyśmy byli zmuszeni uciec się do przykrych ostateczności. Nie znam ani pańskiego nazwiska, ani adresu; ale uprzedzam, że pan pozostanie tu skrepowany aż do powrotu osoby, która zanieśnie napisany przez pana list. A teraz proszę pisać.

— Co mam pisać? — zapytał więzień.

— Podyktuję panu.

Pan Biały ujął pióro. Thénardier zaczął dyktować: „Moja córko...”

Więzień drgnął i podniósł wzrok na Thénardiera.

— Niech pan napisze: „Kochana córko!” — rzekł

Thénardier. Pan Biały usłuchał. Thénardier dyktował dalej: „Przybądź natychmiast.” Przerwał.

— Pan do niej mówi „ty”, prawda?

— Do kogo? — zapytał pan Biały.

— Do kogóż, u licha! — odparł Thénardier. — Do tej małej, do Skowronka!

Pan Biały odpowiedział bez najmniejszego na pozór wzruszenia:

— Nie wiem, o czym pan mówi.

— Niech pan pisze dalej — rzekł Thénardier i zaczął znowu dyktować: „Przybądź natychmiast. Potrzebuję cię niezwłocznie. Osoba, która ci odda ten list, przyprowadzi cię do mnie. Czekam. Przyjdź bez obawy.”

Pan Biały napisał wszystko. Thénardier rzekł nagle:

— Lepiej niech pan skreśli: „przyjdź bez obawy”. To mogłoby nasunąć podejrzenie, że sprawa nie jest tak całkiem w porządku i można się czegoś obawiać.

Pan Biały przekreślił te trzy słowa.

— A teraz — mówił dalej Thénardier — proszę się podpisać. Jak pan się nazywa?

Więzień odłożył pióro i zapytał:

— Do kogo ten list?

— Pan wie doskonale! — odrzekł Thénardier. — Do małej. Przecież już to powiedziałem.

Widoczne było, że Thénardier wyraźnie stara się nie wymieniać imienia dziewczyny, o której była mowa. Nazywał ją „Skowronkiem”, nazywał ją „małą”, ale ani razu nie wymówił jej imienia. Była to przeczność sprytnego człowieka, który nie odsłania swej tajemnicy wobec współników. Powiedzieć imię, byłoby to oddać w ich ręce cały „interes” i udzielić im więcej wiadomości, niż trzeba.

Rzekł znowu:

— Proszę się podpisać. Jak się pan nazywa?

— Urban Fabre — odrzekł więzień.

Thénardier kocim ruchem sięgnął ręką do swej kieszeni i wyciągnął chustkę zabraną panu Białemu. Poszukał monogramu i przybliżył go do świecy:

— U. F. Zgadza się. Urban Fabre. Ano, to niech pan podpisze: „U. F.”

Więzień podpisał.

— Ponieważ do złożenia listu potrzebne są dwie ręce, proszę mi go dać, złożę go.

Zrobiwszy to Thénardier ciągnął:

— A teraz adres: „Panna Fabre, ulica...” Wiem, że pan mieszka niedaleko, gdzieś w okolicy kościoła Sw. Jakuba, bo tam chodzicie codziennie na mszę; ale nie wiem na jakiej ulicy. Widzę, że pan rozumie swoje położenie. Jak pan nie skłamał mówiąc swe nazwisko, tak nie skłamię pan, podając swój adres. Niech pan zaadresuje własnoręcznie. Więzień namyślał się chwilę, potem wziął pióro i napisał: „Panna Fabre, mieszkanie pana Urbana Fabre, ulica Św. Dominika z Piekła, 17.”

Thénardier pochwycił list z jakimś gorączkowym pośpiechem.

— Żono! — krzyknął. Thénardierowa podbiegła.

— Bierz list, wiesz, co masz robić. Dorożka czeka na dole. Jedź co tchu i wracaj *idem*.

Zwracając się do człowieka z toporem rzekł:

— Ty już zdjęłeś maskę, więc pojedziesz z gospodynią. Na tylnym siedzeniu. Wiesz, gdzie zostawiłeś bryczkę?

— Wiem! — odpowiedział człowiek.

I postawiwszy topór w kącie, wyszedł za Thénardierową. Kiedy już byli w korytarzu, Thénardier wysunął głowę przez uchylone drzwi i zawołał za nimi:

— Uważaj, nie zgub listu, pamiętaj, że masz przy sobie dwieście tysięcy franków!

Ochrypy głos Thénardierowej odpowiedział:

— Nie bój się, schowałam go na brzuchu.

Nie upłynęła minuta, a usłyszano trzaśnięcia z bicia, które wnet ucichły w oddali.

— Dobra! — mruknął Thénardier. — Ruszyli z korpyta! Tak ostro jadąc, gospodyni będzie z powrotem za trzy kwadransy.

Przystawił krzesło do komina i usiadł na nim, skrzyżowawszy ramiona, przysuwając zabłocone buty do piecyka.

— Zimno mi w nogi — rzekł.

W izbie, prócz Thénardiera i więźnia, zostało tylko pięciu bandytów. Zamaskowane lub posmarowane czymś czarnym twarze tych ludzi — co czyniło z nich stosownie do wyboru przerażonego oka węglarzów, Murzynów lub szatanów — były otępiałe i ponure; zbrodnię wykonywali najwidoczniej jak powszednią robotę, spokojnie, bez gniewu, bez litości, jakby ze znudzeniem. Stłoczyli się w jednym kącie jak bydło i milczeli. Thénardier grzał sobie nogi. Więzień znów zapadł w swoje milczenie. Posępny spokój zapanował po dzikiej wrzawie, która jeszcze przed chwilą napełniała izbę.

Świeca, na której narósł szeroki grzyb, ledwo oświetlała obszerną norę, żar przygasał, a potworne głowy rzucały bezkształtne cienie na ścianę i powałę. Poza spokojnym oddechem starego pijaka, który spał w najlepsze, nie słychać było żadnego szmeru.

Mariusz czekał, pełen trwogi, którą wszystko wzmagало. Zagadka była w tej chwili bardziej nieprzenikniona niż kiedykolwiek.

Cóż to za „mała”, którą Thénardier nazywał też „Skowronkiem”? Czyżby to była „jego Urszula”?

Więzień zdawał się nie reagować na słowo „Skowronek” i odpowiedział Thénardierowi najnaturalniej w świecie: „Nie wiem, o czym pan mówi.” Z drugiej strony wyjaśnione zostały litery „U. F.” — znaczyły one Urban Fabre, a więc „Urszula” nie nazywała się już Urszulą. Tę jedyną rzecz Mariusz widział jasno. Jakieś potworne uroczenie przykuło go do miejsca, w którym stał obserwując z góry rozgrywającą się scenę. Stał, niezdolny prawie, aby myśleć lub poruszyć się, jakby obezwładniony widokiem tych okropności widzianych z bliska. Czekał i spodziewał się, że może coś się stanie, choć sam nie wiedział, czego się właściwie spodziewa, nie mogąc zebrać myśli, nie umiając powziąć żadnej decyzji. „W każdym razie — mówił sobie — wkrótce okaże się, czy to ona jest «Skowronkiem», bo Thénardierowa ma ją tu przyprowadzić. A wtedy, jeśli będzie trzeba, oddam życie i krew, byle ją ocalić. Nic mnie powstrzymać nie

zdoła!"

Tak upłynęło z pół godziny. Thénardier zdawał się zatopiony w jakichś nieprzeniknionych myślach. Więzień trwał bez ruchu. Wydawało się jednak Mariuszowi, że od pewnego czasu słyszy koło niego lekki, stłumiony szmer.

Nagle Thénardier zwrócił się do więźnia:

— Panie Fabre, niech tam! Powiem panu wszystko od razu.

Te kilka słów zdawało się zapowiadać jakieś wyjaśnienie. Mariusz nadstawił ucha. Thénardier mówił dalej:

— Moja małżonka wróci tu za chwilę, niech pan będzie cierpliwy. Myślę, że Skowronek jest rzeczywiście pańską córką, i uważam za rzecz całkiem naturalną, żeby pan ją miał przy sobie. Ale niech no pan posłucha. Moja żona przyjedzie do niej z pańskim listem.

Kazałem żonie, żeby się ubrała przyzwoicie — jak pan to widział — żeby panienka bez trudności chciała jej towarzyszyć. Wsiądą obie do dorożki, z moim kolegą na tylnym siedzeniu. W pewnym miejscu za rogatkami czeka bryczuszka zaprzężona w parę doskonałych koni. Tam zawiozą pańską córeczkę. Wsiądzie z dorożki. Mój koleżka wsiądzie z nią do bryczuszki, a moja żona wróci tu i powie nam: „Załatwione!” Panience nic się nie stanie złego, bryczuszka zawiezie ją gdzieś, gdzie sobie spokojnie posiedzi, a jak tylko dostanę od pana forszę, to panienkę się panu zwróci. A jeżeli pan każe mnie aresztować, to mój koleżka pogłaszcze Skowronka. To wszystko.

Więzień nie odpowiedział ani słowem. Po przerwie Thénardier ciągnął dalej:

— Jak pan widzi, to prosta sprawa. Nic złego się nie stanie, jeśli pan sam nie zechce, aby się coś złego stało. Opowiadam panu wszystko, bez ogródek, żeby pan wiedział, czego się trzymać.

Znów umilkł na chwilę. Więzień nie przerwał swego milczenia, więc Thénardier mówił dalej:

— Jak tylko moja małżonka powróci i powie mi, że Skowronek jest już w dorożce, puścimy pana i będzie pan mógł wrócić na noc do domu. Widzi pan, że nie mamy żadnych złych zamiarów.

Straszliwe obrazy przesuwają się przez wyobraźnię Mariusza. Jak to? Więc porwana dziewczyna nie zostanie tu przywieziona? Jeden z tych potworów ma ją uprowadzić w ciemnościach... Dokąd? A jeśli to Ona? Tak, to napewno Ona! Mariusz czuł, że mu serce przestaje bić. Co robić? Wystrzelić z pistoletu? Oddać

tych nędzników w ręce sprawiedliwości? Ale wtedy straszny Człowiek z toporem i tak wymknąłby się wraz z porwaną dziewczyną, a Mariusz myślał o słowach Thénardiera i zaczął pojmować ich krwawe znaczenie:

„Jeśli pan każe mnie aresztować, mój koleżka pogłaszczę Skowronka.”

Teraz powstrzymywało go nie tylko poszanowanie ostatniej woli pułkownika, lecz także miłość i lęk o tę, którą kochał.

Ta okropna sytuacja, która trwała już przeszło godzinę, zmieniała się co chwila. Mariusz znalazł jeszcze siłę, by rozpatrzeć po kolei wszystkie najboleśniejse przypuszczenia, szukając nadziei i nigdzie jej nie znajdując. Zamęt jego myśli osobiście kontrastował z grobową ciszą jaskini.

Wśród tego milczenia usłyszano trzaśnięcie drzwi wejściowych, które otwały się, a potem zamknęły.

Więzień poruszył się w swych więzach.

— Gospodyni wraca —. rzekł Thénardier.

Ledwo wymówił te słowa, kiedy rzeczywiście do izby wpadła Thénardierowa, czerwona, zasapana, zadyszana, z płonącymi oczyma i wrzasnęła uderzając się olbrzymimi łapami po udach:

— Fałszywy adres!

Bandyta, którego zabrała ze sobą, ukazał się za nią i wziął swój topór.

— Fałszywy adres? — powtórzył Thenardier. Kobieta mówiła:

— Nikogo! Żaden pan Urban Fabre nie mieszka pod numerem 17 na ulicy Św. Dominika. Nikt tam o nim nie słyszał!

Zatrzymała się, bo jej zabrakło tchu, i mówiła dalej:

— Ten stary wystrychnął cię na dudka, mości Thénardier! Teraz sam widzisz, że jesteś za dobry! Ja tam, na twoim miejscu ciachnęłabym mu na początek gębę na czworo, a jakby się stawiał, to bym żywcem go ugotowała! Musiałby powiedzieć, gdzie jest dziewczyna i gdzie jest forsa! Tak, ja bym to zrobiła! Święta racja, że mężczyźni są głupszy od kobiet.

Ani żywego ducha pod numerem 17! Cały dom to tylko wielka brama. Żaden pan Fabre nie mieszka na ulicy Sw. Dominika. Leć tu, człowieku, na złamanie karku, płac dorożkarzowi — i figa! Gadałam ze stróżem i ze stróżką, ładną, tęgą

kobietą. Nawet o takim nie słyszeli.

Mariusz odetchnął. Ona, Urszula czy Skowronek, ta, którą nie wiedział, jakim zwać imieniem, była ocalona.

Podczas gdy rozwścieczona Thénardierowa urągała, Thénardier usiadł na stole; przez jakiś czas pozostawał tak, nie mówiąc ani słowa, bujając prawą nogą w powietrzu i wpatrując się w piecyk z wyrazem ponurej zadumy. Wreszcie odezwał się do więźnia, powoli, ze szczególnym okrucieństwem, w głosie:

— Fałszywy adres? I czegoś ty się spodziewał?

— Ze zyskam na czasie! — krzyknął więzień grzmiącym głosem.

I równocześnie zrzucił swoje więzy: były przecięte. Był już tylko przywiązany do łóżka za jedną nogę.

Zanim siedmiu mężczyzn zdążyło się opamiętać i rzucić na niego, schylił się ku kominkowi, sięgnął ręką do piecyka, potem wyprostował się i nagle Thénardier, Thénardierowa i bandyci, którzy odskoczyli z przerażenia w głąb izby, zobaczyli w osłupieniu, że, prawie wolny i stojący przed nimi w groźnej postawie, podnosi w górę rozpalone do czerwoności, iskrzące się złowieszczym blaskiem dłuto.

Wszczęte później, na skutek zasadzki w ruderze Gorbeau, śledztwo sądowe wykazało, że po przeprowadzeniu rewizji żandarmii znaleźli w izbie monetę pięciocentymową, przeciętą i obrobioną w pewien szczególny sposób; groszak ten był jednym z arcydzieł rzemiosła, które cierpliwość galerników rodzi w ciemnościach i dla ciemności, owych arcydzieł, stanowiących; narzędzia ucieczki.

Te wstrętne i subtelne wytwory zdumiewającej sztuki są w jubilerstwie tym, czym przenośnie gwary złodziejskiej w poezji. Wielu jest takich. Benwenutów Cellinich na galerach, podobnie jak wielu jest Viilonów w literaturze. Nieszczęśnik, który marzy o wolności, potrafi niekiedy bez żadnych narzędzi, za pomocą kozika czy starego noża, przepiłować groszak na dwie cienkie blaszki, wyłobić je od wewnątrz, nie naruszając odcisków stempla, naciąć gwint na wewnętrznym obrębie pieniądza, tak aby obie blaszki do siebie na nowo przylegały. Dają się dowolnie zakręcać i odkręcać, tworząc pudełeczko. W tym pudełeczku można schować sprężynę od zegarka, a ta sprężyna, umiejętnie użyta, przecina grube kajdany i żelazne kraty. Wydaje się, że nieszczęśliwy galernik posiada tylko jednego su: złudzenie, on posiada wolność! Taki to właśnie miedziak, rozkręcony na dwie połówki, znalazła w czasie późniejszych dochodzeń policja w izbie Thenardierów, pod łóżkiem koło okna. Znalezione tam również maleńką piłeczkę z niebieskiej stali, która mogła się zmieścić

wewnątrz miedziaka. Pan Biały miał go prawdopodobnie przy sobie, kiedy bandyci zaczęli przeszukiwać mu kieszenie, i zdołał jakoś ukryć w dłoni, a później, mając prawą rękę wolną, rozśrubował go i użył piłki do przecięcia więzów, co tłumaczyłoby ów lekki szmer i nieznaczne ruchy więźnia, które dostrzegł Mariusz. Nie mogąc się schylić, aby się nie zdradzić, nie przeciął więzów lewej nogi. Po pierwszym momencie zaskoczenia bandyci odzyskiwali przytomność.

— Nie bój się — rzekł Urwipołec do Thénardiera. — Uwiązany jest jeszcze za jedną nogę i nie ucieknie! Ręczę ci za to! Sam mu wiązałem tego kulasa!

Tymczasem więzień podniósł głos:

— Jesteście nędznikami, ale życie moje nie warte jest obrony. Jeśli jednak wyobrażacie sobie, że moglibyście zmusić mnie, żebym napisał to, czego nie chcę napisać, żebym powiedział to, czego nie chcę powiedzieć, to...

Odwinął rękaw na lewej ręce i zakończył:

— Patrzcie!

Wyciągnął ramię i przytknął do nagiego ciała rozżarzone dłuto, które trzymał w prawej ręce za drewniany trzonek.

Rozległo się syczenie przypalonej skóry, po izbie rozszedł się swąd, właściwy miejscom tortur. Mariusz zachwiał się nieprzytomny ze zgrozy, nawet bandyci zadrżeli, a twarz dziwnego starca prawie nie drgnęła. i podczas gdy rozpalone żelazo zagłębiało się w dymiącej ranie, on, niewzruszony i tchnący boskim niemal dostojeństwem, utkwiał w Thénardiera piękne spojrzenie, pozbawione nienawiści, w którym cierpienie rozplątało się w pogodnej powadze.

U natur wzniosłych i szlachetnych zmagania ciała i zmysłów, wydanych na pastwę fizycznego bólu, ukazują duszę i opromieniają nią czoło, podobnie jak. bunty żołdactwa zmuszają wodza do ukazania się.

— Nędznicy! — rzekł. — Możecie się mnie nie lękać tak, jak ja was się nie lękam!

I wyrwawszy żelazo z rany, cisnął je przez otwarte okno straszliwe, gorejące narzędzie znikło wirując w ciemnościach nocy i spadło gdzieś daleko, aby zgasnąć w śniegu.

Więzień powiedział jeszcze:

— A teraz róbcie ze mną, co chcecie. Był bezbronny.

— Łapcie go! — rzekł Thénardier.

Dwóch bandytów przytrzymało więźnia za ramion a człowiek w masce mówiący głosem bruchomówcy stanął przed nim, gotów przy najmniejszym ruchu roztrzaskać mu czaszkę uderzeniem klucza.

Równocześnie Mariusz usłyszał tuż pod sobą, za przepierzeniem, ale tak blisko, że nie mógł dostrzec, kto mówi, taką rozmowę prowadzoną szeptem:

— Zostaje tylko jedno...

— Sprzątnąć go!

— Właśnie!

To małżeństwo tak naradzało się ze sobą. Thenardier podszedł wolnym krokiem do stołu, wysunął szufladę i wziął z niej nóż.

Mariusz ścisnął w dłoni kolbę pistoletu. Miotła nim nieludzka rozterka. Od godziny już dwa głosy walczyły w jego sumieniu: jeden nakazywał poszanowanie ostatniej woli ojca, drugi wołał o ratunek dla więźnia. Te dwa głosy bez przerwy wiodły ze sobą bój, który go wyczerpywał śmiertelnie. Aż do tej chwili miał jeszcze cień nadziei, że znajdzie jakiś sposób pogodzenia obu obowiązków, ale nie pojawiło się żadne rozwiązanie. Tymczasem niebezpieczeństwo nagliło, minął ostatni okres oczekiwania: Thénardier, o kilka kroków od więźnia, rozmyślał, z nożem w ręku.

Mariusz, nieprzytomny, powiódł wzrokiem dokoła w ostatnim, instynktownym odruchu rozpaczy. Nagle drgnął.

U jego stóp, na stole, jasny promień księżycy w pełni -oświetlał i zdawał się wskazywać mu kartkę papieru. Na tej kartce przeczytał parę słów, które dzisiejszego ranka wypisała wielkimi literami starsza córka Thénardierów: „Salcesony idą!”

Myśl, jak nagły błysk światła, przemknęła Mariuszowi przez głowę: oto sposób, którego szukał, oto rozwiązanie straszliwego dylematu, który go dręczył: jak oszczędzić zabójcę i ocalić ofiarę. Ukłękł na komodzie, wyciągnął rękę, chwycił kartkę, oderwał delikatnie bryłkę wapna ze ściany, obwinął ją w kartkę i wrzucił przez szczelinę w przepierzeniu na środek izby.

Czas był najwyższy! Thénardier pokonał swe ostatnie obawy czy ostatnie skrupuły i szedł ku więźniowi.

— Coś spadło! — zawołała Thénardierowa.

— Co takiego? — zapytał mąż.

Baba podbiegła i podniósłszy kawałek wapna, owinięty w papier, podała go mężowi.

— Którędy to wleciało? — zapytał Thénardier.

— A którędy miałoby wlecieć, do licha! — odrzekła żona. — Przez okno!

— Widziałem, jak leciało! — rzekł Urwipołec. Thénardier szybko rozwinął papier i przysunął go do świecy.

— Pismo Eponiny! O, do diabła!

Skinął na żonę, która żywo podeszła, i pokazał jej słowa napisane na kartce. Po czym dodał głuchym głosem:

— Jazda! Dawać drabinę! Zostawmy szperkę w pułapce i bierzmy nogi za pas!

— Jak to? Nie poderżniemy mu gardła? — zapytała Thenardierowa.

— Nie ma czasu!

— Którędy wiejemy? — odezwał się Urwipołec.

— Oknem — odrzekł Thénardier. — Ponina rzuciła ten kamień przez okno, to znaczy, że z tej strony dom nie jest obstawiony.

Zamaskowany brzuchomówca położył na ziemi swój olbrzymi klucz, podniósł w górę oba ramiona i trzykrotnie, szybko otworzył i zacisnął dłonie, nie mówiąc przy tym ani słowa. Był to jakby sygnał alarmu dla załogi okrętu. Bandyci, trzymający więźnia, puścili go; w mgnieniu oka drabinka sznurowa została przerzucona przez okno i silnie przymocowana do futryny dwoma żelaznymi uchwytami.

Więzień na zwracał uwagi na to, co się działo dokoła.

Zdawał się marzyć albo modlić się. Ledwo drabina została umocowana, Thénardier, krzyknął:

— Chodź, kobieto!

I rzucił się do okna. Ale gdy już przerzucał nogę przez parapet, Urwipołec chwycił go brutalnie za kołnierz.

— O nie, stary francie! Ty wyjdiesz ostatni!

— Ostatni! — zawyli bandyci.

— Nie bądźcie dziećmi! — rzekł Thénardier. — Tracimy czas, a te psy już nam deptają po piętach!

— No to ciągnijmy losy, kto pierwszy — odezwał się jeden z bandytów.

Thénardier wybuchnął:

— Czyście zbzikowali? Czyście poszaleli? A to kupa idiotów! Tracić czas, losować! Co! Jak wolicie, na węzółki, na słomki czy na zapałki? Czy wypisać nazwiska i wrzucić do czapki?...

— A może wolicie do mojego kapelusza? — zawołał jakiś głos od progu.

Wszyscy się odwrócili. Był to Javert. Trzymał w ręku kapelusz i nadstawiał go z uśmiechem.

ROZDZIAŁ XXI

Należałoby zawsze zaczynać od aresztowania ofiary

Javert z nadejściem nocy rozstawił swoich ludzi, a sam ukrył się za drzewami ulicy przy rogatce Gobelinów na wprost rudery Gorbeau, po drugiej stronie bulwaru. Na początek „otworzył swój mieszek”, aby do niego złowić dziewczyny pilnujące dostępu do spelunki. Udało mu się jednak „przyskrzynieć” tylko Anzelmę. Epominy nie było na stanowisku, znikła jak kamfora i nie mógł jej złapać. Potem Javert zaczął się znowu, nad słuchując umówionego sygnału.

Przyjazdy i odjazdy dorożki bardzo go zaniepokoiły. Wreszcie zniecierpliwiał się i pewien, że tam znajduje się „gniazdo” i że mu „się poszczęści”, gdyż poznał wśród wchodzących paru bandytów, zdecydował się wejść, nie czekając na strzał.

Pamiętamy, że miał klucz Mariusza.

Zjawił się w samą porę.

Przerażeni bandyci chwycili za broń, którą w momencie ucieczki porozrzucali po całej izbie. W mgnieniu oka tych siedmiu ludzi o przerażającym wyglądem stanęło w obronnej postawie, jeden ze swoim toporem, drugi z kluczem, trzeci z pałką, reszta z obcęgami, dłutami, młotami, Thénardier miał nóż w garści. Thénardierowa schwyciła olbrzymi kamień brukowy, który leżał w kącie pod oknem i służył jej córkom za stołek.

Javert włożył kapelusz na głowę i postąpił dwa kroki w głąb izby z rękami skrzyżowanymi na piersi, z laską pod pachą i szpadą w pochwie.

— Wolnego — rzekł. — Nie wyjdziecie oknem, wyjdziecie drzwiami. Tak będzie zdrowiej. Was jest siedmiu, nas piętnastu. Po co mamy brać się za łby, jak chłopci z Owernii. Bądźmy grzeczni.

Urwipoleć wyciągnął pistolet, który miał schowany pod bluzą, i wciskając go w rękę Thénardierowi, szepnął mu do ucha:

— To Javert! Nie odważę się do niego strzelić. A ty? Odważysz się?

— No chyba! — odparł Thénardier.

— To strzelaj!

Thénardier wziął pistolet i wycelował w Javerta. Javert, stojący o trzy kroki, spojrzał mu ostro w oczy i ograniczył się do słów:

— Ejże, nie strzelaj! Nie wypali ci!

Thénardier pociągnął za cyngiel. Nie wypalił.

— A nie mówiłem? — rzekł Javert. Urwipołec rzucił mu swoją pałkę pod nogi.

— Jesteś cesarzem szatanów! — zawołał. — Poddaję się.

— A wy? — zapytał Javert resztę bandytów. Odpowiedzieli:

— My też!

Javert odezwał się spokojnie:

— Tak, to ślicznie! Wiedziałem, że będziecie grzeczni.

— Proszę tylko o jedno — powiedział Urwipołec. — Żeby mi pozwolono mieć tytoń przez ten czas, jak będę siedział w ciupie.

— Zgoda! — rzekł Javert. Odwrócił się i zawołał:

— Teraz wejdźcie!

Gromada żandarmów z szablami w ręku i policjantów uzbrojonych w kastety i pałki wpadła do izby na wezwanie Javerta. Skrępowano bandytów. W izbie oświetlonej zaledwie jedną łojówką zrobiło się ciemno od tego tłoku.

— Obrączki wszystkim! — zawołał Javert.

— Zbliźcie się tylko tutaj! — zawołał głos, który nie był głosem mężczyzny, ale którego też nikt nie mógłby nazwać głosem kobiety.

Thénardierowa wycofała się w kąt koło okna i stamtąd to właśnie wydała ten dziki ryk. Żandarmi i policjanci cofnęli się. Baba odrzuciła szal, lecz miała jeszcze na głowie kapelusz, mąż jej przykucnął za nią, przystłonięty cały zrzuconym szalem, a ona zastawiła go sobą, unosząc oburącz w górę kamień brukowy i kolebiąc się niby olbrzymka miotająca skały.

— Z drogi! — zawołała.

Wszyscy cofnęli się w stronę korytarza. Na środku izby otworzyła się szeroka, pusta przestrzeń. Thénardierowa cisnęła pogardliwe spojrzenie bandytom, którzy pozwolili się skrępować, i mruknęła gardłowym, ochrypłym głosem:

— Tchórze!

Javert uśmiechnął się i wkroczył na pusty środek izby, który Thénardierowa pożerała oczyma.

— Nie zbliżaj się! — zawołała. — Precz albo ci łeb roztrzaskam.

— A to herod-baba! — rzekł Javert. — Jesteś wąsata jak chłop, mamusiu, ale ja mam pazury jak baba!

I podszedł jeszcze bliżej.

Rozczochrana, straszliwa Thénardierowa stanęła w rozkroku, przegięła się w tył i cisnęła z wściekłością kamień w głowę Javerta. Javert schylił się. Kamień przeleciał ponad nim, uderzył w przeciwległą ścianę, wyszczerbił wielką dziurę w tynku i odbijając się od ściany do ściany przetoczył się po całej izbie, na szczęście pustej, aż upadł bezsilnie u nóg Javerta.

W tej samej chwili Javert podszedł do Thénardierów. Jedną wielką dłońią uchwycił żonę za ramię, drugą męża za łeb.

— Obrączki! — krzyknął.

Policjanci wpadli gromadą do izby i w parę chwil rozkaz Javerta został wykonany. Thénardierowa, zupełnie złamana, spojrzała na swoje skrępowane ręce, później na skrępowane ręce męża, osunęła się na ziemię i zawołała z płaczem:

— Moje córki!

— Siedzą w bezpiecznym miejscu! — rzekł Javert. Tymczasem policjanci, znalazłszy pijaka śpiącego za drzwiami, zaczęli nim potrząsać. Obudził się i wybełkotał:

— A co, Jondrette, już po wszystkim?

— Aha! — odpowiedział Javert.

Sześciu związanych bandytów, stojących na środku izby, zachowało jeszcze swój upiorny wygląd: trzech mieli twarze uczernione, trzech byli w maskach.

— Nie zdejmujcie masek! — powiedział Javert.

I, dokonując ich przeglądu spojrzeniem godnym Fryderyka II na paradzie w Poczdamie, rzekł do trzech „zdunów”:

— Jak się masz, Urwipółciu? Jak się masz, Brujon? Jak się masz, Dwa Miliardy?

Po czym odwracając się do trzech zamaskowanych, rzekł do człowieka z toporem:

— Jak się masz, Gueulemer? A do człowieka z pałką:

— Jak się masz, Babet? A do brzuchomówcy:

— Uszanowanie, Claquesous.

W tej chwili spostrzegł więźnia bandytów, który od wejścia policji nie odezwał się ani słowem i stał z pochyloną głową.

— Rozwiązać tego pana! — rzekł Javert. — I niech nikt stąd nie wychodzi.

Powiedziawszy to rozsiadł się władczo za stołem, na którym stała jeszcze świeca i przybory do pisania, wyjął z kieszeni ostemplowany papier i zaczął spisywać protokół. Gdy napisał pierwsze zdanie stereotypowej formuły wstępnej, podniósł głowę.

— Proszę tu naprzód tego pana — rzekł — którego ci panowie skrępowali. — Policjanci rozejrzeli się dokoła.

— No co? — spytał Javert. — Gdzież on jest?

Więzień bandytów, pan Biały, pan Urban Fabre, ojciec Urszuli czy Skowronka, znikł.

Drzwi były strzeżone, ale okna nikt nie pilnował. Podczas gdy Javert pisał, odwiązany pan Biały skorzystał z zamieszania, wrzawy, tłoku i ciemności, i w momencie gdy nikt na niego nie zwracał uwagi, wyskoczył przez okno. Jeden z policjantów podbiegł do okna i wyjrzał. Nie było już widać nikogo, ale drabinka sznurowa jeszcze drżała.

— A niech to wszyscy diabli! — mruknął Javert przez zęby. — Ten ptaszek musiał być najlepszy!

ROZDZIAŁ XXII

Malec, który krzyczał w trzecim tomie

Nazajutrz po wypadkach, które zaszły w domu przy bulwarze Szpitalnym, jakiś chłopiec, idąc prawdopodobnie od strony mostu Austerlitzkiego, zdążył prawą, boczną aleją w kierunku roгатki Fontainebleau. Noc już panowała głęboka. Malec był blady, chudy, obdarty, miał płócienne porcięta, mimo że był luty, i wyśpiewywał na całe gardło.

Na rogu ulicy Małego Bankiera jakaś starucha zgięta w pół grzebała w kupie śmieci przy blasku latarni. Malec potrącił ją przechodząc i odskoczył z okrzykiem:

— Patrzajcie, ludzie! A ja myślałem, że to ogromny, ogromny pies.

Wymówił po raz drugi słowo „ogromny” z szyderczym naciskiem. Intonację tę najlepiej oddałyby duże litery: „ogromny, OGROMNY pies.”

Stara wyprostowała się, wściekła.

— Ty diabelski pomioście! — warknęła. — Gdybym nie była schylona, wiedziałabym, gdzie cię poczęstować kopniakiem!

Chłopiec już odbiegł dalej.

— Zyg! zyg! — zawołał. — Widzę, że się tak bardzo nie pomylił!

Stara, trzęsąc się z oburzenia, wyprostowała się i czerwone światło latarni oświetliło wyraźnie jej siną, pobrużdżoną twarz o zapadniętych policzkach, pociętą siecią tysiąca zmarszczek biegnących od oczu do kącików ust.

Cała postać ginęła w cieniu, z którego wyłaniała się tylko głowa. Rzekłbyś, maska zgrzybiałości, wykrojona przez światło z mroków nocy. Chłopiec przyjrzał się jej z uwagą.

— Typ twojej urody, o pani! — rzekł — zgoła mi nie odpowiada!

I ruszył w dalszą drogę, wyśpiewując przerwaną piosenkę:

Król Szczutek, idąc raz

Strzelać wrony bez pudła,

Na wysokie szczudła wlaź...

Zaśpiewał trzy wiersze i przerwał. Staął właśnie przed numerem 50 — 52 i zastawszy drzwi zamknięte zaczął w nie kopać ile sił. Te donośne i zawadiackie kopnięcia świadczyły raczej o tym, że nosił męskie buciory, niż o tym, że miał nogi dziecka. A tymczasem ta sama starucha, którą spotkał na ulicy Małego Bankiera, nadbiegła w ślad za nim, wrzeszcząc i wymachując rękami.

— Co się dzieje? Co się dzieje? Drzwi wyłamują? Dom rozwalają czy co, u Boga Ojca!

Kopanie nie ustawało. Starucha darła się na całe gardło:

— To to tak dzisiaj obchodzą się z budynkami! Nagle stanęła jak wryta. Poznała chłopaka.

— Co? To znów ten diabeł?!

— A, toż to nasza stara! — rzekł chłopiec. — Uszanowanie jejmości! Przeszedłem odwiedzić rodzicieli.

— Nie ma nikogo, ty durniu! — odpowiedziała stara z nieopisanym grymasem, w którym wyraz nienawiści potęgował się jeszcze dzięki zgrzybiałości i szpetocie oblicza. Niestety, ta niezwykła improwizacja mimiczna zagubiła się w ciemności.

— O! — rzekł chłopiec. — A gdzież to jest mój ojciec?

— W więzieniu La Force .

— Patrzcie państwo! A moja matka?

— U Świętego Łazarza .

— No! No! A siostry?

— U Magdalenek.

Chłopak podrapał się za uchem, spojrział na jejmość Bourgon i powiedział:

— Aha!

Po czym wykręcił się na pięcie i. po chwili stara, stojąc wciąż na progu, usłyszała, jak śpiewał dźwięcznym, dzieciennym głosem, znikając w cieniu starych wiązów, drżących na wietrze zimowym:

Nasz król Szczutek, idąc raz

Strzelać wrony bez pudła,

Na wysokie szczudła wlaź,

Nie darował nawet psu!

Kto tylko wpadł między szczudła,

Musiał mu płacić dwa su.

CZĘŚĆ CZWARTA

IDYLLA ULICY PLUMET I EPOPEA ULICY ŚW. DIONIZEGO

KSIĘGA PIERWSZA

PARĘ KART HISTORII

ROZDZIAŁ I

Dobrze skrojone

Rok 1831 i rok 1832 — dwa lata, które łączą się bezpośrednio z rewolucją lipcową, są jednym z najbardziej osobliwych i znamiennych momentów historii. Pośród lat poprzedzających je i następujących po nich — 1831 i 1832 są jak dwie góry. Mają w sobie rewolucyjną wielkość. Widać tam przepaści. Masy społeczne, same fundamenty cywilizacji, zwarty blok nawarstwiających się i mocno powiązanych interesów, wielowiekowe zręby starej formacji francuskiej — ciągle pojawiają się tu i nikną wśród burzliwych chmur systemów, namiętności i teorii. Owo pojawianie się i znikanie nazwano oporem i ruchem. Czasami błyska poprzez nie prawda — to światło ludzkiej duszy.

Ta godna uwagi epoka jest już dostatecznie zamknięta i dostatecznie od nas odległa, abyśmy mogli dziś uchwycić jej główne zarysy.

Spróbujemy.

Okres Restauracji był jedną z tych faz przejściowych, trudnych do scharakteryzowania, w których jest i znużenie, i szum, i pomruki, i senność, i wrzawa, a które oznaczają po prostu osiągnięcie pewnego etapu przez wielki naród. Dziwne te epoki wprowadzają w błąd polityków, którzy chcą je wykorzystać. Z początku naród żąda jedynie odpoczynku. Pragnie tylko jednego: pokoju, ma tylko jedną ambicję: być małym.

Czyli, innymi słowy, pragnie pozostać w spokoju. Dość już, na Boga, widziało społeczeństwo wielkich wydarzeń, wielkich wypadków, wielkich czynów, dość już widziało wielkich ludzi; ma ich powyżej uszu. Chętnie oddałoby Cezara za Prusiasza, a Napoleona za króla Yvetot. „Jaki to był z niego zacny, poczciwy

król!" Maszerowano od świtu i oto po długim, znojmym dniu nadszedł wieczór. Pierwszy etap przebyto z Mirabeau, drugi z Robespierre'em, trzeci z Bonapartem. Każdy już pada ze zmęczenia. Każdy już wzdycha do łóżka.

Czego szukają, czego domagają się, o co proszą i błagają znużone poświęcenia, postarzałe bohaterstwa, zaspokojone ambicje, zdobyte fortuny? Schronienia. Mają je. Osiągnęły pokój, wytchnienie, odpoczynek: są zadowolone. Jednakże równocześnie pewne fakty wyłaniają się, dają się poznać i kołaczą do drzwi. Te fakty, zrodzone z rewolucji i wojen, istnieją, żyją, mają prawo do zajęcia swego miejsca w społeczeństwie i miejsce to zajmują; najczęściej fakty są kwatermistrzami, przygotowującymi dopiero kwatery dla zasad i doktryn.

I cóż widzą filozofowie polityki?

Oto wtedy, gdy znużeni ludzie domagają się odpoczynku, dokonane fakty domagają się gwarancji. Gwarancje są dla faktów dokonanych tym, czym dla ludzi jest odpoczynek.

Tego żądała od Stuartów Anglia po panowaniu Protektora, tego żądała od Burbonów Francja po upadku Cesarstwa.

Te gwarancje są koniecznością epoki. Trzeba je przyznać. Władcy „udzielają ich”, ale w rzeczywistości udziela ich siła samego biegu rzeczy. Tej głębokiej prawdy, którą dobrze jest wiedzieć, nie podejrzewali Stuartowie w 1660 roku i nie dostrzegali jej Burbonowie nawet w roku 1814.

Rodzina królewska, która po upadku Napoleona wróciła do Francji, wierzyła ze zgubną naiwnością, że to ona obdarzyła społeczeństwo i że może dar swój odebrać; wierzyła, że dynastia burbońska posiada prawo boskie, a Francja nie posiada nic zgoła, że prawo polityczne, udzielone w karcie konstytucyjnej Ludwika XVIII, jest tylko gałęzią prawa boskiego, którą dom Burbonów oderwał i łaskawie ofiarował ludowi na tak długo, póki królowi nie przyjdzie ochota odebrać jej z powrotem. Jednakże, z samej przykrości, którą ten dar im sprawiał, Burbonowie powinni byli zrozumieć, że nie od nich pochodzi.

Dynastia burbońska w XIX wieku była swarliwa: krzywiła się na wszystko, co było rozkwitem narodu. Używając trywialnego określenia, czyli określenia ludowego i trafnego, miała kwaśną minę. I lud to widział.

Dlatego że Cesarstwo zostało usunięte przed ich oczyma, niby dekoracja teatralną, Burbonowie sądzą, że są silni. Nie dostrzegali, że i oni zostali wysunięci w ten sam sposób. Nie zrozumieli, że są również w mocy tej samej ręki, która usunęła Napoleona.

Sądzą, że są głęboko zakorzenieni, ponieważ byli przeszłością. Mylili się; byli

częstką przeszłości, ale całą przeszłością była Francja. Korzenie społeczności francuskiej tkwiły nie w Burbonach, lecz w narodzie. Te ukryte i żywotne korzenie nie tworzyły bynajmniej praw jednej rodziny, lecz dzieje całego narodu. Znajdowały się wszędzie, tylko nie pod tronem.

Dynastia Burbonów była dla Francji wspaniałym i krwawym węzłem jej historii, ale nie była już ani głównym czynnikiem jej przeznaczenia, ani niezbędną podstawą jej polityki. Francja mogła się obejść bez Burbonów; obywała się bez nich przez dwadzieścia dwa lata. Ciągłość została przerwana; Burbonowie nie domyślali się tego.

Bo i jakże mogliby się tego domyślać oni, którzy wyobrażali sobie, że Ludwik XVII panował 9 Termidora, a Ludwik XVIII w dniu bitwy pod Marengo? Nigdy jeszcze, od zarania dziejów, władcy nie byli tak ślepi wobec faktów i wobec części władzy boskiej, którą fakty zawierają i wyrażają. Nigdy przyziemne uroszczenia, zwane prawem królów, nie stały w takiej sprzeczności z prawem najwyższym.

Oto błąd zasadniczy, który doprowadził rodzinę Burbonów do naruszenia gwarancji „udzielonych” w 1814 roku i zwanych przez nią ustępstwami. Rzecz smutna! To, co ona nazywała ustępstwami, było naszymi zdobyczami; to, co nazywała naszym wykroczeniem, było naszym prawem.

Mniemając, iż nadeszła jej godzina, Restauracja, pewna, że rozgromiła Bonapartego i zakorzeniła się mocno w kraju, czyli przekonana o swojej sile i trwałości — powzięła nagle decyzję i zaryzykowała uderzenie. Pewnego poranka stanęła przed Francją i podniesionym głosem odmówiła praw zbiorowych i praw indywidualnych: narodowi — suwerenności, obywatelowi — wolności. Innymi słowy, zaprzeczyła narodowi praw do tego, co stanowi istotę narodu, a obywatelowi do tego, co stanowi istotę obywatela.

Oto jest istotna treść słynnych aktów, zwanych ordonansami lipcowymi.

Restauracja upadła.

I upadła słusznie. Jednakże przyznajmy to, nie była ona bezwzględnie wroga wszystkim przejawom postępu. Stała z boku, a przy niej, gdy stała obok, dokonywały się rzeczy wielkie.

W okresie Restauracji naród przyzwyczaił się do dyskusowania w spokoju, czego brakło republice, i do wielkości w czasie pokoju, czego brakło Cesarstwu. Wolna i silna Francja była zachęcającym przykładem dla innych krajów Europy.

Za Robespierre'a doszła do głosu rewolucja; za Napoleona doszły do głosu armaty; za Ludwika XVIII i Karola X przyszła kolej na głos rozumu. Wiatr ucichł,

pochodnia zapłonęła na nowo. Na pogodnych szczytach zadrgało czyste światło ducha. Widok to wspaniały, użyteczny i uroczy. Przez piętnaście lat, wśród niezmaconego spokoju, widziało się na forum publicznym pracę wielkich idei, tak odwiecznych dla myślicieli, tak nowych dla mężów stanu: równość wobec prawa, wolność sumienia, wolność słowa, wolność prasy, dostęp do wszystkich urzędów dla wszystkich uzdolnień. Trwało to do 1830 roku. Burbonowie byli narzędziem cywilizacji, które złamało się w rękach Opatrzności.

Upadek Burbonów był pełen wielkości; nie z ich strony wszakże, lecz ze strony narodu. Oni opuścili tron z powagą, ale bez autorytetu, ich zstąpienie w ciemność nie było majestatycznym odejściem, które pozostawia po sobie pewne wzruszenie w historii; nie był to ani widmowy spokój Karola I, ani orli krzyk Napoleona. Odeszli, to wszystko. Złożyli koronę i nie zachowali aureoli. Mieli godność, ale nie mieli dostojęstwa. W pewnej mierze uchybili majestatowi swego nieszczęścia. Karol X, każąc podczas podróży do Cherbourga obcibsać okrągły stół na kwadratowy, bardziej chyba troszczył się o zachowanie etykiety niż o walącą się monarchię. To pomniejszenie zasmuciło ludzi oddanych, którzy kochali ich osoby, i ludzi poważnych, którzy szanowali ich ród. A lud zachował się wspaniale. Naród, zaatakowany zbrojnie pewnego ranka przez swego rodzaju królewskie powstanie, czuł w sobie tyle siły, że nie okazał cienia gniewu. Obronił się, opanował, przywrócił rzeczy na właściwe miejsca, to znaczy rząd oparł na prawie, a Burbonów zesłał na wygnanie i, niestety, zatrzymał się.

Wyprowadził starego króla Karola X spod baldachimu, który chronił niegdyś Ludwika XIV, i postawił go ostrożnie na ziemi. Osoby królewskie potraktował ze smutkiem i z pieczołowitością. Nie jeden człowiek, nie paru ludzi, lecz Francja, cała Francja, Francja zwycięska i upojona swym zwycięstwem, zdawała się pamiętać i stosowała na oczach całego świata to głębokie zdanie Wilhelma du Vair, wypowiedziane po dniu walki na barykadach: „Łacno jest tym, co zwykli korzystać z łask możnych ludzi i jak ptaszę z gałązki na gałązkę przeskakiwać ze stanu upadku do stanu kwitnącej fortuny — łacno jest tym okazywać zuchwalstwo wobec władcy, dotkniętego przeciwnością losu. Wszelako mnie zawsze będzie leżał na sercu los moich królów, szczególnie zaś, gdy popadną w niedolę.”

Odejściu Burbonów towarzyszył szacunek, ale nie żal. Powiedzieliśmy już, że nie dorośli do swego nieszczęścia. Znikli z widnokręgu.

Rewolucja lipcowa natychmiast zyskała sobie w całym świecie przyjaciół i wrogów. Zależnie od swojej natury, jedni pospieszyli do niej z entuzjazmem i radością, inni odwrócili się. Sowy tej jutrzeńki — władcy Europy w pierwszej chwili zamknęli oczy dotknięci i zdumieni, a otworzyli je, by grozić. Zrozumiałe przerażenie, wytłumaczony gniew. Ta dziwna rewolucja była zaledwie

wstrząsem; nie uczyniła nawet tego zaszczytu pokonanej monarchii, by ją traktować jak wroga; nie dopuściła do rozlewu królewskiej krwi. W oczach rządów despotycznych, w których interesie leży zawsze, by wolność sarna się zożyła, rewolucja lipcowa zawiniła tym, że była straszna, pozostając łagodna.

Zresztą, nie . próbowano przeciw niej żadnych zamachów ani machinacji. Ludzie najbardziej niezadowoleni, gniewni i zatrwożeni chylili przed nią czoło. Niezależnie od naszych samolubnych chęci i naszych uraz, jakiś tajemniczy szacunek budzą wydarzenia, w których czuje się współdziałanie kogoś, czyj wysiłek sięga wyżej niż siła człowieka.

Rewolucja lipcowa to triumf prawa obalającego fakt. Rzecz to wspaniała.

Prawo obalające fakt. Stąd wynika blask rewolucji 1830 roku, stąd również wynika jej łagodność. Triumfujące prawo nie potrzebuje posługiwać się gwałtem.

Prawo — to słuszność i prawda.

Właściwością prawa jest wiekuiste piękno i nieskalaną czystość. Fakt zaś, nawet na pozór najkonieczniej szy i najzyczliwiej przyjęty przez współczesnych, jeśli istnieje tylko jako fakt i zawiera w sobie zbyt mało prawa albo nie zawiera go wcale, jest nieuchronnie skazany na to, by z czasem się wypaczyć, stać się nieludzkim, może nawet potwornym. Jeśli kto chce się przekonać od razu, do jakiej szpetoty może dojść fakt widziany z odległości wieków, niech spojrzy na Makiawela. Makiawel nie jest ani geniuszem zła, ani szatanem, ani podłym, niegodnym pisarzem. Makiawel jest po prostu faktem. I to faktem nie tylko włoskim, ale faktem europejskim, faktem szesnastego wieku. Wydaje się ohydny i jest taki, ale w świetle pojęć moralnych wieku dziewiętnastego.

Walka prawa i faktu trwa od początków istnienia społeczeństw. Zakończenie tego pojedynku, wcielenie czystej idei w rzeczywistość człowieczą, wzajemne oddziaływanie pokojowe prawa na fakt i faktu na prawo — oto praca i zadanie mędrców.

ROZDZIAŁ II

Źle zszyte

Ale inna jest praca mędrców, a inna praca ludzi zręcznych.

Rewolucja 1830 roku prędko się zatrzymała.

Gdy rewolucja osiada na mieliźnie, ludzie zręcznie rozbierają okręt na kawałki.

Za naszych czasów ludzie zręcznie sami nadali sobie miano mężów stanu; przyjęło się to do tego stopnia, że określenie mąż stanu stało się niemal wyrażeniem gwarowym. A nie należy zapominać, że tam, gdzie jest tylko zręczność, musi być nieuchronnie miernota. Mówiąc: „ludzie zręczni”, mówi się: „ludzie mierni”.

Podobnie jak mówiąc: „mężowie stanu”, mówi się niekiedy: „zdrajcy”.

Jeśli więc mamy dać wiarę ludziom zręcznym, takie rewolucje jak rewolucja lipcowa to przecięte żyły; trzeba je co rychlej podwiązać. Prawo, głoszone śmiało, wywołuje wstrząsy. Przeto gdy prawo zostało wreszcie umocnione, trzeba wzmocnić państwo. Po zapewnieniu wolności, trzeba pomyśleć o władzy.

Do tej pory ludzie mądrzy idą jeszcze zgodnie z ludźmi zręcznymi, ale zaczynają im nie dowierzać. Władza, zgoda. Ale, po pierwsze: co to jest władza? Po drugie: skąd pochodzi?

Ludzie zręczni, tak jakby nie słyszeli szeptanych zastrzeżeń, manewrują nadal.

Według tych polityków, którzy w niezwykle pomysłowy sposób umieją wygodne dla siebie fikcje ubierać w maskę konieczności, pierwszą po rewolucji potrzebą narodu, gdy naród ten stanowi część kontynentu monarchicznego, jest wyszukanie sobie dynastii.

W ten sposób — powiadają — naród może mieć po rewolucji zapewniony pokój, to znaczy czas konieczny do opatrzenia ran i odbudowania domu. Dynastia zaśłania rusztowania i szpitale.

Nie zawsze jednak łatwo jest wynaleźć sobie dynastię.

Na upartego można zrobić króla z pierwszego geniusza lub nawet z pierwszego szczęściarza, który się nadarzy. W. pierwszym wypadku macie Napoleona, w drugim Iturbide'a .

Lecz by stworzyć dynastię, nie wystarczy pierwsza lepsza rodzina. Niezbędna jest w tym wypadku pewna starożytność rodu, a zmarszczek stuleci nie można zaimprovizować...

Jeśli przyjmujemy punkt widzenia *mążów stanu* — ze wszelkimi zastrzeżeniami oczywiście — jakież właściwości powinien mieć król, który wyłonił się z rewolucji? Może on być — i dobrze, jeśli jest — rewolucjonistą, to znaczy dobrze, jeśli brał w rewolucji udział osobisty, przyłożył do niej rękę, skompromitował się w niej lub wstawił, otarł się o jej topór lub walczył szpadą..."

Jakie właściwości ma posiadać dynastia? Powinna być narodowa, czyli pośrednio rewolucyjna, nie dzięki spełnionym czynom, lecz dzięki przyjętym ideom. Powinna składać się z przeszłości i być historyczna, składać się z przyszłości i być popularna.

To tłumaczy, dlaczego pierwsze rewolucje poprzestawały na znalezieniu człowieka, na przykład Cromwella czy Napoleona; a dlaczego następne chciały koniecznie znaleźć dynastię — dom Brunszwicki czy dom Orleański.

Domy królewskie podobne są do owych figowców indyjskich, których każda gałąź, schylając się aż do ziemi, zapuszcza w niej korzenie i sama staje się drzewem. Każda gałąź może stać się dynastią. Pod jedynym warunkiem, że schyli się aż do ludu.

Taka jest teoria ludzi zręcznych.

Oto największa sztuka: wydobyć ze zwycięstwa lekki ton katastrofy, aby ci, którym ono służy, bali się go zarazem, zaprawić lękiem krok postawiony naprzód; przedłużyć w łuk linię stanowiącą przejście, tak by zwolniony został postęp; przyćmić blask jutrzeńki, stępić i przytłumić wybuchy entuzjazmu, ociosać ostre kanty i obciąć pazury, przygłuszyć wata zwycięskie fanfary, opatulić prawa, owinać flanelą i czym prędzej ułożyć do łóżka lud — tego olbrzyma, narzucić dietę jego zbyt bujnemu zdrowiu, traktować tego Herkulesa jak rekonwalescenta, rozmienić wielkie wydarzenie na drobne wybiegi, umysłem spragnionym ideału dać ten nektar, ale rozcieńczony ziótkami, zabezpieczyć się przed zbyt pełnym sukcesem, nałożyć na rewolucję abażur.

Rok 1830 zastosował tę teorię, wypróbowaną już w Anglii w roku 1668.

Rewolucja 1830 roku zatrzymała się w połowie drogi. Połowiczny postęp: niby-prawo. Ale logika nie uznaje pojęcia „mniej więcej”, podobnie jak słońce nie uznaje świecy.

Kto zatrzymuje rewolucje w połowie drogi? Burżuazja.

Dlaczego?

Dlatego że burżuazja to interes, który się udał. Wczoraj było pragnienie, dziś jest zaspokojenie, jutro będzie sytość.

Zjawisko z roku 1814 po upadku Napoleona powtórzyło się w roku 1830 po upadku Karola X.

Chciano — niesłusznie — zrobić z burżuazji klasę. Burżuazja to po prostu zaspokojony odłam narodu. Burżuj to człowiek, który ma teraz czas usiąść. Krzesło nie jest kastą.

Ale chcąc zbyt wcześnie usiąść, można powstrzymać sam pochod rodzaju ludzkiego. To było częstym błędem burżuazji.

Nie wystarczy popełnić błąd, aby utworzyć klasę społeczną. Egoizm nie jest jedną z kategorii ładu społecznego.

A zresztą należy być sprawiedliwym nawet w stosunku do egoizmu; stan, do którego dążyła po wstrząsach 1830 roku część narodu, zwana burżuazją, nie był bezwładem, na który składa się obojętność, lenistwo i który zawiera w sobie odrobinę wstydu; nie było to też uspienie, a więc chwilowe zapomnienie dostępne dla marzenia; był to postój.

Słowo „postój” mieści w sobie sens podwójny, prawie sprzeczny: to oddział w marszu, czyli ruch; i zatrzymanie się — czyli spoczynek.

Postój to odzyskiwanie sił; to odpoczynek czujny, z bronią w rękę; to fakt dokonany, który rozstawia strażę i ma się na baczności. Postój zakłada bitwę wczorajszą i bitwę jutrzejszą.

To łącznik między rokiem 1830 a rokiem 1848.

To, co określiliśmy tu słowem „bitwa”, można także określić słowem „postęp”.

Potrzebny był więc, zarówno burżuazji, jak i mężom stanu, człowiek, który by stał się wyrazicielem słowa „postój”. Jakiś „Chociaż Dlatego”. Indywidualność złożona, oznaczająca i rewolucję, i stałość, innymi słowy, utrwalająca teraźniejszość przez oczywiste pogodzenie przeszłości i przyszłości.

Znalazł się taki człowiek. Nazywał się Ludwik Filip Orleański. „221” zrobiło Ludwika Filipa królem. Lafayette podjął się koronacji. Nazwał go „najlepszą z republik”. Ratusz paryski zastąpił katedrę w Reims.

Owo zastąpienie całego tronu półtronem było „dziełem 1830 roku”.

Gdy ludzie zręczni dokończyli swego dzieła, wystąpiła na jaw olbrzymia wada tego rozwiązania. Wszystko to zostało zrobione z pominięciem prawa absolutnego. Prawo absolutne zawołało: „Protestuję!”, po czym — rzecz groźna — usunęło się w cień.

ROZDZIAŁ III

Ludwik Filip

Rewolucje mają groźne ramię i szczęśliwą rękę: mocno uderzają, a dobrze wybierają. Nawet niepełnym, nawet skarłałym i zwyrodniałym, nawet sprowadzonym do rządu rewolucji drugiego rzędu, jak rewolucja 1830, pozostaje im zawsze dość opatrnościowej jasności sądu, by nie skończyć źle. Zmierzch ich nie jest nigdy abdykacją.

Nie chwalmy się jednak zbyt głośno! Rewolucje również błędzą, znamy bardzo poważne ich pomyłki.

Powróćmy do roku 1830. Zboczywszy z drogi — rok 1830 miał szczęście. W ustroju, który nazywał się porządkiem po zahamowanej rewolucji, król więcej był wart od monarchii. Ludwik Filip był człowiekiem wyjątkowym.

Syn ojca, dla którego historia znajdzie zapewne okoliczności łagodzące, był jednak równie godny szacunku, jak ojciec godny był potępienia, miał wszelkie zalety osobiste i niektóre cnoty publiczne; dbał o swoje zdrowie, majątek, osobę i interesy; znał wartość jednej minuty, lecz nie zawsze wartość całego roku; powściągliwy, pogodny, spokojny i cierpliwy, dobroduszny człowiek i łaskawy monarcha; sypiał zawsze z żoną i miał w pałacu lokajów, których zadaniem było pokazywać mieszczanom małżeńskie łóżce; ta ostentacja legalnego pożycia była *użyteczna* po głośnych nieprawych związkach starszej linii Burbonów; mówił wszystkimi językami europejskimi i, co rzadsze, językiem właściwym każdej sprawie; będąc doskonałym przedstawicielem „klasy średniej”, przerastał ją jednak i pod każdym względem nad nią górował; ceniąc swoje pochodzenie, był tak mądry, że cenił przede wszystkim swoją wartość wewnętrzną, a co do swego rodu, wyraźnie rozgraniczając, uważał się za Orleańczyka, a nie za Burbona; gdy był tylko „jego wysokością”, zachowywał się jak udzielny książę, gdy stał się „jego królewską mością”, zachowywał się jak zwykły mieszczanin. Był rozwlekły w wystąpieniach publicznych, a zwięzły w życiu prywatnym; podobno skąpy, choć na to brak dowodów; w gruncie rzeczy człowiek oszczędny, lecz łatwo rozrzutny, gdy szło o dogodzenie fantazji lub wypełnienie powinności; wykształcony, lecz mało wrażliwy na literaturę; szlachcic, ale nie rycerz; prosty, spokojny i silny, uwielbiany przez rodzinę i domowników, czarujący w rozmowie. Był mężem stanu pozbawionym złudzeń, wewnętrźnie chłodnym, pochłoniętym zawsze bezpośrednim interesem, działającym na krótką metę, niezdolnym zarówno do żywienia urazy, jak i wdzięczności. Bez skrupułów wykorzystywał wyższość przeciw miernocie i przy pomocy większości parlamentarnej umiejętnie obalał rację owej tajemniczej

jednomyślności, która głucho warczy pod tronami; wylewny, czasem nieostrożny w swej wylewności, lecz zawsze niezwykle zręczny w tej nieostrożności. Płodny w wybiegi, oblicza, maski—straszył Europę Francją, a Francję Europą. Kochał swój kraj niezaprzeczenie, lecz przedkładał ponad niego swoją rodzinę. Wyżej cenił przewagę niż autorytet, a autorytet niż godność; skłonność to o tyle zgubna, że sprowadzając wszystko do powodzenia, dopuszcza w postępowaniu podstęp i nie wyklucza podłości, lecz o tyle korzystna, że, politykę chroni od gwałtownych wstrząsów, państwo od rozłamów, a społeczeństwo od katastrof.

Był drobiazgowy, poprawny, czujny, uważny, przenikliwy i niezmordowany, Czasem sam sobie przeczył; w Ankonie zuchwały wobec Austrii, w Hiszpanii uparty wobec Anglii, bombardował Antwerpię i płacił Pritchardowi ; z przekonaniem śpiewał *Marsyliankę*. Me znał przygnębienia, znużenia, ideałów i poczucia piękna, nierozważnej wspaniałomyślności, utopii, chimer, gniewu, próżności i strachu, posiadał odwagę osobistą w każdej jej postaci, był generałem pod "Valmy , a prostym żołnierzem pod Jemmapes . Ośmiokrotnie zagrożony przez królobójców — i zawsze uśmiechnięty; dzielny jak grenadier, odważny jak myśliciel; niespokojny tylko wobec możliwości wstrząsu europejskiego i niezdolny do wielkich przedsięwzięć politycznych. Zawsze gotów był postawić na kartę życie, nigdy — dzieło. Wpływał raczej, niż nakazywał, tak aby go raczej słuchano, jako człowieka rozumnego, a nie jako króla. Miał zmysł spostrzegawczości, lecz nie odgadywania. Mało uwagi zwracał na umysł, ale znał się na ludziach, to znaczy, że nim wydał sąd o kimkolwiek, musiał go zobaczyć. Miał bystry i przenikliwy zdrowy rozsądek, praktyczną mądrość, łatwą wymowę i niezwykłą pamięć; czerpał nieustannie z tej pamięci, jedynej właściwości, która upodabniała go do Cezara, Aleksandra i Napoleona; znał fakty, szczegóły, daty i nazwiska; nie wiedział nic o dążeniach, namiętnościach, zdolnościach tłumu, o wewnętrznych tęsknotach, o ukrytych, tajemnych porywach dusz, słowem, o tym wszystkim, co można by nazwać niewidzialnymi nurtami sumień; przyjęty przez warstwę wierzchnią, ale niepojednany z tym, co jest glebą Francji, dawał sobie radę dzięki przebiegłości. Za wiele rządził, a za mało panował; sam był swym własnym premierem. Celował w stwarzaniu z drobiazgów rzeczywistości przeszkód dla ogromu idei.

Prawdziwe twórcze zdolności w kierowaniu rozwojem cywilizacji, ładem i organizacją łączył z jakimś zmysłem formalizmu i kruczków prawnych; założyciel i prokurator dynastii, miał w sobie coś z Karola Wielkiego i coś z adwokata. Słowem, postać niezwykła i ciekawa, władca, który potrafił stworzyć władzę mimo niepokoju Francji i potęgę mimo zawiści Europy, Ludwik Filip będzie zaliczony w poczet wybitnych ludzi swego wieku, a byłby zaliczony do najznakomitszych władców w historii, gdyby choć trochę kochał sławę, a

poczucie wielkości posiadał w tym samym stopniu jak poczucie tego, co użyteczne.

Ludwik Filip był za młodu piękny, a na starość pozostał czarujący; nie zawsze mile przyjmowany przez naród, lecz zawsze przez tłumy. Podobał się; posiadał ten dar — urok osobisty. Brak mu było majestatu; nie nosił korony, chociaż był królem, nie miał siwych włosów, chociaż był starcem. Maniery miał staroświeckie, obyczaje nowoczesne, połączenie szlachectwa z mieszczaństwem, które pasowało do 1830 roku. Ludwik Filip to epoka przejściowa na tronie. Zachował dawną wymowę i dawną pisownię, lecz posługiwał się nimi, by wyrażać nowe poglądy; kochał Polskę i Węgry, ale pisał „les polonais”, a wymawiał „les hongrais”. Nosił mundur gwardii narodowej, jak Karol X, i wstęgę legii honorowej, jak Napoleon.

Rzadko chodził do kościoła, wcale nie polował, w Operze nie bywał nigdy. Nie zaprzedał się ani zakrystianom, ani psiarczykom, ani baletniczkom, co przyczyniało się do jego mieszczańskiej popularności. Nie utrzymywał dworu. Wychodził z domu z parasolem pod pachą i przez długi czas ten parasol stanowił część jego aureoli. Był po trosze murarzem, po trosze ogrodnikiem i po trosze lekarzem; raz puścił krew pocztynionowi, który spadł z konia. Ludwik Filip nie rozstawał się z lancetem, tak jak Henryk III z puginałem.

Rojaliści szydzili z tego śmiesznego króla, pierwszego, który rozlewał krew po to, żeby uzdrawiać.

W zarzutach stawianych Ludwikowi Filipowi przez historię należy poczynić pewne rozgraniczenie: jedne z nich obciążają bowiem monarchię, inne rządy, jeszcze inne osobę króla; są to trzy odrębne rachunki, dające różne wyniki. Zniesienie praw demokratycznych, odsunięcie zagadnienia postępu na drugi plan, tłumienie przemocą manifestacji publicznych, zbrojne zwalczanie powstania, krwawe dławienie rozruchów, ulica Transnonain, sądy wojenne, zastąpienie rzeczywistego oblicza narodu — obliczem legalnym, rząd dzielący się zyskami z trzystu tysiącami uprzywilejowanych obywateli obciążają rachunek monarchii. Odrzucenie Belgii, zbyt brutalny podbój Algeru, opanowanie podobnie jak Indie przez Anglię, z przewagą barbarzyństwa nad cywilizacją, złamanie słowa danego Abd-el-Kaderowi, Blaye, przekupienie Deutza, opłacenie Pritcharda obciążają rachunek rządów. Polityka bardziej rodzinna niż narodowa obciąża rachunek króla.

Jak widzimy, po dokonaniu tego . rozgraniczenia, obciążenie króla się zmniejsza.

Ludwik Filip był skromny w imieniu Francji: oto jego wielki błąd.

Skąd pochodzi ten błąd?

Zaraz powiemy.

Ludwik. Filip to król, który był zanadto ojcem. Inkubacja rodziny, z której ma wyrosnąć dynastia, lęka się wszystkiego i nie chce być niepokojona, stąd przesadna ostrożność, nieznośna dla narodu, który ma w swych tradycjach obywatelskich dzień 14 lipca, a w swych tradycjach wojskowych — Austerlitz.

Zresztą, abstrahując od obowiązków publicznych, które powinny być spełniane w pierwszym rządzie, rodzina Ludwika Filipa zasługiwała na to głębokie uczucie, jakim ją obdarzał. To grono rodzinne było godne uwielbienia. Tutaj cnoty rywalizowały z talentami. Jedna z córek Ludwika Filipa, Maria Orleańska, zapisała imię swego rodu wśród artystów, tak jak Karol Orleański zapisał je wśród poetów. Jej dziełem, dziełem jej duszy — jest marmurowy posąg, który nazwała Joanną D'Arc. O dwóch synach Ludwika Filipa wyrwała się Metternichowi demagogiczna pochwała: „Takich młodzieńców spotyka się rzadko, takich książąt — nie spotyka się wcale.”

Taka jest — bez niedomówień i przesady — prawda o Ludwiku Filipie.

Być księciem Egalite, nosić w sobie sprzeczność Restauracji i rewolucji; mieć niepokojące cechy rewolucjonisty, które u człowieka rządzącego wzbudzają ufność — to był szczęśliwy los Ludwika Filipa w 1830 roku. Nigdy jeszcze nie widziano tak całkowitego dostosowania się człowieka do wydarzenia; wydarzenie zespoliło się z człowiekiem — i tak dokonało się wcielenie. Ludwik Filip — to rok 1830, który przybrał ludzką postać. Ponadto miał on jeszcze jeden ważny tytuł do tronu — wygnanie. Był niegdyś banitą, ubogim tułaczem. Żył z własnej pracy. W Szwajcarii ten spadkobierca największej fortuny, księżęcej we Francji — sprzedał starego konia, by mieć co do ust włożyć. W Reichenau dawał lekcje matematyki, a siostra jego Adelajda trudniła się haftem i szyciem. Takie wspomnienia o osobie królewskiej wprowadzały burżuazję w zachwyt. Ludwik Filip własnoręcznie zniszczył ostatnią klatkę żelazną w Mont-Saint-Michel, zbudowaną przez Ludwika XI, a używaną przez Ludwika XV. Był towarzyszem Dumourieza, druhem Lafayette'a; należał do klubu Jakobinów; Mirabeau klepał go po ramieniu, Danton mówił doń: „młodzieńcze!”

Mając dwadzieścia cztery lata, w 93 roku, jako pan de Chartre, z głębi ciemnej łoży w sali Konwentu, asystował przy procesie Ludwika XVI, tak trafnie nazwanego „biednym tyranem”. Patrzył na ślepe jasnowidztwo rewolucji, która — łamiąc monarchię w osobie króla i króla razem z monarchią — nie dostrzegała prawie człowieka w straszliwymniszczeniu idei, patrzył na groźną burzę rozpraw trybunału, na gniew narodu przesłuchujący oskarżonego, na Kapeta nie znajdującego odpowiedzi; patrzył na przerażające chwianie się

zdumionej głowy królewskiej pod tym posepnym tchnieniem, na względną niewinność wszystkich uczestników tych katastrofalnych wydarzeń — zarówno skazujących, jak i skazańca. Ludwik Filip patrzył na to wszystko, oglądał te zawrotne sceny. Widział, jak wieki stają przed kratkami trybunału Konwentu; widział, jak za plecami Ludwika XVI, nieszczęsnego przechodnia odpowiedzialnego za wszystko, wyłania się z ciemności straszliwy oskarżony. — monarchia. I pozostał mu w duszy trwożny szacunek dla potężnej sprawiedliwości ludu, niemal równie bezosobowej jak sprawiedliwość boża.

Rewolucja pozostawiła w nim niezwykle głęboki ślad. Pamięć jego była jakby żywym odbiciem tych wielkich lat, minuta po minucie. Pewnego dnia, wobec świadka jak najbardziej zasługującego na wiarę, sprostował z pamięci całą literę „A” listy alfabetycznej członków Konstytuanty.

Ludwik Filip był królem rządzącym w pełnym świetle. Za jego czasów panowała wolność prasy, wolność przemówień, wolność sumienia i słowa. Ustawy wrześniowe nie są szczelne. Wiedząc, jak światło podważa przywileje, Ludwik Filip wystawił jednak swój tron na działanie światła. Ta lojalność będzie mu policzona w historii.

Jak każda postać historyczna, która zeszła ze sceny, Ludwik Filip został dziś oddany pod sąd sumienia ludzkości. Proces jego toczy się dopiero w pierwszej instancji.

Nie wybiła jeszcze dlań godzina, w której historia przemówi głosem dostojnym i wolnym; nie nadeszła jeszcze chwila, by o tym królu wydać sąd nieodwołalny. Nawet surowy i słynny historyk, Ludwik Blanc, sam niedawno złagodził swój pierwszy werdykt. Ludwik Filip został wybrany przez te dwie niepełne rzeczy, zwane „221” i 1830, to znaczy przez półparlament i półrewolucję, i w każdym wypadku, z nadrzędnego punktu widzenia, na jakim powinna stać filozofia, moglibyśmy sądzić go tutaj, jak to już można było dostrzec poprzednio, tylko z pewnymi zastrzeżeniami, poczynionymi w imię najwyższej zasady demokracji; w oczach tej zasady bezprawiem jest wszystko poza dwoma prawami: przede wszystkim prawem człowieka, następnie prawem narodu; ale — poczyniwszy te zastrzeżenia — możemy już teraz powiedzieć, że ogólnie rzecz biorąc i osądzając go z jakiegokolwiek bądź stanowiska, Ludwik Filip jako człowiek, z punktu widzenia dobroci ludzkiej, pozostanie — że posłużymy się tu staroświeckim, historycznym stylem — jednym z najzacniejszych monarchów, jacy kiedykolwiek zasiadali na tronie.

Co przemawia przeciw Ludwikowi Filipowi? Ten tron. Odejmiemy Ludwikowi Filipowi koronę, a zostanie człowiek. Dobry człowiek. Czasem nawet godny uwielbienia dla swej dobroci. Częstokroć wśród najcięższych trosk, po dniu pełnym walk z dyplomacją całej Europy, wracał wieczorem do swych

apartamentów i cóż tam robił upadający ze zmęczenia, senny? Brał plik dokumentów i spędzał całą noc na badaniu akt jakiegoś procesu karnego, uważając, że ważną rzeczą jest stawiać czoło Europie, ale jeszcze ważniejszą ocalić człowieka z rąk kata; sprzeciwiał się uparcie swemu ministrowi sprawiedliwości; pięć po pięci walczył o zmniejszenie zasięgu gilotyny z prokuratorami królewskimi, tymi — jak mówił — „gadulami prawa”.

Czasami stosy akt zalegały jego stół, wszystkie badał; udrękę sprawiała mu myśl, że można pozostawić swojemu losowi te nieszczęsne skazane głowy. Pewnego razu rzekł do owego świadka, na którego już powoływaliśmy się przed chwilą: „Tej nocy wywalczyłem siedmiu.” W pierwszych latach jego panowania kara śmierci została jak gdyby zniesiona, a wzniesienie na nowo szafotu było gwałtem zadany królowi. Wraz ze starszą linią Burbanów zniknął plac Greve — burżuazyjny plac Greve został stworzony pod nazwą Rogatek Sw. Jakuba. „Ludzie praktyczni” odczuli potrzebę wprowadzenia guasi-legalnej gilotyny; było to jednym ze zwycięstw Kazimierza Perier, który reprezentował ciasne poglądy burżuazji, nad Ludwikiem Filipem, który reprezentował jej poglądy liberalne. Ludwik Filip poczynił odręcznie uwagi na traktacie Beccarii. Po maszynie piekielnej Fieschiego zawołał: „Jaka szkoda, że nie zostałem ranny! Mógłbym skorzystać z prawa łaski.” Innym razem, robiąc aluzję do oporu swych ministrów, tak napisał w sprawie pewnego przestępcy politycznego, jednej z najszlachetniejszych postaci naszej epoki: „Ułaskawiłem go, pozostaje mi tylko uzyskać to ułaskawienie.”

Ludwik Filip był łagodny jak Ludwik IX i dobry jak Henryk IV.

Dla nas zaś w historii, gdzie dobroć jest rzadkim klejnotem, człowiek dobry ma chyba pierwszeństwo przed człowiekiem wielkim.

Toteż, gdy jedni oceniają Ludwika Filipa surowo, a inni być może nielitościwie, rzecz to całkiem naturalna, że człowiek, który sam jest już tylko cieniem, a który znał tego króla, będzie o nim świadczył wobec historii. Jakikolwiek byłoby owo zeznanie, jest ponad wszelką wątpliwość i przede wszystkim bezinteresowne. Epitafium napisane przez zmarłego jest szczere; cień może pocieszać drugi cień; przebywanie w tych samych ciemnościach daje prawo do pochwał; nie trzeba się chyba obawiać, że ktoś powie o dwóch grobach na obcej ziemi: „Ten oto grób pochlebiał tamtemu.”

ROZDZIAŁ IV

Rysy na fundamentach

Dramat, który tu opowiadamy, zagłębi się niebawem w tragiczne chmury, okrywające początki panowania Ludwika Filipa, należy więc strzec się dwuznaczności i dlatego koniecznym jest, aby ta książka wypowiedziała swe zdanie o królu.

Ludwik Filip objął władzę królewską bez. uciekania się do przemocy, nie działając bezpośrednio, wyniesiony przez wir rewolucyjny, oczywiście bardzo różniący się od rzeczywistego celu rewolucji, w którym jednak on — księżę orleański — nie przejawiał żadnej inicjatywy osobistej. Urodził się księciem i sądził, że wybrano go królem. Nie nadał sobie sam tego mandatu; nie wziął go; ofiarowano mu go i on go przyjął, przekonany — niesłusznie, ale szczerze — że to powołanie na tron jest zgodne z prawem, a przyjęcie tego tronu — zgodne z obowiązkiem. Objął tedy władzę w dobrej wierze. Otóż, mówimy to z całym przekonaniem, skoro Ludwik Filip objął tron w dobrej wierze, a rewolucja zwalczała go w dobrej wierze — to ogrom zgrozy, zrodzonej z walk społecznych, nie obciąża tu ani króla, ani demokracji. Zmagania doktryn podobne są do zmagania żywiołów.

Ocean broni wody, huragan broni powietrza; król broni monarchii, demokracja broni ludu; wartość względna, którą wyraża monarcha, opiera się wartości bezwzględnej — republice. Społeczeństwo broczy krwią w tej walce, ale to, co dziś jest jego nieszczęściem, jutro stanie się jego zbawieniem. I w żadnym wypadku nie wolno potępiać tych, którzy walczą; jedna ze stron musi być w błędzie, to pewne. Prawo nie stoi — jak kolos Rodyjski — na dwóch brzegach jednocześnie: jedną nogą w republice, drugą w monarchii; jest niepodzielne i stoi całe po jednej stronie. Ale ci, którzy się mylą, mylą się szczerze. Ślepiec tak samo nie jest winowajcą, jak Wandejczyk — zbójem. Zatem losowi trzeba przypisać te groźne starcia. W tych nawałnicach, bez względu na ich naturę, nie ma odpowiedzialności ludzkiej.

Kończmy te rozważania.

Rząd z 1830 roku miał od początku trudne życie. Wczoraj zrodzony — dziś musiał już walczyć.

Zaledwie objął władzę, już czuł zewsząd niejasny napór na owo dzieło lipcowe, tak niedawno wzniesione i tak jeszcze kruche.

Opór narodził się nazajutrz, a może nawet zrodził się w przeddzień.

Wrogość wzrastała z miesiąca na miesiąc i z ukrytej stała się jawna.

Rewolucja lipcowa nienajlepiej przyjęta poza granicami Francji przez monarchów — jak już mówiliśmy — w samej Francji była rozmaicie oceniana.

Bóg w wydarzeniach objawia ludziom swą wolę; niejasny to tekst, pisany w tajemniczej mowie. Ludzie tłumaczą go natychmiast; tłumaczenia pospieszne, niedokładne, pełne błędów, przeoczeń i niezrozumienia! Niewiele umysłów pojmuje mowę bożą. Najdociekliwsze, najspokojniejsze i najgłębsze odczytują ją powoli, a kiedy przychodzą z przetłumaczonym już tekstem, okazuje się, że praca ta dawno została zrobiona: już dwadzieścia tłumaczeń krąży na forum publicznym.

Z każdego tłumaczenia rodzi się stronnictwo, z każdego niezrozumienia rodzi się frakcja i każde stronnictwo mniema, że ono właśnie posiada jedynie prawdziwy tekst, i każda frakcja mniema, że ona właśnie posiada prawdę.

Często sama władza jest frakcją.

W każdej rewolucji są tacy, którzy płyną przeciw prądowi; są to stare stronnictwa.

Zdaniem tych stronnictw, opierających się na prawie dziedziczenia z łaski Boga, skoro rewolucje wywodzą się z prawa buntu, człowiek ma prawo do buntu także przeciwko nim. To fałsz. W rewolucjach bowiem buntuje się nie lud, ale król. Rewolucja jest właśnie przeciwstawieniem buntu. Każda rewolucja, będąc normalnym-skutkiem, jest legalna sama przez się. Czasem fałszywa rewolucjoniści przynoszą ujmę tej legalności, ale trwa ona, nawet skalana, i żyje, nawet zboczona krwią. Rewolucje rodzą się nie z przypadku, ale z konieczności. To powrót od stanu sztuczności do stanu rzeczywistości. Rewolucja istnieje, ponieważ istnieć powinna.

Niemniej jednak stare stronnictwa legitymistyczne nacierały na rewolucję z roku 1830 z całą gwałtownością, jaka wynika z fałszywego rozumowania. Błędy to świetne pociski. Trafiały umiejętnie w jej słabe strony: w jej bezbronność, w jej brak logiki; atakowały w tej rewolucji — monarchię. Po co ten król, rewolucjo?! — wołały. Frakcje to ślepcy, którzy celnie strzelają.

To samo wołali republikanie. Ale w ich ustach ten okrzyk był logiczny. Co u legitymistów było ślepotą, u demokratów było dalekowzrocznością. Rok 1830 to bankructwo kosztem ludu. Oburzona demokracja to właśnie mu zarzucała.

Atakowany przez przeszłość, atakowany przez przyszłość, ustrój lipcowy bronił

się, jak mógł. Był chwilką osaczoną przez wieki monarchii z jednej strony, a prawo wieczne z drugiej.

Ponadto, na zewnątrz, nie będąc już rewolucją, a stając się monarchią, musiał dotrzymać kroku Europie. I — co ostatecznie wikało sytuację — musiał utrzymać pokój. Zgoda, utrzymana na przekór wszystkiemu, częstokroć jest bardziej uciążliwa niż wojna. Z tego głuchego konfliktu stale trzymanego w karchach, lecz zawsze pomrukującego, zrodził się pokój zbrojny, ten rujnujący wybieg cywilizacji, która sama sobie nie ufa. Monarchia Lipcowa, mimo tego pokoju, stawała dęba w zaprzęgu gabinetów europejskich. Metternich chętnie by jej nałożył wędzidło. We Francji popychana przez postęp, w Europie popychała opieszale monarchie. Ciągnięta sama — ciągnęła innych.

Tymczasem wewnątrz kraju pauperyzm, proletariat, płace, szkolnictwo; system kar, prostytutka, los kobiety, bogactwo, nędza, produkcja, spożycie, podział dóbr, wymiana, pieniądz, kredyt, prawo kapitału, prawo pracy — wszystkie te zagadnienia piętrzyły się nad społeczeństwem: straszliwe brzemie.

Poza stronnictwami politycznymi w ścisłym tego słowa znaczeniu, zarysowywał się inny ruch. Fermentowi demokracji odpowiadał ferment filozofii. Elita była tak samo wzburzona jak tłum; w inny sposób, ale w równej mierze.

Myśliciele rozważali, a tymczasem ziemia, czyli lud, wstrząsana prądami rewolucyjnymi, chwiała się pod ich stopami w jakichś drgawkach epileptycznych. Marzyciele ci, jedni samotni, inni łącząc się w rodziny, niemal spólnoty, roztrząsali zagadnienia społeczne spokojnie, ale wnikliwie; ci niewzruszeni górnicy drążyli niezmordowanie swe galerie w łonie wulkanu, obojętni na głuche wstrząsy i widok płonących czeluści.

Ten spokój był jednym z najpiękniejszych widoków tych burzliwych czasów.

Ludzie owi, pozostawiwszy partiom politycznym zagadnienie prawne, zajmowali się sami zagadnieniem szczęścia.

Dobrobyt człowieka — oto, co chcieli wydobyć ze społeczeństwa.

Zagadnienia materialne, zagadnienia rolnictwa, przemysłu, handlu — podnosili niemal do godności religii. W cywilizacji, która w niewielkiej mierze jest dziełem Boga, a w ogromnej — człowieka, interesy łączą się, zazębiają i scalają tak, że formują prawdziwą, zbitą skałę — pod działaniem prawa dynamiki, cierpliwie badanego przez ekonomistów, tych geologów polityki.

Ludzie owi, którzy skupiali się pod różnymi nazwami, ale których można by określić jednym mianem: socjalistów, starali się wydrążyć ową skałę i wydobyć z niej żywe źródło szczęśliwości ludzkiej.

Prace ich obejmowały wszystko, począwszy od zagadnienia szafotu, kończąc na zagadnieniu wojen. Do praw człowieka, głoszonych przez Rewolucję Francuską, dodali prawa kobiety i prawa dziecka.

Nikt się nie zdziwi, że dla różnych powodów nie będziemy tu zgłębiać teoretycznie zagadnień stawianych przez socjalizm. Ograniczymy się jedynie do wymienienia ich.

Pomijając kosmogoniczne wizje, mrzonki i mistycyzm, wszystkie problemy, które postawili sobie socjaliści, dadzą się ująć w dwa problemy zasadnicze:

Pierwszy:

Wytwarzanie dóbr.

Drugi:

Podział dóbr.

Pierwszy problem mieści w sobie zagadnienie pracy.

Drugi — zagadnienie płacy.

W pierwszym problemie chodzi o wykorzystanie sił. W drugim — o podział zysków.

Z właściwego wykorzystania sił wynika potęga ogółu.

Z właściwego podziału zysków wynika szczęście jednostki.

Przez właściwy podział zysków należy rozumieć podział sprawiedliwy, nie zaś podział równy. Pierwszą równością jest sprawiedliwość.

Z połączenia tych dwóch czynników: potęgi ogółu na zewnątrz i szczęścia jednostki na wewnątrz — wynika dobrobyt społeczeństwa.

Dobrobyt społeczny oznacza szczęście człowieka, wolność obywatela, potęgę narodu.

Pierwszy z tych problemów rozwiązała Anglia. Znakomicie umie wytwarzać dobra, ale rozdziela je źle. To jednostronne rozwiązanie prowadzi ją nieuchronnie do dwóch skrajności: potwornego bogactwa i potwornej nędzy. Wszystkie zyski dla garstki ludzi; niedostatek — dla reszty, to znaczy dla ludu. Przywileje, wyjątki, monopole, feudalizm rodzą się z samej pracy. Sytuacja fałszywa i niebezpieczna, która opiera potęgę publiczną na nędzy prywatnej i buduje wielkość państwa na cierpieniach jednostki. Wielkość źle utworzona, w

której łączą się wszystkie czynniki materialne, a nie mieści się żaden czynnik moralny.

Komunizm i prawo agrarne sądzą, iż rozwiązały drugi problem. Mylą się. Ich system podziału dóbr zabija produkcję. Równy podział niweczy współzawodnictwo. A w konsekwencji — pracę. To jakby podział dokonywany przez rzeźnika, który zabija to, co ma podzielić. Nie można zatem pozostać przy tym rzekomym rozwiązaniu. Zabić bogactwo nie znaczy podzielić je.

Aby rozwiązać właściwie oba te problemy, trzeba rozwiązać je wspólnie. Oba rozwiązania pragną być zespolone i tworzyć jedno.

Rozwiążcie pierwszy z nich — a staniecie się Wenecją czy Anglią. Będziecie mieli sztuczną potęgę jak Wenecja lubo potęgę materialną jak Anglia. Staniecie się złym bogaczem. Zginiecie gwałtowną śmiercią, jak zginęła Wenecja, lub zbankrutujecie, jak zbankrutuje Anglia. A świat pozwoli wam zginąć czy zbankrutować, gdyż świat pozwala na śmierć i bankructwo wszystkiego, co jest tylko egoizmem, i nie stanowi dla rodzaju ludzkiego cnoty lub idei.

Rzecz jasna, że mówiąc „Wenecja” czy „Anglia”, nie mamy na myśli narodów, ale ustrój społeczny; oligarchie narzucone narodom, a nie same narody. Dla narodów żywimy zawsze szacunek i sympatię. Wenecja jako naród odżyje. Anglia jako arystokracja upadnie; lecz naród angielski jest nieśmiertelny. Powiedziawszy to, idziemy dalej.

Rozwiążcie oba te problemy, zachęcajcie bogatych, a ochraniajcie biednych, znieście nędzę, połóżcie kres niesprawiedliwemu wyzyskowi słabych przez silnych, przykróćcie cugli haniebnej zazdrości tego, kto jest w drodze, względem tego, kto już dopiął celu, z matematyczną dokładnością i braterskim uczuciem dostosujcie płacę do pracy, dodajcie bezpłatne i obowiązkowe nauczanie do rozwoju dziecka i z wiedzy uczynicie podstawę wieku dojrzałego, rozwijajcie umysły dając pracę rękom, bądźcie zarazem potężnym narodem i rodziną ludzi szczęśliwych, zdemokratyzujcie własność nie przez zniesienie jej, ale przez upowszechnienie, tak, by każdy bez wyjątku obywatel był właścicielem, co jest rzeczą łatwiejszą, niż się wydaje; jednym słowem: umiejcie tworzyć bogactwo i dzielić je, a osiągniecie zarazem wielkość materialną i wielkość moralną i będziecie godna nazywać się Francją.

Oto, pomijając kilka odłamów, które zbłądziły, co głosił socjalizm; oto czego szukał w faktach i co zaszczepiał w umysłach.

Wspaniałe usiłowania! Święte dążenia!

Te doktryny, teorie i opory, nieoczekiwana dla męża stanu konieczność liczenia

się z filozofami, dostrzegania niejasnych jeszcze oczywistości, nieodzowna potrzeba stworzenia nowej polityki, zgodnej ze starym światem, a niezbyt sprzecznej z ideałem rewolucyjnym, sytuacja, w której dla obrony Polignaca należało użyć Lafayette'a, odgadywanie postępu przebłyaskującego wśród rozruchów, Izby i ulica, utrzymywanie równowagi między otaczającymi go współzawodnictwami, własna jego wiara w rewolucję, może jakaś nieokreślona bliżej, ewentualna rezygnacja, zrodzona z niesprecyzowanego uznawania prawa ostatecznego i najwyższego pragnienia pozostania w zgodzie ze swym pochodzeniem, solidarność rodzinna, niekłamany szacunek dla ludu i własna uczciwość pochłaniały Ludwika Filipa boleśnie i chwilami, mimo jego siły i odwagi, przytłaczały go brzemieniem obowiązków królewskich.

Czuł, że grunt mu się rozpada pod stopami, nie było to jednak rozpadanie się w pył, Francja bowiem bardziej niż kiedykolwiek była wówczas Francją.

Czarne zwały chmur zalegały horyzont. Dziwny cień nadciągał coraz bliżej i ogarniał powoli ludzi, rzeczy, pojęcia, cień rzucany przez oburzenie i panujący system. Wszystko, co zostało pośpiesznie zdławione, odżywało i burzyło się. Nieraz sumienie uczciwego człowieka dusiło się, tyle było- niepokoju w tym powietrzu, gdzie sofizmaty splatały się z prawdami. Umysły drżały wśród niepokoju społeczeństwa jak liście drzew przed nadejściem burzy. Napięcie elektryczne było tak wielkie, że czasem pierwszy lepszy nieznany człowiek — zabłysnął światłem.

Po czym znów zapadał półmrok. Chwilami głębokie i głuche pomruki dowodziły, jaką potęgę piorunów kryje w sobie chmura.

Od rewolucji lipcowej upłynęło zaledwie dwadzieścia miesięcy, a rozpoczynający się rok 1832 jawił się. w groźbie nieuniknionego" niebezpieczeństwa. Lud w rozpacz, robotnicy bez chleba; ostatniego księcia Kondeusza pochłonęły ciemności. Bruksela przepędziła dynastię Nassau, jak Paryż Burbonów ; Belgia, skłaniająca się ku francuskiemu władcy, została oddana władcy angielskiemu ; rosyjską nienawiść Mikołaja; za nami dwa szatany południa: w Hiszpanii — Ferdynand , Miguel — w Portugalii; ziemia drży we Włoszech, Mebterndch kładzie rękę na Bolonii, Francja. uderza na Austrię w Ankonie; z północy dobiega jakiś złowieszczy stuk młota po raz wtóry przybijającego wieko na trumnie Polski; w całej Europie gniewne spojrzenia śledzą Francję; Anglia, wątpliwy sojusznik, gotowa popchnąć to, co się chyli do upadku, i rzucić się na to, co upadnie; parowie Francji chronią się za auto- . rytet Beccarii, by wydrzeć prawu cztery głowy, lilie burbońskie zostają zdrapane z królewskiej karocy, z katedry Marii Panny zrzucony krzyż, Lafayette pomniejszony, Laffitte zrujnowany, Benjamin Consfant umiera w nędzy, Kazmierz Perier umiera u schyłku swej władzy, choroba polityczna i choroba społeczna pojawiają się w obu stolicach królestwa, w stolicy, myśli i w stolicy

pracy; w Paryżu wojna obywateli, w Lyonie wojna robotnicza; w obu miastach to samo zarzewie; na czole ludu lśni purpurą odblask wulkanu; południe sfanatyzowane, zachód poruszony, w Wandei — księżna de Berry, spiski, przysiężenia, powstania i cholera posępny zgiełkiem wypadków potęgowały posępną nawałnicę idei.

ROZDZIAŁ V

Fakty, z których historia się rodzi i o których nic nie wie

Pod koniec kwietnia sytuacja zaostrzyła się. Wzburzenie przeszło we wrzenie. Od roku 1830 począwszy tu i ówdzie zdarzały się drobne, lokalne zamieszki, które, choć szybko dławione, odradzały się na nowo — znak wielkiego, podziemnego pożaru. Dojrzewało coś strasznego. Ukazywały się niewyraźne jeszcze i słabo oświetlone zarysy możliwej rewolucji. Cała Francja spoglądała na Paryż; Paryż spoglądał na przedmieście Sw. Antoniego.

A przedmieście Sw. Antoniego, rozpalane skrycie, wchodziło w stan wrzenia.

Szynki przy ulicy Charonne były poważne i burzliwe — choć połączenie tych dwóch określeń w odniesieniu do szynku wydaje się szczególne.

Po prostu i otwarcie krytykowano tam rząd. Dyskutowano publicznie, „czy się bić, czy pozostać w spokoju”. W salkach za sklepami odbierano od robotników przysięgi, „że na pierwszy alarm wyjdą na ulicę i będą się bili, nie zważając na siłę liczebną wroga”. Po przyjęciu zobowiązania, człowiek siedzący w kącie szynku wołał wielkim głosem: „Przysięgałeś! Czy rozumiesz?” Czasami wchodziło na pierwsze piętro, zamykano się w pokoju i miały tam miejsce sceny nieledwie masońskie. Kazano przysięgać nowowtajemniczonemu: „aby mu oddać przysługę tak jak ojcom rodziny”. Taka była formuła.

W niskich salkach czytano broszury „wywrotowe”. „Poniewierano rząd” — podaje tajny raport z owych czasów.

Słyszało się tam takie zdania: „Nie znam nazwisk naszych przywódców. Dowiemy się o dniu Wybuchu dopiero na dwie godziny przed tym.”

Jeden robotnik mówił: „Jest nas trzystu; niech się każdy z nas złoży po dziesięć su, a będziemy mieli sto pięćdziesiąt franków na przygotowanie kul i prochu.” Inny mówił: „Me potrzeba mi sześciu miesięcy ani nawet dwóch: Nim miną dwa tygodnie, będziemy już równie silni jak rząd. W dwadzieścia pięć tysięcy ludzi *można* stawić czoła.” Jeszcze inny mówił: „Nie kładę się spać, bp robią w nocy naboje.” Od czasu do czasu przychodzili ludzie „wyglądający dostatnio” i „pięknie ubrani”, którzy robili zamieszanie, z minami „przywódców” rozdawali uściski rąk „najważniejszym” i odchodzili. Nigdy nie bawili dłużej niż dziesięć minut. Wymieniano półgłosem znaczące zdania: „Spisek już dojrzał, wszystko gotowe.” Według wyrażenia jednego z uczestników „szepotali tam o tym wszyscy”. Podniecenie i zapał były tak wielkie, że pewnego dnia jakiś robotnik

zawołał w przepelnionym szynku: „Nie mamy broni!”, a jego towarzysz odpowiedział mu: „Ale żołnierze ją mają!” — nieświadomie parodiując odezwę Bónapartego do Armii Włoskiej. „O sprawach bardziej poufnych nie udzielano tani sobie wiadomości” — dodaje raport. Trudno zrozumieć, co jeszcze mogli ukrywać, powiedziawszy już to, co powiedzieli.

Niekiedy zebrania powtarzały się regularnie. Na niektórych bywało najwyżej osiem lub dziesięć osób, i to zawsze tych samych. Na inne znów wchodził, kto chciał i na sali był taki tłok, że obecni musieli stać. Jednych przywodził tam entuzjazm i zapał; inni „wstępowali po drodze do pracy”. Po dobru jak w czasach rewolucji, były w owych szynkach kobiety-patriotki, które całowały nowoprzybyłych.

Zdarzały się inne jeszcze wymowne fakty.

Ktoś wchodził do szynku, pił i wychodził mówiąc: „To, co jestem ci winien, szynkarzu, zapłaci rewolucja.”

U pewnego szynkarza, na wprost ulicy Charonne, wybierano przywódców rewolucyjnych. Kartki z nazwiskami wrzucano do czapek.

Robotnicy zbierali się u pewnego nauczyciela fechtunku, który uczył szermierki przy ulicy Cotte. Miął tam istny skład broni, złożony z drewnianych pałaszy, lasek, kijów i floretów. Pewnego dnia zdjęto bezpieczniki z floretów. Jeden robotnik powiedział: „Jest nas dwudziestu pięciu, ale na mnie nikt nie liczy, bo uważa się mnie za maszynę.” Ta maszyna była później Qućniissetem .

Wszystkie roztrząsane tam sprawy nabierały powoli jakiegoś dziwnego rozgłosu. Jedna kobieta zamiatając sień mówiła do drugiej: „Od dawna pracują na całego przy wyrobie kuł.” Na środku ulicy odczytywano odezwy, skierowane do departamentalnych gwardii narodowych. Jedna z takich odezwo podpisana była: „*Burtot, handlarz win.*”

Pewnego razu pod drzwiami szynku na placu Lenoir jakiś człowiek z okrągłą bródką i włoskim akcentem wszedł na kamienny słupek i odczytał głośno dziwne pismo, które zdawało się pochodzić od jakichś okultystycznych mocy. Wkoło niego zebrały się grupy oklaskujących go ludzi. Ustępy, które najbardziej poruszały tłum, zostały zapamiętane i spisane.

„...Nasze idee spętano! Nasze odezwy są niszczone’, nasi ludzie, którzy je rozlepiają, śledzeni i wtrąceni do więzienia...” — „Niedawny kryzys w przemyśle bawełnianym zjednał nam wielu umiarkowanych.” — „...Przyszłość ludu rodzi się w ‘naszych nieznanym szeregach.” — „...Postawmy pytanie: akcja, czy reakcja? rewolucja czy kontrrewolucja? Nasza epoka bowiem nie wierzy już w

obojętność ani w bezruch. Z ludem czy przeciwko ludowi — oto zagadnienie. Innego nie ma." — „...W dniu kiedy przestaniemy wam odpowiadać, zgniećcie nas, ale aż do tego dnia wspierajcie nas w marszu naprzód!" Wszystko to mówiono w jasny dzień.

Inne, jeszcze bardziej zuchwale wystąpienia wydawały się ludowi podejrzone, przez samą swą zuchwałość. 4 kwietnia 1832 roku jakiś przechodzień wszedł na słupek stojący na rogu ulicy Sw. Małgorzaty i zawołał: „Jestem babuwistą!" Ale pod Babeufem lud zwierzył tu Gisqueta. Przechodzień ów mówił między innymi: „Precz?z własnością! Opozycja lewicy jest tchórzliwa i zdradziecka. Jak chce mieć słuszość — głosi rewolucję. Jest demokratyczna, bo nie chce być pobita, a rojalistyczna, bo nie chce się bić. Republikanie to ni. pies, ni wydra. Strzeżcie się republikanów, obywatele-robotnicy!" „Cicho bądź, obywatelu szpiclu!" — krzyknął jakiś robotnik.

Okrzyk ten położył kres przemówieniu.

Zdarzały się tajemnicze wypadki.

O schyłku dnia pewien robotnik spotkał niedaleko kanału „elegantko ubranego pana", który rzekł:

— Gdzie idziesz, obywatelu?

— Panie — odparł robotnik — nie mam zaszczytu znać pana.

— Ale ja znam cię dobrze. Nie bój się. Jestem członkiem komitetu. Podejrzewają cię, że nie jesteś zupełnie pewny. Wiedz, że gdybyś cokolwiek wygadał, mamy cię na oku.

Po czym uścisnął robotnikowi rękę i oddalił się, mówiąc:

— Zobaczymy się wkrótce.

Podstuchująca wszędzie policja zbierała nie tylko w szynkach, ale i na ulicy bardzo dziwne rozmowy:

— Zapisz się jak najprędzej — mówił pewien tkacz do stolarza.

— Dlaczego?

— Bo niedługo będziemy grzać.

Dwaj przechodnie w łachmanach wymieniali między sobą te godne uwagi zdania, pełne wyraźnych akcentów żakerii .

— Kto nami rządzi?

— Pan Filip.

— Nie, burżuazja.

Myliłby się ten, kto by sądził, że używamy słowa „żakeria” w ujemnym znaczeniu. Zbuntowani chłopci byli biedni. Otóż ci, którzy są głodni, mają za sobą sprawiedliwość.

Innym razem usłyszano, jak jeden przechodzień mówił do drugiego: „Mamy doskonały plan ataku.”

Z poufnej rozmowy czterech mężczyzn, którzy przysiedli w rowie przy rondzie koło rogatki Tróne, podchwycono tylko tyle:

— Zrobi się, co się da, aby on nie spacerował już po Paryżu.

Jaki on? Złowieszcza niejasność!

„Główni przywódcy”, jak mówiono na przedmieściu, trzymali się na uboczu. Podobno zbierali się na narady w szynku koło kościoła Św. Eustachego. Niejaki Aug. — prezes Towarzystwa Pomocy dla Krawców, przy ulicy Zakręt, uchodził za głównego łącznika między przywódcami a przedmieściem Św. Antoniego. Mimo to przywódców otaczał zawsze gęsty mrok i żaden stwierdzony fakt nie mógł osłabić szczególnej dumy tej odpowiedzi, danej później przez jednego z oskarżonych przed sądem Izby Parów:

— Kto był waszym przywódcą?

— Żadnego przywódcy nie znałem i żadnego nie uznawałem.

Były to na razie tylko słowa, przejrzyste, ale bliżej nie określone; czasem słowa rzucały na wiatr, zasłyszane gdzieś plotki i pogłoski. Pojawiały się inne oznaki.

Na ulicy Reuilly pewien cieśla, zatrudniony przy stawianiu parkanu wokół placu, gdzie budowano dom, znalazł na tymże placu skrawek podartego listu, na którym można było jeszcze odczytać następujące słowa:

...Komitet winien przedsięwziąć odpowiednie środki, by nie dopuścić w sekcjach do wpisywania się członków do różnych stowarzyszeń...

A w postscriptum:

Dowiedzieliśmy się, że na ulicy Faubourg-Poissonniere nr 5 b w podwórzu pewien rusznikarz ma strzelby w ilości pięciu czy sześciu tysięcy. Sekcja zupełnie nie posiada broni.

Fakt, że o parę kroków dalej znalazł inny papier, również podarty, lecz bardziej jeszcze wymowny, sprawił, iż cieśla bardzo się tym, przejął i pokazał go sąsiadom. Odtwarzamy tu jego wygląd ze względu na wagę historyczną tych dziwnych dokumentów:

KCDWNauczyć się tej listy na pamięci potem ją podrzeć. Ludzieprzyjęci zrobią to samo z chwi-lą, gdy przekażecie im rozkazyz braterskim pozdrowieniemL.u og a fe

Osoby, które wtajemniczono w sprawę znalezionego listu, później dopiero poznały ukryty sens czterech wielkich liter: kwinturioni, centurioni, dekurioni, wywiadowcy — i sens liter *u og afe*, które były datą i znaczyły: 15 kwiecień 1832. Pod każdą z wielkich liter wpisane były nazwiska, opatrzone bardzo charakterystycznymi uwagami: A więc:

K. Bannerel — 8 strzelb, 83 naboł. Człowiek pewny.

C. Boubiere — pistolet, 40 naboł.

D. Rollet — floret, pistolet, funt prochu.

W. Teissier — szabla, ładownica. Obowiązkowy.

Terreur — 8 strzelb. Dzielny.

ltd.

Wreszcie cieśla ów znalazł — ciągle na tym samym placu — trzeci papier, na którym była spisana ołówkiem, lecz bardzo czytelnie jakaś zagadkowa lista:

Jedność. Blanchard. Arbre-sec. 6.

Barra. Soize. Salte-au-Comte.

Kościuszeko. Rzeźnik Aubry?

J.J.R.

Kajus Grakchus.

Prawo Kontroli' Władz, Dufond. Four.

Upadek Żyrodystów. Derbac. Maubuee.

Waszyngton. Pinson. I pist. 86 nab.

Marsylianka.

Władza ludu. Michel. Qurnicampoix. Szabla.

Hoche.

Marceau. Platon. Arbre-sec.

Warszawa. Tilly, roznosiciel „Populaire'a" .

Uczciwy mieszczanin, w którego ręce dostała się ta lista, wiedział, co. ona znaczy. Było to podobno pełne wyszczególnienie sekcji Stowarzyszenia Praw Człowieka w czwartym obwodzie Paryża, wraz z nazwiskami i adresami szefów sekcji. Dziś, gdy wszystkie te wydarzenia, pozostałe w ukryciu, przeszły już do historii, można o nich pisać. Trzeba dodać, że założenie Stowarzyszenia Praw Człowieka było chyba późniejsze od daty, w której znaleziono ten papier. Może był to dopiero pierwszy szkic.

Tymczasem po słowach i plotkach po dowodach na piśmie, zaczęły się pojawiać konkretne fakty.

U pewnego handlarza starzyzną przy ulicy Popincourt podczas rewizji znaleziono w szufladzie komody siedem arkuszy szarego papieru jednakowo złożonych wzdłuż i we czworo: arkusze te przykrywały dwadzieścia sześć kwadratów z tegoż samego szarego papieru, zwiniętych w kształt naboju, i kartkę, na której odczytano:

Saletry 12 uncji

Siarki 2 uncje

Węgla.....2½ uncji

Wody2 uncje

Protokół zajęcia stwierdzał, że szuflada przesiąknięta była silną wonią prochu.

Pewien murarz, wracając po ukończonej dniówce, zostawił na ławce przy moście Austerlitzkim małą paczkę. Paczkę tę odniesiono na odwach Otworzono ją tam i znaleziono dwa drukowane dialogi podpisane: *Lahautiere*, piosenkę zatytułowaną: *Łączcie się, robotnicy!*, i blaszane pudełko pełne naboji.

Inny robotnik kazał pijącemu z nim towarzyszowi zobaczyć, jak bardzo jest zgrzany; tamten wymacał pod koszulą — pistolet.

W rowie przy bulwarze, między cmentarzem Pere-Lachaise a rogatką Trône, w zupełnie odludnym miejscu, dzieci odkryły w czasie zabawy pod stosem wiórów i obierzyn worek, w którym była forma do odlewania kul, drewniany stempel do naboji, drewniana miseczka z ziarnkami śrutu i kociołek z lanego żelaza, którego wewnątrz wykazywało wyraźne ślady stopionego ołowiu.

Policjanci, wtargnąwszy niespodzianie o piątej rano do niejakiego Pardona, który został później sekcyjnym sekcji Barykada Merry i zginął w powstaniu kwietniowym 1834 roku, zastali go stojącego koło łóżka i trzymającego w ręku naboje, które właśnie robił.

W porze, gdy robotnicy mają przerwę w pracy, widziano między rogatką Charenton a rogatką Piepus, na dróżce biegnącej między dwoma murami koło pewnej karczmy, przed drzwiami której stała gra w kręgle — spotkanie dwóch ludzi. Jeden z nich wyciągnął spod bluzy pistolet i podał drugiemu. Zauważył przy tym, że w zetknięciu ze spoconym ciałem proch zwilgotniał. Podsypał więc nieco prochu do tego, co już był na panewce. Po czym rozeszli się.

Niejaki Gallais, zabity później na ulicy Beaubourg w zamieszkach kwietniowych, chwalił się, że ma w domu siedemset naboji i dwadzieścia cztery skałki do strzelb.

Któregoś dnia rząd otrzymał ostrzeżenie, że na przedmieściu, rozdano właśnie broń i dwieście tysięcy naboji. W następnym tygodniu rozdano trzydzieści tysięcy naboji. Rzecz ciekawa, policja nie zdołała znaleźć ani jednego. Pewien przejęty list zawierał te słowa:

Niedaleki jest dzień, kiedy w przeciągu czterech godzin osiemdziesiąt tysięcy patriotów stanie pod bronią.

Ferment ten był jawny, można by nawet powiedzieć spokojny. Szykujące się powstanie z zimną krwią przygotowywało swą nawałnicę na oczach rządu. Temu przesileniu, podziemnemu jeszcze, lecz już dostrzegalnemu, nie brakło żadnej osobliwości. Mieszczanie rozmawiali spokojnie z robotnikami o tym, co się przygotowywało. Pytano: „Co słyhać z rozruchami?” — takim tonem, jakby

się pytano: „Jak się miewa pańska żona?”

Handlarz mebli z ulicy Moreau dowiadywał się: „No No i cóż? Kiedy uderzacie?”

Inny sklepikarz mówił:

„Uderzycie niebawem. Wiem o tym. Przed miesiącem było was piętnaście tysięcy, a teraz macie dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.” Ofiarowywał swoją strzelbę, a jakiś jego . sąsiad mały pistolet, za który chciał siedem franków.

Gorączka rewolucyjna rosła. Żaden punkt Paryża ani Francji nie był od niej wolny. Tętna pulsowały wszędzie. Jak błony, które powstają z pewnych stanów zapalnych i tworzą się na ciele ludzkim, tak sieć tajnych związków zaczęła ogarniać cały kraj. Ze Stowarzyszenia Przyjaciół Ludu, jawnego i tajnego jednocześnie, powstało Stowarzyszenie Praw Człowieka, które tak datowało jeden ze swych rozkazów dziennych: „Pluviose, roku 40 ery republikańskiej”; miało ono przeżyć nawet wyroki sądów przysięgłych orzekających jego rozwiązanie i nie wahało się nadawać swym sekcjom tak wymownych nazw, jak:

Piki.

Dzwon na trwogę.

Alarm.

Czapka frygijska.

2 Stycznia.

Żebracy.

Włóczęgi.

Naprzód.

Robespierre.

Poziom.

Ca ira.

Ze Stowarzyszenia Praw Człowieka wyłoniło się Stowarzyszenie Czynu. Byli to niecierpliwcy, którzy odłączyli się i biegli przodem. Inne stowarzyszenia starały się werbować swoich członków w szeregach wielkich organizacji macierzystych. Sekcyjni narzekali, że są rozrywani. Tak powstał Związek Galijski i Miejski Komitet Organizacyjny. Tak powstały: Stowarzyszenie Obrony Wolności Prasy, Wolności Osobistej, Oświaty Ludu i Stowarzyszenie Zwalczenia Podatków Pośrednich. Poza tym Stowarzyszenie Równouprawnienia Robotników, dzielące się na trzy odłamy: Egalitarystów, Komunistów i Reformistów. Ponadto Armia Bastylia, rodzaj kohorty zorganizowanej na wzór wojskowy: czterech ludzi pod dowództwem kaprała; dziesięciu pod dowództwem sierżanta; dwudziestu pod dowództwem podporucznika; czterdziestu pod dowództwem porucznika; najwyżej pięciu ludzi tylko znało się między sobą, Był to twór, w którym łączyła się przezorność z odwagą i który zdawał się nosić zamię ducha Wenecji. Stojący na czele komitet centralny miał dwa ramiona: Stowarzyszenie Czynu i Armie Bastylia.- Pośród tych republikańskich związków działała też organizacja legitymistyczna Rycerzy Wierności. Zdemaskowano ją i odsunięto.

Stowarzyszenia paryskie miały swoje odgałęzienia w innych większych miastach: Lyon, Nantes, Lille i Marsylia miały swe Stowarzyszenie Praw Człowieka, Karbonariuszów, Związek Ludzi Wolnych. W Aix istniała organizacja rewolucyjna, zwana Kugurdą Już raz wymieniliśmy tę nazwę.

W Paryżu, na przedmieściu Saint-Marceau szumiało tak samo jak na przedmieściu Św. Antoniego, a uczelnie były poruszone nie mniej od przedmieść. Kawiarnia przy ulicy Św. Hiacynta i szynk „Pod Siedmioma Bilardami” przy ulicy Mathurin-Saint-Jacques służyły za miejsce spotkań dla studentów. Stowarzyszenie Przyjaciół Abecadła, związane z Towarzystwem Wzajemnej Pomocy z Angers i z Kugurdą z Aix, zbierało się, jak już widzieliśmy, w kawiarni „Musain”.

Ci sami młodzieńcy spotykali się także — jak już wspomnieliśmy — w pobliżu ulicy Zakręt, w pewnym szynku-jadłodajni, zwanym „Koryntem” Zebrania te były tajne. Inne były najzupełniej jawne, a ocenić ich śmiałość można na podstawie tego fragmentu protokołu przesłuchania w jednym z późniejszych procesów:

— Gdzie odbywało się zebranie?

— Na ulicy Pokoju.

— U kogo?

— Na ulicy.

— Jakie sekcje brały w nim udział?

— Jedna.

— Jaka?

— Sekcja Manuela.

— Kto był jej szefem?

— Ja.

— Pan jest zbyt młody, by mógł wziąć na swe barki decyzję walki z rządem. Skąd pan otrzymywał instrukcje?

— Z komitetu centralnego.

Jak dowiodły później rozruchy w Belfort, w Lune-ville i w Epinal, wojsko było nie mniej podminowane jak lud. Liczono na pułk pięćdziesiąty drugi, na piąty, na ósmy, na trzydziesty siódmy i na dwudziesty lekkiej jazdy. W Burgundii i w miastach południowej Francji sadzono „drzewa wolności”, to znaczy stawiano maszty uwieńczone czerwoną czapką.

Taka była sytuacja.

Jak już wspominaliśmy, sytuacja ta dawała się odczuć na przedmieściu Św Antoniego mocniej i wyraźniej niż w jakimkolwiek innym zbiorowisku ludności. Był to jej newralgiczny punkt.

To stare przedmieście, ludne jak mrowisko, pracowite, dzielne i gniewne jak ul, drżało z oczekiwania i z pragnienia wstrząsu. Wszystko się tam burzyło nie przerywając pracy. Nic nie jest w stanie dać wyobrażenia o jego żywym i posępnym wyglądzie. Są na tym przedmieściu wstrząsające niedole, ukryte na poddaszach; są też inteligencje płomienne i niepospolite. A bezdenna rozpacz i najwyższa inteligencja tworzą szczególnie niebezpieczne połączenie krańcowości.

Przedmieście Sw. Antoniego miało inne jeszcze powody do wrzenia, na nim to bowiem odbijają się kryzysy handlowe, bankructwa, strajki, bezrobocie, idące w parze z wielkimi przełomami politycznymi. Nędza jest przyczyną i skutkiem rewolucji. Cios, zadawany przez nią, godzi w nią samą. Ta ludność, pełna cnót, dumna, trawiona ukrytym ogniem, zawsze gotowa chwycić za broń, łatwa do wybuchu, gniewna, głęboka, podminowana, zdawała się już tylko czekać na zapalenie lontu. Ilekroć jakieś iskry, gnane wicherem wypadków, unoszą się nad horyzontem, nie można odpędzić myśli o przedmieściu Sw. Antoniego i o

złowrogim przypadku, który u bram Paryża umieścił ten ładunek dynamitu
cierpień i idei.

Szynki na przedmieściu Św. Antoniego, których zarysy pojawiały się już parę
razy w tym szkicu, przeszły do historii. W niespokojnych czasach ludzie bardziej
upajają się w nich słowem niż winem. Jakiś duch proroczy, jakiś nurt przyszłości
krąży tam, rozpierając serca i umacniając dusze. Szynki na przedmieściu Św.
Antoniego można porównać do tawern na Wzgórzu Awentyńskim, wzniesionych
nad pieczarą Sybilli i nawiedzanych przez płynące z głębin święte tchnienia, do
owych tawern, w których stoły były niemal trójnogami i gdzie się piło to, co
Enniusz zwie winem sybillijskim.

Przedmieście Św. Antoniego to rezerwuar ludu.

Z jego szczelin po rewolucyjnym wstrząsie wypływa suwerenność ludu. Ta
suwerenność może czynić zło, myli się jak każda inna, lecz nawet sprowadzona
na bezdroża zachowuje wielkość. Można o niej powiedzieć jak o ślepym
cyklopie: *Ingens*.

W roku 1793, zależnie od tego, czy idea wisząca w powietrzu była dobra czy
zła, zależnie od tego, czy był to dzień fanatyzmu czy entuzjazmu, z
przedmieścia Św. Antoniego wyruszały dzikie legie lub heroiczne bandy.

Dzikie. Wytłumaczmy, jak rozumiemy to słowo. Czegóż chcieli ci rozszreńczeni
ludzie, którzy w genezyjskich dniach chaosu rewolucyjnego rzucali się ha stary,
wstrząśnięty Paryż — obdarci, ryczący, groźni, z uniesioną pałką i nastawioną
piką? Chcieli skończyć z uciskiem, z tyranią, z mieczem, chcieli pracy dla
mężczyzn, szkoły dla dziecka, pozycji społecznej dla kobiety; chcieli wolności,
równości, braterstwa, chleba dla wszystkich, idei dla wszystkich, przemiany
świata w raj, chcieli Postępu. I domagali się tej świętej, dobrej, łagodnej sprawy
— Postępu — doprowadzeni do ostateczności, nie panujący nad sobą, straszni,
półnaczy, z maczugą w garści i rykiem na ustach. Byli to dzicy ludzie; tak, ale
dzicy w imię cywilizacji.

Z furją głosili prawo. Chcieli — choćby zawieruchą i grozą — wpędzić ,rodzaj
ludzki do raju. Wydawali się barbarzyńcami, a byli wybawicielami. Z maską
nocy na twarzy domagali się światła.

Obok tych ludzi dzikich i — przyznajemy to — strasznych, ale dzikich i
strasznych w imię dobra, istnieją inni ludzie, uśmiechnięci, błyszczący od
haftów i złota, przystrojeni we wstążki i order, w jedwabnych pończochach,
śnieżnobiałych pióropuszech, żółtych rękawiczkach, lakierowanych trzewikach,
którzy, siedząc obok marmurowego kominka, przy stole pokrytym aksamitem,
nalegają łagodnie na utrzymanie i zachowanie przeszłości, średniowiecza,

prawa boskiego, fanatyzmu, ciemnoty, niewolnictwa, kary śmierci, wojny i chwałą układnym, cichym głosem szablę, stos i szafot. My, gdybyśmy musieli wybierać między barbarzyńcami cywilizacji a cywilizacją barbarzyństwa — wybralibyśmy barbarzyńców.

Ale, niebu niech będą dzięki, możliwy jest inny wybór. Nie ma konieczności rzucania się na oślep w przepaść, czy to naprzód, czy w tył. Ani despotyzmu, ani terroryzmu. Chcemy postępu po łagodnym zboczu.

Bóg się o to troszczy. I to właśnie łagodzenie stromych zboczy jest całą polityką Boga.

ROZDZIAŁ VI

Enjolras i jego sztab

W tym samym mniej więcej czasie Enjolras, mając na uwadze możliwość bliskich rozruchów, zrobił rodzaj tajemniczego przeglądu sił.

Wszyscy stawili się na tajne zebranie w kawiarni „Musain”.

Enjolras, przeplatając swe słowa paroma nieco zagadkowymi, lecz znamiennymi metaforami, powiedział:

— Należy zdać sobie sprawę, jaka jest sytuacja i na kogo możemy liczyć. Kto chce mieć bojowników, musi ich stworzyć. Musi mieć czym uderzyć. To nie może zaszkodzić. Przechodnie mają zawsze większe szansę dostać się na rogi wtedy, gdy na drodze są byki, niż wtedy, gdy ich nie ma. Policzmy więc stado. Ilu nas jest? Nie wolno tej pracy odkładać do jutra. Rewolucjonistom zawsze powinno się śpieszyć; postęp nie ma czasu do stracenia. Nie ufajmy temu, co może nadejść nieoczekiwanie. Nie dajmy się zaskoczyć.

Trzeba przejrzeć wszystkie szwy, któreśmy zszyli, i sprawdzić, czy dobrze trzymają. Ta sprawa musi być dziś zbadana do dna. Courfeyrac, ty zobaczysz się ze studentami politechniki. Dziś środa — mają więc dzień wolny. Ty, Feuilly, zobaczysz się z ludźmi z Glaciere, dobrze? Combeferre obiecał mi, że pójdzie do Picpus. Tam wre wspaniale. Bahorel odwiedzi Estrapade. Prouvaire, masoni tracą animusz, dostarczysz nam wiadomości z łoży przy ulicy Grenelle-Saint-Honore. Joly pójdzie do kliniki Dupuytrena i zbada puls akademii medycznej. Bossuet przespaceruje się po sądzie i pogada z aplikantami. Ja biorę na siebie Kugurde.

— I wszystko załatwione! — rzekł Courfeyrac.

— Nie.

— Cóż pozostało jeszcze do zrobienia?

— Rzecz bardzo ważna.

— Co takiego? — zapytał Combeferre.

— Rogatka Maine — odrzekł Enjolras.

Na chwilę zagłębił się w myślach, po czym podjął na nowo.

— Na rogatce Maine są kamieniarze, malarze, uczniowie z pracowni rzeźbiarskich. Gromadka pełna entuzjazmu, ale i łatwo ostygająca w zapale. Nie wiem, co się z nimi dzieje od pewnego czasu. Myślą o czym innym. Duch w nich przygasa. Cały czas spędzają na grze w domino. Trzeba rozmówić się z nimi krótko, ale stanowczo — to pilne! Zbierają się u Richefeu; zawsze ich tam można spotkać między dwunastą a pierwszą. Trzeba by rozdmuchać ogień w tym popiele. Liczyłem w tym wypadku na tego roztrzepańca Mariusza, który w gruncie rzeczy jest dobrym chłopcem, ale on już tu nie przychodzi. Potrzebny byłby mi ktoś, żeby go posłać na rogatkę Maine. Ale nie mam już nikogo.

— A ja — odezwał się Grantaire. — Jestem tutaj.

— Ty?

— Ja.

— Ty miałbyś nauczać republikanów? Ty miałbyś — w imię zasad — rozgrzewać wystygłe serca?

— A czemu nie?

— Czyż ty możesz na coś się przydać?

— W każdym razie mam do tego pewne aspiracje.

— Przecież ty w nic nie wierzysz. — Wierzę w ciebie.

— Grantaire, chcesz mi oddać przysługę?

— Każdą. Czyścić ci buty.

— No, to nie wtrącaj się do naszych spraw. Masz swój absynt, niech ci szumi.

— Jesteś niewdzięcznikiem, Enjolras.

— Ty miałbyś być tym, kto pójdzie na rogatkę Maine? Ty byś to potrafił?

— Potrafię pójść ulicą Gres, przejść przez plac Św. Michała, skręcić w ulicę Monsieur-le-Prince, wejść w ulicę Vaugirard, minąć Karmelitów, skręcić w ulicę Assas, dojść do ulicy Cherche-Midi, zostawić za sobą gmach Rady Wojennej, przemierzyć ulicę ' Vieilles-Tuileries, przeciąć bulwar, iść w stronę Maine, przejść rogatkę i wejść do Richefeu. I ja to potrafię. I moje buty to potrafią.

— Czy znasz choć trochę tych kolegów od Richefeu?

— Trochę. Tyle, że jestem z nimi po imieniu.

— Cóż im powiesz?

— Będę im mówił o Robespierre, dalibóg! O Dantonie, o zasadach.

— Ty!

— Ja. Nikt mnie nie docenia. Kiedy się do tego biorę, jestem straszliwy. Czytałem Prudhomme'a , znam *Umowę Społeczną* , umiem na pamięć konstytucję roku drugiego. „Sfera wolności obywatela kończy się: tam, gdzie się zaczyna sfera wolności drugiego obywatela.” Czy ty mnie masz za bydlę? Przechowuję w szufladzie starą asygnatę.

Prawa Człowieka, suwerenność ludu, do kroćset! Nawet poniekąd jestem hebertystą. Mogę głądzić wzniosie przez bite sześć godzin z zegarkiem w ręku.

— Bądź poważny — rzekł Enjolras.

— Jestem groźny — odrzekł Grantaire.

Enjolras zastanowił się chwilę i zrobił gest człowieka, który powziął decyzję.

— Grantaire — rzekł poważnie — zgadzam się na tę prośbę Pójdiesz na rogatkę Maine.

Grantaire zajmował umeblowany pokój tuż obok kawiarni „Musain” Wyszedł i wrócił po pięciu minutach Poszedł do siebie włożyć kamizelkę a la Robespierre

— Czerwona — rzekł wchodząc i wlepił wzrok w Enjolrasa.

Po czym energicznym ruchem dłoni przycisnął do piersi oba szkarłatne wyłogi kamizelki.

Podszedłszy do Enjolrasa szepnął mu na ucho:

— Bądź spokojny.

Zdecydowanym ruchem nacisnął kapelusz i wyszedł.

Po upływie kwadransa boczna salka kawiarni „Musain” opustoszała. Wszyscy Przyjaciele Abecadła rozeszli się do pracy, każdy w swoją stronę. Enjolras, który sobie zostawił Kugurkę, wyszedł ostatni.

Członkowie Kugurdy z Aix, bawiący w Paryżu, zbierali się wtedy na polach Issy w jednym z opuszczonych kamieniołomów tak licznych w tej okolicy Paryża.

Idąc na miejsce spotkania. Enjolras robił w myśli przegląd sytuacji Jasne było że

działają się rzeczy wielkie] wagi Kiedy fakty, te pierwsze objawy pewnego rodzaju choroby społecznej, jeszcze ukrytej, zaczynają występować, najmniejsza komplikacja zatrzymuje je i gmatwa Zjawisko z którego wynikają upadki i odrodzenia Poprzez mroki przyszłości Enjolras dostrzegał świetlistość powstania. Kto wie?

Może ta chwila jest już niedaleka Lud, odzyskujący prawa, cóż to za piękny widok. Rewolucja majestatycznie biorąca znów Francję w swe władanie i mówiąca światu: „Jutro dalszy ciąg!” Enjolras był zadowolony Ogień rozszerzał się. W tej właśnie chwili przyjaciele jego niby garść prochu rozsypani byli po całym Paryżu. Z filozoficznej i wnikliwe] elokwencji Combeferre'a, z kosmopolitycznego entuzjazmu' Feuilly, z werwy Courfeyraca, śmiechu Bahorela, ze smutku Jana Prouvaire, z wiedzy Joly'ego i z sarkazmów Bossueta Enjolras tworzył w myśli rodzaj elektrycznego iskrzenia, zapalającego się jednocześnie po trosze wszędzie. Wszyscy przy pracy. Z pewnością rezultat będzie na miarę wysiłków. Wszystko układało się pomyślnie. To mu przywiodło na myśl Grantaire'a. „O! — rzekł do siebie — niewiele muszę zboczyć z drogi do rogatki Maine. Gdyby tak wpaść do Richefeu! Popatrzmy trochę, co robi Grantaire i ile już zdziałał.”

Na dzwonnicy Vaugirard biła pierwsza, gdy Enjolras doszedł do palarni Richefeu. Pchnął drzwi, wszedł, skrzyżował ręce, puścił drzwi, które zamykając się uderzyły go w plecy Rozejrzał się po sali pełnej stolików, ludzi i dymu.

Jakiś głos rozbrzmiewał donośnie wśród tych oparów; inny głos żywo mu przerywał. Był to dialog Grantaire'a i jego przeciwnika.

Siedział przy marmurowym stoliku, usianym otrębami i założonym kostkami domina, naprzeciw jakiejś innej postaci, i walił pięścią w marmur; a oto, co usłyszał Enjolras:

— Sześć i sześć!

— Cztery.

— Świnia! Nie mam.

— Toś trup! Dwa.

— Sześć.

— Trzy.

— As.

- Teraz moja stawka.
- Cztery punkty.
- Z trudem.
- Teraz twoja kolej.
- Zrobiłem olbrzymi błąd.
- Dobrze ci idzie!
- Piętnaście. - .
- Więcej siedem.
- A więc mam dwadzieścia dwa (z rozmarzeniem w głosie), dwadzieścia dwa!
- Nie spodziewałeś się, że położę dwie szóstki. Gdybym to zrobił na początku, zmieniłoby to całą grę.
- Znowu dwa.
- As.
- As, no to pięć!
- Nie mam. Tyś stawiał, zdaje się?
- Tak.
- Mydło.
- Ten ma szczęście! Ach, ale ty masz szczęście. (Długa chwila namysłu.) Dwa.
- As.
- Ani piątki, ani asa. To niewygodne dla ciebie.
- Domino.
- A, psiakrew!

KSIĘGA DRUGA

EPONINA

ROZDZIAŁ I

Skowronkowe Pole

Mariusz był świadkiem nieoczekiwanego zakończenia zasadzki, na której ślad sam naprowadził Javerta; zaledwie jednak Javert opuścił rudere, uwożąc ze sobą więźniów w trzech dorożkach, Mariusz również wymknął się z domu. Była dopiero dziewiąta. Poszedł do Courfeyraca Courfeyrac nie był już stałym mieszkańcem Dzielnicy Łacińskiej; osiadł przy ulicy Szklarskiej „z powodów politycznych”; dzielnicę tę upodobały sobie ówczesne powstania. Mariusz rzekł do Courfeyraca:

— Przeszedłem do ciebie na noc.

Courfeyrac wyciągnął ze swego łóżka materac (miał dwa), rozłożył go na ziemi i rzekł:

— Proszę.

Nazajutrz o siódmej rano Mariusz wrócił do rudery, zapłacił komorne i to, co był winien starej Bougon, załadował na ręczny wózek swoje książki, łóżko, stół, komodę oraz dwa krzesła i odjechał, nie zostawiając adresu Tak więc, kiedy Javert nadszedł tego jeszcze ranka by wypytać go o wypadki poprzedniego wieczora zastał tylko jejmość Burczymuchę, która odpowiedziała: Wyprowadził się!"

Jejmość Burczymucha była przekonana, że Mariusz miał coś wspólnego z ujętymi wieczorem opryszkami. „Kto by to pomyślał! — wykrzykiwała u stróżek w sąsiedztwie. — Takie to młode! A wyglądało jak panienka!"

Mariusz wyprowadził się tak szybko dla dwóch powodów. Po pierwsze, nabrał wstrętu do tego domu, w którym z tak bliska, z całą ohydą i okropnością szczegółów ujrział szpetotę społeczną, szkaradniejszą jeszcze może od złego bogacza: złego nędzarza. Po wtóre, nie chciał występować w procesie, do którego prawdopodobnie miało dojść, ani świadczyć na niekorzyść Thenardiera.

Javert pomyślał, że młodzieniec, którego nazwiska nawet nie pamiętał, zląkł się i uciekł, a może w ogóle nie wrócił do domu na moment zasadzki; mimo to starał się go odnaleźć, ale bezskutecznie.

Upłynął miesiąc, potem drugi. Mariusz mieszkał wciąż u Courfeyraca. Dowiedziawszy się od pewnego aplikanta adwokackiego, bywalca poczekalni Pałacu Sprawiedliwości, że Thenardier siedzi w areszcie, co poniedziałek składał dla niego pięć franków w kancelarii więzienia La Force.

Ponieważ zaś wyczerpał swe oszczędności, pożyczał te pięć franków od Courfeyraca. Pierwszy raz w życiu pożyczał pieniądze. Ta regularna przesyłka pięciu franków stanowiła podwójną zagadkę — dla Courfeyraca, który je dawał, i dla Thenardiera, który je otrzymywał. „Do kogo one idą?” — myślał Courfeyrac; „Od kogo one przychodzą?” — zastanawiał się Thenardier.

Mariusz był zresztą zdruzgotany. Wszystko znowu zapadło się jak w przepaść. Nic nie widział przed sobą; życie jego znów otoczyła tajemnica, w której błądził po omacku. Na chwilę ujrzał z bliska w tej ciemności ukochaną dziewczynę, starca wyglądającego na jej ojca, obie te nieznane istoty, które były jego jedynym zainteresowaniem, jedyną nadzieją na świecie; a kiedy zdawało mu się, że już je chwyta, jakiś podmuch uniósł te cienie. Ani jedna isierka pewności i prawdy nie wytrysnęła ze straszliwego starcia. Daremne były wszelkie domysły. Nie znał już nawet jej imienia, choć niegdyś sądził, że je zna. Na pewno nie „Urszula”. A Skowronek to przezwisko. I co miał myśleć o starcu? Czy istotnie ukrywał się przed policją? Przypomniawszy sobie siwowłosego robotnika, którego spotkał w okolicy Inwalidów. Możliwym stawało się teraz przypuszczenie, że ów robotnik i pan Biały byli tą samą osobą. A więc przebierał się? Ten człowiek był bohaterski, a zarazem podejrzany. Dlaczego nie wzywał pomocy? Dlaczego uciekł? Był czy nie był ojcem dziewczyny? Czy wreszcie był naprawdę owym człowiekiem, którego Thenardier zdawał się poznawać? Czy Thenardier mógł się pomylić? Tyle zagadek nie do rozwiązania. Wszystko to, co prawda, nie pomniejszało anielskiego czaru dziewczęcia z Ogrodu Luksemburskiego. Smutek przejmujący; Mariusz miał w sercu wielką miłość, a na oczach — noc. Coś go popychało, coś go przyciągało, a on nie mógł się ruszyć. Wszystko się rozwiało — oprócz miłości. A miłość sama zatraciła swój instynkt i nagłe objawienia. Zazwyczaj ten płomień, który nas spala, oświeca nas również i rzuca jakieś użyteczne światło na wydarzenia świata zewnętrznego. Ale Mariusz nie słyszał już nawet cichych rad miłości. Nigdy nie mówił sobie: „A może by pójść tam? A może by zrobić to?” Ta, której nie mógł już zwać Urszulą, była gdzieś przecie, to oczywiste; lecz nic nie mówiło Mariuszowi, gdzie należy jej szukać. Całe jego życie streszczało się teraz w słowach: zupełna niepewność w nieprzeniknionym mroku. Zobaczyć ją! Zobaczyć! Wciąż jeszcze marzył o tym, lecz już się tego nie spodziewał.

Na domiar złego, wróciła nędza. Czuł jej lodowate tchnienie koło siebie, za sobą. Rozterki duchowe sprawiły, że od dawna już zarzucił pracę, a nie ma nic niebezpieczniejszego od przerwanej pracy; tak traci się przyzwyczajenie. Przyzwyczajenie łatwe do porzucenia, trudne do odzyskania.

Nieco marzycielstwa jest rzeczą równie dobrą jak narkotyk w małej dawce. Koi silne nieraz rozgorączkowanie pracującego umysłu i rodzi w duszy miękka, świeżą mgłę, która łagodzi surowe zarysy czystej myśli, wypełnia gdzieś braki i niedociągnięcia, wiąże całości i ściera zbyt ostre kontury idei. Ale nadmiar marzycielstwa zalewa i topi. Biada człowiekowi pracującemu umysłem, który myśl porzuci dla marzenia. Sądzi, że się łatwo wydobędzie z tego nawyku, i powiada sobie, że ostatecznie to jedno i to samo. Złudzenie.

Myśl jest pracą umysłu, marzenie jest jego rozkoszą. Kto myśl zastępuje marzeniem, ten nie odróżnia pożywienia od trucizny.

Jak pamiętamy, od tego właśnie zaczął Mariusz Nadeszła miłość i do reszty wtrąciła go w świat rojeń bez celu i dna. Wychodzi się z domu po to tylko, aby marzyć. Leniwa to praca twórcza. Otchłań zgiełkliwa i gnuśna. A w miarę, jak zmniejsza się praca, rosną potrzeby. Takie jest prawo. Człowiek marzycielski jest z natury rzeczy rozrzutny i słaby; umysł, który folguje sobie, nie potrafi trzymać życia w garści. Ten sposób życia ma dobre i złe strony, jeśli bowiem słabość jest zgubna, wspaniałomyślność jest zdrowa i dobra. Ale człowiek biedny, hojny i uczciwy jest zgubiony jeśli nie pracuje. Zasoby zmniejszają się, potrzeby mnożą.

Niebezpieczna to pochyłość, na której znajdują się zarówno istoty najbardziej szlachetne i dzielne, jak słabe i podłe, a która wiedzie do dwóch przepaści: samobójstwa albo zbrodni.

Poty człowiek chodzi na przechadzki tonąc w marzeniach, aż pewnego dnia wyjdzie, by się rzucić do rzeki.

Zbytek marzycielstwa stwarza takich ludzi jak Escousse i Lebras .

Mariusz staczał się powoli po tej pochyłości, z oczyma utkwionymi w tę, której już nie widział. Ostatnie słowa mogą się wydać dziwne, a jednak są prawdziwe. Wspomnienie istoty nieobecnej zapala się w ciemnościach serca; im bardziej jest nie do odnalezienia, tym mocniej promienieje; rozpaczona, mroczna dusza widzi to światło na swym nieboskłonie, tę gwiazdę duchowej nocy. Jedyłą myślą Mariusza była Ona. Nie marzył o niczym innym; niejasno zdawał sobie sprawę, że jego stare ubranie stawało się niemożliwe do noszenia, że nowe ubranie stawało się starym ubraniem, że koszule były zniszczone, że kapelusz był zniszczony, że buty były zniszczone, słowem, że życie jego było

zniszczone, i mówił sobie: „Ach, gdybym mógł, ją choć raz ujrzeć przed śmiercią!”

Pozostała mu tylko jedna słodka myśl, myśl, że Ona go kochała; powiedziała; mu to jej spojrzenie; nie znała wprawdzie jego imienia, ale znała jego duszę i może tam, gdzie teraz przebywa — w jakimś nieznanym miejscu — kocha go jeszcze. Kto wie? Może myśli o nim jak on o niej? Czasem w owych niewytłumaczonych chwilach, które przeżywa każde kochające serce, mając jedynie powody do smutku, a jednak czując ciche drżenie radości, mówił sobie: „To jej myśli do mnie przyszły!” Potem dodawał: „Może moje myśli też do niej dochodzą?”

To złudzenie, nad którym chwilę później sam kiwał głową, potrafiło wszakże rozniecić w jego duszy promienie, które czasem podobne były do nadziei.

Niekiedy — zwłaszcza o tej wieczornej godzinie, która najgłębszym smutkiem przejmuje marzycieli, kreślił w zeszycie, specjalnie na ten cel przeznaczonym, słowa najczystszych, bezosobistych, najbardziej idealnych uczuć, jakimi miłość przepełniała mu głowę. Nazywał to „listami do Niej”.

Nie trzeba sądzić, że mącił mu się rozum. Przeciwnie. Choć zatracił zdolność do pracy i wytrwałego dążenia do określonego celu, nigdy nie miał równie jasnego spojrzenia i trafnego sądu. Widział w świetle spokojnym i realnym, choć dość osobliwym, wszystko, co przesuwawało mu się przed oczyma, nawet najzupełniej: obojętnych ludzi czy zdarzenia, wszystko oceniał własnie- wie z jakimś szlachetnym przygnębieniem i pogodną obojętnością. Sądy jego prawie całkowicie wyzbyte złudzeń szybowwały wysoko.

W takim stanie umysłu nic nie uchodziło jego uwagi, nic nie wprowadzało go w błąd, w każdej chwili zgłębiał istotną treść życia, ludzkości i przeznaczenia. Szczęśliwy nawet w cierpieniu — ten, kogo Bóg obdarzył duszą godną miłości i nieszczęścia. Kto nie widział spraw tego świata i serca ludzkiego w tym podwójnym świetle — ten nie zna prawdy i nie wie nic.

Wzniosły jest stan duszy, która kocha i cierpi.

Dni następowały po sobie, nie przynosząc nic nowego. Mariusz miał tylko wrażenie, że ciemna przestrzeń, która mu pozostaje do przebycia, kurczy się z każdą chwilą. Zdawało mu się, że już widzi wyraźnie krawędź bezdennej przepaści. „Jak to — mówił sobie— więc Jej przed tym nie zobaczę?”

Kto pójdzie w górę ulicą Św. Jakuba, minie roгатkę, przejdzie niewielki kawałek starym bulwarem wewnętrznym po lewej stronie i dojdzie do ulicy Sante, a następnie do ulicy Glaciere, ten nie dochodząc do rzeczutki Gobelins napotka

coś w rodzaju pola, jedyne miejsce w długim i jednostajnym pierścieniu bulwarów paryskich, gdzie Ruysdael miałby ochotę zatrzymać się.

Jest w nim coś, z czego płynie jakiś niewystłowny czar; zielona łączka z rozpiętymi we wszystkich kierunkach sznurami, na których wiatr suszy jakieś szmaty, stara farma ogrodnicza z czasów Ludwika XIII, z wysokim dachem o dziwnie rozmieszczonych mansardach, walące się płoty, tafle wody między topolami, kobiety, śmiechy, głosy; w dali na widnokręgu Panteon, drzewo przy Instytucie Głuchoniemych i Val-de-Grace, budynek czarny, przysadzisty, fantastyczny, śmieszny i wspaniały, a w głębi surowe, prostokątne wieże katedry Marii Panny.

Ponieważ jest to miejsce warte widzenia, nikt tam nie przychodzi. Najwyżej parę razy na godzinę przejedzie jakiś wóz.

Zdarzyło się raz, że podczas samotnej przechadzki Mariusz zawędrował na tę łączkę w pobliże tej wody. Tego dnia ktoś szedł bulwarem — niezwykle wydarzenie! Mariusz, uderzony półdzikim urokiem tego miejsca, zapytał przechodnia:

— Jak się nazywa ten zakątek? Przechodzień odpowiedział:

— Skowronkowe Pole. — I dodał: — To tutaj Ulbach zabił pastuszkę z Ivry .

Ale po słowie „Skowronkowe” Mariusz nic już więcej nie słyszał. Bywa, że jedno słowo wystarczy by rozmarzenie przeszło w stan stężenia. Wszystkie myśli skupiają się nagle wokół jednej idei i nie są zdolne do przyjmowania innych wrażeń. Skowronek to było imię, które w głębinach melancholii Mariusza zajęło miejsce Urszuli. „Ach! — powiedział w owym zdumieniu towarzyszącym tajemniczemu monologowi wewnętrznemu — to jej pole! Tutaj dowiem się, gdzie mieszka.”

Skojarzenie to było niedorzeczne, lecz nieodparte. I zaczął codziennie przychodzić na to Skowronkowe Pole.

ROZDZIAŁ II

Zalążki zbrodni, rodzące się w wylęgarni więziennej

Triumf Javerta w ruderze Gorbeau wydawał się zupełny, ale taki nie był.

Przede wszystkim — i to martwiło go najbardziej — nie uwięził więźnia. Ofiara która ucieka, jest bardziej podejrzana od mordercy: ów osobnik, tak cenny łup dla bandytów, byłby prawdopodobnie niemniej pożądaną zdobyczą dla władzy.

Poza tym, wymknął się też Javertowi Montparnasse.

Należało czekać innej sposobności, by złowić tego „diabelskiego fircyka”. Montparnasse bowiem spotkawszy Eponinę na warcie pod drzewami bulwaru, zabrał ją stamtąd, gdyż wolał zabawić się z córką w Nemorina niż z ojcem w Schinderhannesa. I dobrze na tym wyszedł. Był wolny. Co do Eponiny, to Javertowi udało się wprowadzić ją „przytapać”, ale nędzna to była pociecha. Eponina dostała się do Magdalenek, gdzie już siedziała Anzelma.

Wreszcie, w drodze z rudery Gorbeau do więzienia La Force, znikł jeden z ważniejszych aresztowanych — Claquesous. Nikt nie wiedział, jak się to stało, policjanci i żandarmi „nic z tego nie rozumieli”; ulotnił się, wyśliznął z kajdanek, wysunął się jakąś szparką — bo dorożka była porozbijana — i uciekł. Umiano powiedzieć tylko tyle, że gdy dojechali do więzienia — Claquesous nie było. Kryły się w tym czary lub policja. Czy roztopił się w ciemnościach, jak płatek śniegu w wodzie? Czy pozostawał w tajnym porozumieniu z agentami? Czy był podwójną zagadką: bezprawia i ładu? Czy brał jednocześnie udział w naruszaniu i w obronie porządku społecznego? Czy ten sfinks miał przednie łapy w zbrodni, a tylne we władzy? Javert nie dopuszczał takich kombinacji i odrzuciłby gniewnie podobny kompromis; ale poza nim brali udział w wyprawie inni inspektorzy, którzy — choć jego podwładni — byli może bardziej wtajemniczeni w arkana prefektury. Claquesous zaś był tak wybitnym zbrodniarzem, że mógł być znakomitym agentem. Pozostawanie w tak ścisłym, czarnoksięskim nieomal, porozumieniu z nocą jest rzeczą równie przydatną dla rozboju, jak i dla policji. Zdarzają się takie „obosieczne” łotrzyki. Jakkolwiek rzeczy się miały, zguba się nie odnalazła. Javert wydawał się bardziej tym rozgniewany niż zdziwiony.

Co do Mariusza, „tego mazgaja-adwokata, który prawdopodobnie stchórzył”, a którego nazwiska nie pamiętał, Javert mało się o niego troszczył. Zresztą, adwokata zawsze można jakoś odszukać. Czy aby naprawdę był adwokatem?

Rozpoczęło się śledztwo.

Sędzia śledczy uznał za stosowne nie umieszczać jednego z członków bandy Ślepego Kura w osobnej celi. licząc na to, że się z czymś wygada. Tym więźniem był Brujon, długowłosy opryszek z ulicy Małego Bankiera. Pozwolono mu chodzić po podwórzu Karola Wielkiego, a dozorczy mieli go na oku.

Nazwisko Brujon należy do historii więzienia La Force. Na ohydny podwórzu Nowego Gmachu, zwanym przez zarząd więzienia podwórzem Św. Bernarda, a przez więźniów — Lwią Jamą — na obdrapanym i brudnym murze z lewej strony sięgającym wysokości dachów, koło starej zardzewiałej furty wiodącej do dawnej kaplicy książęcego pałacu La Force, przemienionej na sypialnie dla zbójów, można było zobaczyć jeszcze dwanaście lat temu rodzaj baszty, nieudolnie wyrytej gwoździem w kamieniu, a pod tym podpis:

Brujon 1811

Ów Brujon z 1-81 roku był ojcem Brujona z roku 1832.

Opryszek ten, którego widzieliśmy tylko przelotnie podczas zasadzki w ruderze Gorbeau, był młodym, zręcznym i kutym na cztery nogi chwatem z miną płacznego niedołęgi. Ta właśnie mina sprawiła, że sędzia śledczy nie zamknął go, sądząc, że więcej, będzie z niego korzyści na podwórzu Karola Wielkiego niż w osobnej celi.

Złodzieje nie przerywają swej pracy, gdy się znajdują w ręku sprawiedliwości. Taka drobnostka nie stanowi dla nich przeszkody. Można odsiadywać w więzieniu karę za zbrodnię i rozpoczynać nową zbrodnię. Są to artyści, którzy posłali obraz na wystawę, a równocześnie pracują w swej pracowni nad nowym dziełem.

Brujon wydawał się w więzieniu zupełnie ogłupiały. Widziano, jak wystawał nieraz całymi godzinami na podwórzu Karola Wielkiego przed okienkiem. kantyny i z miną idioty patrzył na brudny cennik, który zaczynał się pozycją: „Czosnek — 62 centymy”, a kończył: „Cygaro — pięć centymów”. Albo też cały czas trząsał się, szcząkał zębami, mówił, że ma gorączkę, i pytał, czy któreś z dwudziestu ośmiu łóżek na izbie chorych jest wolne.

Nagle w drugiej połowie lutego 1832 okazało się, że ten niedołęga Brujon, nie w swoim imieniu, ale w imieniu trzech kolegów, dał posługaczom więziennym trzy różne zlecenia, za które zapłacił całe pięćdziesiąt su. Była to suma tak

zawrotna, że zwróciła uwagę wachmistrza...

Zasięgnięto wiadomości i po sprawdzeniu cennika zleceń, umieszczonego w rozmównicy dla więźniów, stwierdzono, że sumą pięćdziesięciu su zadysponowano w następujący sposób: trzy zlecenia: jedno w dzielnicy Panteonu — 10 su; drugie w dzielnicy Val-de-Grace — 15 su; trzecie przy rogatce Grenelle — 25 su. To ostatnie było najdroższe w cenniku. Otóż właśnie w pobliżu Panteonu, w okolicy Val-de-Grace i przy rogatce Grenelle mieszkało trzech bardzo niebezpiecznych podmiejskich rzezimieszków: Kruideniers, zwany Bizarro, Słoneczko, dawny galernik, i Zawalidroga, na których wypadek ten zwrócił uwagę policji. Domyślano się, że mieli jakieś związki z bandą Ślepego Kura, której przymknięto hersztów: Babeta i Gueulemera. Przypuszczano też, że w przesyłkach Brujona, kierowanych nie do domu, według adresu, lecz doręczonych ludziom czekającym na ulicy, muszą kryć się jakieś konszachty, wskazówki w sprawie nowej zbrodni; były inne jeszcze poszlaki; zatrzymano trzech rzezimieszków i — jak się zdawało — trafiono na ślad jakichś knowań Brujona.

W tydzień mniej więcej po przedsięwzięciu tych środków, pewnej nocy, kiedy dozorca nocny, pilnujący sypialni na dole w Nowym Gmachu, wrzucał swój kasztan do skrzynki — sposobu tego" używano, aby upewnić się że dozorca wypełniają ściśle służbę: co godzina jeden kasztan powinien był wpadać do skrzynki przybitej przy drzwiach każdej sypialni — zatem dozorca ów zobaczył przez judasza, że Brujon siedzi na łóżku i pisze coś przy świetle lampki. Dozorca wszedł, Brujona wsadzono na miesiąc do osobnej celi, ale tego, co pisał, nie udało się odnaleźć. I policja nie dowiedziała się nie więcej.

Jedno jest tylko pewne, że nazajutrz z podwórza Karola Wielkiego do Lwiej Jamy, ponad pięciopiętrowym gmachem, który je przedzielał, został przerzucony „poślaniec”.

Więźniowie nazywają „poślańcem” gałkę chleba, przemyślnie ulepioną, którą posyła się do Irlandii, to znaczy ponad dachy więzienia z jednego podwórza na drugie. Źródłostów: z jednej ziemi na drugą: przez Anglię — do Irlandii. — Gałka pada na podwórze. Ten, kto ją podnosi, otwiera i znajduje w niej karteczkę, zaadresowaną do jednego z więźniów. Jeśli gałkę znajdzie więzień, oddaje karteczkę adresatowi; jeśli dozorca więzienny lub jeden z więźniów tajnie zaprzędany, których w więzieniach nazywają „baranami”, a na galerach „lisami”, kartka zostaje zanesiona do kancelarii i oddana policji.

Tym razem „poślaniec” doszedł do rąk właściwych, chociaż ten, do kogo był adresowany, siedział wówczas w „separatce” Adresatem był sam Babet, jeden z czterech hersztów bandy Ślepego Kura.

„Posłaniec” zawierał zwinięty papier, na którym napisane było tych parę słów:

Babet. Jest robota na ulicy Plumet. Kraty przy ogrodzie.

To właśnie napisał Brujon owej nocy.

Pomimo wścibskich „szperaczy” i „szperaczek”, Babet znalazł sposób, by przesłać karteczkę z więzienia La Force do więzienia Salpetriere, gdzie siedziała jedna z jego „przyjaciółek”. Dziewczyna z kolei przesłała kartkę swojej znajomej imieniem Magnon, która, mimo że policja miała ją na oku, przebywała jeszcze na wolności. Owa Magnon, z której imieniem czytelnik już się spotkał, miała z rodziną Thenardierów stosunki, które później opiszemy dokładniej, i odwiedzając Eponinę, mogła służyć za łączniczkę między Salpetriere a Magdalenkami.

Właśnie w owym czasie, z braku dowodów przeciw córkom Thenardiera w śledztwie wszczętym w jego sprawie, Eponina i Anzelma zostały zwolnione.

Kiedy Eponina wyszła, Magnon, która czekała na nią przed bramą Magdalenek, oddała jej kartkę Brujona do Babetu i poleciła „wyjaśnić sprawę”.

Eponina poszła na ulicę Plumet, odnalazła kraty i ogród, wypatrywała, szpiegowwała i po paru dniach zaniósła Magnon, mieszkającej przy ulicy Clocheperce, sucharek, który ta z kolei oddała kochance Babetu w Salpetriere. Sucharek oznacza w ciemnej symbolice więziennej: „Tam nie ma roboty.”

Kiedy więc po upływie niespełna tygodnia Babet i Brujon spotkali się na podwórzu, jeden idąc na śledztwo, drugi wracając ze śledztwa:

— No i co? — zapytał Brujon — ulica P?

— Sucharek — odpowiedział Babet.

Tak został poroniony ten zarodek zbrodni, spłodzonej w więzieniu przez Brujona.

Poronienie to pociągnęło jednak za sobą następstwa, nie mające nic wspólnego z zamiarami Brujona. Jakie — zobaczymy wkrótce.

Nieraz, myśląc, że zadzierzgamy jakąś nić, nawiązujemy inną.

ROZDZIAŁ III

Zjawa nawiedza ojca Mabeuf

Mariusz nie bywał już u nikogo, czasami tylko zdarzało mu się spotkać ojca Mabeuf.

Podczas gdy Mariusz powoli zstępował po stopniach, które można by nazwać schodami do piwnicy, wiodącymi do owych miejsc bez promyka światła, gdzie nad głową słychać kroki ludzi szczęśliwych, pan Mabeuf także schodził coraz niżej.

Flory z okolic *Cauteretz* nikt już nie kupował. Doświadczenia z indygiem nie powiodły się w małym ogródku w dzielnicy Austerlitz, który miał złą wystawę słoneczną. Pan Mabeuf mógł tam hodować tylko kilka rzadkich roślin, lubiących wilgoć i cień. Jednakże nie zniechęcał się. Dostał w Ogrodzie Botanicznym skrawek ziemi w miejscu słonecznym i tam „na koszt własny” przeprowadzał doświadczenia z indygiem. W tym celu zastawił w lombardzie miedziorytowe płyty *Flory* Ograniczył śniadanie do dwóch jajek, jedno z nich oddawał starej służącej, której od piętnastu miesięcy nie płacił pensji. I często śniadanie stanowiło jego jedyny posiłek Nie śmiał się już dziecięcym śmiechem stał się osowiały i nie przyjmował gości. Mariusz dobrze robił, że go nie odwiedzał. Czasem, gdy pan Mabeuf szedł do Ogrodu Botanicznego, starzec i młodzieniec mijali się na bulwarze Szpitalnym lecz nie rozmawiali ze sobą, pozdrawiając się tylko smutnym skinieniem głowy. Bolesne to, że nadchodzi chwila, w której nędza rozdziela ludzi. Niegdyś byli przyjaciółmi, dziś stali się przechodniami.

Księgarz Royol umarł Pan Mabeuf miał- już tylko swoje książki, swój ogród i swoje indygo. Te trzy kształty przybrały dlań: szczęście, przyjemność i nadzieja To mu wystarczało, by żyć Powiadał sobie: „Kiedy wyhoduję swój niebieski barwik, będę bogaty; wykupię miedzioryty z lombardu, rozreklamuję *Florę*, niczym szarlatan, dam szumne ogłoszenia do gazet i kupię sobie — wiem dobrze gdzie — egzemplarz *Sztuki żeglarskiej* Piotra z Medyny wydaniu z 1559 roku z drzeworytami. Na razie pracował całymi dniami na swym zagonku z indygiem, wieczorem wracał do domu, podlewał ogródek i czytał. W owym czasie zbliżał się już do osiemdziesiątki.

Pewnego wieczora nawiedziła go osobliwa zjawa.

Wrócił do domu jeszcze za dnia. Matka Plutarch, która podupadała na siłach, była chora i leżała w łóżku. Na obiad obgryzł kość, na której było trochę mięsa, przekąsił kawałkiem chleba znalezionym na stole w kuchni i usiadł w ogrodzie

na przewróconym kamiennym słupku, zastępującym mu ławkę.

Niedaleko ławki stał rodzaj wielkiej, bardzo zniszczonej skrzyni, jakie się spotyka w dawnych sadach, zbitej z bierwion i desek, z klatką na króliki na dole i półkami na owoce w górze. W klatkach nie było królików, ale na półkach zostało jeszcze parę jabłek, resztki zapasów zimowych.

Pan Mabeuf włożył okulary i zaczął przeglądać i czytać dwie książki, które ogromnie mu się podobały, a nawet, rzecz poważniejsza w jego wieku, bardzo go pochłaniały. Wrodzona nieśmiałość czyniła go w pewnej mierze przesadnym. Jedną z książek była słynna rozprawa prezydenta Delancre: *O zmienności demonów*, drugą dzieło in-quarto Mutora de la Rubaudiere:

O diabłach z Vauvert i strzygach z Bievre Książka ta interesowała pana Mabeuf tym więcej, że ogródek jego położony był w miejscu nawiedzanym niegdyś przez strzygi. Zmierzch zaczął rozjaśniać niebo, a zaciemniać ziemię. Nie przerywając czytania, pan Mabeuf spoglądał ponad kartkami książki na swoje rośliny, szczególnie zaś na wspaniałe rododendron, który był jedną z jego radości. Po czterech dniach suszy, wiatru i słońca łodygi roślin gięły się bezsilnie, kielichy kwiatów chyliły się, liście opadały; wszystko domagało się wody; zwłaszcza rododendron był w żałosnym stanie. Dla ojca Mabeuf kwiaty miały duszę Starzec przepracował cały dzień nad zagonkieni indyga i upadał ze znużenia; mimo to wstał, odłożył książki na ławkę i zgarbiony, chwiejnym krokiem podszedł do studni ale gdy ujął łańcuch, nie miał nawet dość siły, by go odzepić.

Odwrócił się i podniósł pełne udręki spojrzenie ku niebu, które wypełniało się gwiazdami.

Wieczór miał w sobie ową pogodę, która przytłacza cierpienia ludzkie jakąś nieubłaganą i wieczną radością. Noc zapowiadała się równie sucha jak dzień.

„Wszędzie gwiazdy! — pomyślał starzec— ani jednej chmurki, ani jednej kropli wody!”

I głowa, podniesiona na chwilę, opadła mu na piersi.

Podniósł ją znowu i spojrzał jeszcze raz w niebo, szepcząc:

— Och, jedną łzę rosy, odrobinę litości!

Raz jeszcze pociągnął za łańcuch od studni, lecz daremnie.

W tej chwili usłyszał głos, który powiedział:

— Ojciec Mabeuf, chce pan, żebym podlała ogród?. Jednocześnie coś zaszeleściło w żywopłocie, jak ,gdy.

by przemykało się tam jakieś dzikie zwierzę, i starzec zobaczył wychodzącą z zarośli wysoką i chudą postać dziewczęcą, która stanęła przed nim i spojrzała nań śmiało. Wyglądała raczej na widmo wylęgłe z wieczornego zmierzchu niż na istotę ludzką.

Nim ojciec Mabeuf, który, jak już mówiliśmy, łatwo się przerażał, zdołał wyjąkać słówko, istota ta, z dziwną gwałtownością poruszająca się w mroku, odczepiła łańcuch, zanurzyła wiadro wyciągnęła je i napełniła konewkę. I pocziwiec zobaczył, że ta bosonoga i obdarta zjawa przebiega wzdłuż grządek kwiatów, rozlewając wokół życie. Szmer wody padającej na liście napełniał zachwytem duszę ojca Mabeuf. Wydawało mu się, że teraz rododendron jest szczęśliwy.

Opróżniwszy jedno wiadro, dziewczyna wyciągnęła drugie, potem trzecie. Podlała cały ogród.

Krążąc tak po ścieżkach, wśród których jej sylwetka wydawała się całkiem czarna, i poruszając podartą chustką na swoich długich kościstych ramionach, podobna była do nietoperza.

Gdy skończyła robotę, ojciec Mabeuf zbliżył się ze łzami w oczach i położył rękę na jej czole.

— Bóg ci pobłogosławi — rzekł. — Jesteś aniołem, bo troszczysz się o kwiaty.

— Nie — odpowiedziała. — Jestem diabłem, ale wszystko mi jedno!

Nie czekając na odpowiedź i nie słysząc jej, starzec zawołał:

— Jaka szkoda, że jestem tak nieszczęśliwy i biedny i nie mogę nic dla ciebie zrobić!

— Owszem, może pan — odpowiedziała.

— Cóż takiego?

— Powiedzieć mi, gdzie mieszka pan Mariusz! Starzec nie zrozumiał.

— Jaki pan Mariusz?

Podniósł szklisty wzrok i zdawał się szukać czegoś, co zniknęło.

— Młody panicz, co tu kiedyś przychodził. Pan Mabeuf tymczasem szukał w pamięci.

— Ach, tak — zawołał. — Już wiem, o kogo chodzi! Poczekaj! Pan Mariusz... baron Mariusz Pontmercy, tak! Mieszka... a raczej już nie mieszka... Dalibóg, nie wiem!

Mówiąc to, nachylił się, by poprawie gałązkę rododendronu, i ciągnął dalej:

— Prawda, teraz sobie przypominam. Bardzo często przechodzi bulwarem idąc w stronę Glaciere; Ulica Croulebarbe. Skowronkowe Pole. Pójdź tam. Łatwo go spotkać.

Gdy pan Mabeuf podniósł głowę, nie było już nikogo. Dziewczyna znikła. Ogarnął go strach.

ROZDZIAŁ IV

Zjawa ukazuje się Mariuszowi

Pewnego poranka, w parę dni po wizycie „ducha” u ojca Mabeuf. a był to poniedziałek dzień pożyczania pięciofrankówki od Courfeyraca dla Thenardiera — Mariusz wsunął pieniądze do kieszeni przed zanieśieniem ich do kancelarii więzienia i poszedł „przejsć się nieco” w nadziei że po powrocie będzie mu łatwiej pracować Zresztą stale się powtarzała ta sama historia. Ledwo wstał z łóżka, zasiadał od razu nad książką i arkuszem papieru aby sklecić naprędce jakieś tłumaczenie: pracował wtedy nad przekładem na język francuski sławnego sporu dwóch Niemców: Gansa i Sa-vigny'ego brat Savigny'ego brat Gansa czytał cztery wiersze, starał się napisać choć jeden; nie mógł. jakaś gwiazda stawała pomiędzy, papierem a jego oczami, zrywał się z krzesła mówiąc: „Pójdę się przejsć! To mnie usposobi do pracy!”

I szedł na Skowronkowe Pole.

Tam o wiele wyraźniej widział gwiazdę, a o wiele słabiej Savigny'ego i Gansa.

Wracał, usiłował znowu zabrać się do pracy i nigdy mu się to nie udawało. Niesposób było związać którąś z porozrywanych nici jego umysłu; wówczas mówił sobie: „Jutro nie wyjdę. Przeszkadza mi to w pracy.” I wychodził co dzień.

Więcej mieszkał na Skowronkowym Polu niż u Courfeyraca. Prawdziwy jego adres brzmiał: „Bulwar Sante, pod siódmym drzewem za ulicą Croulebarbe.”

Tego poranka opuścił swoje siódme drzewo i usiadł na murku na brzegu rzeczki Gobelins. Wesołe słońce przeświecało świeże, jaśniejące blaskiem liście.

Marzył o Niej. A marzenie, zamieniając się w wyrzut sumienia, zwracało się przeciw niemu; rozmyślał boleśnie o swym lenistwie, tym paraliżu ducha, który go ogarniał, i o tej nocy, która z każdą chwilą stawała się gęstsza wokół niego, tak że nie widział już słońca.

Jednakże poprzez smutne snucie niejasnych myśli, które nie tworzyły nawet monologu, tak bowiem osłabła w nim zdolność do jakiegokolwiek działania, że nie miał nawet siły, aby chcieć się martwić, poprzez tę melancholijną zadumę, przenikały doń wrażenia ze świata zewnętrznego. Za sobą i przed sobą, z obu brzegów rzeczki słyszał kijanki praczek z Gobelins, bijące bieliznę, a nad głową świergot ptaków śpiewających w więzach. Z jednej strony odgłosy wolności, szczęśliwej beztroski, skrzydlatej swobody; z drugiej — odgłosy pracy.

Rozmarzył się nad tym, a nawet zamyślił głęboko.

Nagle z przygnębienia i zachwytu wyrwał go głos, który mówił:

— No! Jest tutaj!

Podniósł oczy i poznał nieszczęśliwą dziewczynę, która przyszła niegdyś do niego, starszą córkę Thenardierów, Eponinę. Wiedział teraz, jak ma na imię. Dziwna rzecz, wynędzniała i wyładniała, dwie rzeczy, do których zdawała się być niezdolna. Dokonała podwójnego postępu — ku światłu i ku nędzy.

Była bosą i obdarta jak owego dnia, gdy tak. śmiało wtargnęła do jego pokoju, tylko że łańchmany jej były o dwa miesiące starsze, bardziej dziurawe i jeszcze brudniejsze. Był to ten sam ochrypły głos, to samo ciemne czoło o skórze spękanej od słońca, to sama zuchwałe, błędne i niepewne spojrzenie. Poza tym, rzecz nowa, twarz jej miała ten wyraz wystraszony i żałosny, który dodaje do nędzy pobyt w więzieniu.

Zdźbła słomy i siana tkwiły w jej włosach, nie dlatego że jak Ofelia oszalała zaraziwszy się szaleństwem Hamleta, lecz dlatego, że spędziła noc na jakimś stajennym strychu.

A jednak z tym wszystkim była piękna. Jakąż ty jesteś gwiazdą, o młodości!

Zatrzymała się przed Mariuszem z odrobiną radości na wybladłej twarzy i czymś, co przypominało cień uśmiechu.

Stała tak parę chwil i jakby nie mogła przemówić.

— No, więc spotkałam pana! — rzekła wreszcie. — Ojciec Mabeuf miał rację, to na tym bulwarze. Żeby pan wiedział, com się pana naszukała! Siedziałam w ciupie, wie pan? Dwa tygodnie. Wypuścili mnie, *bo* nie mieli dowodów, a przy tym jestem niepełnoletnia. Brakowało mi dwóch miesięcy. Ale się pana naszukałam! Całe sześć tygodni! To pan już teraz tam nie mieszka?

— Nie — rzekł Mariusz.

— Rozumiem. Z powodu tamtej historii. Takie awantury to nic przyjemnego. Więc się pan wyprowadził. Ale dlaczego pan nosi taki stary kapelusz? Taki panicz, jak pan, powinien się ubierać elegancko. A czy pan wie, że ojciec Maibeudi mówi o panu: „baron Mariusz” — i nie wiem już, co dalej. E, ale pan chyba nie jest baronem?

Baronowie to takie stare dziady, co łażą po Ogrodzie Luksemburskim, koło pałacu, wygrze-wają się na słońcu i czytają „La Quotidienne” za jednego su.

Nosiłam raz list do takiego barona. Miał chyba ze sto lat. Niech pan powie, gdzie pan teraz mieszka?

Mariusz nie odpowiedział.

— O! — mówiła dalej — pan ma dziurę w koszuli Muszę ją zacerować.

I ciągnęła głosem coraz smutniejszym:

— Nie bardzo się pan cieszy na mój widok. Mariusz milczał; Eponina też zamilkła na chwilę, po czym zawołała:

— Gdybym chciała, to bym tak zrobiła, że pan musiałby się ucieszyć.

— Co? — zapytał Mariusz. — Co pani chce przez to powiedzieć?

— Ach, dawniej mówił mi pan „ty” — odrzekła.

— No więc, co chcesz przez to powiedzieć? Zagryzła usta; zdawała się wahać i walczyć ze sobą. Wreszcie jak gdyby powzięła decyzję.

— Trudno, mniejsza o to! Pan jest smutny, a ja chcę, żeby pan był wesoły. Tylko proszę mi obiecać, że się pan będzie śmiać. Chcę, żeby pan się śmiał i powiedział: „A dobrze! doskonale!” Biedny panie Mariuszu! A pamięta pan? Obiecał pan dać mi wszystko, co zechcę?...

— Tak, ale powiedz wreszcie!

Zajrzała mu głęboko w oczy i powiedziała:

— Mam adres!

Mariusz zbladł. Cała krew spłynęła mu do serca.

— Jaki adres?

— Adres, o który pan mnie prosił. I dodała, jakby z wysiłkiem:

— Adres... przecież pan wie?

— Tak! — wyjąkał Mariusz.

— Tej panienki!

Wypowiedziawszy to słowo westchnęła głęboko.

Mariusz zeskoczył z murka, na którym siedział, i jak szalony chwycił ją za rękę.

— Och, zaprowadź mnie! Mów! Żądaj, czego tylko chcesz! Gdzie to?

— Niech pan idzie ze mną — odrzekła. — Me wiem, jak się nazywa ta ulica ani który to numer. To w zupełnie innej stronie, ale dobrze znam ten dom, zaprowadzę pana.

Usunęła rękę i dodała tonem, który by przeszył serce każdego uważnie obserwującego ją człowieka, ale na który Mariusz, upojony szczęściem, nie zwrócił najmniejszej uwagi. — O, jaki pan uradowany!

Nagle Mariusz zachmurzył się. Chwycił Eponinę za ramię.

— Przysięgnij mi! Zaklnij się...

— Zakląć się? — rzekła. — Co to znaczy? Chce pan, żebym klęła czy co?

I roześmiała się.

— Twój ojciec! Przrzeknij mi, Eponino, przysięgnij, że nie powiesz ojcu tego adresu!

Odwróciła się do niego zdziwiona:

— Eponino! A skąd pan wie, że mi na imię Eponina?

— Przrzeknij mi to, o co cię proszę. Ale ona zdawała się nie słyszeć.

— Jak to miło, że mnie pan nazywa Eponiną. Mariusz chwycił ją za oba ramiona.

— Odpowiadaj, na Boga! Uważaj, co. mówię, przysięgnij mi, że nie powiesz ojcu tego adresu!

— Ojcu? — rzekła. — Aha, tak, mojemu ojcu. Może pan być spokojny. Siedzi. A *zresztą, dużo* mnie ojciec obchodzi!

— Ale mi nie przrzekasz! — zawołał Mariusz.

— Niech pan mnie puści — rzekła parskając śmiechem. — Jak pan mną trzęsie! Dobrze! Dobrze! Przrzekam panu, przysięgam. Co mi to szkodzi? Nie powiem tego adresu mojemu ojcu. No, już? O to panu chodziło?

— Ani nikomu? — zapytał Mariusz. — Ani nikomu.

— A teraz — rzekł Mariusz — zaprowadź mnie.

— W tej chwili?

— W tej chwili.

— Chodźmy! O, jak on się cieszy! — rzekła. Po paru krokach przystanęła.

— Za blisko pan za mną idzie, panie Mariuszu. Ja pójdę naprzód, a pan niech idzie z daleka, żeby nie wyglądało, że pan idzie ze mną. Me trzeba, żeby ludzie widzieli, że taki przyzwoity panicz, jak pan, idzie z taką kobietą jak ja.

Żaden język nie zdoła wyrazić wszystkiego, co się mieściło w słowie „kobieta” wymówionym takim tonem przez to dziecko.

Uszła ze dwanaście kroków i zatrzymała się znowu. Mariusz znalazł się przy niej. Nie odwracając, głowy w jego stronę zapytała:

— A czy pan pamięta, że mi coś obiecał? Mariusz włożył rękę do kieszeni. Miał całego majątku pięć franków przeznaczonych dla Thenardliera. Wziął je i wsunął Eponinie do ręki.

Otworzyła palce i upuściła pieniądz na ziemię. Spojrzała ponuro na Mariusza i powiedziała:

— Nie chcę od pana pieniędzy.

KSIĘGA TRZECIA

DOM PRZY ULICY PLUMET

ROZDZIAŁ I

Tajemniczy dom

Mniej więcej w połowie ubiegłego stulecia pewien prezydent parlamentu paryskiego, który miał(kochankę i krył się z tym — w owym czasie bowiem wielcy panowie popisywali się swymi kochankami, a mieszczanie je ukrywali — kazał zbudować „domek” na przedmieściu Saint-Germaki, w odludnej ulicy Blomet, zwanej dziś ulicą Plumet, niedaleko miejsca zwanego wówczas „Walką Zwierząt”.

Był to jednopiętrowy pałacyk; dwa pokoje na parterze, dwa na piętrze, na dole kuchnia, na górze buduar, pod dachem — strych, dookoła ogród, odgradzony od ulicy wysoką kratą. Ogród miał blisko morgę. Tyle tylko mogli zobaczyć przechodnie; ale za pałacykiem było wąskie podwórko, a w głębi podwórka niski domek o dwóch izbach nad piwnicą, zbudowany na wszelki wypadek, gdyby trzeba było ukrywać tam dziecko i mamkę. Domek łączył się ukrytymi i zaopatrzonymi, w sekretny zamek drzwiami z długim, wąskim, krętym, korytarzem, wybrakowanym i bez dachu, biegnącym, między dwoma wysokimi murami; korytarz ten, mistrzowsko zamaskowany, jakby zagubiony między ogrodzeniami sąsiednich posesji, wił się zygzakiem wzdłuż linii ich granic wiodąc do drugich, równie ukrytych drzwi, odległych o pół ćwierci mili. od pałacyku i wychodzących na inną już prawie dzielnicę, bo na niezamieszkały kraniec ulicy Babilońskiej.

Tędy to wchodził pani prezydent i gdyby nawet, ci, którzy go szpiegowali, wysłedzili, że składa co dzień jakieś tajemnicze wizyty, nie mogliby się domyślić, że idąc na ulicę Babilońską, idzie na ulicę Blomet. Zręcznie kupując place, pomysłowy, prezydent mógł zbudować tajemnicze przejście u siebie, na własnej ziemi, a wobec tego bez kontroli. Później odsprzedawał po kawałku na ogrody i pola grunty przylegające do korytarza, a właściciele tych kawałków ziemi z obu stron byli pewni, że mają przed sobą mur graniczny, i nie podejrzewali nawet istnienia korytarza, który niby wstęga wił się wężowo pomiędzy ich grzędami kwiatów i ich sadami. Tylko ptaki oglądały tę osobliwość. Prawdopodobnie sikorki i szczygły zeszłego stulecia nie mały plotkowały na temat osoby pana prezydenta.

Pałac, zbudowany z kamienia w stylu Mansarda, a wyłożony boazeriami i umeblowany w stylu Watteau, wewnątrz rokokowy, na zewnątrz staroświecki, ogrodzony potrójnym szpalerem kwiatów, miał w sobie jakąś dyskrecję, wdzięk i powagę, jak przystało na połączenie kaprysu miłosnego z -wysokim urzędem.

Nie ma już dziś tego domu i korytarza, które istniały jeszcze przed kilkunastu laty; w 1793 roku jakiś kotlarz kupił dom, by go zburzyć, ale że nie mógł zapłacić należnej sumy, rząd ogłosił jego upadłość. Tak więc dom zburzył fortunę kotlarza. Od tego czasu pałacyk pozostał niezamieszkały i powoli popadał w ruinę, jak każdy dom, którego nie ożywia obecność człowieka. Umeblowany starymi meblami, zawsze był do nabycia lub do wynajęcia, co obwieszczała nielicznym przechodniom, pojawiającym się kilkakrotnie do roku na ulicy Plumet, pożółkła i nieczytelna kartka, wisząca od roku 1810 na kracie ogrodu.

Pod koniec Restauracji ci sami przechodnie mogli zauważyć, że kartka znikła i — co więcej — że okiennice na pierwszym piętrze były otwarte. Istotnie, dom został wynajęty. W oknach pojawiły się „firaneczki”, znak, że była tam kobieta.

W październiku 1829 roku zjawił się człowiek w podeszłym wieku i wynajął dom, oczywiście razem z tylnym budynkiem i korytarzem wychodzącym na ulicę Babilońską. Kazał naprawić sekretne zamki obu drzwi tego przejścia. Jak wspominaliśmy, dom był jeszcze umeblowany starymi meblami prezydenta; nowy lokator odnowił je, uzupełnił drobne braki, naprawił bruk na podwórzu, powprawiał płyty, stopnie schodów, posadzki w pokojach, szyby w oknach i w końcu zamieszkał tam z młodą panią i starą służącą, czyniąc to tak dyskretnie, jakby się wkładał do cudzego domu, a nie wprowadzał do siebie. Sąsiedzi nie plotkowali, bo nie było tam żadnych sąsiadów.

Tym lokatorem, unikającym rozgłosu, był Jan Valjean, a młodą panią Kozeta. Służąca nazywała się Toussaint. Jan Valjean wydobył tę kobietę ze szpitala i z nędzy; była stara, pochodziła z prowincji i jąkała się — trzy zalety, które zdecydowały, iż przyjął ją na służbę. Wynajął dom pod nazwiskiem pana Fauchelevant, rentiera. Ze wszystkiego, co powiedzieliśmy, wyżej, czytelnik niewątpliwie poznał Jana Valjeana jeszcze wcześniej niż Thenardier.

Dlaczego Jan Valjean opuścił klasztor Petit Picpus? Co się takiego stało?

Nic się nie stało.

Jak pamiętamy, Jan Valjean był w klasztorze szczęśliwy, tak szczęśliwy, że w końcu sumienie zaczęło go niepokoić. Codziennie widywał Kozetę, czuł, że rodzi się i rośnie w nim coraz silniejsza miłość ojcowska, strzegł duszy tego dziecka, mówił sobie, że Kozeta należy do niego, że nic nie może mu jej

odebrać, że tak będzie zawsze, że, co dzień łagodnie do tego nakłaniana, zostanie pewnie zakonnicą i że wobec tego dla niego i dla niej klasztor jest całym światem, że on się tam zestarzeje, a ona dorośnie, że ona się tam zestarzeje, a on umrze, że wreszcie — o błoga nadziejo! — nic ich nigdy nie rozłączy. Rozmyślając nad tym, popadł w rozterkę. Badał siebie. Zastanawiał się, czy całe to szczęście było jego własnością, czy nie chodziło tu także o cudze szczęście, o szczęście tego dziecka, które zagarniał dla siebie on, starzec? Czy nie jest to kradzież? Mówił sobie, że ta dziecina ma prawo poznać życie, nim, się go wyrzeknie, i że pozbawić ją z góry wszystkich radości, bez zasięgnięcia nawet jej zdania, pod pozorem, że się ją chroni od ciężkich przeżyć, wykorzystać jej nieświadomość i odcięcie od świata, żeby wzbudzić w niej sztuczne powołanie, to wynaturzać istotę ludzką i kłamać wobec Boga. Któż wie, czy pewnego dnia, zdawszy sobie z tego sprawę i będąc zakonnicą wbrew chęci, Kozeta go nie znienawidzi? Ta ostatnia myśl, prawie samolubna i mniej heroiczna od innych, była mu nie do zniesienia. Postanowił opuścić klasztor.

Postanowił. Z bólem stwierdził, że tak trzeba. Przeszkód nie było żadnych. Pięć lat pobytu między tymi czterema murami, pięć lat ukrycia niezawodnie usunęły lubi rozproszyły powody do jakiegokolwiek obawy. Mógł spokojnie wrócić pomiędzy ludzi. Postarzał się, wszyst to się zmieniło. Któż by go teraz poznał? A poza tym, w najgorszym razie, niebezpieczeństwo groziło tylko jemu i nie miał prawa skazywać Kozety na klasztor dla tej tylko przyczyny, że został niegdyś skazany na galery. Zresztą, czymże jest niebezpieczeństwo' w porównaniu z obowiązkiem? A wreszcie nic mu nie broniło zachować przezorność i mieć się na baczności. Edukacja Kozety była prawie ukończoną.

Raz powziąwszy decyzję, czekał tylko sposobności. Nadarzyła się wkrótce. Stary Faucheleyent umarł.

Jan Valjean poprosił o posłuchanie u wielebnej matki przełożonej i oznajmił jej, że otrzymawszy po śmierci brata niewielką schedę, która pozwala mu żyć teraz, bez pracy, opuszcza służbę w klasztorze i zabiera ze sobą córkę; ponieważ byłoby jednak rzeczą niesłuszną, aby Kozeta otrzymała bezpłatne wychowanie, skoro nie zostaje zakonnicą, prosi pokornie wielebną matkę przełożoną, by raczyła przyjąć dla zgromadzenia sumę pięćdziesiąt tysięcy franków jako zwrot kosztów pięcioletniego pobytu Kozety w zakładzie.

W taki to sposób Jan Valjean opuścił klasztor Nieustającej Adoracji.

Wychodząc, niósł sam, nie chcąc powierzyć go nikomu, mały kuferek, od którego klucz miał zawsze przy sobie. Ten kuferek intrygował Kozetę, wydobywały się bowiem z niego balsamiczne wonie.

Dodajmy jeszcze, że odtąd nigdy się nie rozstawał z owym kuferkim. Miał go

zawsze w swoim pokoju, była to zawsze pierwsza, a nieraz jedyna rzecz, którą zabierał przy przeprowadzce. Kozeta śmiała się z tego i nazywała kuferek „nieodłącznym przyjacielem”; mówiła: „Jestem o niego zazdrosna.”

Zresztą Jan Valjean wrócił do świata nie bez uczucia głębokiego lęku.

Wynalazł dom przy ulicy Plumet i zaszył się w nim.. Używał odtąd nazwiska Ultyma Fauchelevant.

Jednocześnie wynajął w Paryżu dwa inne mieszkania, aby, nie przebywając stale w tej samej dzielnicy,, mniej zwracać na siebie uwagi, jak również, aby w razie najlżejszego alarmu móc się oddalić i nie zostać zaskoczonym zniemacka, jak owej nocy, kiedy to w tak cudowny sposób wymknął się Javertowi. Oba mieszkania były skromne, na pozór nawet ubogie, znajdowały się w dwóch bardzo odległych od siebie dzielnicach, jedno przy ulicy Zachodniej, drugie przy ulicy Człowieka Zbrojnego.

W jednym lub w drugim mieszkaniu spędzał z Kozetą miesiąc lub sześć tygodni, nie zabierając ze sobą starej Toussaint. Używał wówczas do posług miejscowego stróża i podawał się za rentiera z okolic Paryża, utrzymującego mieszkanie na wypadek pobytu w mieście. Ten człowiek, będący uosobieniem cnoty, miał w Paryżu trzy siedziby, aby ujść policji.

ROZDZIAŁ II

Jan Valjean - gwardzista narodowy

Właściwie jednak mieszkał przy ulicy Plumet i ułożył sobie życie w następujący sposób:

Kozeta wraz ze służącą zajmowała pałacyk; miała obszerną sypialnię z malowidłami na ścianach, buduar ze złocionymi listwami i salon prezydenta, pełen kobiercy i głębokich foteli; miała też ogród. Jan Valjean kazał wstawić do pokoju Kozety łóżko z baldachimem ze staroświeckiego, trójbarwnego adamaszku, zaściłać podłogę pięknym, starym dywanem perskim, kupionym przy ulicy Figuier-Saint-Paul u pani Gaucher; aby złagodzić surowość świetnych antyków, dodał do tej starzyzny wesole i wdzięczne mebelki panieńskie: etażerkę, biblioteczkę z książkami o złocionych grzbietach, papierem listowym i przyborami do pisania, stolik do robótek, inkrustowany perłową masą, szkatułkę z pozłacanego srebra i gotownię z japońskiej porcelany. Długie, adamaszkowe portiery w trójbarwne pasy na czerwonym tle, dobre kolorem do baldachimu, wisiały w oknach na pierwszym piętrze. W pokojach na dole były zasłony z ciężkiej tkaniny. Przez całą zimę mieszkanko Kozety było ogrzewane od góry do dołu.

Jan Valjean zajmował pomieszczenie w głębi podwórza, podobne do stróżówki, gdzie stało łóżko polowe z materacem, stół z surowego drzewa, dwa wyplatane krzesła, fajansowy dzban na wodę, kilka starych książek napółce, a w kącie ukochany kuferek; nigdy nie palił tani ognia. Obiady jadał z Kozetą i zawsze musiał być dla niego na stole razowy chleb. Przyjmując Toussaint na służbę powiedział jej:

— Panienska jest panią domu.

— A pppan, ppproszę pppana? — zapytała zdumiona Toussaint.

— Ja jestem czymś więcej niż panem domu. Jestem ojcem.

Kozeta w klasztorze nauczyła się gospodarstwa i teraz zajmowała się wydatkami domowymi, bardzo zresztą skromnymi. Codziennie Jan Valjean brał ją pod ramię i wychodzili na przechadzkę. Prowadził ją do Ogrodu Luksemburskiego, w najmniej uczęszczaną aleję, a co niedziela na mszę do kościoła Sw. Jakuba z Alto Passo, bo znajdował się daleko. Była to dzielnica bardzo uboga i Jan Valjean szczerze rozdawał jałmużnę; biedacy oblegali go w kościele i dlatego to Thenardierowie zaadresowali swoją epistołę: „Do

Wielmożnego Dobroczyńcy z kościoła Św. Jakuba." Chętnie prowadził Kozetę do ubogich i chorych. Nikt obcy nie wchodził do domu przy ulicy Plumet. Toussaint kupowała żywność, a Jan Valjean sam nosił wodę z pobliskiej studni na bulwarze. Drzewo na opał i wino składano w zagłębieniu wyłożonym kamieniami, które przylegało do ulicy Babilońskiej i służyło niegdyś panu prezydentowi za grotę; bowiem w epoce „belwederków i kabanek” nie mogło być miłości bez grotki.

Przy furtce od ulicy Babilońskiej wisiała skrzynka w rodzaju skarbonki, przeznaczona na listy i dzienniki; ale że nikt z trojga mieszkańców ulicy Plumet nie otrzymywał ani dzienników, ani listów, cała rola tej skrzynki, która była niegdyś powiernicą i pośredniczką miłostek frywolnego palestranta, ograniczała się teraz do przyjmowania zawiadomień poborcy podatkowego i wezwań do stawienia się na wartę. Gdyż pan Fauch-levent, rentier, był członkiem gwardii narodowej. Me mógł się wymknąć z gęstej sieci spisu ludności z 183 roku. Władze miejskie owych czasów, zbierając potrzebne do spisu informacje, dotarły aż do klasztoru -Peiit-Picpus, do tego świętego, a nieprzeniknionego obłoku, z którego Jan Valjean wyszedł jako człowiek w oczach merostwa nieposzlakowany, a więc godny, aby pełnić wartę.

Trzy lub cztery razy do roku Jan Valjean wkładał swój mundur i odbywał wartę; czynił to zresztą bardzo chętnie; było to dla niego dogodne przebranie, dzięki któremu mógł się stykać z ludźmi, pozostając w samotności. Skończył właśnie sześćdziesiąt lat, wiek ten zwalniał go od służby; lecz wyglądał zaledwie na pięćdziesiąt, a zresztą nie miał najmniejszej ochoty uwolnić się od swego sierżanta ani zadzierać z hrabią Lobau .

Był dotknięty śmiercią cywilną, ukrywał swoje nazwisko, ukrywał tożsamość osoby, ukrywał wiek, ukrywał wszystko; i — jak powiedzieliśmy już — był gwardzistą narodowym z dobrej woli. Upodobnić się do pierwszego lepszego płatnika podatków — było całą jego ambicją. Na zewnątrz — mieszczanin, wewnątrz.— anioł, taki był ideał tego człowieka.

Zanotujmy wszakże jeszcze jeden szczegół: kiedy Jan Valjean wychodził z Kozetą, ubierał się w sposób, który już opisaliśmy, i wyglądał na emerytowanego oficera. Kiedy wychodził sam, zazwyczaj wieczorem, wkładał zawsze bluzę i robotnicze spodnie, a czapkę nasuwał głęboko na oczy. Czy była to ostrożność, czy może pokora? Zapewne i jedno, i drugie! Kozeta przyzwyczała się do niewytłumaczonych zagadek swego losu i nie zwracała prawie uwagi na osobliwe zwyczaje ojca. Toussaint zaś czciła Jana Valjean i przyjmowała bez zastrzeżeń wszystko, co czynił. Pewnego dnia rzeźnik, który widział parę razy Jana Valjean, rzekł do niej: — To jakiś dziwak.

— To święty — odpowiedziała stara.

Jan Valjean, Kozeta i Toussaint wchodzili i wychodzili zawsze furtką od ulicy Babilońskiej. Kto ich nie dostrzegł przez kratę ogrodu, ten nie mógł odgadnąć, że mieszkają przy ulicy Plumet. A krata była zawsze zamknięta. Jan Valjean nie uprawiał ogrodu, żeby nie zwracać niczyjej uwagi.

I tu może popełnił błąd.

ROZDZIAŁ III

"Foliis ac frondibus"

Ogród, zapuszczony od przeszło pół wieku, stał się. niezwykle i uroczy. Przed czterdziestu laty przechodnie przystawali na ulicy, by go podziwiać, nie domyślając się wcale, jakie tajemnice kryje ta gęsta, świeża ziemia. W owych czasach niejedni marzyciele! zapuszczali niedyskretne spojrzenie i myśl poprzez zamkniętą na kłódkę, staroświecką bramę, wspartą na dwóch pozieleniałych i omszałych słupach, krzywą, chwiejącą się i zakończoną u góry dziwacznym frontonem w zawile arabeski.

Stała tam w rogu kamienna ława, parę posągów pokrytych pleśnią, resztki drewnianych krat butwiały na murze; ani śladu ścieżek czy trawników, wszędzie chwasty. Znikła sztuka ogrodnicza, wróciła natura.

Zielisko krzewiło się bujnie; cóż za cudowna przygoda dla biednego skrawka ziemi! Lewkonie święciły tam swoje gody. Nic w tym ogrodzie nie tamowało świętego pędu do życia; tam było królestwo żywiołu. Drzewa schylały się ku cierniom, ciernie wznosiły się do drzew, rośliny pięły się w górę, gałęzie zwisały ku dołowi, to, co czepia się ziemi, spotykało się z tym, co rozwija się w wolnej przestrzeni, to, co kołysze się na wietrze, kłoniło się ku temu, co Wije się w mchu; pnie, gałęzie, liście, pędy, kępy, pnącza, ciernie i głogi zmieszały się razem, połączyły, splotły, zespoliły. Na tym małym skrawku ziemi, pod zadowolonym okiem Stwórcy, roślinność, złączona ciasnym uściskiem, święciła i dopełniała świętego misterium zbratania, które jest symbolem braterstwa ludzi. Ogród ten przestał być ogrodem; były to gęste, olbrzymie zarośla, to znaczy coś, co jest nieprzeniknione jak las, ludne jak miasto, drżące jak gniazdo ptaszące, ciemne jak katedra, wonne jak wiązanka kwiecia, samotne jak grób, gwarne jak tłum. W kwietniu ten olbrzymi krzew, swobodnie rosnący między kratą a murami, wchodził w okres godów wraz z całą przyrodą ogarniętą głuchą pracą powszechnego kiełkowania, drżał o wschodzie słońca, niemal jak zwierzę, które wdycha fluidy miłości kosmicznej i czuje, jak soki wiosenne wzbierają i krążą w jego żyłach, i rozpuszczając na wietrze swoje bujne, zielone warkocze, siał na wilgotną ziemię, na poobtłukiwane posągi, na walący się ganek pałacyku i nawet na bruk pustej ulicy — gwiazdki kwiatów, perły rosy, bujność, piękno, życie, radość i wonie. O południowej godzinie chroniły się tu tysiące białych motyli; niebiański to był widok, gdy wirowały w cieniu — niby żywy śnieg lata. Tu, w wesołym, zielonym mroku, chór niewinnych głosów przemawiał słodko do duszy, a czego zapomniały powiedzieć szczebioty ptaszące, dopowiadały szmery i szумы.

Wieczorem opar marzenia unosił się z ogrodu i spowijał go cały; całun mgły, niebiański smutek i spokój okrywały go, biły zeń odurzające wonie wiciokrzewów i powoi, niby subtelna, upajająca trucizna; rozbrzmiewał ostatnimi nawoływaniem trznadli i pliszek, zasypiających wśród gałęzi, i czuło się w nim. świętą zażyłość ptaka i drzewa; we dmie skrzydła dają radość liściom, w nocy liście dają schronienie skrzydłom.

W zimie przez czarne, Wilgotne, nastroszone i drżące zarośla przeświecał dom. Zamiast kwiatów na gałązkach i rosy na kwiatach widać było na zmarzniętym, grubym kobiercu pożółkłych liści długie, srebrzyste wstęgi ślimaków. Ale zawsze, w każdej swojej postaci i o każdej porze roku, w zimie, w lecie, na jesieni czy na wiosnę, ten mały zakątek tchnął melancholią, zadumą, osamotnieniem i swobodą; czuło się w nim nieobecność człowieka, a obecność Boga; stare, zardzewiałe pręty zdawały się mówić: ten ogród należy do nas.

Otaczał go wprawdzie bruk Paryża, o parę kroków, na ulicy Varennes, stały wspaniałe klasyczne pałace, opodal wznosiła się kupa Inwalidów, niedaleko była Izba Deputowanych, w pobliżu, na ulicy Burgundzkiej i Św. Dominika, toczyły się eleganckie karoce, na pobliskim skrzyżowaniu ulic wymijały się żółte, brązowe, białe i czerwone omnibusy — cóż z tego? Ulica Plumet była pełnym pustkowiem; śmierć dawnych właścicieli, rewolucja, która przeszła tędy, upadek starych fortun, pustka, zapomnienie; czterdzieści lat opuszczenia i sieroctwa sprawiły, że do tego uprzywilejowanego zakątka powróciły znów paprocie, sasanki, szaleje, dziewanny, złocienie, naparstnice, wysokie trawy, wielkie karbowane rośliny o szerokich liściach, jakby wyciętych z bladozielonego sukna, jaszczurki, chrząszcze, ruchliwe i niespokojne żuki, że z głębin ziemi dobiegła się i zapanowała wśród tych murów jakaś dzika i niedostępna wielkość, że natura, która krzyżuje nędzne poczynania człowieka i króluje niepodzielnie tam, gdzie króluje — zarówno w mrówce, jak w orle — rozkwitła w tym skromnym paryskim ogródku z taką dzikością i majestatem jak w dziewiczych lasach Nowego Świata.

Nie ma bowiem rzeczy małych. Wie o tym dobrze ten, kto odczuwa głęboko tajniki przyrody. I choć nie jest danym filozofii dostąpienie absolutnego zadowolenia w czymkolwiek — ani w zbadaniu przyczyny, ani w ograniczeniu skutku — przecież badacz wpada w najwyższy zachwyt wobec tego rozkładu sił zmierzających do jedności. Wszystko pracuje dla wszystkich.

Algebrę można stosować do obłoków; z promieniowania gwiazdy korzysta róża; żaden myśliciel nie ośmieliłby się twierdzić, że woń głogów nie ma wpływu na gwiazdne konstelacje. Któż może zbadać, jaką drogą przebiega atom? Me wiemy, czy powstawanie światów nie jest zależne od spadania ziaren piasku. Któż zna wzajemne przyprływy i odprływy rzeczy nieskończenie wielkich i nieskończenie małych, któż zna echa, jakie wywołują przyczyny w otchłaniach.

istot i lawinach wszechświata? Drobny żuczek ma swoje znaczenie; to, co małe, jest wielkie; co wielkie — jest małe; wszystko musi pozostawać w równowadze; przerażająca to wizja dla umysłu. Między istotami a rzeczami istnieje cudowna zależność; w tej niewyczerpanej całości — od słońca do mszycy — nikt nikim nie „gardzi; jedni potrzebują drugich. Światło, unosząc w błękitny wonie ziemskie, wie, co z nimi czyni; noc rozdaje materię gwiazdną uśpionym kwiatom. Każdy fruujący ptak ma przywiązaną do nóżki nić nieskończoności.

Rodzeniem jest powstanie meteora i uderzenie dziobka pisklęcia jaskółki, które rozbija skorupkę jajka; natura jednocześnie wydaje robaka i stwarza Sokratesa. Gdzie się kończy teleskop, zaczyna się mikroskop. Który z nich dalej sięga? Wybierajcie. Pleśń jest plejadą kwiatów; mgławica jest mirowiskiem gwiazd. To samo zespolenie — dziwniejsze jeszcze — istnieje w dziedzinie tworów ducha i materii. Żywoły i idee mieszają się, łączą, bratają, i pomnażają wzajemnie, by wreszcie doprowadzić świat materialny i świat duchowy do jednej i tej samej jasności. Każde zjawisko nieustannie powraca do samego siebie. W niezmiernych wymianach kosmicznych powszechne życie płynie i odpływa w nieznanach ilościach, unosi wszystko w niewidzialne misterium fluidów, robi użytek z każdej rzeczy, nie traci ani jednego sennego marzenia: tu sieje żyjątko, tam kruszy gwiazdę, tu kroczy chwiejnie, tam pełza, tworzy ze światła siłę, a z myśli żywoły, rozproszone, niepodzielne i zdolne rozłożyć wszystko z wyjątkiem tego punktu geometrycznego — jaźni; sprowadza wszystko do duszy — atomu, rozwija wszystko w Bogu i płacząc w tajnikach oszałamiającego mechanizmu wszystkie działania od najwyższych do najniższych, wiążąc lot owada z ruchem ziemi, podporządkowuje może — kto wie? bodaj na podstawie identyczności prawa — lot komet na firmamencie krążeniu drobnoustrójów w kropelce wody. Machina utworzona z ducha. Olbrzymie tryby, których pierwszym motorem jest maleńka muszka, a ostatnim kołem — gwiazdy zodiaku.

ROZDZIAŁ IV

Zmiana kraty

Ogród ten, stworzony niegdyś, by kryć tajemnicę swawolnych miłostek, przemienił się w doskonałe schronienie dla tajemnic niewinności. Nie było już w nim ani szpalerów, ani trawników, ani altanek, ani grot; tylko nieprzenikniona, puszysta ciemność, osłaniająca go ze wszystkich stron jak welon.

Paphos na nowo zmieniło się w Eden. Coś — jakby żal za grzechy — oczyściło to ustronie. Ta kwiaciarka teraz duszy ofiarowywała swoje kwiaty. Zalotny ogródek o tak wątpliwej niegdyś reputacji znów stał się dziewiczy i czysty. Prezydent parlamentu wraz z ogrodnikiem (jeden przekonany, że wstępuje w ślady Lamoignona, drugi — że jest następcą Le Nôtre'a) wymierzili go, przystrzygli, wymuskali, wygłaskali i przysposobili dla miłostek; natura, odebrawszy go, nasyciła cieniem i przygotowała dla miłości.

W tym pustkowiu kryło się także serce, które czekało. Wszystko było gotowe na przyjęcie miłości; była tam świątynia, wzniesiona z zieleni, traw, mchu, z westchnień ptaszęcych, aksamitnych ciemności, drżących gałązek, i dusza pełna słodyczy, ufności, pogody, nadziei, pragnień i złudzeń.

Kozeta wyszła z klasztoru prawie dzieckiem; miała niewiele ponad czternaście lat i była „w niewdzięcznym wieku”; powiedzieliśmy już, że — z wyjątkiem oczu — wydawała się raczej brzydka niż ładna; nie miała wszakże w sobie nic szpetnego, była tylko chuda, niezręczna, nieśmiała i zchwała zarazem, słowem: podłotek.

Edukacja jej była ukończona: to znaczy, nauczono ją religii, a nawet (lub przede wszystkim) pobożności, „historii”, to jest czegoś, co w klasztorze nosi to miano, geografii, gramatyki, imiesłowów, królów Francji, po trosze także muzyki,, rysunku itd., ale poza tym nie wiedziała o niczym, do jest urokiem i niebezpieczeństwem zarazem. Dusza młodej dziewczyny nie powinna być pozostawiona w ciemności; później bowiem — jak w *camera obscura* — rodzą się w niej widma zbyt gwałtowne i jaskrawe. Powinna być rozjaśniona łagodnie i ostrożnie, raczej odblaskiem rzeczywistości niż jej bezpośrednim, rażącym światłem. Taki użyteczny, łagodny, a zarazem, surowy półmrok rozprasza dziecięce lęki i zapobiega upadkom. I tylko instynkt macierzyński — ta cudowna intuicja, złożona ze wspomnień dziewicy i z doświadczeń kobiety — wie, jaki powinien być ten półmrok. Instynktu tego nie zastąpi nic. W kształtowaniu duszy, dziewczęcej wszystkie zakonnice całego świata nie zastąpią matki.

Rozeta matki nie miała! Miała jedynie wiele matek, matkę w liczbie mnogiej.

Jeżeli zaś chodzi o Jana Valjean, to choć żywił dla Kozety wszystkie najtkliwsze uczucia i otaczał ją serdeczną opieką, był jednak tylko starym człowiekiem, nic nie wiedzącym w tym względzie.

W dziele wychowania, w ważnym zagadnieniu przygotowania kobiety do życia, ileż trzeba mądrości, by walczyć z wielką niewiedzą, zwaną niewinnością.

Nic nie przygotowuje lepiej młodej dziewczyny do namiętności niż klasztor. Klasztor kieruje myśl ku temu, co nieznane. Serce, zamknięte w sobie, nie mogąc się otworzyć, drąży własną głębię i nie mogąc znaleźć ujścia zatapia się w sobie. Stąd widzenia, przypuszczenia, domysły, projekty romansów, pragnienie przygód, fantastyczne rojenia, całe budowle wznoszone w najtajniejszej głębi ducha, ciemne i tajemnicze siedziby, w których namiętność od razu znajduje gotowe schronienie, gdy tylko wyjście za kratę klasztorną pozwoli jej się tam wśliznąć. Aby ucisk klasztorny zdołał zatriumfować nad sercem, musi trwać całe życie.

Opuściwszy klasztor, Kozeta nie mogła znaleźć nic miłszego i nic bardziej niebezpiecznego niż dom przy ulicy Plumet. Stanowił on niejako dalszy ciąg samotności, a zarazem początek swobody; ogród zamknięty, lecz natura dzika, bogata, zmysłowa i wonna; marzenia te same co w klasztorze, lecz możliwość oglądania młodzieńców; krata, lecz krata wychodząca na ulicę.

Jednakże — powtarzamy raz jeszcze — gdy Kozeta tu zamieszkała, była jeszcze dzieckiem. Jan Valjean oddał jej ten zapuszczony ogród. „Rób w nim, co ci się podoba!” — mawiał do niej. Bawiło to Kozetę; myszkowała w kępach i kamieniach, szukała „zwierzaków” i bawiła się, bo nie nadszedł jeszcze czas marzeń; lubiła ogród, za żuczki, które znajdowała pod nogami w trawie, bo nie nadszedł jeszcze czas, by go pokochała za gwiazdy, które widziała nad głową poprzez gałęzie drzew.

A poza tym kochała a całej duszy ojca, to znaczy Jana Valjean. Kochała go naiwną namiętnością dziecka widząc w tym zacnym człowieku upragnionego i najmilszego towarzysza. Pamiętamy, że pan Madeleine dużo czytał; Jan Valjean czynił to samo; dzięki temu nauczył się ciekawie rozmawiać; miał ukryte zasoby i wymowę skromnej, lecz: prawdziwej inteligencji, która sama się wykształciła. Pozostało mu dość trzeźwości, by się przyprawić swą dobroć; był to surowy umysł i łagodne serce. W Ogrodzie Luksemburskim, podczas rozmów, które prowadzili we dwoje, długo tłumaczył jej wszystko, czerpiąc z tego, co przeczytał, a również z tego, co przecierpiał. Kozeta słuchała go błędząc wzokiem naokoło.

Ten prosty człowiek wystarczał zainteresowaniom Kozety, tak jak dziki ogród wystarczał jej zabawom. Gdy się już nabiegała za motylami, podchodziła doń zadyszana mówiąc: „Ależ się wybiegałam”, a on całował ją w czoło.

Kozeta uwielbiała tego zacnego człowieka. Nie odstępowała go na krok. Tylko tam czuła się dobrze, gdzie był Jan Valjean. A że nie mieszkał w pałacyku ani nie przebywał w ogrodzie, przeto wołała brukowane podwórko od pełnego kwiecica zakątka i izdebkę z wypłatanymi krzesłami od pełnego kobierców salonu, gdzie rozpierały się wyściełane fotele. Jan Valjean mówił do niej czasem z uśmiechem, uszczęśliwiony tym natręctwem: „Idźże do siebie, zostaw minie choć na chwilę samego.”

Kozeta robiła mu nieraz wdzięczne i czułe wymówki, tak urocze, gdy córka robi je ojcu.

— Ojczy, strasznie tu marznę u ciebie! Czemu nie każesz sobie rozesać dywanu i nie postawisz pieca?

— Drogie dziecko, tylu jest ludzi więcej wartych. ode mnie, którzy nie mają nawet dachu nad głową.

— To dlaczego u mnie pali się w piecach i mam wszystko czego mi potrzeba?

— Bo jesteś kobietą i dzieckiem.

— To mężczyźni powinni cierpieć zimno i niewygody?

— Tak! Niektórzy!

— Dobrze! Będę więc przychodziła tu tak często, że będziesz musiał napalić w piecu. Pytała go również:

— Czemu jesz *ten* szkaradny chleb, ojczy?

— Tak sobie... moje dziecko.

— A, jeśli tak sobie, to i ja będę go jadła.

I żeby Kozeta nie jadła czarnego chleba, Jan Val-jean jadł biały.

Kozeta jak przez mgłę pamiętała swoje dzieciństwo. Co rano i co wieczór modliła się za matkę, której nie znała. Thenardierowie zostali jej w pamięci jak dwie ohydne zmyły senne. Przypomniła sobie, że „pewnego dnia, w nocy” poszła do lasu po wodę. Sądziła, że to było gdzieś bardzo daleko od Paryża. Zdawało jej się, że początek jej życia Upłynął w jakiejś otchłani, z której

wydobył ją Jan, Valjean.

Wyobrażała sobie, że dzieciństwo spędziła tylko w otoczeniu stonóg, pajaków i węży. Nie miała pewności, czy jest istotnie córką Jana Valjean i czy on jest jej ojcem, a gdy o tym rozmyślała wieczorem, przed zaśnięciem, wyobrażała sobie, że dusza matki jest koło niej, bo zamieszkała w tym zacnym człowieku.

Podchodziła doń, gdy siedział na krześle, opierała policzek o jego siwą głowę i roniła cichą łzę, myśląc: „Może ten człowiek jest moją matką.”

Jakkolwiek wydać się to może dziwne, Kozetka w swej zupełnej nieświadomości dziewczyny wychowanej w klasztorze i dlatego, że macierzyństwo zawsze jest niezrozumiałe dla dziewictwa, wyobraziła sobie w końcu, że chyba nie miała matki. Nie знаła nawet jej imienia. Ilekroć zdarzyło jej się zagadnąć o to Jana Valjean, on milczał. Gdy ponawiała pytanie, odpowiadał uśmiechem. Raz nalegała z uporem, a wówczas uśmiech przemienił się w łzę.

Milczenie Jana Valjean osłaniało Fantynę mrokiem.

Byłaż to ostrożność? Czy szacunek? Byłaż to obawa wydania tego imienia na kaprysy pamięci; innej niż jego pamięć?

Dopóki Kozeta była mała, chętnie opowiadał jej o matce; gdy podrosła, stało się to dlań niemożliwe. Po prostu — nie śmiał. Czy przez wzgląd na Kozetę? Czy przez wzgląd na Fantynę? Odczuwał jakąś religijną trwogę przed wprowadzeniem tego cienia do myśli Kozety i przed włączeniem tej zmarłej jako trzeciej osoby w ich losy. Im cień ten był mu świętszy, tym wydawał się groźniejszy. Rozmyślał o Fantynie i czaił, że coś nakazuje mu milczenie. Majaczyło się w mroku coś, jakoby palec położony na ustach. Może to skromność wrodzona Fantynie, której się tak brutalnie wyzbyła za życia, wróciła teraz, okryła ją po śmierci, czuwała, oburzona, nad spokojem zmarłej i nieustępliwie strzegła jej mogiły? Czy Jan Valjean bezwiednie ulegał jej wioli? My — wierząc w śmierć — nie należymy do ludzi, którzy odrzuciliby takie tajemnicze wytłumaczenie. Stąd pochodziła niemożność wymówienia, nawet wobec Kozety, tego imienia: Fantyna.

Pewnego razu Kozetka powiedziała:

— Ojczy, widziałam dziś w nocy we śnie moją matkę. Miała dwa wielkie skrzydła. Widać moja matka za życia była prawie święta...

— Przez męczeństwo — odrzekł Jan Valjean. Zresztą Jan Valjean był szczęśliwy.

Gdy Kozeta wychłodziła z nim na spacer, wspierała się na jego ramieniu, dumna, szczęśliwa, z sercem przepelnionym radością. Jan Valjean, widząc

objawy miłości tak wyłącznej i tak zachwyconej jego osobą, czuł, że mu serce topnieje z rozkoszy. Biedak drżał ogarnięty anielską radością; zapewniał samego siebie z uniesieniem, że to będzie trwało przez całe życie; mówił sobie, że doprawdy za mało cierpiał, by zasłużyć na tak promienne szczęście, i w głębi duszy dziękował Bogu, iż zezwolił, by jego — nędznika— tak kochała ta niewinna istota.

ROZDZIAŁ V

Róża spostrzega, że jest śmiercionośną machiną

Pewnego razu. Kozeta przypadkiem spojrzała w lustro i rzekła: „O!” Wydało się jej bowiem, że jest ładna. To odkrycie dziwnie ją zaniepokoiło. Do tej pory nie myślała wcale o swojej twarzy. Patrzyła na siebie w lustro, ale się nie widziała. A poza tym powtarzano jej nieraz, że jest brzydka; jeden tylko Jan Valjean mówił łagodnie: „Ależ nie! Ależ nie;!”

Miano to Kozeta zawsze uwiązała się za brzydka i rosła w tym przekonaniu, pogodziwszy się z losem z łatwą rezygnacją dziecięcego wieku. I oto nagle lustro powtórzyło jej za Janem Valjean: - „Ależ nie!” Nie spała całą noc. „A gdybym naprawdę była ładna? — myślała. — A to byłoby zabawne, gdybym była ładna! ” Przypominając sobie koleżanki, znane w klasztorze z urody, mówiła sobie: „Jak to? Więc byłabym taka jak one? ”

Nazajutrz spojrzała do lustra, tym razem już nie przypadkowo: , i zwątpiła o sobie: „Gdzież miałam rozum? — rzekła. — Och, nie! Jestem brzydka! ” Po prostu źle spała, miała podkrążone oczy i była blada. Poprzedniego' dnia, gdy wierzyła w swą piękność, nie była tyto zbyt uradowana, ale zasmuciła się, przestawszy- w nią wierzyć. Nie przyglądała się sobie w lustrze i przez dwa tygodnie starała się czesać odwrócona plecami do zwierciadła.

Wieczorami, po obiedzie, zazwyczaj haftowała w salonie lub robiła inną klasztorną robótkę, a Jan Valjean, siedząc obok, czytał. Pewnego' razu podniosła Wzrok znad robótki i zdumiała się spostrzegłszy niepokój, z jakim ojciec na nią patrzył.

Kiedy indziej szła ulicą i wydało się jej, że ktoś . — nie wiedziała kto — powiedział za nią: „Ładna dziewczyna, ale źle ubrana.” „Ba! — pomyślała. — To nie o mnie mowa. Ja jestem dobrze ubrana i brzydka.” Miała wówczas na sobie merynosową sukienkę i pluszowy kapelusz.

Innego dnia wreszcie, będąc w ogrodzie, usłyszała, jak biedna, stara Toussaint mówi: „Czy pan widzi, jak nasza panienka wyładniała? ” Kozeta nie dosłyszała, co ojciec odpowiedział, tak wstrząsnęły ją słowa Toussaimit. Wymknęła się z ogrodu, pobiegła do swego pokoju, do lustra, w którym nie przeglądała się od trzech miesięcy, i krzyknęła. Olśniła ją własna uroda.

Była piękna i urocza; musiała się zgodzić ze zdaniem starej Toussaint i zwierciadła. Kibić jej wypełniała, cera wydelikatniała, włosy nabrały połysku,

nieznany blask zapalił, się w niebieskich źrenicach. Tak, jak dzieńrodi się w jedynej krótkiej chwili, tak i ona uwierzyła od razu w swoją piękność; inni też ją widzieli zresztą; Toussaint to potwierdzała; o niej też z pewnością mówił ów przechodzień, nie mogła już dłużej wątpić. Wróciła do ogrodu i zdawało jej się, że jest królową, że słyszy śpiew ptaków, choć była zima, że widzi złociste niebo i słońce przeświecające przez drzewa i kwiaty na drzewach — nieprzytomna, odurzona, pogrążona w niewysłowionym zachwycie.

Jan Valjean zaś czuł jakiś głęboki i nieokreślony ucisk w sercu. Bo w istocie, od jakiegoś czasu, z przerażeniem patrzył na tę piękność, która z każdym dniem promieniała jaśniej ze słodkiej twarzyczki Kozety. Jutrzenka, radosna dla wszystkich, dla niego jednego była ponura.

Kozeta stała się piękna o Wiele wcześniej, nim to sama spostrzegła. Lecz niespodziewana jasność, która wschodziła powoli i stopniowo opromieniała całą postać dziewczęcia, od razu boleśnie poraziła posępny wzrok Jana Valjean. Czuł, że zbliża się zmiana w jego szczęśliwym życiu, tak szczęśliwym, że bał się poruszyć, alby czegoś w nim nie popsuć. Ten człowiek, który przebył wszystkie niedole, którego rany, zadane mu przez los, broczyły jeszcze krwią, fetory był niegdyś prawie zły, a stał się prawie święty, który przedtem ciągnął łańcuchy skazańca, a teraz ciągnął niewidzialny, lecz ciężki łańcuch wiecznej niesławy; ten człowiek, którego prawo nie wypuściło ze swych szponów, który mógł być w każdej chwili schwytyany na nowo i z mroków swej cnoty wydany na jaskrawe światło publicznej hańby, ten człowiek godził się na wszystko, tłumaczył wszystko, wszystko wybaczał, wszystkiemu błogosławił i dobrze życzył, o jedno tylko błagając

Opatrzność, ludzi, prawo, społeczeństwo, naturę i świat: żeby Kozeta go kochała.

Żeby Kozeta nie przestała go kochać; żeby Bóg zezwolił, aby serce tego dziecka zwracało się zawsze do niego, na zawsze zostało jego. Miłość Kozety była dlań uzdrowieniem, wypoczynkiem, spokojem, pełnią radości, najcenniejszą nagrodą, ukoronowaniem wszystkiego. Miłość Kozety była dlań szczęściem. Niczego więcej nie pragnął. Gdyby go ktoś zapytał: „Chcesz być szczęśliwszy?“, odpowiedziałby: „Nie.“ Gdyby Bóg go zapytał: „Chcesz wejść do nieba?“, odpowiedziałby: „Nie, tam nie byłoby mi tak dobrze!“

Wszystko, co mogło zakłócić — bodaj powierzchownie — tę sytuację, przenikało go dreszczem niby początek jakiejś zmiany. Nigdy właściwie nie wiedział, co to jest piękność kobiety, ale czuł instynktownie, że to rzecz straszna.

Z głębi swojej szpetoty, starości, nędzy, potępienia i znękania patrzył przerażony na tę piękność, która obok niego, pod jego okiem rozkwitała coraz

wspanialsza, i coraz bardziej zwycięska na niewinnej i budzącej lęk twarzy dziecka.

Mówił do siebie: „Jakaż ona piękna! A ja? Co się ze mną stanie!”

I na tym właśnie polegała różnica między jego miłością a miłością macierzyńską. Matka patrzyłaby z radością na to, na co on patrzył z trwogą. Pierwsze objawy dały się zresztą wkrótce zauważyć.

Od owego dnia, kiedy powiedziała sobie: „Doprawdy, jestem piękna!”, Kozeta zaczęła zwracać uwagę na swój strój. Przypomniała sobie słowa przechodnia: „Ładna, ale źle ubrana.” Było to tchnienie wyroczni, które przepłynęło obok niej i rozwiało się, złożony w jej sercu nasienie jednej z tych dwóch rzeczy, które później wypełniają całe życie kobiety: kokieterii. Drugą jest miłość.

Wraz z wiarą w swą piękność rozkwitała w niej dusza kobiety. Zaczęła nienawidzić merynosu i wstydzić się pluszu. Ojciec niczego jej nigdy nie odmawiał. Od razu posiadała wszystkie arkana wiedzy tego, jaki powinien być kapelusz, suknia, mantyka, pantofelek, zarękawek, jaki materiał jest stosowny i jaki kolor jest twarzowy; tej wiedzy, która czyni z paryżanki istotę tak czarującą, niezgłębioną i niebezpieczną. Określenie „kobieta urzekająca” — zostało wymyślone dla paryżanki.

Nim upłynął miesiąc, mała Kozeta stała się w swej pustelni przy ulicy Babilońskiej nie tylko jedną z najładniejszych kobiet w Paryżu — co już coś znaczy — ale jedną z „najszykowniejszych”, co znaczy o wiele więcej. Chętnie spotkałaby teraz „siwego przechodnia”, żeby zobaczyć, co też powie, i „dać mu naukę!” Istotnie, była zachwycająca pod każdym względem i cudownie odróżniała kapelusz z magazynu Gerard od kapelusza z magazynu Herbaut.

Jam Valjean z udręką patrzył na to spustoszenie. On, któremu się zdawało, że może tylko pełzać, a najwyżej' chodzić, widział, że Kozecie rosną skrzydła.

Zresztą, każda kobieta spojrzawszy na stryj Kozety łatwo by odgadła, że dziewczyna nie ma matki. Me przestrzegała w tym względzie pewnych drobnych, przyjętych ogólnie zwyczajów. Matka powiedziałaby jej . na przykład, że młodej dziewczynie nie przystoi ubierać się w adamaszek.

Gdy Kozeta wyszła po raz pierwszy na spacer w czarnej adamaszkowej sukience, takiejż pelerynce i białym krepowym kapeluszu, oparła się na ramieniu Jana Valjean wesółą, roześmianą, różową, dumna i olśniewającą.

— Jak ci się podobam, ojczy? — rzekła.

Jan Valjean. odpowiedział głosem przypominającym kwaśny ton zazdrośnika:

— Jesteś urocza.

Podczas przechadzki zachowywał się jak zwykle. Po powrocie do domu zapytał Kozety:

— Czy nie będziesz już nosiła tamtej sukni i tamtego kapelusza?

Rozmowa toczyła się w pokoju Kozety. Dziewczyna odwróciła się do szafy, w której wisały jej skromniutkie, pensjonarskie sukienka.

— Tego szkaradzieństwa? — rzekła. — A na cóż mi to, ojczy? O nie, nie! Nigdy już nie włożę tych okropności. W czymś takim na głowie wyglądałabym jak straszdyło!

Jan Valjean westchnął głęboko.

Od tej chwili zauważył też, że Kozeta, która dawniej prosiła zawsze, żeby zostać w domu, mówiąc: „Ojczy, najlepiej się tu bawię z tobą”, teraz, chciała ciągle chodzić na spacer. Bo istotnie, na cóż się zda ładna twarzyczka i prześliczne stroje, jeśli ich się nie pokazuje?

Zauważył też, że Kozeta nie lubiła już podwórka tak jak dawniej; teraz chętniej spędzała czas w ogrodzie, z przyjemnością spacerując przed kratą.

Jan Valjean, dziki, nietowarzyski, nie zaglądał nawet do ogródka; przebywał na swym podwórzu jak pies, pozwawszy, że jest piękna, Kozeta zatraciła wdzięk płynący z nieświadomości własnej urody, rozkoszny to wdzięk, połączenie bowiem piękności i naiwności jest niewymownie urocze i trudno o bardziej czarujące zjawisko niż widok olśniewającej piękności, nieświadomej, że trzyma w swym ręku klucze do rajy. Ale straciwszy wdzięk naiwności, Kozeta zyskała czar poważnej zadumy.

Cała jej postać przeniknięta radością młodości, niewinności i urody tchnęła cudowną melancholią.

Wtedy to właśnie Mariusz — po półrocznej przerwie — zobaczył ją ponownie w Ogrodzie Luksemburskim...

ROZDZIAŁ VI

Bitwa się rozpoczyna

Kozeta żyła w cieniu podobnie jak Mariusz, w każdej chwili gotowa zapłonać. Las, z właściwą sobie, tajemniczą, a nieuchronną cierpliwością, powoli zbliżał da. siebie te dwie istoty stęsknione, naładowane burzliwą elektrycznością namiętności, te dwie dusze, które kryły w sobie mdłość, jak dwie chmury kryją piorun, i które miały zbliżyć się i połączyć w spojrzeniu, jak chmury — w błyskawicy.

W romansach miłosnych tak nadużywano spojrzenia, że w końcu popadło ono w niełaszkę. I teraz powieściopisarz prawie nie śmie powiedzieć, że dwie istoty pokochały się, ponieważ spojrzały na siebie. A przecież tak właśnie rodzi się miłość, i tylko tak. Reszta jest tylko resztą i przychodzi później. Wic bardziej realnego nad potężne wstrząsy dwóch dusz, które wymieniły między sobą tę iskierkę.

W owej godzinie, gdy Kozeta nieświadomie rzuciła to spojrzenie, które posiadała niepokój w duszy Mariusza, Mariusz ani się domyślał, że i on swoim spojrzeniem posiadał niepokój w duszy Kozety. Wyrządził jej to samo zło i to samo dobro.

Od dawna już go spostrzegła i przyglądała mu się, tak jak to dziewczęta widzą i przyglądają się— patrząc gdzie indziej. Kozeta jeszcze wydawała się Mariuszowi brzydka, gdy on już wydawał jej się piękny.

Ponieważ jednak nie zwracał na nią wcale uwagi, był jej obojętny.

Jednakże minio woli musiała zauważyć, że ten młodzieniec ma piękne włosy, piękne oczy, piękne zęby, uroczo brzmiący głos, słyszała bowiem, jak rozmawiał z kolegami; że wprawdzie chodzi nieco przygarbiony, lecz za to ze swoistym wdziękiem, że wydaje się wcale niegłupi, że cała jego postać jest szlachetna, miła, prosta i dumna, wreszcie, że wygląda biednie, ale przyzwoicie;

Owego dnia, kiedy oczy ich spotkały się i powie. działały sobie nagle te pierwsze tajemne i niewysłowione rzeczy, które szepcze spojrzenie, Kozeta zrazu nic nie rozumiała. Zamyślona wróciła do domu na ulicy Zachodniej, gdzie Jan Valjean spędzał swoim zwyczajem sześć tygodni. Nazajutrz, obudziwszy się, pomyślała o tym nieznanym młodzieńcu, który przez długi czas był tak obojętny i zimny, a teraz zdawał się zwracać na nią uwagę, i miała wrażenie, że uwaga ta nie sprawia jej najmniejszej przyjemności. Gniewał ją raczej nieco ten piękny

zarozumialec. Obudziła. się w niej wojowniczość. Zdawało jej się — i czuła dziecienną radość na myśl o tym — że się wreszcie zemści.

Świadoma swej urody, czuła dobrze, choć niezbyt jasno zdawała sobie z tego sprawę, że posiada groźną broń. Kobiety bawią się swoją urodą jak dzieci nożem.

I ranią się.

Pamiętamy wahania Mariusza, jego gwałtowne wzruszenia i obawy. Siadywał na ławce jak przykuty i nie podchodził bliżej. Drażniło to Kozetę. Wreszcie, pewnego dnia, powiedziała do Jana Valjean:

— Ojczy, przejdźmy się trochę tamtą aleją.

Widząc, że Mariusz się do niej nie zbliża, ona poszła do niego. W takim wypadku każda kobieta podobna jest do Mahometa. Poza tym — szczególnie to rzecz — pierwszym objawem prawdziwej miłości u młodzieńca jest — nieśmiałość, a u dziewczyny — śmiałość. Wydaje się to dziwne, lecz jest bardzo proste: to obie płcie starają się zbliżyć -do siebie i przybierają się w cechy płci odmiennej.

Owego dnia spojrzenie Kozety doprowadzało Mariusza do szaleństwa, a spojrzenie Mariusza przeniknęło Kozetę dreszczem. Mariusz wrócił do domu pełen ufności. Kozeta — pełna niepokoju. Od owego dnia — zaczęli się kochać.

Zrazu Kozetę ogarnął głęboki, niezrozumiały smutek. Zdawało jej się, jakby w ciągu jednego dnia dusza jej pociemniała. Nie poznawała jej wcale. Biel dziewczęcej duszy, złożona z chłodu i wesołości, podobna jest do śniegu. Topnieje w promieniach miłości — swego słońca.

Kozeta nie wiedziała, co to miłość. Nigdy nie słyszała tego słowa, używanego w jego ziemskim znaczeniu. W świeckich śpiewnikach, które zawędrowały do klasztoru, słowo „kochanie” zastąpiono słowami „pranie” czy „trąb granie”. Wynikały stąd zagadki, nad którymi „duże” wysilały swą wyobraźnię: „Ach, jak rozkoszne jest to pranie!” lub „Litość to nie trąb granie.” Ale, opuszczając klasztor, Kozeta była zbyt dziecinna, żeby się interesować „trąb granie”. Nie wiedziała więc, jak nazwać to, co teraz czuła. Czy jednak człowiek, który nie zna nazwy swej choroby, jest przez to mniej chory?

Kochała więc tym goręcej, że kochała nieświadomie. Nie wiedziała, czy to dobre, czy złe, potrzebne czy niebezpieczne, konieczne czy zgubne, wieczne czy przelotne, dozwolone czy zakazane: kochała. Zdziwiłaby się bardzo, gdyby jej ktoś powiedział: „Nie sypiasz? Ależ to niedozwolone! Nie jesz? To bardzo źle! Serce ci bije jak oszalałe? Ależ to nie uchodzi!

Czerwienisz się i bledniesz, kiedy pewna czarno ubrana osoba pojawia się w pewnej zielonej alei? To karygodne!" Nie, tego by nie zrozumiała i odrzekłaby: „Jakaż mogą wina w tym, czego nie rozumiem i na co nie mogę poradzić?"

Tak się złożyło, że miłość ta odpowiadała najlepiej stanowi jej duszy: uwielbienie z daleka, niema kontemplacja, ubóstwienie nieznanego człowieka. To młodość objawiła się młodości, marzenie nocne zmieniło się w romans, nie przestając być marzeniem, wyśniona zjawa oblekła się w ciało, lecz była jeszcze bez imienia, bez zmazy, bez plamy, bez wymagań i błędów: słowem, daleki kochanek w sferze ideału, majak, który przybrał kształt ludzki. W owym okresie każde bliższe, realniejsze uczucie spłoszyłoby Kozetę, jeszcze pogrążoną w wyolbrzymiających wszystko oparach klasztoru. Przeżywała jeszcze wszystkie strachy dzieciństwa i wszystkie trwogi zakonnice. Nastrój klasztoru, którym nasiąkała przez pięć lat, jeszcze unosił się nad jej osobą i stwarzał naokoło atmosferę lęku. W takiej sytuacji potrzebny jej był nie kochanek i nawet nie wielbiciel, lecz wizja. I pokochała Mariusza jak coś uroczonego, promiennego i nieosiągalnego.

Największa niewinność łączy się zawsze z najwyższą zalotnością, więc otwarcie uśmiechała się do niego.

Codziennie niecierpliwie czekała godziny przechadzki, a gdy spotykała Mariusza, czuła się niewymownie szczęśliwa i szczerze sądziła, że wypowiada całą swą myśl mówiąc do Jana Valjean:

— Jak uroczy jest Ogród Luksemburski.

Mariusz i Kozetą byli dla siebie w mroku nocy. Nie rozmawiali ze sobą, nie pozdrawiali się, nie znali, patrzyli na siebie i jak gwiazdy na niebie, oddzielone milionami mil, żyli tylko zapatrzeniem w siebie.

Tak Kozeta powoli stawała się kobietą i rozkwitała, piękna i zakochana, świadoma swojej urody, a nieświadoma swojej miłości. A w dodatku zalotna przez niewinność.

ROZDZIAŁ VII

On smutny, ona jeszcze smutniejsza

Każda sytuacja budzi w człowieku właściwy instynkt. Stara i odwieczna matka natura po cichu ostrzegała Jana Valjean o obecności Mariusza. Jan Valjean drżał w najtajniejszych głębiach swych myśli. Nic nie widział, nic nie wiedział, a przecież z upartą uwagą wpatrywał się w otaczające go ciemności, jak gdyby czuł, że w jednej stronie coś się buduje, a w drugiej stronie coś wali się w gruzy. Mariusz, ostrzeżony przez tę samą matkę-naturę, bo takie jest głębokie prawo boże, robił wszystko, co mógł, by unikać „ojca”. Jednakże Jan Valjean dostrzegł go parokrotnie. Zachowanie Mariusza przestało istotnie być naturalne. Okazywał podejrzaną przezorność albo niezręczną śmiałość. Nie podchodził już blisko, jak dawniej; zatrzymywał się z daleka i siec.. dział pogrążony w zachwyceniu; miał książkę i udawał, że ją czyta; po co udawał? Dawniej przychodził w starym ubraniu. Teraz codziennie był w nowym;. może nawet układał sobie włosy, miał dziwny wyraz oczu, nosił rękawiczki; słowem Jan Valjean serdecznie znienawidził tego młodzieńca.

Kozeta z niczym się nie zdradzała. Nie wiedząc dobrze, co się z nią dzieje, czuła, że coś się dzieje i że trzeba się z tym ukrywać.

Między nagłym upodobaniem do strojów u Kozety a zwyczajem noszenia nowych ubrań, który miał ten nieznajomy młodzieniec, istniał jakaś związek, bardzo niemiły dla Jana Valjean. Było to prawdopodobnie, a nawet na pewno sprawą przypadku, ale kryło w sobie jakąś groźbę. Nigdy ani słowem nie wspominał Kozecie o nieznajomym. Raz jednak nie mógł się powstrzymać i z jakąś -nieuświadomioną rozpaczą, która nagle zagłębia sondę we własne nieszczęście, rzekł do niej:

— Ten młodzieniec wygląda na pedanta!

Rok wcześniej Kozeta, obojętna mała dziewczynka, odpowiedziałaby mu: „Ależ nie! On jest bardzo miły!” Dziesięć lat później, nosząc w sercu miłość do Mariusza, odpowiedziałaby: „Masz rację, ojcie, to jakiś nieznośny pedant!” Ale w tym okresie życia i w tym stanie serca, w którym wówczas była, odrzekła tylko z niezmaconym spokojem:

— Który? Tamten?

Jakby go widziała po raz pierwszy w życiu.

— Co za głupiec ze mnie! — pomyślał Jan Val-jean. — Ona wcale go jeszcze nie zauważyła. I ja go jej pokazuję!

O starcza naiwności! O przebiegłości dziecięca!

Takie jest prawo tych najmłodszych lat cierpień i trosk, lat gwałtownych walk pierwszej miłości z pierwszymi przeszkodami, że dziewczyna nie daje się złapać w żadną pułapkę, a młodzieniec wpada w każdą. Jan Valjean wypowiedział Mariuszowi głuchą wojnę, której tamten się nie domyślał z wzniosłą głupotą swej wielkiej miłości i młodego wieku. Jan Valjean zastawiał nań różne sidła; przesuwał godziny spacerów, zmieniał ławkę, zostawił chusteczkę, przychodził do Ogrodu sam. Mariusz na oślep wpadał w te sidła i na wszystkie znaki zapytania, stawiane mu przez Jana Valjean, odpowiadał naiwnie: „tak”. Kozeta zaś zamknęła się w swojej pozornej beztrosce i niewzruszonym spokoju, tak że Jan Valjean doszedł do takiego wniosku: „Ten fircyk szaleje za Kozeta, ale ona nie wie nawet o jego istnieniu!”

A jednak setce drżało mu boleśnie. Prędzej czy później nadejdzie godzina, w której Kozeta pokocha. Wszystko przecież zaczyna się od obojętności.

Raz, tylko Kozeta popełniła błąd i przestraszyła go; gdy po trzygodzinnym pobycie w Ogrodzie wstał z ławki zbierając się do odejścia, powiedziała: . — Już?...

Jan Valjean nie przerwał przechadzek do Ogrodu Luksemburskiego, nie chciał zachowywać się inaczej niż zwykle, a nade wszystko lękał się, by Kozeta czegoś nie spostrzegła; ale w godzinach tak słodkich dla zakochanych, gdy Kozeta przesyłała uśmiech Mariuszowi, który w upojeniu nic poza tym nie spostrzegał, bo cały świat przesłaniała mu promienna, ukochana twarzyczka, Jan Valjean wbijał w Mariusza oczy roziskrzzone groźbą. On, który w końcu uwierzył, że jest już nie- zdolny żywić niechęci do żadnego człowieka, czuł chwilami, gdy Mariusz był w ogrodzie, że zmów staje się dziki i okrutny i że otwierają się i burzą przeciw temu młokosowi dawne głębie jego duszy, gdzie niegdyś kryło się tyle gniewu. Zdawało mu się, że znów spiętrzają się w jego duszy jakieś nieznane wulkany.

Cóż to? Znowu ten człowiek? Co on tu robi? Kręci się, węszy, bada, próbuje i powiada: „A czemu nie?” Krąży wokół życia Jana Valjean, wokół jego szczęścia, by mu je wyrwać i zabrać!

Jan Valjean dodawał: „Tak! Właśnie to! Czego szuka? Przygody! Czego chce? Miłości! A ja? Byłem z początku najnędzniejszym z ludzi, a potem najniezwyklejszym; sześćdziesiąt lat przeżyłem na kolanach, przecierpiałem wszystko, co tylko można przecierpieć, zestarzałem się nie zaznawszy

młodości, żyłem bez rodziny, bez krewnych, bez przyjaciół, bez żony, bez dzieci, zostawiłem swoją krew serdeczną na wszystkich kamieniach, na wszystkich cierniach, na wszystkich drogach, wzdłuż wszystkich murów, byłem łagodny, choć ludzie byli dla mnie okrutni, byłem dobry, choć ludzie byli dla mnie źli, stałem się mimo wszystko uczciwym człowiekiem, odpokutowałem zło, które wyrządziłem, wybaczyłem zło, które mi wyrządzono, i kiedy wreszcie doczekałem się nagrody, kiedy skończyła się niedola, kiedy zbliżam się do celu, kiedy mam to, czego pragnę, co zdobyłem z takim trudem i okupiłem taką ceną! — wszystko ma zniknąć, rozwiać się i stracę Kozetę, życie, radość, duszę własną, bo jakiemuś głupiemu młokosowi zachciało się spacerów w Ogrodzie Luksemburskim!

Wówczas źrenice jego napełniały się złowrogim i niezwykłym światłem. To nie człowiek patrzył na człowieka; nie wróg patrzył na wroga; to brytan patrzył na złodzieja.

Znamy resztę. Mamisz nadal postępował jak szaleniec. Pewnego dnia poszedł za Kozetą aż na ulicę Zachodnią. Innego dnia rozmawiał ze stróżem. Stróż ze swej strony porozmawiał z Janem Valjean:

— Proszę pana — rzekł — wypytywał się tu o pana jakiś ciekawy młodzieniec.

Nazajutrz Jan Valjean rzucił Mariuszowi takie spojrzenie, że on je wreszcie spostrzegł. W tydzień później Jan Valjean wyprowadził się. Poprzysiągł sobie, że noga jego nie postanie ani w Ogrodzie Luksemburskim, ani na ulicy Zachodniej. Powrócił na ulicę Plumet.

Kozeta nie skarżyła się, nie powiedziała ani słowa, nie pytała o nic, nie próbowała dowiedzieć się, dlaczego tak się stało. Doszła do momentu, w którym człowiek nie chce się dać przeniknąć i zdradzić swoich myśli. Jan Valjean nie znał z własnego doświadczenia tych cierpień, jedynych, które są błogie, i jedynych, których sam nigdy nie przeżywał; dlatego nie zrozumiał, jak groźną oznaką było milczenie Kozety.

Zauważył tylko, że posmutniała, więc i on sposepniał. Z obu stron stanęli do walki niedoświadczeni zapaśnicy. Raz odważył się na próbę. Zapytał Kozetę:

— Czy chcesz pójść do Ogrodu Luksemburskiego? Blask rozświetlił jej pobladłą twarzyczkę.

— I owszem — odrzekła.

Poszli. Od ostatniej ich bytności upłynęło trzy miesiące. Mariusz już nie przychodził do Ogrodu. Mariusza nie było.

Następnego dnia Jan Valjean znów zapytał Kozetę:

— Czy chcesz pójść do Ogrodu? Odpowiedziała ze smutną słodyczą:

— Nie.

Smutek jej uraził Jana Valjeana, a słodycz zraniła boleśnie.

Co się działo w duszy tak młodej, a już tak zamkniętej? Jaki się w niej dokonywał przewrót? Co przeżywała? Nieraz zamiast iść spać, Jan Valjean siadywał przy swoim pościu i ściskając głowę rękami spędzał całe noce, szukając odpowiedzi na pytanie: „O czym myśli Kozeta? ”, i dumając, nad czym ona może dumać.

Och, w takich chwilach jakże bolesne spojrzenie rzucał na klasztor, ów nieskalany szczyt, ową siedzibę aniołów, niedostępny lodowiec cnoty! Z jakimże zachwytem zaprawionym rozpaczą podziwiał ogród klasztorny, pełen nieznanych kwiatów i zamkniętych dziewcząt, gdzie wonie i dusze ulatują prosto w niebo! Jak uwielbiał ten na zawsze utracony raj, który dobrowolnie i szaleńczo opuścił. Jak żałował teraz swego samozaparcia i tego szaleństwa, które kazało mu wprowadzić Kozetę w świat, jak żałował go, on, biedny bohater wyrzeczenia, powalony przez własne poświęcenie. Jakże często powtarzał sobie: „I cóżem ja uczynił? ! ”

Lecz Kozecie nie okazywał nic: ani zgryzoty, ani opryskliwości. Widziała ona zawsze tę samą pogodną, dobrą twarz. Zachowanie Jana Valjeana było jeszcze czulsze i bardziej ojcowskie niż zazwyczaj. I tylko po większej słodyczy obejścia można było poznać, iż był mniej wesoły.

Kozeta także opadała z sił. Cierpiała z powodu nieobecności Mariusza tak, jak cieszyła się z jego obecności, nie wiedząc właściwie dlaczego. Gdy Jan Valjean zaprzestał prowadzić ją na zwykłe przechadzki, instynkt kobiecy podszeptał jej w zakamarkach serca, że nie powinna okazywać, iż zależy jej na bywaniu w Ogrodzie, że jeśli jej to będzie obojętne, ojciec znów ją tam zaprowadza. Ale mijały dni, tygodnie i miesiące. Jan Valjean przyjął bez słowa milczącą zgodę Kozety. Żałowała tego. Ale już było za późno. Gdy znów odwiedziła Ogród Luksemburski, Mariusza w nim nie było. Mariusz znikł, skończyło się. Co robić? Czy go kiedy w życiu odnajdzie? Czuła ucisk serca, który nie ustępował, ale wzrastał z każdym dniem. Nie wiedziała, czy jest lato, czy zima, czy świeci słońce, czy pada deszcz, czy ptaki śpiewają, czy kwitną dalie, czy stokrocie, czy Ogród Luksemburski miłszy jest od Tuileries, czy bielizna przyniesiona przez praczkę jest za mało czy za bardzo ukrochmalona, czy stara Toussaint ułatwia zakupy dobrze czy też źle, i żyła w przygnębieniu, roztargniona, pochłonięta jedną tylko myślą, z błędnym wzrokiem utkwionym w jeden punkt, jak ktoś, kto

w nocy wpatruje się w głęboką ciemność, w której rozwiła się jakaś zjawą.
"Kozeta także kryła swoją udrękę przed Janem Valjean. Przybladła tylko.
Ukazywała mu tę samą słodką twarzyczkę.

Ale bladość jej wystarczyła, by Jan Valjean zaniepokoił się bardzo. Parokrotnie pytał: — Co ci jest?

Odpowiadała:

— Nic roi nie jest, ojczy.

A po chwili milczenia, odgadując, że i on jest smutny, pytała:

— A tobie, ojczy, co dolega?

— Mnie? Nic — odpowiadał.

Te dwie istoty, które się darzyły tak wyłącznym uczuciem, tak czułą mdłością, które tak długo żyły jedna dla drugiej, teraz cierpiały jedna obok drugiej, jedna przez drugą, cierpiały bez słowa, bez urazy — z uśmiechem.

ROZDZIAŁ VIII

Łańcuch

Bardziej nieszczęśliwym z dwojga był Jan Valjean. Młodości pozostaje jej własny blask nawet w smutku.

Bywały chwile, w których Jan Valjean cierpiał tak bardzo, że stawał się dziecinny. Cierpienie ma tę właściwość, że odsłania dziecinne strony człowieka. Czuł nieodparcie, że traci Kozetę. Chciał walczyć, chciał ją zatrzymać przy sobie, zachwycić ją, olśnić jakimś zewnętrznym przepychem. Te myśli dziecinne, jak powiedzieliśmy, a zarazem starcze, właśnie przez swoją dziecinność, dały mu dość trafne pojęcie o wpływie szamerowanych mundurów na wyobraźnię dziewczęcą. Pewnego razu zobaczył przejeżdżającego konno generała w galowym mundurze, hrabiego Coutard, komendanta Paryża. Zaczął zazdrościć temu kapiącemu złotem człowiekowi: jakby to było dobrze, powiedział sobie, móc przywdziać taki strój, który był rzeczą nie do odrzucenia; na pewno olśniłby tym Kozetę i gdyby — prowadząc ją pod rękę i przechodząc koło bram Ogrodu Tuileryjskiego odbierał honory wojskowe, wystarczyłoby to Kozecie i wybiło jej z głowy wszystkich młodych ludzi.

Nieoczekiwany wstrząs przyłączył się do tych smutnych myśli.

W samotnym życiu, które prowadzili od czasu zamieszkania na ulicy Plumet, mieli pewien stały zwyczaj. Chodzili od czasu do czasu oglądać wschód słońca; jest to spokojna rozrywka, równie stosowna dla tych, co wchodzą w życie, jak i dla tych, co z niego ustępują.

Dla człowieka lubiącego samotność przechadzka o brzasku dnia łączy w sobie powab przechadzki nocnej z wesołością budzącej się przyrody. Ulice są puste, a ptaki śpiewają. Kozeta, sama ptaszę, chętnie wstawiała o świcie. Przygotowywali się do tych porannych przechadzek już w przeddzień. On wysuwał projekt, ona godziła się skwapliwie. Umawiali się jak spiskowcy wyruszali przed świtem; dawało to dużo radości Kozecie. Młodość lubi takie niewinne dziwactwa.

Wiemy, że Jan Valjean z upodobaniem odwiedzał miejsca mało uczęszczane, samotne zakątki, zapomniane ustronia. Koło rogatek paryskich rozpościerały się wówczas włączone prawie w miasto, biednie poletka, gdzie latem rosło nędzne zboże i które na jesieni, po żniwach, wyglądały nie jak zżęte, ale jak wygracowane. Jan Valjean chadzał tam ze szczególną przyjemnością, a Kozeta nie nudziła się wcale. On znajdował samotność, ona — swobodę. Stawała się

znowu małą dziewczynką, mogła biegać, nawet bawić się, zdejmowała kapelusz, kładła go na kolanach Jana Valjean i zrywała naręczą kwiatów. Przyglądała się motyloom na kwiatkach, ale ich nie chwyciła: łagodność i wrażliwość rodzą się wraz z miłością; młoda dziewczyna, która nosi w sercu ledwo uchwytny i kruchy ideał, lituje się nad skrzydełkiem motylim. Wiła wieńce z maków i wkładała je na głowę; a gdy promień słońca prześwietlił maki i rozżarzył ich purpurę, świeża, różowa twarzyczka wydawała się uwieńczona ognistą koroną.

Nawet wówczas, kiedy życie ich posmutniało, zachowali zwyczaj porannych spacerów.

Tak więc w pewien październikowy ranek, skuszeni piękną pogodą, która panowała na jesieni 183 roku, wyszli na przechadzkę i znaleźli się o wczesnej godzinie przy rogatce Maine. Nie był to jeszcze świt, ale brzask dopiero.; chwila czarowana i niezwykła. Farę gwiazd świeciło tu i ówdzie na bladym, głębokim lazurze, ziemia była ciemna, niebo jasne, drżenie przebiegało przez źdźbła trawy, wszystko spowijał tajemniczy mrok. Zabłąkany między gwiazdami skowronek z zawrotnej wysokości dzwonił swą piosenkę i rzekłbyś, że hymn do nieskończoności śpiewany przez tę kruszynę uspokajał ogrom. Na wschodzie czarna sylwetka Val-de-Grace rysowała się na widnokręgu jaśniejącym stalowym blaskiem; ponad jego kopułą wschodziła promienna Wenus i wyglądała jak dusza ulatująca z mrocznego gmachu.

Wszystko tchnęło ciszą i spokojem; gościniec był pusty, tylko gdzieś w dole mgliście majaczyły sylwetki paru robotników idących do pracy.

Jan Valjean usiadł w bocznej alei na belkach złożonych u wejścia do jakiejś budowy. Odwrócony twarzą ku drodze, a plecami ku światłu, zapomniał o słońcu, które miało wzejść za chwilę i zapadł w jedno z tych głębokich zamyśleń, które skupiają całą duszę, więżą nawet wzrok i odgradzają jak cztery ściany.

Bywają zamyślenia, które można by nazwać pionowymi: gdy się jest na ich dnie, trzeba dużo czasu, by powrócić na ziemię. Jan Valjean zatonął w głębinach takiej właśnie zadumy. Myślał o Kozecie, o szczęściu, jakie mógł przeżywać, gdyby nic nie stanęło między nimi, o jasności, którą Kozeta napełniała jego życie, jasności, będącej oddechem jej duszy.

Był w tym marzeniu prawie szczęśliwy. Kozeta stojąc obok niego patrzyła na różowiejące obłoki. Nagle zawołała:

— Ojczy, zdaje się, że coś nadjeżdża!

Jan Valjean podniósł oczy.

Kozeta miała słuszość.

Szosa prowadząca do dawnej roгатki Maine jest — jak wiadomo — przedłużeniem ulicy Sevres; bulwar wewnętrzny przecina ją pod kątem prostym. Z miejsca przecięcia bulwaru z szosą dochodził jakiś zgiełk, trudny do wytłumaczenia o tej porze, majaczyło się tam niewyraźnie coś, jak gdyby ruchomy zator. Jakaś bezkształtna masa wyłoniła się z bulwaru i wjeżdżała na szosę.

Masa ta rosła i zdawała się poruszać w porządku, ale była najeżona, rozkołysana; wyglądało to na wóz, ale nie podobna było dostrzec ładunku. Były tam konie, koła, krzyki, trzaskanie z batów. Stopniowo zaczęły się wyłaniać kontury, jeszcze pogrążone w ciemnościach. Był to istotnie wóz, który skręcił z bulwaru na szosę i kierował się w stronę roгатki, tam, gdzie siedział Jan Valjean; za pierwszym wozem jechał darugi, podobny, potem trzeci i czwarty. Siedem wozów wyjechało kolejno z bulwaru, posuwając się w tak bliskiej odległości, że końskie łby dotykały tyłu wozów. Jakieś sylwetki poruszały się na wozach, w mroku coś migotało, niczym obnażone szable, rozlegał się szcęk podobny do szcępu poruszanych łańcuchów; wszystko zbliżało się, głosy rosły, była to rzecz tak straszna, jak coś, co wyłania się z pieczary snów.

Zbliżając się przybierała wyraźniejszy kształt, zarysowywała się między drzewami siną plamą zjawy; masa zaczęła bieleć; słońce, które wstawało powoli, rzucało blade światło na to rojowisko grobowe, a zarazem żyjące, głowy sylwetek stały się trupimi twarzami i oto, co się wreszcie ukazało:

Po szosie jechało gęsiego siedem wozów. Sześć pierwszych miało niezwykłą budowę. Przypominały wózki bednarzy, coś w rodzaju długiej drabiny ma dwóch kołach, której przedłużenie od przodu tworzą dyszle. Każdy wózek albo raczej każdą drabinę ciągnęły cztery konie. Na drabinach wisały jak gdyby wielkie grona ludzi. "W słabym świetle poranka nie było widać tych ludzi, można się ich było tylko domyślać. Jechali po dwudziestu czterech na wozie, dwunastu z każdej strony, zwróceniem plecami do siebie, a twarzą do przechodniów, z nogami zwisającymi w powietrzu; coś im brzęczało za plecami — był to łańcuch, i coś im błyszczało na szyjach — były to obroże! Każdy miał własną obrożę, lecz łańcuch był wspólny dla wszystkich, tak że jeśli tych dwudziestu czterech ludzi musiało zejść z wozu i iść pieszo, to skuwała ich wtedy nieubłagana jedność, i z łańcuchem, który stawał się ich (Kręgosłupem, musieli pełzać po ziemi niczym stonoga. W tyle i przodzie wozu stali dwaj ludzie uzbrojeni w karabiny, każdy z nich trzymał koniec łańcucha pod stopą. Obroże były 'kwadratowe. Pochód zamykał siódmy wóz, wielki, czterokołowy furgon drabiniasty, ale bez przykrycia i zaprzężony w sześć koni; załadowany

był brzęczącym stosem żelaznych kotłów, garnków, kuchenek i łańcuchów, wśród których leżało kilku ludzi skrępowanych i wyglądających na chorych. Ten furgon z rzadkimi szczablami okalały połamane kraty, które zdawały się dawniej służyć do tortur.

Wozy jechały środkiem jezdni. Po obu stronach w podwójnym szeregu szli strażnicy o bestialskim wyglądzie, w trójgraniastych kapeluszach jak żołnierze z czasów Dyrektoriatu; byli brudni, obdarci, odpychający, ubrani w kurtki inwalidów, a w spodnie karawaniarzy, szaroniebiescy, obszarpani, z czerwonymi epoletami, żółtymi pasami, uzbrojeni w kordelasy, karabiny i kije; wyglądali jak ciury obozowe. Zbiry te zdawały się łączyć w sobie podłość żebraków z władzą katów. Ten, który wyglądał na szefa, trzymał w ręku bicz pocztyliona. Wszystkie te szczegóły, początkowo zatarte w mroku, występowały coraz wyraźniej w rosnącym świetle dnia. Na przodzie i z tyłu jechali konno żandarmi, poważni, z szablami w ręku.

Sznur wozów był tak długi, że kiedy pierwszy z nich zbliżał się do rogatki, ostatni dopiero wyjeżdżał z bulwaru.

Tłum, który w mgnieniu oka wyrósł jak spod ziemi — co często zdarza się w Paryżu — cisnął się po obu stronach szosy i patrzył. Z sąsiednich uliczek dochodziły krzyki nawołujących się ludzi i stuk chodaków, to ogrodnicy nadbiegali, by przyjrzeć się widowisku.

Ludzie stłoczeni na drabinach milczeli, podrzucani wstrząsami wozu. Zsinieli od porannego chłodu. Wszyscy mieli płócienne spodnie i chodaki na bosych stopach. Reszta ubiora zależała od fantazji nędzy. Szkaradna pstrokaczna — nie ma smutniejszego widoku niż arlekin w łachmanach. Były więc tam i pomięte kapelusze filcowe, i kaszkiety powalane smołą, i ohydne wełniane czapki; obok robotniczej bluzy czarny surdut z dziurawymi łokciami; wielu miało damskie kapelusze, niektórzy wsadzili na głowę koszyki; widać było obrośnięte piersi, a przez dziury w ubraniach wytatuowane na ciele świątynie miłości, serca przebite strzałą, amorki. . Widoczne też były liszaje i czerwone wypryski. Paru wspierało nogi na słomianym sznurze, zawieszonym wzdłuż bocznej drabiny, niby strzemiona, który służył im za oparcie dla stóp. Jeden trzymał w ręku i podnosił do ust coś w rodzaju czarnego kamienia, który zdawał się gryźć. Był to chleb. Widziałeś tam jedynie oczy suche, przygasłe lub płonące złym blaskiem.

Strażnicy 'klęli; skazańcy nie odzywali się ani słowem; od czasu do czasu rozlegał się świst kija smagającego plecy lub głowy; niektórzy z tych ludzi ziewali; łachmany ich były straszne; nogi zwisały, ramiona kołysały się, głowy się zderzały, żelastwa dzwoniły, oczy pałały dzikim, ogniem, ręce zaciskały się w pięści lub otwierały bezwładnie jak dłonie trupa.

Gromadki dzieci wybuchają śmiechem patrząc na ten pochód.

Ten sznur wozów — jakkolwiek wyglądał — był ponury. Było oczywiste, że jutro czy za godzinę może rozsrożyć się ulewa, że za nią przyjdzie inna i jeszcze inna, że te zniszczone ubrania przemokną do nitki, że ludzie ci, raz zmókłszy, już nie wyschną; skostniawszy z zimna, już się nie ogrzeją; że po deszczu płócienne spodnie przylgną im do pieszczeli, a chodaki nasiąkną wodą, że razy kijów nie powstrzymają szczękania zębów, że łańcuch będzie ich nadal trzymał za karki, a nogi wisały w powietrzu. I nie można było nie zadrzeć ze zgrozy na widok tych istot ludzkich, związanych i biernych pod zimnymi chmurami jesieni, tych istot wystawionych, jak drzewa i kamienie, na słotę, wiatr i wszelkie nawałnice.

Nie szczędzono kijów nawet chorym, którzy związani sznurami leżeli bez ruchu na siódmym wozie, rzućeni tam, niby worki wypełnione nędzą.

Nagle ukazało się słońce. Ze wschodu trysnął olbrzymi promień i, rzekłbyś, rozpałił te dzikie głowy. Rozwiązały się języki; buchnęła pożoga szyderstw, przekleństw i śpiewek. Szeroki, poziomy pas światła przeciął szereg na dwoje, oświecając głowy i torsy, a nogi i koła zostawiając w cieniu.

Myśli odmalowały się na twarzach; była to chwila straszliwa: maski opadły, ukazały się oblicza szatanów, odsłoniły się okrutne dusze. Ta ciżba, choć oświetlona, pozostała nadal posepna. Niektórzy ze skazańców, wesołki, mieli w ustach dutki z piór i wydmuchiwali przez nie robactwo na tłum, celując specjalnie w kobiety. Brzask obrysował czarnym cieniem te żalosne profile; każdą z tych istot zeszpeciła nędza; i było to tak potworne, że miało się wrażenie, iż światło słoneczne padając na nich zamienia się w płomień błyskawicy. Wóz jadący na przedzie z obłądną wesołością zaintonował i wyśpiewywał na całe gardło znaną wówczas piosenkę Desaugiersa: *Westalkę*. Drzewa drżały złowieszczo; w bocznych alejach mieszczuchy z idiotycznym rozradowaniem na twarzach przysłuchiwały się sprośnym błazeństwom, śpiewanym przez widma.

Wszystkie niedole złączyły się w tym orszaku w jeden chaos; były tam zarysy pysków wszystkich zwierząt, byli starcy, młodzieńcy, łyse czaszki, siwe brody, cyniczne potworności, gniewna rezygnacja, grymas . okrutnego uśmiechu, dziwaczne postawy, ryje w czapkach, główki niemal dziewczęce z kędziorami na skroniach, twarze dziecinne i tym bardziej straszne, wychudłe oblicza szkieletów, którym brakowało tylko śmierci. Na pierwszym wozie jechał Murzyn, który dawniej był może niewolnikiem i teraz mógł porównać ciężar łańcuchów. Straszne zrównanie w dół, ku hańbie, napiętnowało te czoła; na tym stopniu poniżenia wszyscy przeszli ostateczne przemiany w najtajniejszych głębiach dna duszy; i ciemnota, która przeobraziła się w otępienie, zrównała się z

inteligencją, która przeobraziła się w rozpacz. Nie podobna było wybierać między tymi ludźmi, którzy ukazywali się oczom niby kwintesencja błota. Nie ulegało wątpliwości, że ten, kto formował tę ohydłą procesję, nie myślał o żadnej klasyfikacji. Istoty te zostały związane i połączone w pary bezładnie, zapewne według przypadkowości alfabetu, i były jak załadowane na wozy.

Jednakże nagromadzenie okropności daje w końcu jakąś wspólną wypadkową; z dodawania nieszczęśliwych zawsze wypada pewna suma; każdy łańcuch miał wspólną duszę, a każdy wóz odrębną fizjonomię. Jeden śpiewał, drugi . wył, trzeci wyciągał rękę po jałmużnę,- na innym słyhać było zgrzytanie zębów; tam grożono przechodniom, ówdzie złorzeczono Bogu; ostatni wóz milczał jak grób. Dante pomyślałby, że widzi korowód siedmiu kręgów piekła.

Posępny pochód skazańców do kaźni odbywał się nie na straszliwym, ciskającym pioruny rydwanie Apokalipsy, lecz — rzecz znacznie bardziej ponura — na wózkach od gnoju.

Jeden ze strażników miał na końcu kija haczyk i zdawał się od czasu do czasu grzebać w tej kupie mierzwy ludzkiej. W tłumie jakaś starucha, pokazując na nich palcem, mówiła do pięcioletniego chłopca: „Przypatrz się, nicponiu, niech cię to nauczy!”

Gdy śpiewy i bluźnierstwa wzmagaly się, ten, który wydawał się dowódcą, strzelił z bicia i na ten znak straszliwe, głuche razy 'kijów posypały się na oślep, niby grad; wielu ryczało i pieniało się z wściekłości, powiększało to uciechę uliczników, którzy się zbiegli jak chmara much obsiadających rany.

Oczy Jana Valjean stały się przerażające. Nie były to źrenice, lecz grube szkło, które zastępuje czasem u nieszczęśliwych ludzi spojrzenie, wydarze się nieświadome rzeczywistości i płonie odblaskiem jakiejś zgrozy i katastrofy. Nie patrzył na widowisko; przeżywał wizję. Chciał podnieść się, biec, uciekać; nie mógł się ruszyć z miejsca.

Niekiedy rzeczy, na które patrzymy, chwytają nas i trzymają. Siedział jak przykuty, osłupiały, bezmyślny, pytając sam siebie, ogarnięty ogromną, niepojętą trwogą, co znaczą te dręczące go upiory i skąd się bierze to ścigające go pandemonium. Nagle podniósł rękę do czoła ruchem właściwym ludziom, którym nagle powraca pamięć; przypomniał sobie, że była to zwykła trasa, że stosowano zwykle tę okrężną drogę, aby uniknąć spotkania z orszakiem królewskim, zawsze możliwego na szosie wiodącej do Fontainebleau, i że przed trzydziestu pięciu laty on także przejeżdżał przez tę rogatkę.

Kozeta była przerażona nie mniej, choć inaczej. Nie rozumiała. Zabrakło jej tchu; nie chciała wierzyć własnym oczom; w końcu zawołała: .

— Ojczy! Kto to jedzie na tych wozach? Jan Valjean odpowiedział:

— Skazańcy!

— Dokąd jadą?

— Na galery!

W tym momencie razy, zadawane przez setkę rąk, wzmogły się przeplatane płazowaniem szabel, rozpętała się istna nawałnica kijów i biczków. Galernicy sikulili się, Jakieś ohydne postuszeństwo zrodziło się z męki i wszyscy zamilkli ze spojrzeniem wilków schwytyanych w potrzask. Kozeta drżała na całym ciele; zapytała znowu:

— Ojczy, czy to są ludzie?

— Niekiedy — odpowiedział nieszczęśnik.

W istocie był to konwój skazańców, który wyruszywszy przed świtem z Bicetre posuwał się drogą do Mains, aby ominąć Fontaiaebleau, gdzie przebywał właśnie król. To okrażenie przedłużało okrutną podróż o kilka dni, ale cóż to znaczy wobec faktu, że można w ten sposób oszczędzić osobie królewskiej widoku męki?

Jan Valjean wrócił do domu przybity. Takie spotkania są straszliwym ciosem, a wspomnienie o nich podobne jest do gwałtownego wstrząsu.

Wracając na ulicę Babilońską, Jan Valjean zauważył, że Kozeta nie wypytywała go już więcej o to, co zobaczyła; może zresztą sam był zbyt pogrążony w bolesnych i przygnębiających myślach, by słyszeć jej słowa i odpowiadać na nie. Dopiero wieczorem, gdy Kozeta pożegnała go idąc spać, usłyszał, jak półgłosem mówiła do siebie:

— Och, Boże! Gdybym z bliska zobaczyła któregoś z tych ludzi, chybabym umarła na sam jego widok!

Szczęśliwy przypadek zrządził, że nazajutrz po tym tragicznym dniu, z racji nie wiem już jakiej oficjalnej uroczystości, w Paryżu odbywały się zabawy publiczne, . rewia wojska na Polu Marsowym, regaty na Sekwanie, widowiska na Polach Elizejskich, sztuczne ognie na placu Gwiazdy, a wszędzie iluminacje. Zadając gwałt swoim obyczajom, Jan Valjean zaprowadził Kozetę na te zabawy, aby odwrócić jej myśl od przykrych wspomnień wczorajszego dnia i- wrzawą rozbawionej stolicy zatrzeć ślad straszliwego widoku, który przesunął się przed jej oczyma. Rewia wojskowa, będąca okrasą uroczystości, usprawiedliwiała obecność wszystkich mundurów; Jan Valjean włożył swój mundur gwardii

narodowej z mglistym wewnętrznym uczuciem człowieka, który szuka schronienia. Jak się wydawało, przechadzka osiągnęła swój cel. Kozeta, która uważała za swój obowiązek nie sprzeciwiać się ojcu i dla której każde widowisko było nowością, przystała na tę rozrywkę z ochotą właściwą młodości i nie zrobiła zbyt pogardliwej minki na tę wspólną miskę radości, zwaną zabawą publiczną; tak że Jan Valjean mógł sądzić, iż udało mu się zatrzeć w jej pamięci ostatni ślad ohydnej wizji.

W parę dni później, pewnego ranka, korzystając z pięknego słońca, siedzieli oboje na ganku od strony ogrodu, było to jeszcze jedno odstępstwo od zasad narzuconych sobie przez Jana Valjean i od zwyczaju przesiadywania w pokoju, do którego smutek skłaniał Kozetę; Kozeta stała w lekkim szlafroku, usprawiedliwionym poranną godziną, który nadaje tyle czarownego wdzięku młodej dziewczynie i przypomina obłok osłaniający gwiazdę. Z główką zalaną światłem, różowa po dobrze przespanej nocy, obrywała płatki stokrotki pod rozczulonym wzrokiem zacnego starca. Nie znała uroczej wróżby: „kocha, lubi, szanuje" itd., bo któż by miał ją tego nauczyć? Skubała kwiatek instynktownie, niewinnie, nieświadoma tego, że obrywanie płatków stokroć! to badanie tajemnic serca. Gdyby istniała czwarta Gracja, zwana Melancholią i uśmiechnięta, Kozeta wyglądałaby jak ta Gracja. Jan Valjean wpatrywał się urzeczony w drobne paluszki trzymające kwiatek i w promienności, jaka biła od tego dziecka, zapomniał o wszystkim. Rudzik świergotał cicho w pobliskich zaroślach, białe obłoczki płynęły po niebie tak wesoło, jakby przed chwilą wyrwały się na swobodę. Kozeta obrywała uważnie płatki kwiatu i zdawała się rozmyślać głęboko nad czymś niezmiernie miłym; nagle odwróciła szyję wdzięcznym, powolnym, łabędzim ruchem i zapytała: — Ojczy, a co to są galery?

KSIĘGA CZWARTA

POMOC Z DOŁU MOŻE BYĆ POMOCĄ Z GÓRY

ROZDZIAŁ I

Zewnętrzna rana leczy ból duszy

Tak więc życie ich zasnuwały powoli chmury.

Pozostała im tylko jedna rozrywka — niegdyś szczęście— nosić chleb ludziom, którzy cierpieli głód, i odzienie ludziom, którzy cierpieli zimno. Kozeta często towarzyszyła Janowi Valjean; w czasie tych odwiedzin u ubogich odnajdywali czasem nieco dawnej serdecznej zażyłości. Niekiedy, po dobrze spędzonym dniu, gdy ulżyli wielu niedolom, przyodziali i nakarmili wiele drobnych dzieci, Kozeta była wieczorem nieco weselsza. W tym właśnie czasie odwiedzili norę Jondrette'a.

Nazajutrz po tych odwiedzinach Jan Valjean zjawił się rano u Kozety, spokojny jak zwykle, ale z wielką raną na lewym ramieniu, rozognioną, rozjątrzoną i podobną do oparzenia, którą wytłumaczył jakąś błahą przyczyną. Z powodu tej rany gorączkował przez cały miesiąc i nie wychodził z domu. Nie chciał nawet słyszeć o lekarzu. Gdy Kozeta nalegała, odpowiadał: „Wezwij weterynarza!”

Rano i wieczór Kozeta opatrywała mu ranę z taką troskliwością i tak anielsko uszczęśliwiona, że może mu się przysłużyć, iż Jan Valjean czuł, jak powraca dawna radość, a znikają obawy i troski; wpatrywał się w Kozetę i powtarzał sobie: „Błogostawiona rana! Błogostawiony ból!”

Podczas choroby ojca Kozeta porzuciła pałacyk i znowu chętnie przebywała w małej izdebce i na podwórku. Prawie całe dni spędzała z Janem Valjean i czytała mu książki, jakie chciał; najczęściej książki podróżnicze. Jan Valjean odżył, szczęście jego zmartwychwstawało promieniując niewysłowionym blaskiem; Ogród Luksemburski, nieznany natrętny młokos, oziębłość Kozety — wszystkie te chmury jego duszy rozproszyły się. Doszło do tego, że myślał: „Uroiłem sobie to wszystko! Jestem stary wariat!”

Był tak szczęśliwy, że potworne i nieoczekiwane odkrycie Thenardierów w norze Jondrette'a spłynęło po nim bez większego wrażenia.- Zdołał umknąć, zmylił ślady — czegoż mógł chcieć więcej? Jeśli wspominał całą przygodę, to tylko po

to, by litować się nad tymi nędznikami: „Siedzą w więzieniu i już nie mogą szkodzić — myślał — ale jak rozpaczliwa jest dola tej rodziny!”

O potwornej wizji z rogatki Maine Kozeta nie wspomniała już nigdy ani słowem.

W klasztorze siostra Mechtylda uczyła ją muzyki. Kozeta miała głos skowronka, skowronka, który by miał duszę, i niekiedy wieczorami śpiewała w skromnej izdebce rannego smutne piosenki, które radowały Jana Valjean.

Nadeszła wiosna, ogród o tej porze roku był tak cudownie piękny, że Jan Valjean rzekł do Kozety:

— Przestałaś tam zupełnie chodzić! Pospaceruj sobie trochę po ogrodzie!

— Jak chcesz, ojciec — odrzekła Kozeta.

I, posłuszna woli ojca, przechadzała się znów po ogrodzie, najczęściej sama, gdyż jak wspominaliśmy, Jan Valjean zapewne z obawy, by go ktoś nie spostrzegł przez kratę, prawie nigdy tam nie zaglądał.

Rana Jana Valjean wniosła urozmaicenie do ich życia.

Widząc, że ojciec mniej cierpi, że powraca do zdrowia i wydaje się szczęśliwy, Kozeta uczuła radość, która ogarnęła jej duszę tak naturalnie i niepostrzeżenie, że prawie jej nie zauważyła. A poza tym był marzec, dni stawały się coraz dłuższe, zima odchodziła unosząc ze sobą jak zawsze część naszych smutków; potem nadszedł kwiecień, ten świt lata, świeży jak poranek, wesoły jak lata dzieciństwa, a niekiedy trochę rozplakany jak niemowlę, bo jest nim przecie. W tym miesiącu przyroda lśni najpoważniejszym blaskiem, który z nieba, obłoków, drzew, łąk. i kwiatów przenika do serca człowieka.

Kozeta była jeszcze zbyt młoda, by nie ulec tej kwietniowej radości — tak do niej podobnej. Niepostrzeżenie i bez jej wiedzy ciemność pierzchła z jej duszy. Wiosna rozjaśnia smutne serca, jak południowe słońce rozwidnia piwnice. Kozeta nie była już nawet bardzo smutna, zresztą nie zdawała sobie z tego sprawy. Rano, około dziesiątej, po śniadaniu, gdy udało jej się wyciągnąć ojca na kwadrans do ogrodu i gdy spacerowała z nim razem, w słońcu, koło ganku, podtrzymując jego chorą rękę, nie dostrzegła nawet, że co chwila się śmieje i jest szczęśliwa.

Jan Valjean, upojony, widział, jak wracają jej rumieńce i świeżość. — „O błogostawiona rano!” — powtarzał po cichu.

I czuł wdzięczność do Thenardierów.

Kiedy rana się zagoiła, powrócił do zwyczaju samotnych przechadzek o zmroku.

Błędem byłoby mniemać, że można się tak przechadzać samotnie po niezamieszkałych okolicach Paryża, nie narażając się na jakąś złą przygodę.

ROZDZIAŁ II

Matka Plutarch bez trudu wyjaśnia dziwne zjawisko

Pewnego wieczora mały Gavroche nic nie jadł; przypomniał sobie, że poprzedniego dnia musiał również obyć się bez obiadu; zaczynało mu to doskwierać. Postanowił spróbować zdobyć coś na kolację. Zaczął wałęsać się po małym zamieszkałej dzielnicy za Salpetriere; trafiają się tam zwykle dobre gratki; gdzie nie ma nikogo, tam zawsze można coś znaleźć. Dotarł tak do osiedla, które, jak mu się zdawało, było wioską Austerlitz.

Podczas jednej ze swych poprzednich, wycieczek zauważył tam stary ogród, gdzie widywał tylko jednego staruszka i jedną staruszkę, a w tym ogrodzie niezgorszą jabłoń. Obok jabłoni stała niedomknięta skrzynia na owoce, z której można by wyciągnąć jabłko. Jabłko — to kolacja; jabłko — to życie. Co zgubiło Adama, mogło uratować Gavroche'a. Ogród leżał przy pustej, niewybrukowanej uliczce, obrosłej po obu stronach krzewami zamiast domów, których tu jeszcze nie było; żywopłot odgradzał ogród od uliczki. Gavroche skierował się w tamtą stronę, odnalazł uliczkę, poznał jabłoń, sprawdził, że skrzynia stoi, i zbadał żywopłot; taki żywopłot — to kwestia jednego skoku. Zapadał zmierzch, na ulicy nie było nawet psa z kulawą nogą, słowem, pora wydawała się stosowna. Gavroche szykował się do skoku, gdy nagle zatrzymał się. W ogrodzie rozmawiano. Zajrzał przez szparę.

O dwa kroki od niego, po drugiej stronie, tuż pod żywopłotem, dokładnie w tym miejscu, gdzie byłby wylądował po skoku, leżał kamień tworzący coś w rodzaju ławki, a na tej ławce siedział staruszek z ogrodu. Obok stała staruszka i coś tam zrzędziła. Gavroche bez ceremonii zaczął podsłuchiwać.

— Panie Mabeuf! — mówiła stara.

„Mabeuf? — pomyślał Gavroche. — A to pocieszne nazwisko!”

Starzec nawet nie drgnął. Staruszka powtórzyła: — Panie Mabeuf!

Nie odrywając oczu od ziemi, starzec odezwał się wreszcie:

— Co takiego, matko Plutarch?

„Matka Plutarch? — pomyślał Gavroche. — Drugie pocieszne nazwisko! ”

Matka Plutarch mówiła dalej i starzec, chcąc nie chcąc, musiał wdać się w rozmowę:

- Gospodarz jest niezadowolony.
- Dlaczego?
- Bo mu się należy za trzy kwartały.
- Jeszcze trzy miesiące, a będziemy mu winni za cztery.
- Powiada, że wyrzuci pana na ulicę.
- To pójdę.
- Sklepiarka chce, żeby jej zapłacić. Nie daje ani wiązki drzewa. Czym pan będzie palić w zimie! Nie będziemy mieli ani szczapki!
- Słońce grzeje.
- Rzeźnik odmawia kredytu, nie chce więcej dawać mięsa.
- To doskonale. Mięso, mi nie, służy, jest ciężkostrawne.
- To co będziemy jeść na obiad?
- Chleb.
- Piekarz żąda zapłaty choć części długu i powiada: „Nie ma pieniędzy — nie ma chleba!”
- Trudno. .
- Cóż pan będzie jadł?
- Mamy jabłka na jabłonce.
- Ależ, proszę pana, nie można przecież tak żyć bez pieniędzy!
- Nie mam ani grosza.

Stara odeszła. Starzec został sam. Pogрузzył się w myślach. Gavroche zamyślił się także. Zapadła noc.

Pierwszym rezultatem rozmyślań Gavrocha było to, że zamiast przeleźć przez żywopłot, przykucnął pod nim. Gałęzie u dołu były trochę rzadsze.

— „Patrzcie ludzie! — zawołał w duchu Gavroche. — Sypialnia!” I ułożył się wygodnie. Plecami prawie dotykał ławki ojca Mabeuf. Słyszał nawet oddech

starca.

Tak więc na kolację spróbował się zdrzemnąć.

Spał jak zając pod miedzą, na jedno oko, i drzemiąc czuwał.

Blade niebo zmierzchu rozjaśniało nieco ziemią i uliczka tworzyła sinawą linię między dwoma rzędami ciemnych zarośli.

Nagle na tym jaśniejszym pasie ukazały się dwie postacie. Jedna szła przodem, druga o parę kroków za nią.

— Oho, idą jacyś dwaj — mruknął Gavroche.

Pierwsza postać zdawała się być starym mieszczaninem, przygarbionym i zamyślonym, ubranym, więcej niż skromnie; szedł powoli z powodu podeszłego wieku, używając wieczornej przechadzki pod gwiaździstym niebem. Druga postać była prosta, silna, wysmukła. Dostosowała swój krok do kroku pierwszej postaci, ale ten chód powolny zdradzał sprężystość i zwinność. Postać ta, choć miała w sobie coś drapieżnego i budziła niepokój, wyglądała na ówczesnego „eleganta”; kapelusz o dobrym fasonie, czarny, doskonale skrojony surduty, wcięty w pasie, i prawdopodobnie z cienkiego sukna. W sposobie trzymania głowy była jakaś siła niepozobawiona wdzięku, a pod kapeluszem rysował się w zmroku młodzieńczy profil.

Profil ten. miał w ustach różę. Gavroche od razu poznał drugą postać. To był Montparnasse.

O pierwszej mógł tyle tylko powiedzieć, że był to jakiś stary jegomość.

Gavroche natychmiast zaczął ich obserwować.

Jeden z przechodniów najwidoczniej żywił jakieś zamiary względem drugiego. Gavroche mógł doskonale śledzić ze swego miejsca, co się dalej stanie. Sypialnia w samą porę przemieniła się w kryjówkę.

Montparnasse na łowach o tej porze i w takim miejscu — groźna sprawa. Gavroche czuł, że jego serce ulicznika wzbiera litością dla starego człowieka.

Co robić? Wmieszać się? Słabością wspomagać inną słabość? Niezle uśmiełby się Montparnasse! Gavroche nie łudził się, że groźny osiemnastoletni bandyta za jednym zamachem uporałby się i ze starcem, i z dzieckiem.

Kiedy tak rozmyślał, nastąpił nagły i ohydny napad. Napad tygrysa na muła, napad pająka na muchę. Montparnasse zniecka odrzuci różę, skoczył na

starca, chwycił go za szyję, ścisnął i uczepił się go kurczowo. Gavroche z trudem powstrzymał okrzyk. Po chwili jeden z mężczyzn leżał już pod drugim, powalony charczał i szarpał się, przygwożdżony do ziemi kolanem ze spiżu. Tylko że *stało* się nieco inaczej, niż przewidywał Gavroche: na ziemi leżał Montparnasse, a na nim siedział stary jegomość.

Wszystko to działo się o parę kroków od Gavroche'a.

Starzec, otrzymawszy cios, odparował go, i to z taką siłą, że w mgnieniu oka odwróciły się role napastowanego i napastnika.

„A to chwacki inwalida!” — pomyślał Gavroche. i mimo woli klasnął w ręce. Ale były to stracone oklaski. Nie usłyszeli ich zapaśnicy, którzy pochłonięci walką i ogłuszeni zmagali się ze sobą, dysząc ciężko.

Wreszcie zrobiło się cicho. Montparnasse przestał się szamotać.

Gavroche szepnął na stronie;

— Czyżby umarł?

Starzec nie wyrzekł słowa ani nie krzyknął. Podniósł się i Gavroche usłyszał, jak mówi do Montparnasse'a:

— Wstań!

Montparnasse wstał, ale starowina trzymał go nadal. Montparnasse, upokorzony i wściekły, przypominał wilka złapanego przez owcę.

Gavroche patrzył i słuchał, usiłując uszami dopomóc oczom. Bawił się świetnie.

I został wynagrodzony za sumienne przeżywanie emocji widza. Mógł podchwycić w locie rozmowę, której panujące wokół ciemności nadawały dziwnie tragiczne brzmienie. Stary jegomość pytał, Montparnasse odpowiadał:

— Ile masz lat?

— Dziewiętnaście.

— Jesteś silny i zdrowy. Dlaczego nie pracujesz?

— Bo mnie to nudzi.

— Czym się trudnisz?

— Próżniactwem.

— Mów poważnie. Czy mogę ci w czymś dopomóc? Kim chcesz zostać?

— Złodziejem.

Zapanowało milczenie. Starzec zamyślił się głęboko. Stał bez ruchu i nie puszczał Montparnasse'a.

Chwilami młody bandyta, silny i zręczny, zaczynał się rzucać jak dziki zwierz w potrzasku. Wstrząsał się, podstawiał nogę, wił się jak oszalały i usiłował się wyrwać. Ale starzec zdawał się tego nie spostrzegać i jedną dłonią trzymał obie jego ręce z niewzruszoną obojętnością bezwzględnej przewagi.

Zaduma starca trwała kilka chwil, po czym, patrząc w oczy Montparnasse'owi i podnosząc nieco głos, zwrócił się doń w tych ciemnościach z uroczystą przemową, z której Gavroche nie uronił ani słowa:

— Chłopcze, przez lenistwo gotujesz sobie najpracowitszą egzystencję. A powiadasz, 'że jesteś próżniakiem! Przygotuj się do ciężkiej pracy! Czy widziałeś kiedy niebezpieczną maszynę, która się nazywa walcownią? Trzeba się jej strzec, bo jest podstępna i okrutna, jeśli cię chwyci za poję ubrania, wciągnie całego. Ta maszyna — to próżniactwo. Wstrzymaj się póki jeszcze czas i uciekaj! Inaczej zginiesz! Pochwyć cię niebawem jej tryby, a gdy się w nie dostaniesz, pożegnaj się z wszelką nadzieją. Robota cię czeka, próżniaku! Ani chwili odpoczynku. Chwyła cię żelazna ręka nieubłaganej pracy. Nie chcesz zarabiać na chleb, nie chcesz mieć zajęcia ani spełniać swoich obowiązków, nudzi cię być takim jak inni? Ano cóż, będziesz inny! Praca jest prawem; kto ją odpycha jako nudę, będzie ją miał jako mękę. Nie chcesz być robotnikiem, będziesz niewolnikiem. Nie wymkniesz się pracy, zawsze cię pochwyli! Nie chcesz być jej przyjacielem, będziesz jej Murzynem. Ach, nie chciałeś uczciwego znoju ludzi, udziałem twoim będzie krwawy pot potępieńców. Kiedy inni śpiewają, ty będziesz charczał. Z daleka, z dołu będziesz patrzył na innych ludzi przy pracy i wyda ci się, że to odpoczynek. Oracze, żeńcy, marynarze, kowale pojawią ci się w aureoli, niby błogostawieni w raju. Jaka światłość bije z kowadła! Chodzić za pługiem, wiązać snopy — co za radość! Swobodna łódź gnana, wiatrem, jakaż to uciecha! A ty, próżniaku — haruj, ciągnij, pchaj bez odpoczynku. Na próżno gryziesz wędzidło, jesteś pociągowym zwierzęciem w piekielnym zaprzęgu. Ach, więc nic nie robić — taki twój cel. Nie zaznasz tygodnia, dnia ani godziny wolnej od zmęczenia. Niczego nie podniesiesz bez bolesnego wysiłku; co chwila mięśnie będą ci pękać.

To, co dla innych jest piórkiem, dla ciebie będzie ciężkim głazem. Najprostsze rzeczy spiętrzą się przed tobą w stromą górę. Życie zmieni się w koszmar. Chodzenie, poruszanie się, oddychanie — stanie się straszliwą pracą. Płuca

będą ci ciążyć jak stufuntowe ciężary. Czy pójść parę kroków w tym czy w tamtym kierunku — stanie się problemem. Pierwszy lepszy człowiek, gdy chce wyjść z domu, otwiera drzwi i jest na dworze. Ty — chcąc wyjść — będziesz musiał przebić mur. Cóż robią ludzie, by wyjść na miasto? Po prostu schodzą po schodach. Ty rozedrzesz prześcieradło, poskubiesz je na nitki, spleciesz z nich sznur, wysuniesz się przez okno; zawiniesz na tej nici nad przepaścią; wkoło noc, zawierucha, deszcz, huragan; sznur może się okazać za krótki, a wtedy pozostanie ci tylko jeden sposób wyjścia: skoczyć. Skoczyć na oślep, w otchłań, z niewiadomej wysokości i spaść na to, co jest pod tobą, w nie- znane. Albo też, ryzykując spalenie żywcem, będziesz się piął kominem; czy — ryzykując utopienie — będziesz się czołgał przez kanał kloaki. Nie mówię ci już o dziurach, które trzeba zasłaniać, o kamieniach, dwadzieścia razy dziennie wyjmowanych i wkładanych z powrotem, ani o wapnie, które trzeba ukrywać w sienniku. Natrafisz na zamek? Każdy spokojny obywatel ma w kieszeni klucz, zrobiony przez ślusarza; a ty, jeśli zechcesz otworzyć zamek, musisz wpierw wykonać straszne arcydzieło: weźmiesz jeden su, przetniesz na dwie blaszki — czym? — to już twoja w tym głowa.

Potem wyłobisz wnętrza obu blaszek, nie naruszając strony zewnętrznej, natniesz gwint po brzegach, aby przystawały do siebie, jak spód do pokrywki, tak żeby ześrubowawszy wierzch z górą, niczego nie można się było domyślić. Dla strażników — bo będziesz pilnowany — będzie to jeden su. Ale dla ciebie — to będzie pudełko. A co w nie włożysz?

Kawałek stali Sprężynę od zegarka, którą natniesz w zęby i zamienisz w piłą. Tą piłą, wielkości szpilki, schowaną w groszaku, musisz przeciąć zamki, rygle, kłódki i kratę w oknie, i kajdany u nogi. A jeśli zdołasz zrobić to arcydzieło, jeśli dokonasz cudu sztuki, zręczności, umiejętności i cierpliwości i jeśli wyjdzie na jaw, kto jest jego autorem — jakaż cię czeka nagroda? Loch. Oto twoja przyszłość! Lenistwo, uciechy — co za otchłanie. Nic nie robić — to złowrogi zamysł, wiesz o tym? Żyć próżniaczo kosztem społeczeństwa, stać się niepotrzebnym, a więc szkodliwym — to prosta droga do najgłębszej niedoli. Biada temu, kto chce być pasożytem — będzie robakiem! Więc nie podoba ci się praca; myślisz tylko o jednym: jakby dobrze zjeść, dobrze wypić, dobrze spać. Będziesz pił wodę, będziesz jadł czarny chleb, będziesz spał na gołej desce z żelazem przykutym do nóg, którego zimno czuć będziesz nocą na ciele. Skruszysz to żelazo i uciekniesz. I cóż? Będziesz się czołgał w zaroślach i żywił trawą, jak leśne zwierzęta, i zostaniesz ujęty. A wtedy lata całe spędzisz w lochu, przykuty do ściany, po omacku szukając dzbana z wodą, gryząc plugawy chleb ciemności, na który pies by się nie połakomił, jedząc groch, który już jadło robactwo. Będziesz stonogą w piwnicy. Ach, nieszczęsny chłopcze, miej litość, nad sobą. Nie ma jeszcze dwudziestu lat, jak ssaleś pierś karmicielki, i twoja matka pewno jeszcze żyje. Usłuchaj mnie, zaklinam! Chcesz mieć ubranie z

cienkiego czarnego sukna i lakierowane trzewiki, chcesz trefić włosy i skrapiać je pachnącym olejkiem, chcesz podobać się dziewczętom, chcesz być przystojny. Będziesz miał ogoloną głowę, czerwony kaftan i drewniane chodaki. Chcesz mieć pierścienie na palcu? Będziesz miał obrożę na szyi. A jeśli spojrzysz na kobietę, oćwiczą cię kijem. Wejdiesz tam mając lat dwadzieścia, a wyjdiesz mając pięćdziesiąt.

Wejdiesz młody, rumiany, świeży, z błyszczącymi oczyma, białymi zębami i bujnymi włosami młodości, a wyjdiesz złamany, zgarbiony, pomarszczony, bezzębny, straszny, z siwą głową. Ach, biedny chłopcze, idziesz fałszywą drogą, próżniactwo źle ci doradza. Złodziejstwo jest najuciążliwszą pracą. Wierz mi, nie podejmuj się tego mozolnego zajęcia, jakim jest próżniactwo. Trudny jest żywot hultaja. Łatwiej być uczciwym człowiekiem. A teraz idź i zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Ach, tak, czego chciałeś ode mnie? Sakiewki? Masz!

I puściwszy Montparnasse'a starzec włożył mu w rękę sakiewkę. Opryszek ważył ją przez chwilę na dłoni; po czym z machinalną ostrożnością — jakby ją ukradł — wsunął nieznacznie do tylnej kieszeni surduta.

To powiedziawszy i uczyniwszy, starzec odwrócił się i spokojnie kontynuował przerwany spacer.

— Stary bałwan! — mruknął Montparnasse.

Kim był ów "starzec? Czytelnik domyślił się zapewne.

Zdumiony Montparnasse patrzył, jak znika w mroku. To zapatrzenie stało się dlań' zgubne w skutkach.

Podczas gdy starzec się oddalał, Gavroche się przybliżał. Gavroche, spojrzawszy z ukosa, upewnił się, że ojciec Mabeuf siedzi ciągle na ławce i jakby śpi. Po czym wysunął się z zarośli i w ciemności zaczął się czołgać za stojącym nieruchomo Montparnasse'eni. Podpełznął w ten sposób do niego, nie będąc ani widziany, ani słyszany, wsunął ostrożnie rękę do tylnej kieszeni surduta z cienkiego czarnego sukna, chwycił sakiewkę, wysunął rękę i czołgając się znowu, uniknął w mrok jak jaszczurka. Montparnasse, który nie miał powodu, by się mieć na baczności, a przy tym zamyślił się po raz pierwszy w życiu, nic nie spostrzegł. Gavroche, wróciwszy do miejsca, gdzie siedział ojciec Mabeuf, przerzucił sakiewką przez żywopłot i uciekł ile sił w nogach.

Sakiewka spadła ojcu Mabeuf na nogę. Uderzenie obudziło staruszkę. Schylił się, podniósł sakiewkę i nie rozumiejąc, co to znaczy — otworzył. Miała dwie przegródki: w jednej było trochę drobnych, w drugiej sześć napoleonów.

Pan Mabeuf bardzo przerażony zaniósł ją gospodyni.

— Spadła nam z nieba! — oświadczyła matka Plutarch.

KSIĘGA PIĄTA

KTÓREJ KONIEC NIE JEST PODOBNY DO POCZĄTKU

ROZDZIAŁ I

Samotność i koszary

Cierpienie Kozety, tak jeszcze dojmujące i żywe przed czterema czy pięcioma miesiącami, teraz, bez jej wiedzy, zaczynało się zblizniać. Przyroda, wiosna, młodość, miłość do ojca, wesołość ptaków i kwiatów sączyły w tę młodą dziewczyną duszę powoli, codziennie, kropla po kropli coś, co podobne było do zapomnienia. Czy ogień wygasł w niej zupełnie? Czy przytępił się tylko pod warstwą popiołu? To pewne, że nie czuła już prawie bolesnej, piekającej rany.

Pewnego dnia pomyślała nagle o Mariuszu:

— Dziwne! — rzekła. — Już o nim nie myślę.

W tym samym tygodniu zauważyła przechodzącego przed kratą ogrodu pięknego oficera lansjerów: cienka talia, śliczny mundur, rumieńce jak u panienki, szabla pod pachą, wypomadowane wąsiki, lakierowane czako. Miał jasne włosy, wyłupiaste niebieskie oczy, twarz okrągłą, próżną, bezczelną i ładną — słowem, zupełne przeciwieństwo Mariusza. W ustach — cygaro. Kozeta pomyślała, że ten oficer z pewnością należy do pułku, który stał w koszarach przy ulicy Babilońskiej.

Nazajutrz zobaczyła, że znowu tamtędy przechodził. Zauważyła godzinę.

Od tej chwili — czy był to przypadek? — widywała go prawie codziennie.

Koledzy oficera spostrzegli, że prawie zawsze wówczas, gdy ulicą przechodził piękny porucznik, a był nim znany już czytelnikowi Teodul Gillenormand, w „zapuszczonym ogrodzie” za starą rokokową kratą pojawiała się jakaś całkiem powabna osóbka.

— Popatrz no! — mówili mu.. — Jakaś mała robi do ciebie oczko!

— A bo ja mam czas — odpowiedział lansjer — patrzeć na wszystkie dziewczęta, które na manie patrzą?!

Właśnie wtedy Mariusz konał z tęsknoty i mówił: „Ach, gdybym mógł ją choć raz ujrzeć przed śmiercią!” Gdyby się jego życzenie ziściło, gdyby w tej chwili zobaczył Kozetę zerkającą na lansjera, bez słowa skonałby z rozpaczy.

Kto był winien? Nikt.

Mariusz należał do natur, które pogrążają się i trwają w smutku; Kozeta zaś do tych, które na chwilę się w nim zanurzywszy, szybko wydobywają się na powierzchnię.

Ponadto Kozeta przeżywała właśnie ów niebezpieczny moment, fatalny okres, w którym kobieta puszcza wodze, marzeniu i serce samotnej dziewczyny staje się podobne młodym pędom winnym, co — zależnie od przypadku — oplatają się wokół marmurowej kolumny albo słupa przy karczmie. Chwila to krótka, a stanowcza, chwila krytyczna dla każdej sieroty, czy to biednej, czy bogatej, bogactwo bowiem nie chroni od złego wyboru — osoby postawione wysoko też wchodzą w niestosowne związki; prawdziwie zaś niestosownym związkiem jest niezgodność dusz; podobnie jak niejeden młodzieniec, nikomu nie znany, bez nazwiska, bez „urodzenia”, bez majątku, jest marmurową kolumną podtrzymującą świątynię wzniosłych uczuć i wzniosłych idei, tak i niejeden człowiek światowy, zadowolony z siebie, zamożny, strojny w lśniące trzewiki i błyskotliwe słówka, widziany nie od zewnątrz, lecz od wewnątrz — to jest od tej strony, którą chowa dla kobiety — okazuje się głupim kłocem, pełnymi utajonych namiętności, „brutalnych, wszetecznych i plugawych — słupem przy karczmie.

Co Kozeta nosiła w duszy? Namiętność uspokojoną lub uśpioną; miłość w stanie lotnym; coś, co było przezroczyście i lśniące, na pewnej głębokości zmacone, a jeszcze głębiej - ciemne. Obraz pięknego oficera odbijał się na powierzchni. A czy na dnie — na samym dnie — zostało jakieś wspomnienie? Może. Kozeta nie wiedziała.

Tymczasem zdarzył się dziwny wypadek.

ROZDZIAŁ II

Lęki Kozety

W pierwszej połowie kwietnia Jan Valjean udał się w podróż. Wiemy, że zdarzało się to czasami, choć bardzo rzadko. Pozostawał zwykle poza domem dwa, najwyżej trzy dni. Dokąd jeździł? Nikt tego nie wiedział, nawet Kozeta. Raz tylko podczas jednego z takich wyjazdów odwiozła go dorożką do rogu uliczki, na której przeczytała napis: Zaułek Planchette. Tam Jan Valjean wysiadł, a dorożka odwiozła Kozetę z powrotem na ulicę Babilońską. Te krótkie podróże zdarzały się zazwyczaj wtedy, gdy w domu brakło pieniędzy.

Tak więc Jan Valjean wyjechał. Zapowiedział, że Wróci za trzy dni.

Wieczorem Kozeta siedziała sama w salonie. Aby rozproszyć nudę, otworzyła pianolę i, akompaniując sobie, zaczęła śpiewać pieśń z *Euńanty*: „Hej, strzelcy, co w kniejach...” — najpiękniejszą bodaj ze wszystkich utworów muzycznych. Skończywszy śpiewać, zamyśliła się.

Nagle wydało jej się, że w ogrodzie ktoś chodzi.

Nie mógł to być ojciec, bo wyjechał, ani też stara Toussaint, bo już spała. Była godzina dziesiąta.

Kozeta podeszła do zamkniętej okiennicy i przyłożyła ucho. Wydało jej się, że słyszy ostrożne męskie kroki.

Wbiegła szybko na piętro, do swego pokoju, odchyliła lufcik w okiennicy i wyrzała na ogród. Świecił księżyc w pełni i widać było wszystko jak w dzień. Nie było nikogo.

Otworzyła okno. W ogrodzie panowała zupełna cisza, ulica była pusta jak zwykle.

Kozeta pomyślała, że się omyliła. Przywidziało jej się, że słyszy kroki. Było to zupełne złudzenie, wywołane cudowną posepną pieśnią Webera, która odśpiewania duszy przerażające głębie i wywołuje wizję lasu rozkołysanego ową pieśnią, w której słyhać trzask suchych gałęzi pod niespokojną stopą strzelców przemykających w mroku.

Kozeta przestała więc myśleć o tym zdarzeniu.

Zresztą nie była z natury bojaźliwa. W żyłach jej płynęła krew Cyganki,

bosonogiej miłośniczki przygód. Pamiętamy, że była raczej skowronkiem niż gołębicą. W gruncie rzeczy miała usposobienie dzikie i odważne.

Nazajutrz, z nastaniem nocy, wcześniej niż poprzedniego dnia, Kozeta przechadzała się po ogrodzie. Poprzez myśli, które bezładnie krążyły jej po głowie, zdawało jej się czasem, że podobnie jak wczoraj słyszy jakiś szmer, jakby ktoś stąpał w ciemnościach niedaleko, między drzewami, ale powiedziała sobie, że szelest ocierających się o siebie gałęzi bardzo przypomina kroki na murawie, i nie zwracała na to uwagi. Zresztą nic nie widziała.

Wyszła z „gęstwiny”; aby wejść na ganek, musiała przebyć niewielki zielony trawnik. Gdy wyszła z zarośli, wschodzący *księżyc*, który świecił za nią, rzucił jej cień na murawę.

Kozeta stanęła przerażana.

Obok jej cienia, w poświacie księżyca, rysował się wyraźnie cień drugi, dziwnie przerażający i groźny, cień w okrągłym kapeluszu.

Wyglądało to na cień jakiegoś mężczyzny, który by stał na skraju zarośli, o parę kroków za Kozetą.

Przez chwilę nie mogła dobyć głosu, krzyknąć, zawołać pomocy, poruszyć się ani odwrócić głowy.

Wreszcie zebrała całą swoją odwagę i odwróciła się śmiało.

Nie było nikogo.

Spojrzała na ziemię. Cień znikł.

Cofnęła się w zarośla, odważnie przeszukała wszystkie kąty, doszła do kraty ogrodzenia i nic nie znalazła. . Poczuła, że krew jej się ścina w żyłach. Czyżby to znów było złudzenie? Jak to? Przez dwa dni z rzędu? Raz można ulec złudzeniu, ale dwa razy? Najbardziej niepokojące było to, że ów cień na pewno nie był duchem. Duchy nie noszą okrągłych kapeluszy.

Jan Valjean powrócił nazajutrz. Kozeta opowiedziała mu wszystko, co, jej zdaniem, słyszała i widziała. Spodziewała się, że ojciec ją uspokoi, wzruszy ramionami i powie: „Jesteś niemądre dziecko.”

Jan Valjean zaniepokoił się.

— Coś w tym musi być — odrzekł.

Odszedł pod jakimś pretekstem, pośpieszył do ogrodu i Kozeta zobaczyła, że z wielką uwagą bada kratę.

W nocy obudziła się; tym razem była pewna, że pod oknami na ganku słyszy wyraźne kroki. Podbiegła do okiennicy i uchyliła lufciii. Istotnie w ogrodzie był jakiś mężczyzna z grubym kijem w ręku. Już miała krzyknąć, gdy księżyc oświetlił jego twarz. Poznała ojca.

Wróciła do łóżka, mówiąc do siebie: „A więc jest jednak poważnie zaniepokojony.”

Jan Valjean spędził w ogrodzie tę noc i dwie następne. Kozeta widziała go przez otwór w okiennicy.

Trzeciej nocy księżyc, będący w ostatniej kwadrze, wschodził już później; mniej więcej koło pierwszej usłyszała głośny wybuch śmiechu i głos ojca wołający:

— Kozeto!

Wyskoczyła z łóżka, zarzuciła szlafrok i otworzyła okno:

Ojciec stał na trawniku.

— Obudziłem cię, żeby cię uspokoić — rzekł. — Popatrz. Masz tu swój cień w okrągłym kapeluszu.

I pokazał jej na trawie cień rysujący się w świetle księżycy i rzeczywiście dość podobny do mężczyzny w kapeluszu. Był to cień, który padał od blaszanego komina z daszkiem, sterczącego na dachu sąsiedniego domu.

Kozeta roześmiała się również; wszystkie jej ponure przypuszczenia rozwiały się i nazajutrz przy śniadaniu wesoło żartowała sobie z posępnego ogrodu, w którym straszy cień komina.

Jan Valjean uspokoił się całkowicie; Kozeta zaś nie zwróciła uwagi, czy cień komina padał w tym samym miejscu, w którym widziała cień na murawie, ani czy księżyc był równie wysoko na niebie. Nie zastanowiła się też wcale nad tym osobliwym kominem, który boi się, by go nie przyłapano na gorącym uczynku, i ucieka, gdy ktoś zauważy jego cień; bo cień zniknął, gdy się odwróciła; tego była pewna. Kozeta uspokoiła się zupełnie. Argumenty ojca wydały się jej niezbite i ani myślała już o tym, by ktoś mógł chodzić wieczorem czy w nocy po ogrodzie.

Jednakże po kilku dniach *zaszedł* nowy wypadek.

ROZDZIAŁ III

Wyolbrzymiane komentarze starej Toussaint

Przy kracie od ulicy stała w ogrodzie kamienna ława, osłonięta przed wzrokiem ciekawych szpalerem, której przechodzień mógł jednak dosięgnąć przez kratę i szpaler, jeśli bardzo wyciągnął rękę.

Pewnego wieczora tegoż miesiąca kwietnia Jan Val-jean wyszedł z domu; Kozeta po zachodzie słońca usiadła na ławce. „Wiatr szeleścił w drzewach; Kozeta marzyła; ogarnął ją z wolna jakiś smutek bez przyczyny, ó w nieodparty smutek wieczorny, który pochodzi może — któż to wie? — z tajemnicy grobu, odmykającego się o tej godzinie.

Może Fantyna stała tam w cieniu?

Kozeta wstała, powoli obeszła ogród dokoła, stąpając po zroszonej trawie i mówiąc do siebie w jakimś melancholijnym ni to śnie, ni to jawie:

— „Doprawdy o tej porze przydałyby się w ogrodzie chodaki. Można dostać kataru.”

Wróciła do ławki.

Siadając, spostrzegła na miejscu, z którego niedawno wstała, spory kamień, widocznie przed chwilą tam położony.

Wpatrzyła się w kamień, zastanawiając się, co to ma znaczyć. Nagle przyszło jej na myśl, że kamień sam nie mógł dostać się na ławkę, że ktoś go tu położył, że czyjaś ręka wsunęła się przez kratę; Kozeta przestraszyła się. Tym razem przestraszyła się naprawdę. Nie mogło być żadnych wątpliwości: kamień, leżał na ławce; nie tknęła go i nie śmiąc obejrzeć się za siebie, uciekła do domu, zamknęła natychmiast okiennice, założyła sztabę i zasunęła zasuwę przy oszklonych drzwiach na ganek. Zapytała starej Toussakut:

— Czy ojciec wrócił?

— Jeszcze nie, proszę panienki.

(Oddaliśmy już raz jąkanie starej Taussatot; niech czytelnik pozwoli, że więcej nie będziemy tego podkreślać. Czujemy wstręt do dźwiękowego zapisu kalectwa.)

Jan Valjean, człowiek lubiący rozmyślania i nocne przechadzki, nieraz wracał dość późno do domu.

— Toussaint — mówiła dalej Kozeta — czy Toussaint starannie zakłada sztaby przy okiennicach od ogrodu i wkłada zatyczki w pierścienie?

— O, niech panienka będzie spokojna!

Kozeta dobrze wiedziała, że Toussaint o tym pamięta, ale nie mogła się powstrzymać, by nie dodać:

— Bo tu tak pusto!

— Co to, to prawda — rzekła Toussaint. — Mogą tu człowieka zarznąć, nim zdąży pisnąć. A do tego pan nie sypia w domu. Ale niech się panienka nie boi, zamykam okna, jak fortece. Same kobiety w mieszkaniu! Jak tu się nie bać? Niech panienka tylko pomyśli: jacyś ludzie wchodzą nocą do pokoju, mówią: „Milcz”, i zaczynają nam podrywać gardła. Mniejsza o śmierć, bo i tak wszyscy pomrzemy, wiadomo, że kiedyś trzeba umrzeć, ale jakie wstrętne musi być dotknięcie takich ludzi! A w dodatku pewno rzną tępyimi nożami! Ach, mój Boże!

— Proszę nic nie mówić, Toussaint — rzekła Kozeta. — I pozamykać wszystko dokładnie.

Kozeta, przerażona melodramatem, który Toussaint ułożyła naprędce, a może również myślą o dziwnych zdarzeniach z zeszłego tygodnia, które, się znów powtarzały, nie śmiała nawet jej powiedzieć: „Proszę pójść obejrzeć kamień, który ktoś położył na ławce.” Bała się bowiem otworzyć drzwi do ogrodu, żeby stamtąd nie weszli „ci ludzie”. Kazała pozamykać starannie drzwi i okna, kazała obejść służącej cały dom od piwnic aż do strychów, zamknęła się na klucz w swoim pokoju, zajrzała pod łóżko, położyła się i spała niespokojnym snem. Przez całą noc śnił jej się kamień, olbrzymi jak góra i pełen jaskiń.

O wschodzie słońca — a wschodzące słońce ma to do siebie, że śmiejemy się z nocnych strachów tym serdeczniej, im większą przejmowały nas trwogą — o wschodzie słońca Kozeta obudziwszy się pomyślała o wczorajszym strachu, jak o zmorze sennej, i powiedziała sobie: „Coś mi się uroiło! Tak jak te kroki, które w zeszłym tygodniu słyszałam nocą w ogrodzie, i jak ten cień komina. Czyżbym się stawała tchórzliwa?” Słońce, które prześwitywało przez szczeliny okiennic i rozpałało purpurą adamaszkowe firanki, uspokoiło ją tak dalece, że z myśli jej pierzchły wszystkie widziadła, a nawet ów kamień.

„Nie było kamienia na ławce, jak w ogrodzie nie było mężczyzny w okrągłym kapeluszu. Kamień mi się przywidział jak tamto.”

Ubrała się i zeszła do ogrodu, podbiegła do ławki i poczuła, że oblewa ją zimny pot. Kamień leżał na ławce.

Trwało to jednak tylko chwilę. Co w nocy przeraża, we dnie budzi ciekawość.

— No to zobaczmy! — rzekła.

Podniosła kamień, który był dość duży. Pod nim leżało coś, co wyglądało na list.

Była to koperta z białego papieru. Kozeta wzięła ją do ręki: nie miała adresu z jednej strony ani pieczętki z drugiej. A jednak koperta, choć otwarta, nie była pusta: widać było w środku kartki papieru.

Kozeta wsunęła rękę do koperty. Czuła już nie lęk, nie ciekawość, ale kietkujący niepokój.

Wyciągnęła z koperty to, co się tam znajdowało, mały zeszycik, którego kartki były ponumerowane i zapisane dość ładnym, pomyślała Kozeta, i drobnym pismem.

Kozeta szukała jakiegoś nazwiska — na próżno; jakiegoś podpisu — na próżno. Do kogo był ten list? Zapewne do niej, bo czyjaś ręka położyła go na jej ławce. Od kogo był ten list? Jakiś nieprzeparty czar padł na nią, usiłowała odwrócić oczy od kartek, które drżały w jej ręce, spojrzała na niebo, na ulicę, na akacje skąpane w blasku, na gołębie latające nad sąsiednim dachem, potem spojrzenie jej padło nagle na rękopis i powiedziała sobie, że trzeba się dowiedzieć, co zawiera.

Oto, co przeczytała:

ROZDZIAŁ IV

Serce pod kamieniem

Sprowadzenie wszechświata do jednej istoty; rozszerzenie jednej istoty aż do Boga — oto, czym jest miłość.

Miłość to pozdrowienie, które aniołowie ślą gwiazdom,

Jakże smutna jest dusza, gdy smutna jest z miłości.

Jakąż pustkę stwarza nieobecność istoty, która wypełnia cały świat. O, to wielka prawda, że istota ukochana staje się Bogiem. I Bóg mógłby być o to zazdrosny, gdyby ten Ojciec wszechrzeczny nie stworzył świata dla duszy, a duszy — dla miłości.

Jeden mały uśmiech, spod białego krepowego kapelusika z liliową wstążką, sprawia, że dusza wchodzi do krainy marzeń.

Bóg kryje się we wszystkim, lecz wszystko 'kryje nam Boga. Rzeczy są czarne, ludzie nieprzejrzyci. Kochać kogoś — to uczynić go przejrzystym.

Niektóre myśli to modlitwy. Są chwile, w których — niezależnie od postawy ciała — dusza korzy się na klęczkach.

Rozłączeni kochankowie oszukują nieobecność tysiącem złud, które jednak są w pewien sposób rzeczywiste. Nie wolno im się widywać, nie mogą do siebie pisać; znajdują setki tajemniczych sposobów porozumienia. Przesyłają sobie śpiew ptaków, woń kwiatów, śmiech dzieci, blask słońca, westchnienie wiatru, promienie gwiazd, wszechświat cały. I czemuż nie mieliby tak czynić? Wszystkie dzieła boże stworzone są po to, by służyć miłości, Miłość jest dość potężna, by rozkazać całej naturze przekazywanie swych poleceń.

O wiosno, jesteś listem, który piszę do Niej.

Przyszłość w większej mierze należy do serc niż do rozumu. Jedynie miłość może wypełnić sobą wieczność. Nieskończoności trzeba tego, co niewyczerpane.

Miłość jest częścią duszy; tę samą ma naturę. Podobnie jak ona, jest iskrą bożą, podobnie jak ona, nie podlega zepsuciu, jest niepodzielna i wiecznotrwała. To ogień, który jest w nas nieśmiertelny, nieogarniony; nic go ugasić ani Ograniczyć nie zdoła.

Czujemy jego żar przenikający do kości i widzimy, jak promieniowaniem swoim sięga nieba.

O miłości! O uwielbienie! O rozkoszy dwóch duchów, które się rozumieją, dwóch serc, które się zrastają ze sobą, dwóch spojrzeń, które się przenikają. Wszak wrócisz znów do mnie, szczęście moje? Przechadzki we dwoje w ustronnym zaciszu, dni błogostawione, promienne! Marzyłem nieraz, że godziny odrywają się od życia aniołów i spływając na dół wchodzą w losy ludzkie.

Szczęście kochanków Bóg może powiększyć tylko w jeden sposób: przedłużyć je w nieskończoność. Po życiu miłości — wieczność miłości, to istotnie powiększenie. Ale natężenia niewysłowionej szczęśliwości, które miłość daje duszy już na tym świecie, nawet Bóg zwiększyć nie może. Bóg — to pełnia niebios; miłość — to pełnia człowieka.

Patrzysz na gwiazdę z dwóch powodów: bo jest świetlista i nieodgadniona. A masz przy sobie jasność jeszcze słodsza i tajemnicę bardziej niezbadaną: Kobietę.

Każdy z nas — kimkolwiek jest — ma istotę niezbędną mu do życia jak powietrze. Jeśli jej zbraknie, brak nam tchu, dusimy się. I umieramy. Straszna to rzecz — śmierć z braku miłości. To zatrucie duszy.

Gdy miłość złączy i stopi dwie istoty w jedność anielską i świętą, odnajdują one tajemnicę życia i są już tylko dwoma wyrazami jednego losu, dwoma skrzydłami jednej duszy. Kochajcie! Szybujcie w błękitach!

Kiedy kobietę, przechodzącą mimo, widzisz otoczoną blaskiem, jesteś zgubiony — kochasz. Jedno ci tylko pozostaje: myśleć o niej tak nieustannie i tak usilnie, aby ona również była zmuszona myśleć o tobie.

Co miłość rozpocznie — tylko Bóg skończyć może.

Prawdziwa miłość wpada w rozpacz lub w zachwycenie z powodu, zgubionej rękawiczki czy znalezione chustki, a potrzebuje wieczności dla swego poświęcenia i swoich nadziei. Składa się z tego, co nieskończenie wielkie, i z tego, co nieskończenie małe.

Jeśli jesteś kamieniem — bądź magnesem, jeśli jesteś rośliną — bądź czułkiem; jeśli jesteś człowiekiem — bądź miłością.

Miłości wszystkiego mało: ma szczęście, pożąda raju; ma raj, pożąda nieba.

O wy, którzy kochacie, wszystko to jest w miłości. Trzeba tylko umieć to w niej znaleźć. Miłość ma to samo, co ma niebo — kontemplację, i coś więcej, niż ma

niebo — rozkosz."

„Czy przychodzi jeszcze do Ogrodu Luksemburskiego?" — „Nie, panie." — „W tym kościele bywa namszy, prawda?" — „Już tu nie przychodzi." — „Czy wciąż mieszka w tym domu?" — „Wyprowadziła się." — „A gdzie teraz mieszka?" — „Nie powiedziała." Jakże smutno jest nie znać adresu swej duszy!

Miłość ma swoje dziecinady, inne namiętności mają swoje małostki. Hańba namiętnościom, 'które pomniejszają człowieka! Chwała tej, która go czyni dzieckiem.

To dziwne, czy wiesz? Otacza mnie noc. Ktoś, odchodząc, zabrał ze sobą niebo.

O, leżeć przy sobie w jednym grobie z dłonią w dłoni i czasem, w ciemnościach, pieścić nawzajem swe palce — niczego więcej nie chcę od wieczności.

Wy, co cierpicie z miłości, kochajcie jeszcze goręcej. Śmierć z miłości — to życie.

Kochajcie! Tajemnicze gwieździste przemienienie łączy się z męką kochania. W agonii jest zachwycenie.

O radości ptaszęca! Ptaki śpiewają — bo mają gniazda.

Miłość to cudowne zachłyśnięcie się powietrzem raj.

Serca głębokie, umysły mądre! Bierzcie życie takie, jak je Pan Bóg stworzył. Długa to próba, niezrozumiałe przygotowanie do nieznanego przeznaczenia. To właściwe przeznaczenie zaczyna się dla człowieka z chwilą zstąpienia do grobu. Tam ukazuje mu się coś — zaczyna dostrzegać rzeczy ostateczne. Rzeczy ostateczne! Zastanówcie się nad tym słowem. Żywi widzą nieskończoność; rzeczy ostateczne ukazują się tylko zmarłym. Nim to nastąpi, kochajcie, cierpcie, ufajcie i rozmyślajcie. Biada nieszczęsnym, co ukochali tylko ciało, kształt, zewnętrzną formę. Śmierć im wszystko zabierze. Kochajcie dusze. Odnajdziecie je.

Spotkałem na ulicy bardzo ubogiego młodzieńca, który kochał. Miał stary kapelusz, zniszczone ubranie, dziury na łokciach, jego buty napełniały się wodą, a dusza gwiazdami.

Wielka to rzecz — być kochanym! Większa jeszcze — kochać! Dzięki namiętności serce staje się bohaterskie. Wszystko, co ma w sobie, jest czyste, wszystko, na czym się wesprze, jest wzniosłe i wielkie. Nie zakiełkuje w nim żadna zła myśl, jak pokrzywa nie wyrośnie na lodowcu. Dusza wyniosła i pogodna, niedostępna dla pospolitych namiętności i wzruszeń, góruje nad

chmurami i mrokiem tego świata, nad szaleństwem, kłamstwem, nienawiścią, próżnością i nędzą, zamieszkuje lazury nieba i czuje tylko głębokie, ukryte wstrząsy losu, jak szczyty górskie czują trzęsienie ziemi.

Gdyby ani jeden człowiek na ziemi nie kochał — słońce by zgasło!

ROZDZIAŁ V

Kozeta po przeczytaniu listu

Czytając te kartki Kozeta coraz głębiej tonęła w rozmarzeniu. Gdy podniosła wzrok po przeczytaniu ostatniego wiersza w zeszytce, piękny oficer — była to właśnie jego godzina — przechodził zdobyczym krokiem koło kraty. Wydał się jej wstrętny.

Znowu zaczęła oglądać zeszyt. „Pismo jest prześliczne — pomyślała — pisała ta sama ręka, ale różnym atramentem, raz bardzo ciemnym, raz wyblakłym, jak gdyby dolewano wody do kałamarza — a zatem w ciągu wielu różnych dni.” Były to myśli wylewane na papier, westchnienia serca rzucone od czasu do czasu, bezładnie, bez wyboru, bez celu, przypadkowo. Nic podobnego Kozeta dotychczas nie czytała. Ten rękopis, w którym dostrzegła więcej jasności niż cienia, sprawiał na niej wrażenie drzwi uchylonych do sanktuarium. Te tajemnicze słowa lśniły cudownym blaskiem w jej oczach i zalewały serce potokiem dziwnego światła. Wychowanie, jakie odebrała, mówiło jej zawsze o duszy, a nigdy o miłości, tak jakby ktoś opowiadał o zarzewiu, nie wspominając płomienia. Ten piętnasto stronicowy rękopis wyjawiał jej nieoczekiwanie i łagodnie tajemnicę miłości, 'Cierpienia, losu, życia, wieczności, początku i końca. Zdawało się, że jakaś ręka otworzyła się i rzuciła jej garść promieni. Wyczuwała poprzez te słowa naturę namiętą, żarliwą, uczciwą i wielkoduszną, wolę świętą, wielki ból i wielką nadzieję, serce cierpiące pełnię uniesienia i zachwyty. Czym był ten rękopis? Listem. Listem bez imienia, bez adresu, bez podpisu, nagłym, a bezinteresownym, zagadką złożoną z prawd, przesłaniem miłosnym przyniesionym przez anioła, a czytany przez dziewczynę, spotkaniem wyznaczonym w nieziemskiej sferze, czułym listem zjawy do cienia.

To ktoś nieobecny, spokojny i zgnębiony, zdający się szukać ucieczki w śmierci, słał nieobecnej tajemnicą losu, klucz życia — miłość. Pisał to, zstępując do grobu i dosięgając nieba. Te słowa spadające jedno po drugim, na papier można by nazwać kroplami duszy.

Od kogo pochodziły te kartki? Kto je napisał?

Kozeta nie wahała się ani chwili. Jeden tylko człowiek.

On!

W jej umyśle rozjaśniło się zupełnie: wszystko powróciło znowu. Uczuła niewysłowioną radość i głęboki niepokój. To on! On pisał do niej. On był 'tutaj!

To jego ręka wsunęła się przez kratę! Kiedy ona o nim zapomniała, on ją odnalazł. Ale czy istotnie o nim zapomniała? Nie! Nigdy! Była szalona, sądząc tak choć przez chwilę. Zawsze go kochała, zawsze go uwielbiała. Ogień skrył się i czas pewien tlił pod warstwą popiołu, ale widziała go, wżerał się tylko coraz głębiej, a teraz wybuchnął i objął ją całą. Ten zeszyt był niby płomyk przerzucony z tamtej duszy w jej duszę. Czuła, że pożar ogarnął ją na nowo. Wchłaniała każde słowo rękopisu.

— O tak! — mówiła — jak ja to rozpoznaję! Wszystko to wyczytałam już w jego oczach!

Gdy po raz trzeci odczytywała list, porucznik Teodul, dzwoniąc ostrogami, znowu przeszedł przed kratą. Kozeta mimo woli podniosła oczy. Wydał się jej mdły, głupi, śmieszny, pyszałkowaty, niemiły, zuchwały i bardzo brzydki. Oficer uznał za stosowne przesłać jej uśmiech. Odwróciła się od niego, zawstydzona i gniewna. Chętnie rzuciłaby mu coś ciężkiego na głowę.

Uciekła, wróciła do domu i zamknęła się w pokoju, by zagłębić się w te kartki, by uczyć się ich na pamięć, i marzyła. Gdy przeczytała je wiele razy, ucałowała zeszycik i wsunęła go za stanik.

Stało się, Kozeta pograżyła się na nowo w miłości głębokiej, anielskiej. Eden otworzył się przed nią.

Przez cały dzień chodziła jak odurzona. Zaledwie mogła myśleć, myśli jej były jak splątany motek nici, nie znała żadnych przypuszczeń, drżąc oczekiwała czegoś, ale czego? Czegoś nieokreślonego; nie śmiała sobie nic obiecywać i niczego nie chciała sobie odmówić. Bładość przepływała po jej twarzy, ciało przenikał dreszcz. Wydawało jej się chwilami, że żyje w jakimś urojonym świecie; mówiła do siebie: „Czy to prawda?”, i dotykała przez suknię najdroższego listu, przyciskała go do serca, czuła brzegi kartek; gdyby Jan Valjean ujrział ją wtedy, zadrżałby na widok promiennej, nieznannej radości, tryskającej spod jej powiek. „O tak — myślała. — To on! To od niego dla mnie!”

I mówiła sobie, że go odnalazła dzięki pośrednictwu aniołów, dzięki niebiańskiemu przypadkowi.

O przemienienie miłości! O marzenia! Ten niebiański przypadek, to pośrednictwo aniołów było gałką chleba, którą z podwórza Karola Wielkiego do Lwiej Jamy jeden złodziej przerzucił drugiemu złodziejowi ponad dachami więzienia La Force.

ROZDZIAŁ VI

Starzy są od tego, żeby w porę wychodzili z domu

Wieczorem Jan Valjean wyszedł z domu. Kozeta ubrała się, uczesała jak najbardziej twarzowo i włożyła suknię, której stanik, nieco głębiej wycięty, odsłaniał ramiona, co było, jak mówią młode dziewczęta, „trochę nieprzyzwoite”. Nie było to ani trochę nieprzyzwoite, tylko po prostu ładne. Ubrała się tak, sama nie wiedząc dlaczego.

Czy chciała wyjść? Nie.

Czy spodziewała się gości? Nie.

O zmroku zeszła do ogrodu. Toussaint zajęta była w kuchni, której Okna wychodziły na podwórze.

Zaczęła przechadzać się pod drzewami, odsuwając niekiedy ręką gałęzie, bo zwieszały się bardzo nisko.

Tak doszła do ławki.

Kamień wciąż leżał na tym samym miejscu.

Usiadła i położyła na nim delikatną, białą rękę, jak gdyby chciała go pogłaskać i podziękować mu.

Nagle doznała nieokreślonego wrażenia, jakiego się doświadcza, gdy ktoś nawet nie zauważony stanie za nami.

Odwróciła głowę i wstała z ławki.

To był on.

Stał z odkrytą głową. Wydawał się blady i wychudły. Ledwie można było dostrzec jego. czarne ubranie. Zmrok rozjaśniał jego piękne czoło, a cienie kładł na oczach. Było w nim coś ze śmierci i nocy, przysłonięte niewymowną słodyczą. Twarz jego jaśniała światłem, konającego dnia i zamyśleniem odlatującej duszy.

Zdawało się, że nie był jeszcze widmem, a już przestał być człowiekiem.

Kapelusz jego leżał o parę kroków, rzucony w zarośla.

Bliska omdlenia, Kozeta nie wydała żadnego okrzyku. Cofała się powoli, czuła bowiem, że coś ją przyciąga: On nie ruszał się z miejsca. *Czują*, że otula ją coś niewysłowionego i smutnego — spojrzenie jego oczu, których nie widziała.

Cofając się, napotkała drzewo i oparła się o nie. Gdyby nie to drzewo, byłaby upadła.

Wtedy usłyszała jego głos, ten głos, którego naprawdę nigdy jeszcze nie słyszała, szepczący nieco głośniejszym od szmeru liści:

— Niech mi pani wybaczy, że tu jestem. Ciężko mi, nie mogłem tak żyć dłużej, przyszedłem. Czy przeczytała pani to, co położyłem na ławce? Czy pani mnie choć trochę poznaje? Proszę się mnie nie lękać. Ułynęło już dużo czasu, czy pamięta pani ten dzień, kiedy pani spojrzała na mnie po raz pierwszy? To było w Ogrodzie Luksemburskim, przy *Gladiatorze*. A pamięta pani ten dzień, kiedy pani koło mnie przeszła? To było szesnastego czerwca i drugiego lipca. Niedługo minie rok. Tak dawno już pani nie widziałem! Pytałem kobiety, wynajmującej krzesła w ogrodzie; powiedziała mi, że już pani nie przychodzi. Mieszkała pani wtedy na ulicy Zachodniej, na trzecim piętrze od frontu, w takim nowym domu. Widzi pani, że wiem. Śledziłem panią. Co miałem robić? Potem pani znikła. Zdawało mi się raz, że pani przechodziła, kiedy czytałem dzienniki pod arkadami Odeonu. Pobiegłem. Ale nie; to była tylko jakaś młoda osoba w podobnym kapeluszu. Przychodzę tutaj w nocy, niech się pani nie lęka, nikt mnie nie widzi. Przychodzę popatrzeć z bliska na pani okna. Staram się zachowywać bardzo cicho, żeby pani nie słyszała, bo może by się pani przestraszyła. Kiedyś wieczorem stałem tu za panią, pani się obejrzała, a ja uciekłem. Raz słyszałem, jak pani śpiewała. Byłem wtedy szczęśliwy! Czy pani to przeszkadza, że przez zamknięte okiennice słucham pani śpiewu? To nie może pani przeszkadzać, prawda? Pani jest moim aniołem, niech mi pani pozwoli przychodzić tu czasami. Zdaje mi się, że wkrótce umrę. Gdyby pani wiedziała! Ja uwielbiam panią. Przepraszam, sam nie wiem, co mówię, może rozgniewałem panią. Gniewa się pani?

— O moja matko! — odpowiedziała Kozeta.

I zachwiała się, jakby miała umrzeć.

Podtrzymał ją, osunęła się na ziemię; chwycił ją w ramiona i przytulił mocno do piersi, nie wiedząc, co czyni. Trzymał ją tak, sam chwiejąc się na nogach; głowę wypełniał mu jakiś słodki czad, między brwiami przelatywały błyskawice; myśli się rozpierzchły; zdawało mu się, że dokonuje świętego obrzędu i że dopuszcza się świętokradztwa. Zresztą nie odczuwał żadnego pożądania wobec tej uroczej kobiety, której kształty czuł na swej piersi. Był upojony miłością.

Kozeta ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na sercu. Wyczuł swój list i wyjąkał:

— Więc kocha mnie pani?

Odpowiedziała głosem tak cichym, że było to już ledwo dosłyszalne tchnienie:

— Nie mów nic! Ty wiesz!

I ukryła spłonioną twarz na piersi dumnego i upojonego szczęściem młodzieńca.

Usiadł na ławce, ona przy nim. Zabrakło im słów. Gwiazdy zaczęły zapalać się na niebie. Jak to się stało, że ich usta się spotkały? Jak to się dzieje, że ptak śpiewa, że śnieg topnieje, że róża rozkwita, że maj roztacza swą krasę, że biały świt wstaje za czarnymi drzewami na drżącym szczycie wzgórz?

Pocałunek — to było wszystko.

Oboje zadrżeli i spojrzeli na siebie w cieniu roziskrzonymi oczyma.

Nie czuli ani chłodnej nocy, ani zimnego kamienia, ani wilgotnej ziemi, ani zroszonej trawy, patrzyli na siebie z sercem pełnym myśli. Bezwiednie wzięli się za rękę.

Kozeta nie zapytała go, nie pomyślała nawet o tym, którędy wszedł i jak dostał się do ogrodu, Wydało jej się rzeczą prostą, że był przy niej.

Od czasu do czasu kolano Mariusza dotykało kolana Kozety i oboje drżeli.

Czasem Kozeta wyjąkała jakieś słówko. Dusza drżała na jej wargach, jak kropla rosy na kwiecie.

Powoli zaczęli rozmawiać. Po milczeniu, które jest pełnią "szczęścia, nadeszła chwila zwierzeń. Pogodna, wspaniała noc" rozpościerała się nad ich głowami. Te dwie istoty, czyste jak duchy, opowiadały sobie wszystko: swoje sny, upojenia, zachwyty, rojenia, zwątpienia. Powiedzieli sobie oboje, jak ubóstwiali się z daleka, jak pragnęli się wzajemnie, jak rozpaczali, gdy przestali się widywać. W duchowej bliskości, której już nic powiększyć nie mogło, zwierzyli sobie wzajem wszystko, co najskrytsze i najtajniejsze. Opowiedzieli sobie z ufną wiarą w swoje złudzenia wszystko, cokolwiek miłość, młodość i ta reszta dzieciństwa, która w nich jeszcze tkwiła, przywiodły im na myśl. Te dwa serca przelały się w siebie i po upływie godziny młodzieniec miał w sobie duszę dziewczyny, a dziewczyna miała w sobie duszę młodzieńca. Przeniknęli się, zachwycili, olśnili oboje.

Gdy skończyli rozmowę, gdy powiedzieli sobie wszystko, ona oparła mu głowę na ramieniu i zapytała:

— Jak panu na imię?

— Mariusz — odpowiedział. — A pani?

— Kozeta.

KSIĘGA SZÓSTA

MAŁY GAVROCHE

ROZDZIAŁ I

Złośliwa psota wiatru

Od roku 1823, podczas gdy karczma w Montfermeil grzęzła i tonęła powoli nie w przepaści bankructwa, ale w kloace drobnych długów, małżonkom Thenardier przybyło dwoje dzieci, dwóch chłopców. Mieli więc pięcioro, dwie córki i trzech synów. To było dużo.

Thenardierowa wyjątkowo szczęśliwie pozbyła się dwóch najmłodszych, gdy byli jeszcze zupełnie mali.

Pozbyła się - to właściwe określenie. Miała ona naturę kobiecą w formie cząstkowej — zjawisko niewyjątkowe zresztą. Thenardierowa, podobnie jak marszałkowa La Mothe-Houdancourt; była matką tylko dla swych córek. Jej uczucia macierzyńskie na nich się kończyły, a nienawiść do rodzaju ludzkiego zaczynała się od synów. W nich mierzyła złość jej jak grot, dla nich serce jej było nieprzystępne jak strome, ponure urwisko. Widzieliśmy już, że nie cierpiała starszego; nienawidziła obu młodszych. Dlaczego? Tak sobie. „Tak sobie” — to najstraszniejszy z powodów i odpowiedź nie podlegająca dyskusji „Nie trzeba mi kupy bachorów!” — mówiła ta matka.

A teraz wyjaśnijmy, w jaki sposób Thenardierowie zdołali pozbyć się dwojga najmłodszych dzieci, a nawet ciągnąć z tego pewne korzyści.

Owa Magnon, o której mówiliśmy niedawno, była tą samą osobą, która potrafiła, wyłudzić od starego pana

Gillenormand zabezpieczenie materialne dla swoich dwojga dzieci. Mieszkała na wybrzeżu Celestins, na rogu starej uliczki Piżmowej, która zrobiła, co mogła, by zamienić na przyjemny zapach swoją nieświeżą reputację. Czytelnik pamięta zapewne straszną epidemię krupu, która trzydzieści pięć lat temu nawiedziła dzielnice Paryża leżące nad Sakwaną i z której skorzystała nauka przeprowadzając na wielką skalę doświadczenia nad skutecznością wdychania ałunu, dziś tak pomyślnie zastąpionego przez pędzlowanie jodyną. Podczas tej epidemii Magnon straciła jednego dnia obu synów, jeszcze bardzo małych —

jednego rano, drugiego wieczorem. Był to dla niej cios. Dzieci te były skarbem dla matki: reprezentowały wartość osiemdziesięciu franków miesięcznie. Te osiemdziesiąt franków bardzo punktualnie wypłacał w imieniu pana Gillenormand jego pełnomocnik pan Barge, emerytowany komornik, mieszkający przy ulicy Króla Sycylii. Ze śmiercią dzieci renta była pogrzebana. Magnon szukała na to rady. W tej ciemnej masonerii zła, do której należała, ludzie wiedzą o sobie wszystko, dochowują tajemnicy i wspomagają się wzajemnie. Magnon potrzebowała dwojga dzieci; Thenardierowa miała dwoje; ta sama płeć, ten sam wiek. Dobre rozwiązanie dla jednej, dobra lokata dla drugiej. Tak więc synowie Thenardierów stali się synami Magnon. Magnon wyprowadziła się z bulwaru Celestins, a zamieszkała przy ulicy Clocheperce. W Paryżu tożsamość wiążąca osobę z nią samą zrywa się z chwilą przeprowadzki z jednej ulicy na drugą.

Urząd Stanu Cywilnego, nie powiadomiony o niczym, nie wdał się w tę sprawę, i podstawienie odbyło się w najprostszy w świecie sposób. Thenardier zażądał za wypożyczenie dzieci dziesięciu franków miesięcznie, które Magnon mu obiecała, a nawet płaciła. Nie trzeba dodawać, że pan Gillenormand dotrzymał nadal swego zobowiązania. Odwiedzał chłopców co pół roku. Nie spostrzegł zamiany. „Panie — mówiła mu Magnon — jacy oni podobni do pana!”

Thenardier, który potrafił prędko zmieniać skórę, skorzystał z tej okazji, by stać się Jondrette'em. Jeśli zaś chodzi o jego dwie córki i Gavroche'a, to za ledwie mieli czas spostrzec istnienie najmłodszych braci. Na pewnym szczeblu nędzy panuje swego rodzaju upiorna obojętność i na istoty ludzkie patrzy się jak na larwy. Człowiek dla swoich najbliższych jest często tylko niewyraźną postacią cienia, ledwo majaczącą na mglistym tle życia i łatwo wchłanianą przez niewidzialne.

Wieczorem tego dnia, kiedy dostarczyła Magnon swoich dwóch malców z wyraźną chęcią pozbycia się ich na zawsze, Thenardierowa odczuła albo też udawała, że odczuwa pewne skrupuły. Powiedziała do męża:

— Nic innego, tylkośmy porzucili swoje „dzieci. Thenardier autorytatywny i flegmatyczny usunął jej wątpliwości jednym zdaniem:

— Jan Jakub Rousseau postępował jeszcze lepiej! Skrupuły matki przerodziły się w obawę:

— A jak policja będzie się nas czepiać? Powiedz no, mości Thenardier, czy wolno robić to, cośmy zrobili?

Thenardier odpowiedział:

— Wszystko wolno! Sprawa czysta jak łąza! A zresztą kto się będzie interesował bachorami, które nie mają złamanego grosza?

Owa Magnon była swego rodzaju elegantką w świecie występku. Stroiła się. Mieszkanie, umeblowane licho, ale pretensjonalnie, dzieliła z pewną zręczną złodziejką, sfrancuziałą Angielką. Angielka ta, stawszy się obywatelką miasta Paryża, osoba godna polecenia dzięki bardzo bogatym znajomościom i pozostająca w bliskiej zażyłości z medalami z Biblioteki i diamentami panny

Mars, stała się później głośna w rejestrach sądowych. Nazywano ją panną Miss.

Dwa małe podrzutki nie mogły narzekać. Za rekomendację służyło im osiemdziesiąt franków, więc obchodzono się z niani dobrze jak z każdą rzeczą, z której ciągnie się zyski; byli nieźle ubrani, nieźle odżywieni, traktowani prawie jak „mali panicze” i lepiej się czuli u przybranej matki niż u rodzonej. Magnon pozowała na „damę” i nie używała przy nich złodziejskiej gwary.

Tak spędzili kilka lat. Thenardier dobrze z tego wróżył. Pewnego dnia powiedział nawet Magnon, gdy mu wypłacała miesięczną sumę dziesięciu franków:

— Trzeba będzie, żeby „ojciec” zajął się ich edukacją.

Nagle ci dwaj malcy, z którymi dotąd nawet w złej doli los obchodził się dość łaskawie, zostali brutalnie rzućeni w wir życia i zmuszeni rozpocząć je na własną rękę.

Masowe aresztowania przestępców — podobne do tego, które miało miejsce na poddaszu u Jondrette'a, i nieuchronnie pociągające za sobą "dalsze dochodzenia i uwięzienia — są prawdziwą klęską dla tej ohydnej i tajemnej antyspołeczności, która żyje pod społeczeństwem jawnym. Takie wydarzenia wywołują w tym ciemnym świecie cały szereg wstrząsów. Katastrofa Thenardierów spowodowała katastrofę Magnon.

Pewnego dnia, wkrótce po przekazaniu Eponinie przez Magnon kartki w sprawie ulicy Plumet, na ulicy Clocheperce odbyła się niespodziewanie obława policyjna; Magnon i panna Miss zostały ujęte, a wraz z nimi wpadli w sieć wszyscy mieszkańcy tego podejrzanego domu. Obaj malcy bawili się wówczas na podwórzu i wcale nie spostrzegli najścia; kiedy chcieli wrócić, zastali drzwi zamknięte, a dom pusty. Szewc z naprzeciwka zawołał ich i oddał im kartkę, którą „matka” zostawiła dla nich. Na kartce był adres: „Pan Barge, poborca, ulica Króla Sycylii nr 8.” Szewc powiedział im:

— Już nie będziecie tu mieszkali. Pójdziecie tam, to niedaleko, pierwsza ulica na lewo. Pytajcie o drogę z tą kartką.

Dzieci poszły; starszy prowadził młodszego, ściskając w ręku kartkę, która miała być ich przewodnikiem. Było zimno i zgrabięte paluszki chłopca słabo trzymały ową kartkę. Na zakręcie ulicy Clocheperce podmuch wiatru wyrwał ją z ręki, a że noc już zapadała, dziecko nie mogło jej odnaleźć.

Zaczęli błąkać się po ulicach.

ROZDZIAŁ II

Gdzie mały Gavroche wykorzystuje Napoleona Wielkiego

Wiosną w Paryżu zdarzają się dość często ostrą przejmujące wiatry, od których człowiek wprawdzie nie zamarza, ale dotkliwie marznie. Wiatry te, które psują najpiękniejsze dni wiosenne, robią właśnie takie wrażenie jak podmuch zimnego powietrza, wdzierający się do ciepłego pokoju przez szpary w oknach lub nieszczelne drzwi. Wydaje się, że ciemna brama zimy została niedomknięta i że wiatr tamtędy się wciska. Na wiosnę 1832 roku, kiedy w Europie wybuchła pierwsza w tym stuleciu wielka epidemia, wiatry te były jeszcze przykrzejsze i przenikliwsze niż zwykle. Uchyliły się wówczas bramy bardziej lodowate niż bramy zimy, bramy grobu. W tych wiatrach czuć było tchnienie cholery.

Z meteorologicznego punktu widzenia te zimne wiatry miały tę szczególną właściwość, że nie wykluczały wcale wysokiego napięcia elektryczności w powietrzu.

Zdarzały się w owym czasie często burze z błyskawicami i grzmotami.

Pewnego wieczora, kiedy podobny wichur hulał tak okropnie, jak gdyby powrócił styczeń, i każdy wciągał znów na siebie ciepłe palto, mały Gavroche, jak zawsze wesóły i dygocący w swoich łachmanach, stał jakby w zachwyceniu przed sklepem jakiegoś fryzjera w okolicy Orme-Saint-Gervais. Był ustrojony w wełnianą niewieścią chustkę, nie wiedzieć jak zdobytą, z której zrobił sobie szalik. Mały Gavroche zdawał się gorąco podziwiać woskową pannę młodą w dekolowanej sukni i wianku z pomarańczowego kwiecia, która obracała się za szybą, śląc przechodniom — między dwoma kinkietami — swój uśmiech; naprawdę zaś chłopak patrzył na sklep tylko po to, by wybadać, czy nie uda mu się „zwędzić” z wystawy kawałka mydła, który by mógł później odsprzedać za jednego su fryzjerowi z przedmieścia. Nieraz już miewał śniadanie z takiego kawałka mydła. Ten rodzaj zajęcia, do którego miał niepospolite zdolności, nazywał się w jego języku: „goleniem brody golibrody”.

Wpatrując się w pannę młodą i zerkając na mydło, mruzczał przez zęby:

— We wtorek. Nie, to nie we wtorek. Czy we wtorek? A może i we wtorek! Tak, we wtorek.

Nie stwierdzono nigdy, o co chodziło w tym monologu.

Jeśli przypadkiem monolog odnosił się do dnia, w którym Gavroche ostatni raz

jadł obiad, znaczyłoby to, że przed trzema dniami, rzecz działa się bowiem w piątek.

W sklepie, który ogrzewał suto napalony piec, fryzjer golił klienta i od czasu do czasu rzucał spojrzenie w kierunku tego wrogatego bezczelnego, zziębniętego ulicznika, który obie ręce trzymał w kieszeniach, ale myślą najwyraźniej gdzieś myszkował.

Kiedy Gavroche tak oglądał panną młodą, wystawę i Windsorsoaps, dwaj chłopcy nierównego wzrostu, dość przyzwoicie ubrani i jeszcze mniejsi od niego — jeden wyglądający na siedem, a drugi na pięć lat — nacisnęli nieśmiało klamkę i weszli do sklepu, prosząc nie wiadomo o co, może o wsparcie, płaczącym szeptem, podobniejszym do jejku niż do prośby. Mówili obaj na raz i nie podobna było zrozumieć ich słów, gdyż młodszemu łkania przerywały głos, a starszy szcząkał z zimna zębami. Fryzjer odwrócił się z wyrazem wściekłości na twarzy i nie wypuszczając z rąk brzytwy odepchnął starszego lewą ręką, a młodszego kolanem, wyrzucił ich na ulicę i zamknął drzwi mówiąc:

— Tylko zimna napuszczają, nie wiadomo po co! Malcy z płaczem poszli dalej. Tymczasem nadciągnęła chmura i zaczął padać deszcz. Mały Gavroche pobiegł za chłopcami i zagadnął ich:

— O co chodzi, smyki?

— Nie wiemy, gdzie spać — odparł starszy.

— Tylko tyle! — rzekł Gavroche. — Wielkie rzeczy! Jest czego beczeć? A to głuptasy!

I w poczuciu swojej nieco zarozumiałej wyższości, przybierając ton czułej i opiekuńczej powagi, dodał:

— Chodźcie ze mną, knoty!

— Dobrze, proszę pana — odrzekł starszy.

I obaj malcy poszli za nim jak za arcybiskupem. Przeszli płakać.

Gavroche prowadził ich ulicą Św. Antoniego, w kierunku Bastylii.

Idąc, obejrzał się i rzucił oburzone spojrzenie na sklepik fryzjera.

— A to zimna ryba! Perukarz bez serca! — mruknął. — Angielskie ziółko!

Jakaś dziewczyna, widząc tą trójkę idącą gęsiego z Gavroche'em na czele,

wyfouchnęła hałaśliwym śmiechem. Śmiech ten okazywał wyraźnie brak uszanowania.

— Dzień dobry, panno Omnibus — powiedział jej Gavroche.

Po chwili, przypomniawszy sobie fryzjera, dodał:

— Pomyliłem zwierzęta; to nie ryba, to wąż. Ej, ty, golibródo, pójdę do ślusarza i każę ci przyprawić dzwonek do ogona!

Ten fryzjer nastroił go agresywnie. Przeskakując przez rynsztok, zawołał do brodatej stróżki, godnej witać Fausta na Brockenie, która szła z miotłą w ręce:

— O, widzę, że jejmość wychodzi na miasto razem ze swoim rumakiem!

Co mówiąc, opryskał błotem lakierki jakiegoś przechodnia.

— Hultaju! — wrzasnął tamten z wściekłością. Gavroche wysunął nos z szalika.

— Łaskawy pan ma do kogoś pretensje?

— Do ciebie! — odrzekł przechodzień.

— Biuro zamknięte — odparł Gavroche — Dziś już nie przyjmuję żadnych zażaleń.

Idąc dalej ulicą, spostrzegł we wnęce jednej z brani zziębniętą do szpiku kości kilkunastoletnią żebraczkę, ubraną tak kuso, że widać jej było kolana, Na taki strój dziewczyna była już za duża. Ale wzrost płała czasem takie figle: spódniczka staje się zbyt krótka właśnie wtedy, gdy nagość zaczyna być nieobyczajna.

— Biedna dziewczucha! — rzekł Gavroche. — Nie ma to nawet majtek! Na, bierz!

I odwinąwszy z szyi poczciwy wełniany szalik rzucił go na chude fioletowe ramiona żebraczki, na których szalik znów stał się chustką.

Mała popatrzyła na niego ze zdziwieniem i w milczeniu przyjęła chustkę. Na pewnym szczeblu nadzy człowiek w swym odrętwieniu nie złorzeczy już złu i nie dziękuje za dobroć.

Zrobiwszy to, Gavroche wstrząsnął się: „Brrr!” — dygocąc teraz bardziej niż święty Marcin, który zostawił sobie jednak połowę płaszcza.

Na to „brrr” — deszcz lunął ze zdwojoną siłą. Nielitościwe nieba karzą dobre uczynki.

— Masz tobie — krzyknął Gavroche — co to ma znaczyć? Znowu leje? Mój Boże, jeśli to potrwa dłużej, skreślam abonament!

I poszedł dalej.

— Ano trudno — dodał po chwili, rzuciwszy okiem na żebraczkę, która otulała się szalem. — Ta ma przynajmniej morową okryj bidę!

I patrząc na chmurę, zawołał:

— Nie udało ci się!

Obaj malcy dreptali za nim.

Kiedy przechodzili koło jednego z tych gęsto zakratowanych okien wystawowych, które wskazują na piekarnię — chleb bowiem, jak złoto, chroniony jest przez żelazne kraty, Gavroche odwrócił się i zapytał:

— No i co, bębny? Jedliśmy obiad?

— Nie, proszę pana — odparł starszy. — Nic jeszcze nie jedliśmy od samego rana.

— Nie macie więc ojca ani matki? — zapytał majestatycznie Gavroche.

— Przepraszam pana, mamy tatę i mamę, tylko nie wiemy, gdzie oni są.

— Czasami lepiej tego nie wiedzieć — odrzekł Ga-vroche, który był filozofem.

— Już dwie godziny — ciągnął starszy chłopiec — chodzimy i szukamy czegoś do zjedzenia po bramach, ale nic nie znaleźliśmy.

— Wiem — rzekł Gavroche. — To psy wszystko wyjadają.

I po chwili milczenia dodał:

— A więc to tak! Pogubiliśmy naszych rodzicieli. Nie wiemy, cośmy z nimi zrobili. To nieładnie, smarkacze. Zawieruszyć starszych ludzi — tak się nie robi. Ale trudno, trzeba przegryźć coś niecoś!

Nie pytał ich o nic więcej. Nie mieć dachu nad głową — najzwyczajniejsza rzecz na świecie!

Starszy z dwóch bębnow, odzyskawszy już prawie łatwą, dziecięcą bez troskę, zawołał:

— A to heca! Mamusia mówiła, że w palmową niedzielę zaprowadzi nas po palmy.

— Pfi! — rzekł Gavroche.

— Nasza mama — mówił dalej starszy — to pani. Mieszka z panną Miss.

— Baj, baj! — odrzekł Gavroche.

Przystanął jednakże i kilka minut obmacywał i przetrząsał wszystkie zakamarki swoich łańchmanów.

Wreszcie podniósł głowę z miną, która miała być tylko zadowolona, a była pełna triumfu.

— Spokój, knoty. Oto kolacja dla całej trójki. I wyciągnął z którejś kieszeni jednego su.

Nie dając malcom czasu na wyrażenie podziwu, wepchnął ich do piekarni i położył pieniędzy na ladę, wołając:

— Panie starszy, chleba za pięć centymów! Sprzedawca, którym był sam właściciel sklepu, wziął bochenek chleba i nóż.

— W trzech kawałkach, panie starszy! — rzekł znowu Gavroche i dodał z godnością: — Jest nas trzech.

A widząc, że piekarz, przyjrząwszy się trzem biesiadnikom, wziął chleb razowy, Gavroche wsadził głęboko palec do nosa, wciągnął powietrze tak potężnie, jakby na końcu tego palca miał szczyptę tabaki Fry-deryfca Wielkiego, i rzucił piekarzowi w twarz wykrzyknik pełen najwyższego oburzenia:

— Cuszszz to znowuszszz?

Czytelników, którzy by w tym zapytaniu Gavroche'a próbowali widzieć jakiś dziki okrzyk przesyłany przez Jowów czy Botokudów z jednego brzegu rzeki na drugi poprzez rozległe puste przestrzenie, uprzedzamy, że jest to wyrażenie, którego oni — nasi czytelnicy — używają co dzień i które oznacza po prostu „cóż to znowu?” Piekarz zrozumiał je od razu i odrzekł:

— Jak to? Chleb, bardzo smaczny chleb drugiego gatunku.

— Chce pan powiedzieć — ordynarny razowiec! — odpowiedział ze spokojem i zimną pogardą Gavroche. — Białego chleba, panie starszy. Fajnego chleba! Ja stawiam.

Piekarz nie mógł powstrzymać uśmiechui krając biały chleb spoglądał na chłopców z wyrazem współczucia, co dotknęło Gavroche'a.

— Ejże, panie męczybuło! Co nas tak pan mierzysz gałami? Może jeszcze sążnia pan weźmiesz?

Wszyscy trzej, postawieni jeden na drugim, nie mieliby jednego sążnia.

Kiedy już chleb był pokrajany, piekarz schował pieniądz, a Gavróche powiedział dzieciom:

— Wpruwajcie.

Chłopcy spojrzeli na niego ze zdziwieniem, Gavroche roześmiał się.

— Ach, prawda! To to jeszcze takie małe, że nie rozumie po ludzku.

I powtórzył:

— Jedzcie.

To mówiąc, dał każdemu kawałek chleba. Sądząc zaś, że starszy, który mu się wydawał godniejszy rozmowy, zasługuje na specjalną zachętę i że należało mu oszczędzić wszelkiego wahania przy zaspakajaniu apetytu, dodał, dając mu najgrubszą kromkę.

— Masz, włóż to do dzioba.

Jeden kawałek był mniejszy od pozostałych. Gavroche wziął go dla siebie.

Biedne dzieciaki były zgłodniałe — nie wyłączając Gavroche'a. Pochłaniając żarłocznie chleb tarasowały ciasny sklepik i piekarz po otrzymaniu należności patrzył na nich niechętnym okiem.

— Wracajmy na ulicę — rzekł Gavroche. Ruszyli w kierunku Bastylii.

Od czasu do czasu, kiedy mijali oświetlone wystawy sklepowe, młodszy chłopiec przystawał, aby zobaczyć godzinę na stalowym zegarku, który nosił na sznurku obwiązany wokół szyi.

— Kiełbie we łapie— mówił wtedy Gavroche. A po tym w zamyśleniu mruczał przez zęby:

— Swoją drogą, gdybym ja miał dzieci, to bym ich lepiej pilnował.

Kiedy kończyli już swój chleb i dochodzili do rogu ponurej ulicy Ballets, w głębi

której widnieje niska, złowroga brama więzienia La Force, ktoś zapytał:

— A, to ty, Gavroche?

— A, to ty, Montparnasse? — odpowiedział Gavroche.

Jakiś dorosły mężczyzna zaczepił chłopca, a mężczyzną tym był nikt inny, jak Montparnasse, w przebraniu i niebieskich okularach, którego jednak Gavroche poznał bez trudu:

— Cholera! — powiedział Gavroche. — Masz kapotę koloru kataplazmów z siemienia Inianego i niebieskie okulary jak jaki doktor. Jak babcię Kocham — trzymasz fason!

— Pssst! — rzekł Montparnasse. — Nie tak głośno.

I szybko odciągnął Gavroche'a z kręgu światła padającego ze sklepów.

Obaj malcy machinalnie podreptali za nimi, trzymając się za ręce.

Kiedy znaleźli się pod ciemnym sklepieniem jakiejś bramy, ukryci przed spojrzzeniami i deszczem, Montparnasse zapytał:

— Wiesz, gdzie idę?

— Tam, gdzie się nie utonie — rzekł Gavroche.

— Widzicie go, kawalarz! — odrzekł Montparnasse i dodał: — Babet na mnie czeka.

— Ach! — zawołał Gavroche. — To ona ma na imię Babet!

Montparnasse zniżył głos:

— Nie ona. On.

— A, Babet!

— Tak, Babet.

— Myślałem, że siedzi pod kluczem.

— Już się wywinął — odrzekł Montparnasse.

I pospiesznie opowiedział chłopcu, że tegoż dnia rano Babet przewieziony do Conciergerie zdołał umknąć, skręciwszy na lewo zamiast na prawo w „korytarzu

badań".

Gavroche wyraził podziw dla tej zręczności.

— Co za jubiler! — powiedział.

Montparnasse dodał parę szczegółów ucieczki Babeta i zakończył słowami:

— Ale to jeszcze nie wszystko!

Gavroche, słuchając, wziął laskę, którą Montparnasse trzymał w ręce, i niechcący pociągnął za jej górną część, i ukazało się ostrze sztyletu.

— O! — zawołał Gavroche wsuwając szybko sztylet z powrotem — zabrałeś ze sobą twojego żandarma przebranego po cywilnemu.

Montparnasse przymrużył oko.

— Psiakość! — rzekł znowu Gavroche. — Myślisz, że natkniesz się na szpagaty?

— Nie wiadomo — odparł Montparnasse z obojętną miną. — Nie zaszkodzi nigdy mieć przy sobie szpilkę.

Gavroche nalegał:

— Co masz zamiar robić dzisiejszej nocy? Montparnasse uderzył znów w poważny ton i odrzekł połykając sylaby:

— Różne rzeczy. I nagle zmieniając temat dodał:

— Aha!

— Co takiego?

— Historia z ostatnich dni. Wyobraź sobie, spotykam jakiegoś jegomościa, dostaję od niego w upominku kazanie i sakiewkę. Wkładam ją do kieszeni. W chwilą później sięgam po nią — a tu w kieszeni nie ma nic.

— Oprócz kazania — rzekł Gavroche.

— A ty — spytał Montparnasse — gdzie teraz idziesz?

Gavroche wskazał na swoich dwóch protegowanych i odrzekł:

— Idę położyć spać te dzieciaki. — Gdzież ich położysz?

— U mnie w domu.

— To znaczy gdzie?

— U mnie w domu.

— Więc masz mieszkanie?

— Mam.

— A gdzie mieszkasz?

— W słoni — rzekł Gavroche.

Montparnasse, choć z natury nieskłonny do zdzirwienia, nie mógł powstrzymać okrzyku:

— W słoni!

— Ano tak, w słoni — odparł Gavroche. — Cuszszzsz takiego?

Znowu słowo, którego nikt nie pisze, a które każdy mówi, oznaczające po prostu: cóż takiego.

Po tej filozoficznej odpowiedzi chłopca Montparnasse odzyskał spokój i rozsądek. Zdawało się, że nabrał lepszego mniemania o mieszkaniu Gavroche'a.

— Ach, rzeczywiście! W słoni... — orzekł. — Wygodnie tam?

— Bardzo wygodnie — odpowiedział Gavroche. — Powiadam ci, klawo. Nie ma przeciągów jak pod mostem.

— A jak wchodzisz?

— Wchodzę.

— Jest jakaś dziura? — dopytywał się Montparnasse.

— No chyba! Ale nie trzeba o niej gadać. Między przednimi nogami. Kapusie jej nie wypatrzyli.

— Przez nią włazisz? Rozumiem.

— Chwytam się rękami, szast, prast, gotowe, już mnie nie ma.

Po chwili milczenia dodał:

— Dla moich malców będę miał drabinę. Montparnasse roześmiał się.

— Skąd, u diabła, wytrzasnąłeś tych smyków? Gavroche odpowiedział z prostotą:

— Dostałem te bębny w prezencie od pewnego golibrody.

Tymczasem Montparnasse stropił się:

— Od razu mnie poznałeś — mruknął.

Wyjął coś drobnego z kieszeni, były to po prostu dwie dutki z pióra owinięte watą, i wsadził je sobie w dziurki od nosa. Kształt nosa miał teraz zupełnie inny.

— To cię zmienia — rzekł Gavroche. — Nie jesteś już taki brzydki, powinieneś nosić to zawsze.

Montparnasse był przystojnym chłopcem, ale Gavroche lubił przekpinki.

— Żarty na bok — rzekł Montparnasse. — Jak teraz wyglądam?

I głos miał również inny; w jednej chwili Montparnasse zmienił się nie do poznania.

— O! Zrób Porriszynela! — zawołał Gavroche. Na dźwięk tego słowa dwaj malcy, którzy do tej pory nie słuchali rozmowy, bardzo zajęci dłubaniem w nosie, zbliżyli się i popatrzyli na Montparnasse'a z budzącą się radością i podziwem.

Na nieszczęście Montparnasse był zatroskany.

Położył Gavroche'owi rękę na ramieniu i rzekł ze znaczącym naciskiem:

— Słuchaj, co ci powiem, mój chłopcze, gdybym był na rynku z moim dogiem, digiem i dagiem, to za dychę chętnie bym się wygłupiał, ale dziś nie zapusty.

Ta dziwna przemowa wywarła na uliczniku szczególne wrażenie. Odwrócił się żywo, z uwagą rozejrzał się wokoło małymi, błyszczącymi oczkami i dostrzegł w odległości paru kroków policjanta, który stał odwrócony do nich plecami.

Gavroche'owi wyrwał się okrzyk: „Aha!”, lecz szybko go stłumił i potrząsając ręką Montparnasse'a rzekł:

— No to dobranoc, zasuвам z bębnami do mojego słońca. Gdybyś mnie przypadkiem potrzebował której nocy, to możesz mnie tam *znaleźć*. Mieszkam na pierwszym piętrze. Portiera nie ma. Pytaj o pana Gavroche'a.

— Dobrze — odrzekł Montparnasse.

Po czym rozstali się; Montparnasse poszedł w stronę placu Greve, a Gavroche w stronę Bastylli. Pięcioletni malec, ciągnięty przez starszego brata, którego ciągnął Gavroche, kilka razy oglądał się, żeby spojrzeć na oddalającego się „Porriszynela”.

Niezrozumiałe zdanie, którym Montparnasse ostrzegł Gavroche'a o obecności policjanta, zawierało w sobie jeden tylko znak magiczny, a mianowicie połączenia liter *d* i *g* powtórzone kilkakrotnie w różnych odmianach. Sylaba ta, nie wypowiedziana wprost, lecz artystycznie wpleciona w zdanie znaczy: „Uwaga! Nie można swobodnie mówić.” Przemowa wygłoszona przez Montparnasse'a miała też swoiste piękno literackie, które uszło uwagi Gavroche'a, a mianowicie słowa: *dog*, *dag* i *dig*, które w złodziejskiej gwarze z okolic Tempie oznaczają: pies, nóż i dziewczyna, były często używane przez wesołków i kuglarzy złotego wieku, kiedy to. Molier pisał, a Callot rysował.

Na południowo-wschodnim rogu placu Bastylli, koło wlotu kanału wykopanego w dawnej fosie tego więzienia-fortecy, istniał jeszcze dwadzieścia lat temu dziwaczny pomnik, który zatarł się już w pamięci mieszkańców Paryża, a wart był tego, by się w niej utrwalić, jako pomysł „członka Instytutu, generała głównodowodzącego Armii Egipskiej”.

Powiadamy pomnik, choć była to tylko makieta. Ale ta makieta, wspaniała szkic, dostojny strzęp myśli Napoleońskiej, którą kilka następujących po sobie porywów wiatru unosiło i rzucało za każdym razem coraz dalej od nas, stała się historyczna i nabrała cech jakiejś trwałości kontrastującej z jej prowizorycznym wyglądem. Był to słoń wysokości czterdziestu stóp, zbudowany z cegieł i desek i dźwigający na grzbiecie podobną do domu wieżę; niegdyś jakiś pacykarz pomalował go na zielono; teraz słońce, słoty i czas nadały mu barwę czarną. Na pustym i odsłoniętym krańcu placu szerokie czoło tego kolosa, jego trąba, kły,, wieża, potężny zad, nogi podobne do czterech kolumn odcinały się w nocy na tle gwiazdzistego nieba tworząc sylwetkę zdumiewającą i straszną. Nie wiadomo było, co to ma oznaczać. Stanowił pewnego rodzaju symbol siły ludu. Było to ciemne, zagadkowe i wielkie, była to jakaś zjawa potężna i widzialna, stojąca obok niewidzialnego widma Bastylli.

Niewielu cudzoziemców odwiedzało ten pomnik, żaden przechodzień na niego nie patrzył; niszczał, powoli, za każdą zmianą pory roku tynk odpadał mu z boków kawałami, tworząc szkaradne rany. „Edylowie” — jak to się mówi w wytwornym stylu — zapomnieli o nim od roku 1814. Stał tam w swoim kącie ponury, chory, rozsypujący się w gruzy, otoczony butwiejącym ogrodzeniem, które ustawicznie zanieczyszczali pijani woźnice. Brzuch miał cały porysowany szczelinami, jakaś deska sterczała mu z ogona, między nogami wyrosły wysokie

zielska, ponieważ zaś przez trzydzieści lat poziom otaczającego placu podniósł się w powolnym, lecz nieustającym procesie, który niedostrzegalnie dźwiga w górę grunt wielkich miast, słoń stał w dole i zdawało się, że ziemia się pod nim zapadła. Był brudny, wzgardzony, odpychający i. wspaniały, brzydki w oczach mieszczucha, pełen melancholii w oczach filozofa. Miał w sobie coś ze śmiecia przeznaczonego na wyrzucenie i coś z króla idącego na szafot.

Jak już wspominaliśmy, nocą jego wygląd zmieniał się. Noc to właściwe tło dla wszystkiego, co jest cieniem. Z zapadnięciem zmroku stary słoń przeobrażał się całkowicie, stał cichy i groźny wśród niewzruszonego spokoju ciemności. Należąc do przeszłości, należał do nocy i mrok harmonizował z jego wielkością.

Ten pomnik surowy, przysadzisty, ciężki, chropawy i ponury, prawie niekształtny, a przecież niewątpliwie dostojny i pełen jakiejś wspaniałej i dzikiej powagi znikł, aby spokojnie mógł się panoszyć na placu rodzaj olbrzymiego pieca ozdobionego rurą od komina, który zajął miejsce posępnej fortecy o dziewięciu wieżach, mniej więcej tak jak burżuazja zajęła miejsce feudalizmu.

Rzecz jasna, że właśnie piec stał się symbolem epoki, której potęga mieści się w kotle. Epoka ta minie; już mija; ludzie zaczynają rozumieć, że jeśli nawet w kotle może się gnieździć siła, to jednak potęga gnieździ się tylko w rozumie; innymi słowy, nie lokomotywy prowadzą i kierują światem, lecz idee. Zaprzęgnijcie lokomotywy do rydwanu idei — zgoda, ale nie bierzcie konia za jeźdźca.

A więc — wracając do placu Bastylli — twórca słonia potrafił zrobić z gipsu, rzecz wielką; budowniczy komina zdołał zrobić z brązu rzecz niegodną uwagi.

Rura od pieca, ochrzczone dźwięcznym imieniem Kolumny Lipcowej, ten nieudany pomnik poronionej rewolucji był w roku 1832 jeszcze okryty olbrzymią szatą rusztowań, której naszym zdaniem wielka szkoda, i otoczony szerokim ogrodzeniem z desek, które dopełniało odgródzenia słonia od reszty świata.

Do tego zakątka placu, ledwo oświetlonego blaskiem dalekiej latarni, Gavroche zaprowadził swoich dwóch „bębnów”.

Niech nam będzie wolno przerwać tu i przypomnieć, że pozostajemy w całkowitej zgodzie z rzeczywistością i że dwadzieścia lat temu sąd karny rozpatrywał sprawę o włóczęgostwo i niszczenie pomników publicznych, wytoczoną przeciwko dziecku, które złapano śpiące w tymże wnętrzu słonia z placu Bastylli.

Przypomniawszy b tym fakcie, idziemy dalej.

Doszedłszy do olbrzyma, Gavroche, rozumiejąc, jakie wrażenie może wywołać to, co nieskończenie wielkie, na tym, co nieskończenie małe, rzekł:

— Nie bać się, smyki!

Po czym wszedł przez dziurę w ogrodzeniu, otaczającym słonia, i pomógł malcom przedostać się przez nią. Dzieci, trochę wystraszone, szły za Gavroche'em bez słowa, zdając się z ufnością na tę małą opatrność w łachmanach, która dała im chleba i obiecała schronienie.

Wzdłuż ogrodzenia leżała drabina, która w dzień służyła robotnikom z sąsiedniej budowy. Gavroche podniósł ją z zadziwiającą siłą i oparł o jedną z przednich nóg słonia. Tam, gdzie kończyła się drabina, widać było w brzuchu kolosa rodzaj czarnego otworu.

Gavroche wskazał swoim gościom drabinę i otwór, po czym rzekł:

— Jazda do góry, włazcie!

Malcy, przerażeni, spojrzeli na siebie.

— Boicie się, smyki! — zawołał Gavroche. I dodał: — Zaraz zobaczycie.

Objął chropowatą nogę słonia i w mgnieniu oka, nie racząc posłużyć się drabiną, był już przy otworze. Wśliznął się tam, jak wąż w skalną rozpadlinę, i znikł, a po chwili malcy zobaczyli blady zarys jego głowy, majaczący białawą plamą u wylotu otworu pełnegociemności.

— No, włazić, smarkacze! — zawołał. — Zobaczycie, jak tu dobrze! Właz ty! — zwrócił się do starszego. — Podam ci rękę.

Malcy tręcili się łokciami; ulicznik przerażał ich, a zarazem dodawał im ducha, a przy tym deszcz nie ustawał. Starszy z malców zdobył się na odwagę, młodszy, widząc, że brat wchodzi po drabinie, a on zostaje sam między nogami tej wielkiej bestii, miał wielką ochotę rozplakać się, ale nie śmiał.

Starszy wspinał się niepewnie po szczeblach drabiny, a Gavroche dodawał mu otuchy okrzykami, jakimi fechmistrz zwraca się do swoich uczniów albo mulnik do swoich mułów.

— Nie bój się! — Dobra! — Dalej! — Postaw to nogę! — Złap się tego! — Śmiało!

A kiedy już mógł go dosięgnąć, chwycił go szybko i mocno za ramię i przyciągnął do siebie.

— Zrobione!

Malec wlażł przez otwór do środka.

— Teraz — rzekł Gavroche — poczekaj na mnie. Zechce pan łaskawie usiąść.

I wydostawszy się ze szczeliny w ten sam sposób, w jaki się do niej dostał, ześliznął się z małą zręcznością po nodze słonia, spadł na równe nogi w trawę, chwycił wpół pięcioletniego malca, postawił go na samym środku drabiny i zaczął wchodzić za nim, wołając do starszego chłopca:

— Ja go będę pchał, a ty ciągnij!

W jednej chwili, zanim się zdążył opamiętać, malec został podniesiony, podsadzony, wepchnięty, wciągnięty i wpakowany do otworu. Gavroche wszedł za nim, odtrącił nogą drabinę, która upadła na trawę, i zaczął klaskać w dłonie i krzyczeć:

— Jesteśmy namiejscu! Mech żyje generał Lafayette!

Po tym wybuchu radości dodał:

— No, pędraki, jesteście u mnie. Rzeczywiście, Gavroche był u siebie.

O niespodziewana użyteczności rzeczy nieużytecznych! O miłosierdzie rzeczy wielkich! Dobroci olbrzymów! Ten ogromny pomnik, niegdyś kryjący w sobie myśl cesarza, stał się mieszkaniem ulicznika. Kolos przyjął i przygarnął malca. Odświętnie wystrojeni mieszczanie, przechodząc koło słonia na placu Bastylli i mierząc go pogardliwym spojrzeniem wyłupiastych oczu, mawiali: „Na co to komu potrzebne?” To było potrzebne, aby małą istotę bez ojca i matki, bez chleba, bez odzienia, bez dachu ochronić od zimna, szronu, gradu i słyoty, osłonić od wiatrów zimowych, ustrzec przed spaniem w błocie, które sprowadza gorączkę, i przed spaniem w śniegu, które powoduje śmierć. To było potrzebne, aby przytulić niewinne stworzenie, odtrącone przez społeczeństwo. To było potrzebne, by zmniejszyć ogrom winy społecznej. Była to kryjówka otwarta dla tego, przed którym wszystkie drzwi zostały zamknięte. Zdawało się, że stary wynędzniały olbrzym, stoczony przez robactwo i zapomnienie, -pokryty naroślami, pleśnią i wrzodami, chwiejący się, spróchniały, opuszczony, potępiony, olbrzymi żebrak, na próżno błag. gający na publicznym placu o jałmużnę przychylnego spojrzenia, zlitował się nad tym innym żebrakiem — biednym Pigmejem odzianym w łachmany, który błąkał się bez butów, bez dachu nad głową, chuchając w ręce, żywiąc się tym, co inni wyrzucają. Oto na co był potrzebny słoń z placu Bastylli. Myśl Napoleona, wzgardzona przez ludzi, została podjęta przez Boga. To, co było tylko świetne, stało się dostojne. Do urzeczywistnienia tego, co zamierzał, trzeba było. cesarzowi porfirów, spizu,

żelaza, - złota i marmuru; Bogu wystarczyło zniszczone powiązanie belek, desek i wapna. Cesarz miał genialną wizję: w postaci tego tytanicznego słonia, zbrojnego, niezwykłego, z podniesioną w górę trąbą, z wieżą na grzbiecie, z którego wytryskiwały wokół wesołe i ożywcze strumienie wody, widział wcielenie ludu. Bóg zrobił z tego rzecz większą — schronienie dla dziecka.

Otwór, przez który wszedł Gavroche, był szparą ledwo widoczną z zewnątrz, bo ukrytą — jak już wspominaliśmy — pod brzuchem słonia i tak wąską, że tylko koty i dzieci mogły się przez nią prześliznąć.

— Naprzód — rzekł Gavroche — musimy zapowiedzieć portierowi, że nie ma nas w domu.

I dawszy śmiało nurka w ciemności, jak ktoś, kto zna na pamięć swoje mieszkanie, wziął deskę i zastawił nią otwór.

Znowu zanurzył się w ciemnościach. Dzieci usłyszały syczenie zapalniczki włożonej do butelki fosforycznej. Zapalniczki chemicznych jeszcze wówczas nie znano; Krzesiwo „Fumade” było ostatnim wyrazem postępu.

Malcy, oślepieni nagłym światłem, zmrużyli oczy. Gavroche zapalił właśnie kawałek przesiąkniętego by- wica knota, zwanego „stoczkiem piwnicznym”. Ten stoczek, który bardziej kopał, niż świecił, ukazał w mglistych zarysach wnętrze słonia. Obaj goście Ga-vroche'a rozejrzeli się dokoła i doznali uczucia, jakiego doznałby ktoś zamknięty w wielkiej beczce Heideberskiej lub raczej, jakiego musiał doznać Jonasz w brzuchu biblijnego wieloryba. Oczom ich ukazał się otaczający ich wkoło olbrzymi szkielet. W górze długa brunatna belka, z której w pewnych odległościach od siebie rozchodziły się mocne, sklezione wiązania, wyobrażała kręgosłup i żebra; stalaktyty wapna zwieszały się jak jelita, a wielkie rozpięte między żebrami pajęczyny tworzyły zakurzone przepony. Tu i ówdzie po kątach widać było wielkie, czarniawe plamy — wydawały się żywe i przebiegały szybko z miejsca na miejsce gwałtownym, bojaźliwym ruchem.

Odłamki gruzu, spadłe z grzbietu słonia na jego brzuch, wypełniły zagłębienie tak, że można było po nim chodzić jak po podłodze.

Młodszy chłopiec przytulił się do brata i rzekł półgłosem:

— Ciemno!

Słowo to wywołało wybuch gniewu Gavroche'a. Osłupiałe miny obu malców stwarzały konieczność zastosowania gwałtownych środków.

— Co mi tu chrzaniecie! — zawołał. — Kpiny jakieś? Grymasy? Tuilerii wam się

zachciewa. Upadliście na łeb czy co? Uprzedzam, że dobry, pókim dobry! Paniczyki z morskiej pianki jesteście, u licha, czy co?

Besztanie to nieraz dobre lekarstwo na strach. Uspokaja. Malcy przysunęli się do Gavroche'a.

Gavroche, ojcowsko rozczulony tym dowodem zaufania, przeszedł „od powagi do łagodności” i zwracając się do młodszego:

— Głuptasie! — powiedział, łagodząc zniewagę pieśczośliwym brzmieniem głosu. — To na dworze jest ciemno. Na dworze pada, a tu nie; tam zimno, a tu ani krzty wiatru, tam jest tłum ludzi, a tu nie ma nikogo; tam nawet księżyc nie świeci, a tu jest moja świeczka, do stu tysięcy diabłów!

Dzieci zaczęły się rozglądać po apartamentach z mniejszym strachem, ale Gavroche nie zostawił im wiele czasu na rozmyślania:

— Dalej! — powiedział.

I popchnął ich — jesteście szczęśliwi, że możemy to tak nazwać — w głąb swego pokoju.

Stało tam jego łóżko.

Łóżku Gavroche'a niczego nie brakowało, to znaczy, miało ono materac, koc i alkowę z firankami.

Materac zastępowała mata słomiana, koc — dość duża płachta z grubej szarej wełny, bardzo ciepła i prawie nowa. A oto, jak wyglądała alkowa:

Trzy dość długie tyczki mocno wbite w warstwę gruzu pokrywającą podłogę, to jest w brzuch słońca, dwie z przodu i jedna z tyłu, związane u góry sznurem, tworzyły kozły w kształcie piramidy. Rusztowanie to podtrzymywało mosiężną siatkę, po prostu narzuconą na nie, lecz artystycznie rozmieszczoną i przymocowaną żelaznym drutem, tak że szczelnie okrywała je wszystkie trzy. Od dołu siatkę przyciskał do ziemi szereg dużych kamieni tak ułożonych, że nic nie mogło się przedostać do wnętrza. Siatka ta była po prostu kawałkiem miedzianej kraty, służącej w menażeriach do pokrywania pomieszczeń na ptaki.

Łóżko Gavroche'a umieszczone było pod nią jak w klatce. Wszystko razem przypominało namiot Eskimosa.

Ta właśnie siatka zastępowała firankę.

Gavroche odsunął nieco kamienie przyciskające siatkę od przodu, tak że zachodzące na siebie jej dwa brzegi rozchyliły się.

— Na czworaki, smyki! — zawołał. Ostrożnie wpuścił swych gości do środka, po czym wczołgał się sam za nimi, przysunął kamienie i zamknął szczelnie szparę.

Trzej chłopcy wyciągnęli się na macie.

Choć byli bardzo mali, żaden z nich nie mógłby stanąć w alkwie. Gavroche wciąż trzymał w ręku stoczek.

— A teraz spać — rzekł. — Zgaszę kandelabr.

— Proszę pana — zapytał starszy z braci, pokazując na kratę. — Co to takiego?

— To od szczurów — odrzekł z powagą Gavroche. — Spać!

Poczuł wszakże, że winien jest tym niedowarzoną młodzikom parę słów wyjaśnienia, więc dodał:

— Ten cały kram jest z Ogrodu Zoologicznego. To dla dzikich zwierząt. Mają tam tego do diabła i trochę. Trza tylko wdrapać się na mur, przeleźć przez okno i precisnąć się pod bramą. Jest tego, ile dusza zapagnie.

Mówiąc to, otulał brzegiem kołdry najmłodszego malca, który szeptał:

— O, jak mi dobrze! Jak ciepło!

Gavroche spojrzał zadowolonym wzrokiem na koc.

— To też z Ogrodu Zoologicznego. Zabrałem go małpom.

I pokazując starszemu matę, na której leżał, matą bardzo grubą i pięknie plecioną, dodał:

— A to było u żyrafy. Po chwili zaś dodał:

— Wszystko to miały zwierzęta. Zabrałem im. Nie rozgniewały się. Powiedziałem im: „To dla słońca.”

Po chwili milczenia dodał:

— Człowiek przełazi przez mur i gwizdże sobie na rząd. I tyle.

Dwaj malcy patrzyli z trwożnym i zdumionym szacunkiem na to stworzenie zmyślne i nieustraszone, bezdomne jak oni, samotne jak oni, słabe jak oni,

które było nędzne, a zarazem wszechmocne, wydawało się im istotą nadprzyrodzoną i łączyło w twarzy wszystkie grymasy starego cyrkowca z najbardziej naiwnym i najbardziej uroczym z uśmiechów.

— Proszę pana — rzekł nieśmiało starszy — a nie boi się pan policjantów?

Gavroche ograniczył się do odpowiedzi:

— Bąku, nie mówi się policjantów, mówi się „salcesonów”.

Młodszy miał oczy szeroko otwarte, ale nic nie mówił. Ponieważ leżał na brzegu maty, starszy bowiem był pośrodku, Gavroche macierzyńskim ruchem otulił go kocem, uniósł mu nieco matę pod głowę, wpychając pod spód stare gałgany, by dziecko miało w ten sposób poduszkę. Po czym zwrócił się do starszego:

— He? Morowo tu, co?

— O tak! — odpowiedział tamten, patrząc na Gavroche'a z miną wybawionego anioła.

Biedne, przemoczone do nitki dzieci zaczynały się rozgrzewać.

— No więc — ciągnął dalej Gavroche — po co było beczeć?

Tu pokazał na młodszego:

— Nie dziwię się temu szkrabowi, ale to głupio, żeby taki duży chłopak się mazgał, wygląda wtedy człowiek jak cielę.

— Mój Boże — odrzekło dziecko. — Nie mamy już domu, nie wiedzieliśmy, gdzie się podziać.

— Te, smyku — wtrącił Gavroche. — Nie mówi się dom, mówi się „chałupa”.

— No i baliśmy się zostać sami w nocy.

— Nie mówi się „noc”, mówi się „kimka”.

— Dziękuję panu! — odpowiedział chłopczyk.

— Słuchaj! — podjął Gavroche. — Nigdy nie trzeba biadolić i lamentować o byle co. Ja się wami zaopiekuję. Zobaczysz, jak się będziemy bawić! Latem pójdziemy do Glaciere razem z Dudkiem, moim koleżką, będziemy się kąpać koło przystani i biegać na nagusa po tratwach koło mostu Austerlitzkiego; praczki się o to wściekają. Drą się, pieklą, nie masz pojęcia, jakie to śmieszne! Pójdziemy obejrzeć człowieka szkielet na Polach Elizejskich. Jest żywy. A chudy

gość, powiadam wam, skóra i kości. A po tym zaprowadzę was do teatru; zobaczycie Fryderyka Lemaitre. Mam bilety, znam aktorów, raz nawet grałem w jednej sztuce. Była nas cała banda, ot, takich smyków, biegaliśmy pod płótnem i to miało być morze. Już ja to zrobię, że zaangażują was w moim teatrze. Pójdziemy też zobaczyć dzikich ludzi. Ale to tacy dzicy na niby. Noszą różowe trykoty, które się marszczą, a na łokciach widać cery z białej bawełny. A potem pójdziemy do Opery. Wejdziemy tam razem z klakierami. W Operze jest doskonała klaka. Ale nie poszedłbym z klaką do bulwarowych teatrzyków. Wyobraź sobie, że w Operze :są tacy głupcy, co płacą klakierom po dwadzieścia su. Nazywają ich ścierkami. Pójdziemy także zobaczyć, jak ścinają głowy na gilotynie. Pokażę wam kata. Mieszka na ulicy Bagno i nazywa się pan Sanson. Ma przy drzwiach skrzynkę na listy. Ach, powiadam wam, zabawa na całego!

W tym momencie kropla wosku spadła mu na palce i przywołała do rzeczywistości.

— Do licha! — rzekł. — Knotek się kończy. Ostrożnie! Nie mogę wydawać na oświetlenie więcej niż jednego su miesięcznie. Jak się człowiek kładzie do łóżka, trzeba spać. Nie mamy czasu na czytanie romansów pana Pawła de Kock. A i światło mogło *by* się przedostać przez szczeliny w bramie — salcesonom więcej aie trzeba.

— A przy tym — nieśmiało wtrącił starszy, gdyż tylko on miał odwagę odzywać się do Gavroche'a i odpowiadać mu — węgielek z knota mógłby upaść na słomę. Trzeba uważać, żeby nie podpalić domu.

— Nie mówi się „podpalić domu” — rzekł Gavroche. — Mówi się „sfajczyć chałupę”.

Burza rozpętała się na dobre. Poprzez huk piorunów słychać było, jak ulewa siecze grzbiet kolosa.

— Teraz deszcz może się kazać wypchać — rzekł Gavroche. — Lubię słuchać, jak leje się z tego wiadra po nogach mojego domu. Głupia zima! Marnuje swój towar, marnuje swoją robotę; nie może nas zmoczyć ł dlatego ten stary nosiwoda tak warczy!

Po tej aluzji do pioruna, której wszelkie konsekwencje Gavroche, jako filozof dziewiętnastego wieku, gotów był wziąć na siebie, błyskawica tak oślepiająca rozdarła mrok, że blask jej przedostał się przez szczelinę w brzuchu słońca. Prawie równocześnie rozległ się ogłuszający huk piorunu. Obaj malcy krzyknęli i poderwali się tak gwałtownie, że omal nie rozsunęli siatki, ale Gavroche zwrócił ku nim swoją zuchowatą twarz i na uderzenie piorunu odpowiedział wybuchem śmiechu.

— Spokój, bachory. Nie rozwalajmy budynku. Piękny piorun, ani słowa! Błyskawica też nie byle jaka. Bra-wo, Pan Bóg! Do kroćset! Udało się wcale nie gorzej niż w teatrze „Ambigu”.

Powiedziawszy to, doprowadził siatkę do porządku, łagodnie pchnął dzieci na posłanie, przycisnął im kolana, żeby się dobrze wyciągnęli i zawołał:

— Jak Bozia zapala swoją świeczkę, to ja mogę zgasić swoją. No, młodzież, trzeba spać. Nie wysypiać się to bardzo niezdrowo. Od tego załatuje człowiekowi z sieni, albo jak mówią w eleganckim świecie, śmierdzi z gęby. Opatulcie się dobrze pierzyną, bo gaszę światło. No, już?

— Już — szepnął starszy — tak mi dobrze. Jakbym miał puchową poduszkę pod głową.

— Nie mówi się głowa — krzyknął Gavroche — Mówi się „czerep”.

Malcy przytulili się do siebie. Gavroche ułożył ich wygodniej, naciągnął im koc aż na uszy i po raz trzeci powtórzył rozkaz w swoim dostojnym języku:

— Kimajcie!

Po czym zdmuchnął ogarek.

Zaledwie światło zgasło, dziwne drżenie zaczęło wstrząsać siatką, pod którą leżeli trzej chłopcy. Były to nieustające odgłosy głuchego skrobania, połączone z metalicznym dźwiękiem, jak gdyby jakieś pazury i zęby zgrzytały po miedzianym drucie. Towarzyszyły temu najróżniejsze cienkie piski.

Słyszając ten hałas nad swoją głową pięcioletni malec zlodowaciał ze strachu i trącił łokciem brata, ale tamten „kimał” już zgodnie z rozkazem Gavroche'a. Wówczas, nie mogąc opanować przerażenia, dziecko odważyło się interpelować Gavroche'a, jak mogło najciszej, wstrzymując oddech:

— Proszę pana...

— Hę? — zapytał Gavroche, który ledwo zamknął oczy.

— Co to takiego?

— To szczury — odpowiedział Gavroche. I znów przytulił głowę do maty.

Istotnie, w kadłubie słońca roilo się wprost od szczur. rów, one to tworzyły owe czarne ruchliwe plamy, o których wspominaliśmy. Dopóki świeczka paliła się, szczury czuły respekt przed światłem, lecz gdy tylko ta pieczara, będąca jak

gdyby ich królestwem, została na powrót oddana we władanie ciemności, zwietrzyły „świeże mięso” — jak nazywał to zacny Perrault — i rzuciły się tłumnie na namiot Gavroche'a; wdrapywały się na sam jego szczyt i gryzły oczka drucianej siatki, starając się przebić tę swego rodzaju kolczugę.

Wszelako malec wciąż nie mógł usnąć.

— Proszę pana... — szepnął znowu.

— He? — rzekł Gavroche.

— A co to takiego szczury?

— To takie myszy.

To objaśnienie uspokoiło nieco chłopca. Widział już raz w życiu białe myszki i nie bał ich się wcale. Jednakże odezwał się jeszcze raz.

— Proszę pana...

— He? — rzekł Gavroche.

— Dlaczego pan nie ma kota?

— Miałem — odpowiedział Gavroche. — Przyniosłem go tutaj, ale mi go zjadły.

To nowe wyjaśnienie popsuło efekt pierwszego i malec znów zaczął drzeć ze strachu. Po raz czwarty nawiązał się dialog między nim a Gavroche'ern.

— Proszę pana...

— He?

— Kogo one zjadły?

— Kota.

— Kto zjadł kota?

— Szczury.

— Te myszy?

— Tak, szczury.

Dziecko przerażone tymi myszami, które zjadają koty, pytało dalej:

— Proszę pana, czy te myszy i nas by zjadły?

— Jeszcze jak! — odrzekł Gavroche. Przestрах dziecka doszedł do szczytu, lecz Gavroche dodał:

— Nic się nie bój, tu nie włizą. A zresztą, ja tu jestem. Weź mnie za rękę. Cicho bądź i kimaj!

Gavroche wyciągnął rękę do malca ponad starszym chłopcem. Dziecko przycisnęło dłoń jego do siebie i poczuło się trochę pewniej. Odwaga i siła udzielają się w jakiś tajemniczy sposób. Dokoła znów zapadła cisza, bo rozmowa przestraszyła i spłoszyła szczury. I choć wróciły po paru minutach i urządziły w najlepsze swoje harce, trzech chłopcy, pogrążeni we śnie, nic *już* nie słyszeli.

Upływały godziny nocy. Cień zasłał olbrzymi plac Bastyii, od czasu do czasu zrywał się lodowaty wiatr anieszany z deszczem; patrole, które przeszukiwały bramy, wejścia, zakamarki i ciemne kąty, tropiąc nocnych włóczęgów, przechodziły w milczeniu koło słońca; ipotwór stojący nieruchomo, wpatrzony otwartymi oczami w ciemność, zdawał się śnić, jakby zadowolony ze spełnienia dobrego uczynku, i chronił przed niebem i ludźmi troje biednych dzieci pogrążonych w głębokim śnie.

Aby zrozumieć dalszy ciąg opowiadania, należy pamiętać, że w owym czasie odwach więzienia Bastyii mieścił się po drugiej stronie placu, tak że warta nie mogła zauważyć i usłyszeć tego, co działo się w pobliżu słońca.

Mniej więcej na godzinę przed świtem jakiś czło wiek wybiegł z ulicy Św. Antoniego, przebiegł przez plac, okrążył rozległe ogrodzenie wokół Kolumny Lipcowej i prześliznął się przez parkan aż pod brzuch słońca. Gdyby jakieś światło padło na tego człowieka, łatwo można byłoby odgadnąć, że całą noc spędził na deszczu, był bowiem przemoczony do suchej nitki. Stanąwszy pod słońcem, wydał dziwaczny okrzyk, nie należący do żadnego ludzkiego języka, który tylko papuga mogłaby powtórzyć. Powtórzył dwukrotnie ten okrzyk, o którym słabe tylko wyobrażenie może dać następująca pisownia:

— Kirikikiu!

Na drugie zawołanie dźwięczny, wesoły i młody głos odpowiedział z głębi słońca:

— Jestem!

I prawie natychmiast odsunęła się deska zamykająca otwór, dając przejście dziecku, które zsunęło się *po* nodze słońca i zwinnie zeskoczyło na ziemię obok

owego człowieka. Był to Gavroche; a dorosłym mężczyzną był Montparnasse.

Ów okrzyk „Kirikiku” oznaczał bez wątpienia to samo, co chłopiec określił słowami: „Zapytaj o pana Gavroche.”

Usłyszawszy go, Gavroche obudził się od razu, wyśliznął z „alkowy”, rozchylając nieco siatkę drucianą, którą potem starannie zasunął za sobą, odsłonił otwór i zszedł na dół.

Mężczyzna i chłopiec bez słowa rozpoznali się w ciemnościach. Montparnasse powiedział tylko:

— Potrzebujemy ciebie. Chodź nam pomóc. Ulicznikowi nie trzeba, było innego wyjaśnienia.

— Dobra! — rzekł.

I obaj poszli w kierunku ulicy Św. Antoniego, z której Montparnasse wyszedł lawirując zręcznie między długim sznurem wózków z warzywami, które o tej porze jadą w kierunku Hal.

Ogrodnicy siedzący na wózkach wśród stosów warzyw i sałaty, na wpół drzemiąc, zawinięci po czubek nosa w płachty, bo lał rzęsisty deszcz, nie spojrzeli nawet na tych dziwnych przechodniów.

ROZDZIAŁ III

Perypetie ucieczki

A oto, co działo się tej samej nocy w więzieniu La Force:

Babet, Brujon, Gueulemer i Thenardier, choć ten ostatni siedział w osobnej celi, uknuli ucieczkę. Jak wiemy z tego, co Montparnasse opowiedział Gavroche'owi, Babet tegoż właśnie dnia czmychnął już na własną rękę.

Montparnasse miał pomagać więźniom z zewnątrz.

Brujon, spędziwszy miesiąc w karcerze, miał czas po pierwsze spleść sznur, a po wtóre obmyślić dokładnie plan działania. Niegdyś to ponure miejsce, w którym dyscyplina więzienna pozostawia skazanych samym sobie, składało się z czterech kamiennych ścian, kamiennego sufitu, podłogi z płyt kamiennych, pryczy, zakratowanego okienka, żelaznych drzwi i zwało się „ciemnicą”. Uznano jednak, że słowo „ciemnica” brzmi zbyt groźnie; dziś zwie się to karcerem, a składa się z żelaznych drzwi, zakratowanego okienka, pryczy, podłogi z kamiennych płyt, kamiennego sufitu i czterech kamiennych ścian. Około południa dochodzi tam trochę światła. Niedogodność tych pomieszczeń, które, jak widzimy, nie są już ciemnicą, polega na tym, że pozwalają na rozmyślania istotom, które należałoby zająć jakąś pracą.

Brujon więc miał czas na rozmyślania i dlatego wyszedł z karceru z uplecionym sznurem. A że na podwórzu Karola Wielkiego cieszył się opinią bardzoniabezpiecznego osobnika, przeniesiono go do Nowego Budynku. Tam z początku znalazł Gueulemera, a następnie gwóźdź; Gueulemera — czyli zbrodnię, i gwóźdź — czyli wolność.

Czas już dać dokładne wyobrażenie o Brujonie: mimo delikatnej budowy i głęboko wystudiowanej obojętności — był to układny, inteligentny i chwacki rzezimieszek o piśmiotliwym spojrzeniu i okrutnym uśmiechu. Spojrzenie było wyrazem woli, a uśmiech — wyrazem natury. Pierwsze studia w zakresie swej sztuki poświęcił Brujon dachom; doszedł do znakomitych rezultatów w fachu polegającym na zrywaniu ołowianych płyt z dachów; proceder ten, niszczący dachy i zrywający rynny, ulepszył metodę, która nosi nazwę „wypruwania flaków”.

Chwila do ucieczki była tym bardziej stosowna, że właśnie dekarze naprawiali i pokrywali na nowo część dachów więzienia. Podwórze Św. Bernarda nie było wskutek tego całkowicie odcięte od podwórza Karola Wielkiego i Św. Ludwika:

na dachach stały rusztowania i drabiny, czyli — innymi słowy — mosty i schody wiodące na swobodę.

Newralgicznym punktem więzienia był Nowy Budynek, najbardziej wałaca się i obdrapana rudera, jaką można sobie wyobrazić. Mury jej były do tego stopnia zżarte saletrą, że musiano w sypialniach poobijać deskami sklepienia. Mimo to w tej ruinie nierozważnie umieszczano najniebezpieczniejszych oskarżonych i „grube sprawy” — jak się to mówi w więziennym języku.

W Nowym Budynku mieściły się cztery sale sypialne, położone jedna nad drugą, i poddasze, zwane Letniskiem. Szeroki przewód kominowy — prawdopodobnie pozostałość po dawnej kuchni książąt La Force — zaczynał się na parterze, przechodził przez wszystkie cztery piętra, przedzielał na dwoje sypialnie, gdzie stał niby spłaszczona kolumna, i kończył się na dachu.

Gueulenier i Brujon znaleźli się w tej samej sypialni. Przez ostrożność umieszczono ich na najniższym piętrze. Przypadek zrzucił, że wezgłowia ich łóżek dotykały owego komina.

Thenardier znajdował się dokładnie nad nimi *na* poddaszu, zwanym Letniskiem.

Przechodzień, który minie koszary straży ogniowej i przystanie na ulicy Ogrodowej Św. Katarzyny przed bramą do łaźni, widzi podwórze pełne kwiatów i krzewów w skrzynkach; w głębi wznosi się niewielka biała rotunda z dwoma skrzydłami muru, ozdobiona wesołymi zielonymi okiennicami, sielankowe marzenie Jana Jakuba. Nie więcej jak dziesięć lat temu ponad tą rotundą wyrastał czarny mur, wysoki, ohydny i nagi, do którego ona przylegała. Był to mur dookołny więzienia La Force.

Ten czarny mur wznoszący się za białą rotundą wyglądał jak Milton widziany za Berquinem .

Mimo że mur był wysoki, górował nad nim dach jeszcze czarniejszy od niego. Był to dach Nowego Budynku. Widać w nim było cztery zakratowane mansardowe okienka — okna Letniska. Na dachu wznosił się komin — był to komin, który przechodził przez sypialnie.

Letnisko, poddasze Nowego Budynku, było rodzajem wielkiej hali z mansardowym sufitem, zamkniętej potrójną kratą i drzwiami okutymi blachą nabijaną olbrzymimi ćwiekami. Wchodząc do niej od strony północnej, po lewej ręce miało się cztery okienka, a po prawej, na wprost okienek, cztery dość duże czworokątne klatki, oddzielone od siebie wąskimi korytarzami; ściany owych klatek na wysokość oparcia zbudowaną były z cegły, a wyżej, aż po dach, z żelaznych krat.

Thenardier od nocy 3 lutego był osobno zamknięty w jednej z tych Matek. Nie dowiedziano się nigdy, w jak sposób i z czyją pomocą potrafił zdobyć i ukryć tam butelkę wina zawierającego narkotyk i wynalezionego podobno przez Desruesa, które to wino wślawiła banda „Usypiaczy”.

W wielu więzieniach zdarzają się pracownicy oszuści, na wpół dozorczy, na wpół złodzieje, którzy są nieuczciwymi sługami policji i biorą „koszykowe”.

Tej samej więc nocy, kiedy mały Gavroche przygarnął dwoje bezdomnych dzieci, Brujon i Gueulemer, wiedząc, że zbiegły rano Babet oczekuje ich na ulicy razem z Montparnasse'em, wstali po cichu i gwoździem, znalezionym przez Brujona, zabrali się do wiercenia otworu w przewodzie kominowym, do którego przytykały ich łóżka. Odłamki padały na pryczę Brujona, tak że nie było nic słychać. Grad z deszczem i huki piorunów wstrząsały drzwiami w zawiasach, napełniając więzienie hałasem potężnym i pożytecznym. Ci z więźniów, którzy się obudzili, udawali, że zasypiają znowu, nie przeszkadzając Gueulemerowi i Brujonowi. Brujon był zręczny, a Gueulemer silny. Najłżejszy szmer nie dotarł do strażnika śpiącego w zakratowanej celi, wychodzącej na sypialnię, a tymczasem dwaj groźni bandyci przebili mur, wspięli się kominem w górę, wyłamali żelazną kratę zamykającą wylot komina i znaleźli się na dachu. Ulewa i wiatr wzmagały się, dach był śliski.

— Trona kimka! W sam raz na zmywę! — rzeki Brujon.

Przepaść szerokości sześciu, a głębokości osiemdziesięciu stóp oddzielała jeszcze zbiegów od dookólnego muru. Na dnie tej przepaści widzieli połyskujący w ciemnościach karabin wartownika. Złoczyńcy przywiązali do pozostałych u wylotu komina sztab z wyłamanej przed chwilą kraty sznur, który Brujon ukręcił w karczerze, drugi jego koniec przerzucili przez mur, przesadzili jednym skokiem przepaść, uczepili się rękoma szczytu muru, przeskoczyli przezeń i jeden po drugim zsunęli się na mały dach przylegający do łaźni; ściągnęli sznur, zeskoczyli na podwórze łaźni, przebiegli je, popchnęli okienko portiera, przy którym wisiał sznur od bramy, pociągnęli za sznur, otworzyli bramę i znaleźli się na ulicy.

Niecałe trzy kwadransy upłynęły od chwili, kiedy w ciemnościach wstali ze swoich prycz z gwoździem w ręku i projektem w głowie.

Po kilku chwilach spotkali Babeta i Montparnasse'a którzy krążyli w pobliżu.

Ściągając sznur, zerwali go i kawałek pozostał na dachu, przywiązany do komina. Poza tym, że zdarli sobie całą skórę z rąk, nie ponieśli żadnego szwanku.

Tej samej nocy Thenardier został uprzedzony, nie wiadomo w jaki sposób, i czuwał. Około godziny pierwszej, mimo ciemnej nocy, ujrzał przed okienkiem, naprzeciw swej klatki, dwa cienie przesuwające się po dachu wśród deszczu i zawiei. Jeden z nich zatrzymał się na mgnienie oka przed okienkiem. Był to Brujon. Thenardier poznał go i zrozumiał. To mu wystarczyło.

Jako z niebezpiecznego bandyty, oskarżonego o nocną zasadzkę, dokonaną zbrojną ręką, nie spuszczano zeń oka. Przed jego klatką przechadzał się strażnik z nabitym karabinem, zmieniany co dwie godziny. Letnisko było oświetlone lampą przymocowaną do ściany. Więzień miał na nogach kajdany wagi pięćdziesięciu funtów. Co dzień o czwartej po południu dozorca strzeżony przez dwa brytany — tak to wyglądało jeszcze w owych czasach — wchodził do jego klatki, kładł koło pryczy dwufuntowy bochenek razowca, dzban wody, miskę dość chudego rosółu, w którym pływało parą ziaren bobu, sprawdzał kajdany i żelazne kraty. Człowiek z psami przychodził dwa razy w ciągu nocy.

Thenardierowi pozwolono zachować rodzaj żelaznego kołka, który służył mu do zawieszania chleba w szparze ściany, aby — jak mówił — uchronić go od szczurów. Ponieważ Thenardiera w jego klatce miano zawsze na oku, nie uważano, aby ten kołek mógł być niebezpieczny. Dopiero później przypomniano sobie, że jeden ze strażników powiedział:

— Lepiej byłoby dać mu tylko drewniany kołek.

O drugiej nad ranem wartownik, stary żołnierz, miał zmianę; zastąpił go rekrut. W chwilę później dozorca z psami odbył swoją wizytę i odszedł, nie zauważwszy nic, chyba jedynie to, że rekrut był bardzo młody i wyglądał na wiejskiego chłopaka. W dwie godziny później, o czwartej, przy następnej zmianie warty znaleziono rekruta uśpionego, leżącego jak kłoda przy klatce Thenardiera. Thenardiera już w niej nie było. Na podłodze leżały rozbite kajdany. W suficie celi widniała dziura, a nad nią w dachu druga. Jedna z desek pryczy była wyrwana i zapewne zabrana, gdyż zginęła bez śladu. Znaleziono także w celi do połowy opróżnioną butelkę z resztką odurzającego wina, którym żołnierz został uśpiony. Bagnet żołnierza znikł.

Kiedy to wszystko odkryto, wydawało się, że Thenardier jest już poza zasięgiem wszelkich poszukiwań. W rzeczywistości zaś, choć opuścił już Nowy Budynek, znajdował się jednali w wielkim niebezpieczeństwie. Nie udało mu się jeszcze uciec.

Wydostawszy się na dach Nowego Budynku, znalazł resztę sznura, wiszącą przy prętach kraty u szczytu komina, lecz ten urwany kawałek był za krótki i Thenardier nie mógł uciec przez mur dookolmy, jak Gueulemer i Brujon.

Skrecając z ulicy Ballets w ulicę Króla Sycylii widzi się prawie, tuż za rogiem, po prawej stronie, brudne i cuchnące wgłębienie. W ubiegłym stuleciu stał tam dom, z którego została jedynie tylna ściana, istna ruina, wznosząca się między sąsiednimi budynkami na wysokość trzeciego piętra. Tę walącą się ścianę można łatwo rozpoznać po dwóch wielkich kwadratowych oknach, dziś jeszcze istniejących; do środkowego okna, bliższego prawego szczytu, przybita jest spróchniała belka, niby podpierająca krokiew. Poprzez te okna widać było niegdyś wysoką ponure ścianę — fragment dookolnego muru więzienia La Force.

Pusta przestrzeń na ulicy, która powstała po zburzonym domu, jest do połowy zamknięta ogrodzeniem ze zbutwiałych desek, przytwierdzonych do pięciu kamiennych słupów. Za ogrodzeniem stoi mała chatka oparta o stojącą jeszcze ścianę zburzonego domu. W płocie jest furtka, którą kilka lat temu zamykano tylko na skobel.

Na szczycie tej właśnie ruiny znalazł się Thenardier wkrótce po godzinie trzeciej rano.

Jak się tam dostał? Nigdy nie zdołano tego pojąć ani wytłumaczyć. Błyskawice i przeszkadzały mu zapewne, i zarazem pomagały. Czy skorzystał z drabin i rusztowań dekarzy, alby przechodząc z dachu na dach, z gzymsu na gzyms, z domu na dom dotrzeć do pawilonów Karola Wielkiego, a potem Św. Ludwika i do dookolnego muru, a stąd do owej ruiny przy ulicy Króla Sycylii? Droga ta nie była ciągła i zdawało się, że znajdujące się w niej przerwy czyniły ją niemożliwą do przebycia; może deskę ze swej pryczy przerzucił jako pomost między, dachem Letniska a murem, a potem czołgał się po murze naokoło całego więzienia, aż do owej ruiny? Ale mur tworzył linię łamaną i nierówną, podnosił się i opadał, był niski koło straży pożarnej, wysoki koło łaźni, porozdzielany budynkami; inną miał wysokość koło pałacu Lamoignon, a inną od ulicy Pavee i spadał zawsze pod kątem prostym: a przy tym straże dojrzałyby ciemną postać zbiega; właściwie więc pozostało rzeczą prawie niewytłumaczoną, jaką drogę przebył Thenardier. Na oba te sposoby ucieczka była niemożliwa. Czy wiedziony tym przemożnym pragnieniem wolności, które przepaście zamienia w rowy, żelazne kraty w plecionkę z wikliny, beznogiego kalekę w atletę, podagryka w ptaka głupotę w instynkt, instynkt w rozum, a rozum w geniusz — Thenardier wynalazł i wymyślił trzeci sposób *Nie* dowiedziano się tego nigdy.

Me zawsze można zdać sobie sprawę z cudów ucieczki. Powtórzmy raz jeszcze, że zbieg działa w natchnieniu; tajemnicze światelko ucieczki ma w sobie blask gwiazdy i błyskawicy; wysiłek zmierzający do wyzwolenia jest równie zdumiewający jak wzlot ku wzniosłości; i mówi się o zbiegłym z więzienia, złodzieju: „W jakiż sposób wdrapał się na ten dach?“, tai samo, jak mówi się o Coraeeille'u: „Jak znalazł swoje: «Żeby umarł«»”

Jakkolwiek się rzeczy miały, gdy Thenardier, zlany potem, przemoczony deszczem, w podartym na strzępy ubraniu, z pościeranymi rękami, pokrwawionymi łokciami i pozdzieranymi kolanami dotarł do tego „ostrza muru” — jak nazywają szczyt muru dzieci w swoim obrazowym języku — i wyciągnął się tam, zabrakło mu sił. Urwisko wysokości trzech piętér dzieliło go od bruku ulicy.

Sznur, Który miał ze sobą, był za krótki.

Czekał blady, wyczerpany, straciwszy wszelką nadzieję, osłonięty jeszcze mrokiem nocy, lecz zdając sobie sprawę, że dzień nadchodzi, przerażony myślą, że za chwilę na pobliskim kościele Św. Pawła wybije czwarta, że przyjdzie zmiana warty i zobaczą strażnika uśpionego pod przedziurawionym dachem: patrzył osłupiały w tę straszliwą głębię w świetle latarni — mokry, czarny bruk, ten upragniony, groźny bruk, który oznaczał śmierć i wolność zarazem.

Zastanawiał się, czy pozostałym trzem współnikom udało się uciec, czy czekali na niego, czy przyjdą mu -z pomocą. Nadśłuchiwał. Ale odkąd leżał na murze, nikt nie przeszedł, ulicą z wyjątkiem jednego patrolu. Ogrodnicy z Montreuil, Charonne, Vincennes i Bercy jeżdżą do Hal niemal wyłącznie ulicą Sw. Antoniego. Wybiła czwarta. Thenardier zadrżał. W chwilę później w więzieniu wybuchł zgiełk towarzyszący przerażeniu i zamieszaniu, które następują po odkryciu ucieczki więźnia. Odgłos otwieranych i zamykanych drzwi, skrzyp krat w zawiasach, poruszenia straży, chrapliwe nawoływania dozorców, uderzenia kolbami o bruk na podwórzach — dochodziły do zbiega. W zakratowanych oknach izb sypialnych ukazywały się i znikwały światła, ktoś biegł z pochodnią na szczyt Nowego Budynku, wezwano strażaków z sąsiednich koszar. Ich hełmy błyszcząc wśród deszczu w blasku pochodni przesuwwały się po dachach. Jednocześnie Thenardier widział,, jak od strony Bastylli złowieszczą bladeść zaczyna ogarniać niebo. A on leżał smagany ulewą na szczycie muru mającym dziesięć cali szerokości i z obu stron tego muru była przepaść. Zbieg nie mógł się ruszyć, nieprzytomny na myśl o możliwym upadku i przejęty zgrozą na myśl o niechybnym uwięzieniu; wyobraźnia jego, jak serce dzwonu, biegała od jednego rozwiązania do drugiego: „Jeśli spadnę — śmierć; jeśli zostanę — więzienie.”

Leżąc tak miotany rozpaczą, zobaczył nagle, choć ulica była jeszcze zupełnie ciemna, przemykającego się wzdłuż murów człowieka; człowiek ten wysunął się z ulicy Pavee i zatrzymał się we wgłębieniu, nad którym Thenardier był jak gdyby zawieszony. Po chwil przyłączył się do niego drugi, który szedł z taką samą ostrożnością, następnie trzeci i czwarty. Kiedy się zeszli, jeden z nich otworzył furtkę w parkanie i wszyscy czterej wśliznęli się na placyk, gdzie stała drewniana szopa. Zatrzymali się wprost pod Thenardierem. Widocznie wybrali to miejsce, aby porozmawiać niewidziani przez przechodniów i wartownika

pilnującego bramy więzienia o kilka kroków dalej. Trzeba zresztą dodać, że deszcz uwięził strażnika w jego budce. Thenardier, nie mogąc poznać twarzy, nadstawił ucha i usiłował pochwytać ich słowa z rozpaczliwą uwagą człowieka, który czuje, że jest zgubiony.

Przed oczami Thenardiera przesunęło się coś na kształt nadziei — ludzie ci mówili gwarą złodziejską.

Pierwszy odezwał się cicho, ale wyraźnie:

— No to chodu! Co mamy tu strzelać jary. Drugi odpowiedział:

— Jorgacz! Leje tak, że lwasiowi lulkę może zgasić. Skowronki mogą nas zlipować. Jakiś bukot stoi tu niedaleko. Tylko patrzeć, jak nas wychlają.

Słowa „strzelać jary” i „lwaś”, z których pierwsze należy do żargonu przedmieścia, a drugie do żargonu miasta, były dla Thenardiera objawieniem. Po wyrażeniu „strzelać jary” poznał Brujona, podmiejskiego rzezimieszka, a po słowie „lwaś” — Babet, który obok innych licznych zajęć trudnił się też paserstwem w dzielnicy Tempie.

Stara gwara złodziejska z czasów „złotego wieku” używana jest jedynie w okolicy Tempie, a Babet był nawet jedynym człowiekiem, który mówił nią bezbłędnie. Bez słowa „lwaś” Thenardier nie byłby go poznał, ponieważ Babet zupełnie zmienił głos.

Ale trzeci zaproponował:

— Nie ma gwałtu; poczekajmy jeszcze chwilę. Nie wiadomo, czy on nie potrzebuje naszej pomocy.

Po tych słowach, wypowiedzianych zwykłym językiem, Thenardier poznał Montparnasse'a, który za za szczyt elegancji uważał, by rozumieć wszystkie rodzaje gwary, lecz żadnej z nich nie używać.

Czwarty milczał, ale zdradziły go barczyste plecy. Thenardier nie miał wątpliwości. To był Gueuiemer. Brujon odpowiedział prawie gwałtownie, ale ciągle po cichu:

— Gamrasz na słozy? Binabasz? Kapelan nie zrobi? zmywy. Taki myłka nie zna roboty. Potargać pajęczynę, upleść ćwiryk, rozkobzać kwirasy, podrobić ksywy i klawisze, przemajchrować manele, przerzucić ćwiryk przez kukier, dekować się potrafi tylko cwany wisztok Stary tu na nic, nie kuma fechty.

Babet dodał jeszcze, zawsze tym samym poprawnym „klasycznym” żargonem,

którego używali Poulaiiller i Cartouche, a który różnił się od nowego, bezczelnego, barwnego i śmiałego żargonu, jakim mówił Brujon. Jak styl Racine'a od stylu Andrzeja Chenier:

— Twój kapelan już capnięty. Tu trza metra, a on jest nowak. Jakiś kapuś wziął go na megaj albo i baran, co udawał błotnego manusa. Słyszysz, Montparnasse, ten szufir w szpitalu? Lipujesz te jarzączki? Capnęli go, jak tu stoję. Wymierzają mu ze dwadzieścia łokci. Wiecie, że pietra nie mam, ani nie hnajam na oskinę, ale wam siewram, że gips z tego, a jak nie zwichniemy, to nas wsadzą do kwaczu. Nie gówniaj się, suń z nami, wytroimy torbą cienkiego ołówka...

— Nie opuszcza się towarzyszy w potrzebie — mruknął Montparnasse.

— Ady szewram ci, że wsiąkł — odpowiedział Brujon. — Już blacha z jego hopki. Nic nie poradzim. Róbmy zmywę, bo cięgiem mi się widzi, że szulawy nemną nas za parkan.

Montparnasse słabo się już opierał; bo rzeczywiście z solidarnością właściwą bandytom, którzy nigdy nie opuszczają kamratów w potrzebie, ci czterej ludzie nie bacząc na niebezpieczeństwo krążyli przez całą noc wokół więzienia w nadziei, że na jakimś murze pojawi się postać Thenardiera. Ale noc zaczynała się już robić doprawdy zbyt piękna, ulewa była taka, że wszystkie ulice opustoszały, oni zaś przemarzli, mieli przemoczone ubrania i dziurawe buty, niepokojący zgiełk, który wybuchł w więzieniu, daremne godziny czekania, napotykanie patrole, uchodząca nadzieja, powracający strach, wszystko to skłaniało do odejścia. Nawet Montparnasse, który był może do pewnego stopnia zięciem Thenardiera, ustąpił. Jeszcze chwila, a odejdą.

Thenardier dyszał ciężko na szczycie muru, jak rozbitkowie z „Meduzy” na swojej tratwie, widząc, że okręt, który się ukazał ich oczom, znika na widnokręgu.

Nie śmiał ich zawołać — jeden okrzyk, gdyby go ktoś posłyszał, mógł popsuć wszystko; przyszedł mu do głowy pewien pomysł, ostatni błysk nadziei; wyjął z kieszeni kawałek sznura Brujona, który odczepił od komina, i rzucił go na ogrodzony placyk.

Sznur upadł im pod nogi.

— Cwiryk — rzekł Babet.

— Mój mortusek — rzekł Brujon.

— Karczmarz jest tutaj — rzekł Montparnasse. Spojrzeli w górę, Thenardier

wysunął nieco głowę.

— Prędezej! — rzekł Montparnasse. — Brujon, masz drugi kawał sznura?

— Mam.

— Zwiąż je razem, rzucimy mu, przywiąże go do ściany, to wystarczy, żeby zejść.

Thenardier odważył się odezwać półgłosem:

— Zesztywniałem z zimna.

— Rozgrzejesz się.

— Nie mogę się już ruszać.

— Zsuń się, my cię tu złapiemy. — Ręce mi zgrabiały.

— Przywiąż tylko linę do muru.

— Nie dam rady.

— Któryś z nas musi tam wleźć — rzekł Montparnasse.

— Trzy piętra! — mruknął Brujon.

Stary, zniszczony przewód kominowy, prowadzący do pieca, który ogrzewał niegdyś szopę, piął się wzdłuż muru aż do, samego szczytu, kończąc się prawie w tym miejscu, gdzie widać było Thenardiera. Przewód ten, już wówczas zniszczony i popękany, później rozpadł się zupełnie, lecz jeszcze do tej pory widać ślad po nim. Był bardzo wąski.

— Można by wleźć tędy — rzekł Montparnasse.

— Tą rurą? — zawołał Babet. — Smyrny gość się nie przecisnie, trzeba by jakiegoś mikrusa.

— Ano, trzeba by knota! — potwierdził Brujon.

— Ale skąd wziąć taką żabę? — zapytał Gueulemer.

— Zaczekajcie — rzekł Montparnasse.— Już mam. Uchylił po cichu furtki od parkanu, upewnił się, że nikogo nie ma na ulicy, wysunął się ostrożnie, zamknął za sobą furtkę i pobiegł w stronę Bastylji.

Upłynęło siedem, a może osiem minut — osiem tysięcy wieków dla Thenardiera; Babet, Brujon i Gueulemer przez cały czas milczeli, wreszcie furtka otworzyła się, stanął w niej zadyszany Montparnasse, który prowadził Gavroche'a. Dzięki ulewie ulica była nadał zupełnie pusta.

Mały Gavroche wszedł na placyk i ze spokojem obejrzał bandytów. Woda ściekała mu z włosów. Gueulemer zwrócił się do niego:

— Te, pętaś, jesteś morowiec?

Gavroche wzruszył ramionami i odpowiedział:

— Taki pętaś, jak ja, to klawy gość, a takie klawe goście, jak wy, to pętaśki.

— Mikrus, ale truję ma fest — rzekł Babet.

— Szczeniak paryski makitrę ma — dodał Brujon.

— Co mam zrobić? — zapytał Gavroche.

— Wleźć na szczyt muru tą rurą — odpowiedział Montparnasse.

— Z tą windą — rzekł Babet.

— Z tym mortuskiem — powiedział Brujon.

— Z tym ćwirykiem — dorzucił Babet.

— I przyrychtować go na fest — uzupełnił Brujon.

— I co więcej? — zapytał Gavroche.

— To wszystko — rzekł Gueulemer.

Chłopiec obejrzał linę, przewód kominowy, mur i okna i wydał wargami ten niepowtarzalny i pogardliwy dźwięk, który oznacza:

— Tylko tyle?

— Tam na górze siedzi człowiek, którego uratujesz — rzekł Montparnasse.

— Zrobisz to? — zapytał Brujon.

— Głupiś! — odparł chłopak, jak gdyby to pytanie wydało mu się niedorzeczne, i zdjął trzewiki.

Gueulemer wziął jedną ręką Gavroche'a, postawił go na dachu szopy, którego spróchniałe deski ugięły się pod ciężarem dziecka, i dał mu sznur związany przez Brujona w czasie nieobecności Montipamasse'a. Chłopiec podszedł do rury, do której łatwo można się było dostać przez dużą szczelinę tuż nad dachem. Kiedy już zabierał się do wdrapywania, w górę, Thenardier, widząc, że zbliżą się ratunek i bliskie ocalenie, wychylił się za krawędź muru; pierwszy blask dnia oświetlił nieco jego czoło złane rześnistym potem, sine policzki, długi ostry nos, siwą najeżoną brodę — i Ga-vroche go poznał.

— Masz tobie! — rzekł. — To mój ojciec... ale to nic nie szkodzi.

I wzięwszy linę w zęby, śmiało zaczął się wspinać.

Dostał się na szczyt muru, siadł na nim okrakiem i mocno przywiązał linę do górnej ramy okna.

Po chwili Thenardier był na ulicy.

Jak tylko dotknął bruku i poczuł, że niebezpieczeństwo jest już poza nim, zapomniał o zmęczeniu, zimnie i strachu; wszystkie okropności, które przeszedł, rozwiały się jak dym, cała jego dziwna i okrutna inteligencja obudziła się w przywróconej wolności, gotowa do działania. Oto, jakie były pierwsze słowa tego człowieka:

— Jest jaka granda na widoku?

Nie potrzeba tłumaczyć przeraźliwie, jasnego sensu tych słów, w których mieści się na raz zabójstwo i grabież.

— Wleźmy w jaki kąt — rzekł Brujon. — Załatwimy sprawę w dwóch słowach i zaraz się rozejdziemy. Przy ulicy Plumet było coś do zrobienia; ulica pusta, dom odosobniony, w ogrodzie stare kraty, same kobiety.

— No więc, czemu nie? — spytał Thenardier.

— Twoja binia, Eponina, miała wywęszyć, jak się ten interes przedstawia — odpowiedział Babet.

— I przyniosła Magnon sucharek. — dodał Gueulemer. — Kapota.

— To morowa brzana, nie frajerka — rzekł Thenardier — ale nie zawadzi samemu zobaczyć.

— Tak, tak — rzekł Brujon. — Trzeba będzie zobaczyć.

Żadein z nich nie zwracał już uwagi na Gavroche'a, który podczas tej rozmowy przysiadł na kamiennym słupku parkanu; poczekał parę chwil — może na to, aby ojciec spojrział na niego — wziął trzewiki i zapytał:

— No co? Wszystko załatwione? Nie jestem wam potrzebny? Zrobiłem, com miał zrobić, a teraz idę. Muszę obudzić moje bębny.

I odszedł.

Pięciu mężczyzn wyszło kolejno zza parkanu.

Kiedy Gavroche zniknął za rogiem ulicy Ballets, Babet wziął Thenardiera na bok:

— Zauważyłeś tego szczeniaka?

— Jakiego szczeniaka?

— Ano tego, co wlaźł do ciebie po murze ze sznurem.

— Nie bardzo.

— Nie wiem na pewno, ale coś mi się zdaje, że to twój syn.

— Tak? — rzekł Thenardier. — Rzeczywiście?

I odszedł.

KSIĘGA SIÓDMA

JĘZYK ZŁODZIEJSKI

ROZDZIAŁ I

Pochodzenie Pigritia — to straszne słowo

Płodzi świat, zwany *la pegre* — czyli kradzież, i piekło, zwane *la pegrenne* - czyli głód.

Tak więc lenistwo jest matką.

Ma córkę — kradzież, i syna — głód.

O czymże mówimy? O żargonie złodziejskim.

Co to jest żargon? Naród i gwara zarazem; kradzież pod dwojaką postacią: ludu i języka.

Kiedy przed trzydziestu czterema laty autor tej poważnej i smutnej opowieści wprowadził do swego dzieła — pisanego w tym samym, co niniejsze, celu — przestępcę mówiącego żargonem złodziejskim, wywołało to zdumienie i głośne protesty: „Jak można! Żargon złodziejski? Przecież to ohyda! To język galer, kazamat, więzień, język tego, co najwstrętniejsze w społeczeństwie”, itd., itd.

Nie mogliśmy nigdy zrozumieć takich zarzutów.

Te same sprzeciwy podniosły się później, gdy dwaj znakomici pisarze; Balzak i Eugeniusz Sue, jeden — głęboki badacz serc ludzkich, drugi — nieustraszony przyjaciel ludu, zaczęli przedstawiać przestępców mówiących właściwym sobie językiem, jak to zrobił w 1828 roku autor *Ostatniego dnia skazańca*.

Powtarzano znowu: „Czego chcą od nas pisarze z tym oburzającym żargonem? Język złodziejski jest obmierzły! Przejmuje zgrozą!”

Zapewne. Temu nikt nie przeczy.

Ale odkądże jest błędem posuwanie się naprzód, DOS. tarcie do samego dna, gdy chodzi o zbadanie rany, przepaści czy społeczeństwa? Byliśmy zawsze zdania, że jest to raczej akt odwagi, a co najmniej czyn prosty i użyteczny,

godny sympatii i uwagi, na którą zasługuje każde zadanie podjęte i spełnione. Dlaczego wszystkiego nie zbadać, nie przestudiować? Dlaczego zatrzymywać się w połowie drogi? Zatrzymać może się sonda, ale nigdy ten, który sonduje.

Rzecz jasna, nie jest to zadanie pociągające ani łatwe — zapuszczać się w najniższe pokłady ładu społecznego, tam gdzie kończy się ziemia, a zaczyna błoto, grzebać w tych gęstych kałużach, ścigać, schwycić i rzucić na bruk tę drgającą życiem, szkaradną gwarę, która ocieka błotem w świetle dnia, ten zropiały słownik, którego każde słowo wydaje się ohydny pierścieniem jakiegoś potwora żyjącego w mule i ciemnościach. Nic przykrzejszego nad takie rozpatrywanie bez osłonek, w świetle myśli przerażającego kłębowiska żargonu złodziejskiego. Istotnie, można by sądzić, że dobyliśmy z kloaki jakąś szkaradną bestię, której żywiołem, jest noc; że mamy przed oczyma straszne, żywe i najeżone zarośla, które drżą, ruszają się, chcą wrócić w ciemność, grożą i patrzą. Ten wyraz podobny jest do szponów, tamten do zgasłych przekrwionych ślepi, to zdanie zdaje się poruszać jak szczypce kraba. Wszystko to żyje ohydny życiem rzeczy, które zorganizowały się w dezorganizacji.

Ale odkądże to wstręt wyklucza badanie? Odkąd choroba odstrasza lekarza? Czy można sobie wyobrazić przyrodnika, który nie chce przeprowadzać studiów nad żmiją, nietoperzem, skorpionem, stonogą czy tarantulą i odrzuca je z powrotem w ciemność, mówiąc: „Fe! Jakież to szkaradne!” Myśliciel unikający języka złodziejskiego byłby podobny do chirurga unikającego widoku wrzodu czy narośli, do filologa wahającego się zbadać jakieś zjawisko językowe, do filozofa wahającego się zgłębić jakieś zjawisko życia ludzkości. Trzeba bowiem wyraźnie powiedzieć tym, którzy tego nie wiedzą: żargon złodziejski jest zjawiskiem literackim i wynikiem stosunków społecznych. Bo czymże on jest w istocie? Językiem nędzy.

Tu mógłby nas ktoś zatrzymać; mógłby uogólnić fakt, co często równą się osłabieniu jego znaczenia; mógłby nam powiedzieć, że wszystkie rzemiosła, wszystkie zawody, a nawet i wszystkie szczeble hierarchii społecznej i wszystkie formy inteligencji mają swój język, swój żargon. Kupiec mówiący: „Montpellier w dowolnej ilości, Marsylia w najlepszym gatunku”, giełdciarz mówiący: „Zwyżka z końcem bieżącego, premia”, gracz mówiący: „Impasuję, wyprułem się z pika”, wodewilista mówiący: „Kłapa generalna”, aktor mówiący: „Sypnąłem się”, filozof mówiący: „Troistość fenomenu”, myśliwy mówiący: „Zajęcza farba”, „Psy idą za wiatrem”, piechur mówiący: „Moja rura”, fehmistrz mówiący: „Tercja, kwarta, parada!”, drukarz mówiący: „Łamać kolumnę” — wszyscy oni: drukarz, fehmistrz, piechur, myśliwy, filozof, aktor, wodewilista, gracz i giełdciarz, mówią żargonem. Malarz mówiący: „Moje płótno”, notariusz mówiący o gońcu: „Mój kurier”, balwierz mówiący: „Mój subiekt”, czy szewc mówiący: „Moje kopyto” — mówią żargonem. Ostatecznie jeśli ktoś już chce koniecznie, to i różne sposoby oznaczania prawej czy lewej

strony u marynarza: „Bakbort” i „Sztymbort”, u woźnicy — „Hetta” i „Wista”, u ministrantów: „Strona Epistoły”, „Strona

Ewangelii” — to też żargon. Istnieje również żargon mizdrzących się lalek, podobnie jak istniał żargon wykwintniś. Pałac Rambouillet przypominał nieco Dziedziniec Cudów. Szyfry dyplomatyczne to żargon; kancelaria papieska określająca Rzym cyfrą 26, przesyłkę — grkznttgzyal, a księcia Modeny — abfxustg-rnogrkszutu XI — używa żargonu; Średniowieczni medycy mówiąc: opoponach, perfroschinum, dracatholicum angelorum, postmegorum, zamiast marchew, rzodkiew i rzepa — mówili żargonem. Fabrykant cukru mówiąc: „klarsa, głowa, kostka, melas, kryształ, żółta mączka, cukrzyca”, ten zacny fabrykant mówi żargonem. Pewna szkoła krytyków sprzed dwudziestu lat, która orzekła, że połowa Szekspira to „igraszka słów i kalambury” — mówiła żargonem. Poeta i artysta, którzy z wielką wnikliwością osądzają, iż pan de Montmorency jest *bourgeois*, jeśli nie zna się na poezji i rzeźbie — mówią żargonem. Akademiści klasycy, nazywający kwiaty — Florą, owoce — Pomoną, morze — Neptunem, miłość — ogniem trawiącym serce, piękność — powabem, konia — rumakiem, kokardę białą lub, trójkolorową — różą Bellony, trójgraniasty kapelusz — trój rogiem Marsa — ten akademik klasyczny mówi żargonem. Algebra, medycyna, botanika mają swój żargon. Język używany na pokładzie, cudowny język ludzi morza, tak bogaty i malowniczy, którym mówili Jan Bart, Duquesne, Suffren i Duperre, ten język, w którym słyhać trzepot żagli, głos tuby, szczęk bosaków przy zderzeniu się okrętów, kołysanie się statku, wiatr i huk armaty — jest żargonem heroicznym i świetnym i wobec żargonu złodziejskiego jest tym, czym lew wobec szakala.

Niewątpliwie. Cokolwiek jednak można by na ten temat powiedzieć, nadając taki sens pojęciu żargonu, wyolbrzymia się je, a na to nie każdy się zgodzi. Codo nas, zachowujemy dla tego słowa jego dawne znaczenie, ściśle określone i ograniczone, i żargon zwięźamy do żargonu. Żargon prawdziwy, żargon doskonały, jeśli. te dwa określenia dadzą się ze sobą pogodzić, prastary żargon, który był całym królestwem, nie jest niczym innym — powtórzmy raz jeszcze — jak językiem brzydkim, niespokojnym, chytrym, zdradzieckim, jadowitym, okrutnym, podejrzanym, nikczemnym, niezbadanym, nieodłącznym od nędzy. Tam, gdzie jest kres wszelkiego upodlenia i wszelkiej niedoli, znajdzie się zawsze ostatnia nędza, która się buntuje i wypowiada walkę ogółowi szczęśliwych faktów i panujących praw; walkę straszliwą, niebezpieczną i okrutną zarazem, w której raz podstępem, raz gwałtem atakuje ład społeczny ukłuciami szpilki — występkiem, lub uderzeniem maczugi — zbrodnią. Dla celów tej walki nędza wymyśliła język wojenny, którym jest żargon.

Ocalić od zapomnienia, utrzymać na powierzchni bodaj fragment jakiegokolwiek mowy, którą człowiek się posługiwał, a która, zamknęłaby, to jest ocalić jeden z elementów, dobrych czy złych, które formują lub deformują cywilizację, to

pomnożyć dane z zakresu spostrzeżeń społecznych i służyć samej cywilizacji. Tę przysługę oddał Plaut — świadomie czy nieświadomie przedstawiając dwóch żołnierzy, którzy mówią narzeczem fenickim ; tę przysługę oddał Molier kładąc w usta wielu swoich postaci żargon lewantyński i niezliczone gwary. Tu nowy wybuch sprzeciwów: „Narzecze fenickie, doskonale! Lewantyńskie, proszę bardzo! Dialekt, zgoda! To języki, którymi posługiwały się narody lub prowincje, ale żargon? Po co utrzymywać, żargon? Po co żargon «ocalać od zapomnienia?»”

Odpowiemy na to krótko. Jeśli język, którym mówił naród lub jakaś dzielnica, zasługuje na uwagę, stokroć więcej zasługuje na uwagę i badanie język, którym mówi nędza.

Jest to bowiem język, którym we Francji, na przykład, od przeszło czterech wieków posługiwała się wszelka nędza ludzka. A także — obstajemy przy tym — badanie wypaczeń i ułomności społecznych i sygnalizowanie ich po to, by je wyleczyć, jest pracą, która nie dopuszcza swobody wyboru. Historyk obyczajów i idei ma równie doniosłe posłannictwo do spełnienia jak historyk faktów. Tego zajmuje powierzchnia cywilizacji: walka tronów, narodziny władców, małżeństwa królów, bitwy, zgromadzenia, wybitne postacie polityczne, jawne rewolucje — wszelkie fakty widome; tamtego zajmuje podskórne dno, lud, który pracuje, cierpi i czeka, kobieta przygnieciona brzemieniem nad siły, konające dziecko, głucha walka człowieka z człowiekiem, utajone okrucieństwa, przesady, przyjęte powszechnie niesprawiedliwości, utajone następstwa obowiązujących praw, tajemne ewolucje dusz, nieuchwytny drżenia przebiegające masy ludzkie; ludzie głodni, obdarci, wydziedziczeni, ludzie nieszczęśliwi, upodleni, sieroty, wszystkie te straszne postacie, które błądzą w ciemnościach. Z sercem pełnym miłości i surowości zarazem — jako brat i jako sędzią — powinien zstąpić aż do tych niezbadanych kazamat, gdzie pełzają razem ci, co krwawią, i ci, co ranią; ci, co płaczą, i ci, co złorzeczą; ci, co głodują, i ci, co pożerają; ci, co cierpią zło, i ci, co zło czynią. Czyżby więc owi historycy serc i dusz mieli mniej ważne zadania do spełnienia niż historycy zewnętrznych faktów? Czyżby Alighieri miał mniej do powiedzenia niż Makiawel? Dno cywilizacji — dlatego, że głębsze i ciemniejsze — jestże mniej ważne niż jej powierzchnia? Czyż można dobrze znać górę, jeśli się nie zna wnętrza jej pieczar?

Powiedzmy zresztą mimochodem, że z paru powyższych słów można by — wbrew naszym intencjom — wysnuć wniosek, jakoby między tymi dwoma rodzajami historyków istniał jakiś wyraźny przedział. Nie jest dobrym historykiem jawnego, widzialnego, głośnego, publicznego życia ludu ten, kto zarazem, w pewnej bodaj mierze, nie jest historykiem jego istotnego, ukrytego życia; i nie jest dobrym historykiem wewnętrznego nurtu ten, kto nie umie w potrzebie być również historykiem zewnętrznych wydarzeń. Historia idei i obyczajów przeplata się z historią wydarzeń i odwrotnie. To dwa szeregi

różnych faktów, które sobie nawzajem odpowiadają, zawsze się ze sobą łączą, a nieraz wzajemnie zapładniają. Wszelkie powiązania, które Opatrzność kreśli na powierzchni narodu, mają swój ciemny, lecz wyraźny odpowiednik w jego głębinach, a wszelkie konwulsyjne ruchy głębin wywołują zmiany na powierzchni. Sikoro więc prawdziwa historia występuje we wszystkich objawach życia, prawdziwy historyk powinien interesować się wszystkim.

Człowiek to nie koło o jednym centrum, ale raczej elipsa o dwóch ogniskach. Jednym są fakty, drugim — idee.

Żargon jest niejako szatnią, w której język przebiera się, gdy chce popełnić coś złego. Stroi się tam w słowamaski i metafory-łachmany.

I tak staje się straszny.

Z trudem można go rozpoznać. Więc to naprawdę język francuski, ten wspaniały język ludzkości? Oto gotów jest wejść na scenę, gadać ze zbrodnią i wystąpić w każdej roli z repertuaru zła. Nie idzie, lecz kuleje; utykając wspiera się na kulach z Dziedzińca Cudów, kulach, które w każdej chwili przemienić się mogą w maczugę. Zwie się włóczęgostwem i żebractwem. Wszelkie ciemne zjawy — jego garderobiane — ucharakteryzowały go.

Ruchem właściwym pła-zom to pełźnie, to pręży się w górę. Zdolny jest odtąd do przyjęcia każdej roli; fałszerz obdarzył go zezem, truciciel pomalował śniedzią, podpalacz uczernił sadzą, a morderca naznaczył czerwienią.

Do uszu tego, kto od strony zamieszkałej przez ludzi uczciwych podsłuchuje pod drzwiami społeczności, dochodzi rozmowa tych, co są poza nawiasem. Odróżnia pytania i odpowiedzi. Słyszy niezrozumiały, szkaradny pomruk, podobny do ludzkiego głosu, lecz bliższy wyciu niż mowie. To żargon. Słowa są zniekształcone i przepojone jakimś fantastycznym bestialstwem. Zda się, słyhać gadające hydry. To niezrozumiałość w tajemniczości. Zgrzyta i szepcze pomnażając mrok zagadkowością. Ciemność otacza nieszczęście, ciemność otacza zbrodnię; te dwie ciemności zespolone tworzą żargon. Mroczna atmosfera, mroczne uczynki, mroczne głosy. Przeróżający język-ropucha, co przesuwają się, podskakuje, czołga, ślini i wykonuje potworne ruchy w nieogarniętej, szarej mgle, utkanej ze słoty, nocy, głodu, występku, kłamstwa, niesprawiedliwości, nagości, duchoty i zimy — w tym dniu nędzarzy.

Miejmy litość nad tymi, co są karani. Kimże niestety sami jesteśmy? Kim jestem ja, który do was mówię? Kim jesteście wy, którzy mnie słuchacie? Skąd przychodzimy? I czy to pewne, że nim przyszliśmy na świat, nic nie czyniliśmy? Ziemia ma niejakie podobieństwo z więzieniem. Kto wie, czy człowiek- nie jest przestępcą ściganym przez sprawiedliwość bożą?

Przyjrzyjcie się z bliska życiu. Tak się ono dziwnie plecie, że wszędzie wyczuwa się piętno kary.

Czy jesteś tym, kogo nazywają szczęśliwym? A przecież co dnia jesteś smutny. Każdy dzień ma swoje wielkie zmartwienie lub drobne zgryzoty. Wczoraj drżałeś o zdrowie drogiej ci osoby, dziś — boisz się o własne; jutro będzie cię trapiła troska o pieniądze, pojutrze złośliwość oszczercy, innego jeszcze dnia — nieszczęście przyjaciela, a kiedy indziej, znów brzydka pogoda, coś, - co się stłukło lub zagubiło, albo też jakaś rozrywka, po której dolega ci sumienie i ból krzyża; innym razem będzie cię trapił bieg spraw publicznych. Nie licząc już cierpień miłosnych. I tak ciągle; jedna chmura się rozprasza, tworzy się druga. Na sto dni znajdzie się zaledwie jeden dzień niezmałconej radości i pełnego słońca. A przecież należysz do małej garstki szczęśliwych! Innych otacza nieprzerwana noc.

Ludzie rozważni rzadko używają określenia: szczęśliwi i nieszczęśliwi. Na tym świecie, który jest wyraźnie przedsionkiem innego świata — nie ma szczęśliwych.

Ludzie światli i ludzie ciemni — oto prawdziwy podział ludzkości.

Zmniejszyć liczbę ludzi ciemnych, powiększyć liczbę ludzi światłych — oto cel. I dlatego nawołujemy: Oświaty! Nauki! Nauczyć czytać — to rozpalić ogień; każde przesylabizowane słowo — to iskra.

Zresztą światło nie zawsze oznacza radość. Można cierpieć i w świetle; nadmiar światła spala. Płomień jest wrogiem skrzydeł. Płonąć i szybować wysoko — to cud geniuszu.

Gdy poznanie prawdy i mdłość staną się twoim udziałem, będziesz nadal cierpieć. Dzień rodzi się we łzach. Ludzie światli płaczą, choćby tylko nad losem ciemnych.

ROZDZIAŁ II

Korzenie

Żargon — to język ludzi ciemnych. Ta tajemnicza gwara, potępiona i zbuntowana, porusza myśl aż do najciemniejszych jej głębi, a filozofię społeczną zmusza do najboleśniejszych rozważań.

Tu wyraźnie maluje się kara. Każda sylaba wydaje się napiętnowana. Słowa potocznej mowy wydają się w żargonie jakby pomarszczone i stwardniałe pod rozpalonym żelazem kata; ma się wrażenie, że niektóre jeszcze dymią. Niejedno zdanie przypomina z nagłą obnażone, napiętnowane ramię przestępcy. Myśl z oporem wypowiada się w tych słowach-złoczyńcach. Przenośnia jest często tak bezczelna, że łatwo poznać, iż stała pod pręgierzem.

Zresztą — mimo to, a także właśnie i dlatego — ta dziwna mowa ma swoje prawowite miejsce w wielkiej, nacechowanej obiektywizmem skrzyni, zwanej literaturą, gdzie zaśniedziały miedziak leży obok złotego medalu. Żargon czy się kto z tym zgodzi, czy nie — ma swoją składnię i swoją poezję. Jest to język. I jeśli ze zniekształcenia niektórych jego słów widać, że mełł je w zębach Mandrin, to pewne wspaniałe jego metonimie ukazują, że mówił nim Villon.

Ów piękny, a tak znany wiersz:

Mais oic sont les neiges d'antan?

— to wiersz pisany żargonem. *Antan* — *ante annum* — to żargonowe powiedzenie z królestwa żebraków i złodziei, określające rok przeszły, a w rozszerzonym znaczeniu — niegdyś. Trzydzieści pięć lat temu, gdy w roku 1827 z więzienia wyrusza! wielki, skuty łańcuchem szereg skazańców, w jednej z ciemnic Bicetre można było odczytać takie zdanie, wykrobane gwoździem na murze przez króla żebraków i złodziei, skazanego na galery: „*Les dabs d'antan trimaient siempre pour la pierre du Coesre*”, co oznacza: „Dawniejsi królowie jeździli zawsze na koronację.” Dla tego króla koronacją były galery.

Słowo *decarade*, które wyraża odjazd galopem ciężkiego wehikułu, przypisywane jest Villonowi i jest jego godne. Słowo to, krzeszące iskry spod kopyt, streszcza w swej mistrzowskiej onomatopei śliczną strofę La Fontaine'a:

Sześć koni z trudem ciągnęło do góry

Ciężki dyliżans pocztowy.

Mało jest studiów tak ciekawych i użytecznych — z czysto literackiego punktu widzenia — jak studia nad żargonem. Jest to odrębny język w języku, chorobliwa narośl, niezdrowy szczep, który rozrósł się w gąszcz roślinności, pasożyt, który korzeniami tkwi w starym pniu galijskim, a ponurym listowiem oplata całą jedną stronę języka. Takim wydaje się żargon na pierwszy rzut oka, taka jest pospolity pogląd na żargon. Lecz dla ludzi badających język tak, jak go badać należy, to znaczy tak, jak geolog bada ziemię, żargon stanowi prawdziwą formację aluwialną. I w zależności od tego, czy drąży w nim głębiej czy płycej, badacz znajduje pod starym ludowym językiem francuskim język prowansalski, włoski, hiszpański, lewantyński — ten język śródziemnomorskich portów — angielski i niemiecki; trzy odmiany romańskiego: francuską, włoską i romańską łacinę, i wreszcie język baskijski i celtycki. Dziwna i głęboka formacja. Podziemna budowla, wzniesiona wspólnie przez wszystkich nędzarzy. Każde przekłęte pokolenie zostawiło po sobie swoje złoża, każde cierpienie dorzuciło swój głąz, każde serce dodało swój kamyk. Kłębowisko dusz złych, podłych lub gniewnych, które przeszły przez życie i rozwiały się w wieczności, jest tu prawie nietknięte i jakby widzialne pod postacią potwornych słów.

Chcecie wpływów języka hiszpańskiego? Dawiny żargon gotycki aż roi się od nich. Oto *boffette* — policzek, od *bofeton*; *vantane* — okno, od *vantana*; *gat* — kot, od *gato*; *acite* — oliwa, od *aceyte*. Chcecie włoskiego? Oto *spade* — szpada, od włoskiego *spada*; *carvel* — okręt, od *caravella*. Chcecie angielskiego? Oto *bichot* — biskup, od *bishop*; *rcdlle* — szpieg, od *rascal*; *rascalion* — łotr; *pilche* — puzderko, od *pilcher* — futerał. Chcecie niemieckiego? Oto *caleur* — chłopiec, *Kellner*; *hers* — pan; *herszt*, od *Herzog* — książę. Chcecie łaciny? *Frangir* — złamać, od *frangere*; *affurer* — kraść, od *fur*; *cadene* — łańcuch — *catena*. Jedno słowo występujące we wszystkich językach europejskich z dziwną uporczywością i mocą, słowo: *magnus*. Szkocja przerobiła je na *mac* i oznacza nim przywódcę klanu: *mac Farlane*, *mac Callummor* — wielki Farlane, wielki Calumrnore; żargon zrobił z niego *meck*, później *meg* - a znaczy to Bóg. Chcecie baskijskiego? Oto: *gahisto* — diabeł, od *gaiztoa* — zły; *sorgabon* — dobranoc, od *gdbon* — dobry wieczór. Chcecie celtyckiego? Oto *blcwin* — chustka, od *blavet* — tryskająca woda; *menesse* — kobieta (w sensie pejoratywnym), od *meinec* — pełen kamieni; *barant* — strumyk, od *baran-ton* — źródło; *goffeur* — ślusarz, od *goff* — kowal; *guedouze* — śmierć, od *guenn-du* — czarno-biały. Chcecie wreszcie historii? Żargon nazywa talary maltankami na pamiątkę monety, która kursowała na galerach maltańskich.

Oprócz wykazanych już powiązań filologicznych, żargon ma jeszcze inne, które, że tak powiem, wywodzą się z samego ducha człowieka.

A więc przede wszystkim bezpośrednio tworzenie wyrazów. W tym leży

tajemnica języków: malowanie słowami, które — nie wiadomo jak ani dlaczego — mają swe wyraźne oblicze. To jest pierwotna podstawa każdej mowy ludzkiej, coś, co można by nazwać jej granitowym fundamentem. Żargon roi się od takich słów, słów nagłych, stworzonych spontanicznie, nie wiadomo gdzie ani przez kogo, bez etymologii, analogii, bez pochodnych, od słów samotnych, barbarzyńskich, często ohydnych, które jednak mają szczególną dosadność i życie. Trudno o dziwniejsze zjawiska nad te słowa, które osłaniają i odkrywają zarazem. Niektóre z nich są dziwaczne, a zarazem straszne i robią wrażenie grymasu cyklopa.

Po wtóre — metafora. Właściwością języka, który chce wszystko powiedzieć i wszystko ukryć, jest obfitość przerośni. Przerośnia to zagadka, którą osłania się złodziej knujący kradzież i więzień zamyślający ucieczkę. Żadna mowa nie jest tak bogata w przerośnie jak żargon. Zostać zastrzelonym — połknąć pigułkę; jeść — wbijać w krzyże; śledztwo — maglowanie lub spowiedź; złodziej chleba — szczur. Czasem, w miarę tego jak żargon przechodzi z pierwszego stadium w drugie, słowa, mające sens pierwotny, nabierają znaczenia przerośni. Diabeł przestaje być złym, a staje się piekarzem, bo wsadza do pieca. To określenie zyskuje na dowcipie, ale traci na wielkości; coś jakby Racine obok Corneille'a lub Euripides obok Aischylosa. Pewne określenia żargonu, należące do obu stadiów, zachowały sens pierwotny przy równoczesnym sensie przerośnym, i przypominają fantasmagorie: „Łysy kapuje, a hołociarze idą na ostrą jazdę do szumu." Przesuwa się to przed umysłem, jak grupa widm. Me wiadomo, co widać.

Po trzecie — pomysłowość. Żargon żeruje na języku. Posługuje się nim dowolnie, czerpie z niego wedle fantazji i często Ogranicza się do tego, by w razie potrzeby przekręcić go w sposób ogólny i prostacki. Nieraz z tak przekręconych, potocznych słów i z wyrazów czysto żargonowych powstają powiedzenia malownicze, w których wyczuwa się dwa poprzednio wspomniane elementy: bezpośrednie tworzenie słów i metaforę: „Szkieł szczeka, kumam, że potok płynie po szumie." „Gawruk to frajer, gawruczka cwana, a brzana klawa." Najczęściej, aby zmylić słuchacza, żargon poprzestaje na przyczepieniu do każdego słowa końcówki — czegoś w rodzaju wstrętnego ogona.

Żargon, ta mowa zepsucia, sam szybko zepsuciu ulega. Ponadto, chcąc być nieuchwytnym, zmienia się, ilekroć spostrzeże, że stał się zrozumiałym. Promień światła, który dla wszelkiej innej roślinności niesie życie, dla niego jest śmiertelny. Toteż żargon wciąż się rozpada i powstaje na nowo; wciąż dokonuje się w nim ta ciemna i szybka praca. Więcej drogi przebiegnie w ciągu dziesięciu lat niż mowa normalna w ciągu dziesięciu wieków. I tak makówka zmienia się w makitrę, zdzira w zdziochę, forasy w kwirasy, łachy przechodzą w nachy, wąż przeobraża się w węgorza, a grypcicha w grypsulę. Diabeł jest początkowo złym, a potem lwasiem; ksiądz z gałachy staje się plicharzem; nóż to kajek,

potem knyp, majcher i zadra; policjant to pajak, księżyc, szularz, dziad, salceson i szpagat; koń to cha ja, hołota i wolta; sędzia — piłat, spowiednik, rabin, tyran.

W XVII wieku bić się to było — potraktować tabaką, a w XIX — wsadzić prymkę w gębę. Dwadzieścia rozmaitych powiedzeń mieści się między tymi dworna krańcami. Język Cartouche'a byłby dla Lacenaire'a niezrozumiałą hebrajszczyzną. Każde słowo tej mowy jest w ustawicznej ucieczce, podobnie jak i ludzie, którzy się nią posługują.

Wszakże od czasu do czasu, właśnie z powodu tego nieustannego ruchu, dawny żargon pojawia się i staje się nowym. Ma swoje ośrodki, w których się utrzymuje. Tempie zachowało siedemnastowieczny żargon; Bicetre, gdy było więzieniem, przechowało żargon średniowiecznego królestwa żebraków i złodziei. Niemniej jednak regułą jest nieustanna płynność.

Kiedy filozof zdoła w celach badawczych utrwalić na moment ten język, który rozwiera się co chwila, pogrąża się w pożyteczną, choć bolesną zadumę. Żadne studium nie jest tak pouczające i tak pełne ciekawych spostrzeżeń. Każda przenośnia, każdy źródłosłów żargonu kryje w sobie jakąś naukę. Ludzie mówiący nim używają słowa: bić, w znaczeniu, udawać; chorobę się „bije”. Podstęp jest ich siłą.

Dla nich pojęcie człowieka łączy się zawsze z pojęciem ciemności. Noc wśród wielu imion ma także imię: kochanka. Człowiek jest tu uczuciowo spokrewniony z nocą.

Przyzwyczajili się traktować społeczeństwo jak wrogą im atmosferę, jakąś siłą fatalną, toteż mówią o wolności tak, jak mówi się o zdrowiu. Człowiek aresztowany to „chory”, skazany to „nieboszczyk”.

Najstraszniejszą rzeczą dla więźnia, pogrzebanego wśród murów z kamienia, jest rodzaj lodowatej bezgrzeszności, dlatego też nazywa więzienie szpitalem. W tym ponurym miejscu życie na wolności maluje się w najpoważniejszych barwach. Więzień ma kajdany u nóg — myślicie może, iż więzień sądzi, że nogi służą do chodzenia? Nie, według niego nogi służą do tańca. Toteż gdy uda mu się przepiłować kajdany, pierwszą jego myślą jest, że może teraz tańczyć, i piłę nazywa „smyczkiem”.

Imię to środek — tu związek głęboki. Bandyta ma dwie głowy: jedna obmyśla jego czyny i kieruje nim w życiu; drugą ma na karku w dniu śmierci; pierwszą głowę, która mu doradza zbrodnię, nazywa Sorboną, głowę zaś, która za zbrodnię pokutuje — pałą. Gdy człowiek ma już tylko na grzbiecie łachy, a w sercu występki, gdy doszedł do podwójnego poniżenia — moralnego i

materialnego, które charakteryzują oba znaczenia słowa nędznik, dojrzał już do zbrodni; jest niby nóż 'dobrze wyostrzony, obosieczny, a jego dwa ostrza — to niedola i złość; toteż żargon nie nazywa go nędznikiem, lecz ciętym. Czymże są galery? To ogień potępienia, piekło. Stracić wolność to — cegłę palić. Wreszcie, jak złoczyńcy nazywają więzienie? Akademią. Cały system karny można wysnuć z tego słowa.

Chcecie wiedzieć, gdzie wylęgła się większość śpiewek więziennych, owe strofki, zwane w specjalnym słownictwie *Ur onfa*? Posłuchajcie:

W paryskim więzieniu Ohatelet był wielki, długi loch, położony o osiem stóp poniżej poziomu Sekwany. Loch ten nie miał najmniejszego nawet okienka, jedynym otworem były drzwi; ludzie mogli tam wejść, powietrze — nie. Sufitem tej ciemnicy był kamienny strop, podłogą — dziesięciocalowa warstwa błota. Kamienne płyty, stanowiące niegdyś podłogę, pod wpływem przenikającej tu wody popękały i pokruszyły się.

Na wysokości ośmiu stóp nad ziemią biegła przez długość całego lochu potężna belka, a z niej — w pewnych odstępach od siebie — zwisały łańcuchy długości trzech stóp, zakończone żelaznymi; obręczami. Tutaj umieszczano więźniów skazanych na galery i trzymano do dnia wyjazdu do Tułonu. Wpychano ich pod belkę, gdzie na każdego czekał łańcuch, kołysząc się w ciemnościach.

Zwisające ramiona łańcuchów i otwarte szpony obroży chwyciły nieszczęsnych za szyję. Zakuty w żelaza zostawiano w lochu. Łańcuch był za krótki, by więźniowie mogli się położyć. Stali więc w lochu nieruchomo, wśród ciemności, pod tą belką, nieledwie wisząc, z niesłychanym tylko wysiłkiem mogli dosięgnąć chleba lufo dzbana z wodą, nad głową mieli sklepienie, pod nogami błoto sięgające do połowy łydek, po nogach ciekły im własne ekskrementy; wydani na tortury nie mogli ustać na nogach, czepiali się rękami łańcucha, by w ten sposób odpocząć; spać mogli jedynie stojąc i co chwila budzili się duszeni obrozą; niektórzy nie obudzili się już nigdy. Aby jeść, przesuwali stopą jednej nogi wzdłuż goleni drugiej na wysokość ręki kawał chleba, który im ciśnięto w błoto. Jak długo tak przebywali? Miesiąc, dwa miesiące, czasem pół roku; jeden więzień został tam cały rok. To był przedsionek galer. A dostać się tam można było za ukradzenie królowi zająca. Co robili w tym grobowcu-piekle? To, co można robić w grobie — konali, i to, co można robić w piekle — śpiewali.

Albowiem tam, gdzie już nie ma nadziei, pozostaje jeszcze śpiew. Na wodach u brzegów Malty, gdy zbliżała się galera, słychać było śpiew, zanim dał się słyszeć plusk wiosła. Biedny kłusownik Survincent, który przeszedł przez ten loch-więzienie Chatelet, powiedział: „To wiersze mnie podtrzymywały." Bezżyteczność poezji. Na po się zdadzą wiersze? W tej to ciemnicy zrodziły się wszystkie prawie śpiewki żargonowe. Z ciemnicy Wielkiego Chatelet wywodzi się żaloszny refren galer Montgomery: „Timaloumisaine, timaloumison". Większość tych piosenek jest ponura, niektóre są wesołe, a jedna — czuła:

*Nie miałem wczora farty
Dziś mamy czychotką a fras.*

Cokolwiek uczynicie, nie zdołacie nigdy unicestwić tej niezniszczalnej resztki ludzkiego serca — miłości.

W tym świecie ciemnego występku tajemnice są zawsze święcie dochowywane. Tajemnica jest sprawą wszystkich. Tajemnica jest dla tych nieszczęśników czymś, co stanowi podwalinę ich związku. Zdradzić tajemnicę — to wydrzeć każdemu z członków tej nieujarzmionej społeczności część jego samego. Denuncjować — to w dosadnym języku złodziejskim — zakopać. Jak gdyby denuncjator zabierał dla siebie własność wszystkich i ciągnął potajemny zysk z niedoli towarzyszy.

Szperanie w żargonie przynosi na każdym kroku odkrycia. Studiowanie i zgłębianie tej dziwnej mowy prowadzi do ukrytego punktu, gdzie społeczeństwo normalne styka się ze społeczeństwem przeklętym.

Żargon — to słowo, które stało się galernikiem. Przerażającą i zdumiewającą jest rzeczą, że myśl w człowieku może zostać tak nisko zepchnięta, że może być skrępowana i pociągnięta tam przez ciemną tyranię losów i przywiązana jakimiś więzami do tej otchłani.

O nieszczęsna myśli nędzarzy!

Biada! Czy nikt nie przyjdzie z pomocą duszy ludzkiej tonącej w mroku? Czyż udziałem jej ma być wieczne oczekiwanie na ducha oswobodziciela, tego mocarnego jeźdźca, który dosiada gryfów i pegazów, tego bojownika koloru jutrzeńki, który spływa na skrzydłach z błękitów, tego promiennego rycerza przyszłości? Czy na próżno ma wzywać na pomoc ognisty grot ideału? Jestże na wieki skazana na to, by słyszeć, jak z dna jaskini nadciąga przerażające Zło, i widzieć — coraz to bliżej pod odrażającą wodą — ten łeb smoczy, paszczą bluzgającą pianą, wężowy ruch szponów i potwornych pierścieni olbrzymiego cielska? Czyż na zawsze ma tam pozostać bez promyka światła, bez nadziei, w grozie tego straszliwego zbliżania się potwora, który wyczuł obecność ofiary, drżąca, z rozpuszczonymi na wiatr włosami, załamująca dłonie, na wieki przykuta do skały nocy, nieszczęsna Andromeda, biała i maga wśród otaczających ją mroków?

ROZDZIAŁ III

Żargon, który płacze, i żargon, który się śmieje

Jak widzimy, cały żargon — i to zarówno żargon sprzed czterystu lat, jak i dzisiejszy — jest przepojony ciemnym duchem symbolizmu, który nadaje każdemu słowu to wyraz bolesny, to groźny. Czuć w nim odwieczny, drapieżny smutek żebraczych włóczędzów z „Dziedzińca Cudów”, grających w karty własnego pomysłu, których parę dochowało się do naszych czasów. Tak więc na przykład ósemkę trefl wyobrażało wysokie drzewo z ośmiu olbrzymimi liśćmi koniczyny — fantastyczna personifikacja lasu. Pod drzewem płonęło wielkie ognisko, przy którym trzy zające piekły na rożnie myśliwego, w głębi zaś, przy drugim ognisku z dymiącego kotła wystawał łeb ogara. Czyż może być coś równie ponurego jak ten odwet namalowany na kartach do gry, wobec etosów, na których palono przemytników, i wobec kotłów, w których gotowano fałszerzy pieniędzy?

Wszelkie formy, które przybierała myśl w królestwie żargonu, nawet piosenkę, nawet drwinę, nawet pogroźkę cechowała jednakowa niemoc i znękanie. Wszystkie pieśni, których kilka melodii dochowało się do naszych czasów, były pokorne i tak żałosne, że wyciskały łzy z oczu. Nędzarz nazywa się w nich „nieszczęsnym nędzarzem” i zawsze bywa zającem, który się ukrywa, myszką, która ucieka, lub spłoszonym ptakiem. Zaledwie ośmiela się prosić, wzdycha tylko; jeden taki jęk doszedł do nas: „Nie pojmuję, jak Bóg, ojciec ludzi, może tak dręczyć swe dzieci i wnuki, a słysząc ich krzyki, sam nie doznaje udręczenia.” Nędzarz, ilekroć ma czas na myślenie, staje się maluczki wobec prawa i bezsilny wobec społeczeństwa; pada na kolana, błaga, uderza w pokorę; widać, że poczuwa się do winy.

Mniej więcej w połowie ostatniego stulecia następuje zmiana. Piosenki więzienne, śpiewki złodziejskie przybrały — że tak powiem — zuchwałą i wesołą minę. Żałosne *malure* zostało zastąpione przez *larifla*. W każdej prawie osiemnastowiecznej piosence z galer, więzień i miejsc kaźni napotyka się jakąś szatańską, zagadkową wesołość. Słychać w nich skoczny, piskliwy refren, jakby migający fosforycznym blaskiem i wygrany, zda się, po lasach na fujarce przez błędne ogniki.

Mirlababi, surlababo Mirliton ribon ribette, Surlababi, mirla babo Mirliton ribon ribo.

Przy wtórze tej piosenki zarzynano człowieka w piwnicy lub na skraju lasu.

Znamienny objaw. W osiemnastym stuleciu rozprasza się odwieczna melancholia tych klas uciśnionych. Zaczynają się śmiać. Szydzą z pana boskiego i królewskiej mości. Za Ludwika XV nazywają króla Francji — markizem Paritin. Są prawie wesołe. Jakieś blade światło zaczyna otaczać tych nędzarzy, jak gdyby sumienie (przestało im ciążyć. Te godne pożałowania klany ciemności nie tylko okazują rozpaczliwe zuchwalstwo postępu, ale i beztrioskie zuchwalstwo dowcipu. Znak to, że nędzarze przestają się czuć przestępcami i że czują jakieś nieuświadomione poparcie nawet wśród filozofów i myślicieli. Znak to, że kradzież i grabież przenikają aż do doktryn i sofizmatów, tracąc w ten sposób nieco swej szpetoty, lecz obdzielając ją hojnie sofizmaty i doktryny. Wreszcie — znak to, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, coś niezwykłego niebawem się z tego wykluje.

Wstrzymajmy się na chwilę. Kogo tu oskarżamy? Osiemnasty wieli czy jego filozofię? Nie. Dzieło ósiemnastego wieku jest zdrowe i dobre. Encyklopedyści z Diderotem, fizjokraci z Turgotem, filozofowie z Wolterem i utopiści z Rousseau na czele — to cztery święte legie. Im zawdzięczamy ogromny skok ludzkości naprzód ku światłu. To cztery awangardy ludzkości, zmierzające ku czterem stronom świata postępu: Diderot ku pięknu, Turgót — ku pożytkowi, Walter — ku prawdzie, Rousseau — ku sprawiedliwości. Ale obok i poniżej filozofów byli sofiści — trujące ziele wśród zdrowej roślinności, cykuta wśród dziewiczej puszczy. I gdy kat palił na głównych schodach Pałacu Sprawiedliwości wielkie księgi wyzwoleńcze stulecia, pisarze, dziś już zapomniani, ogłaszali na podstawie przywileju królewskiego jakieś dziwaczne destrukcyjne pisma, chciwie czytane przez nędzarzy. Niektóre z tych publikacji, wydawanych — szczególnie ciekawy — pod patronatem pewnego księcia, znajdują się w „Tajnej Bibliotece”. Fakty te, znamienne, a nieznane, nie docierały na powierzchnię. Nieraz mrok otaczający jakiś fakt stwarza jego niebezpieczeństwo. Jest niejasny, gdyż kryje się pod ziemią. Ze wszystkich tych pisarzy najszkodliwszy podkop w masach czynił może Restif de la Bretonne . " Ta praca, prowadzona w całej Europie, największespustoszenie poczyniła w Niemczech. W pewnej epoce—, przedstawionej przez Schillera w jego głośnym dramacie: *Zbójcy* — kradzież i rozbój, podniesione w Niemczech do godności protestu przeciw własności i pracy, podszywały się, pod pewne podstawowe, powierzchowne i fałszywe idee, na pozór słuszne, a w istocie niedorzeczne, okrywały się nimi, niejako ginęły w nich, stawały się pojęciami abstrakcyjnymi, przechodziły w teorię i w tej postaci krążyły wśród pracowitego, cierpiącego i uczciwego ludu, bez; wiedzy nierozważnych, chemików, którzy tę miksturę przygotowali, a nawet bez wiedzy tłumy, który ją połykał. Fakt taki - ilekroć zdarza się — jest niebezpieczny. Cierpienie rodzi gniew; a gdy klasy posiadające ślepną lub usypiają, co jest zawsze zamykaniem oczu, nienawiść klas uciemionych zapala swą żagiew od płomienia jakiegoś niezadowolonego czy niezrównoważonego umysłu, dumającego na uboczu, i zaczyna

obserwować uważnie społeczeństwo. Obserwacja nienawiści —to rzecz straszna!

Stąd — jeśli tak chce nieszczęście czasów — pochodzą przerażające wstrząsy, zwane niegdyś buntami chłopskimi, wobec których rozruchy czysto polityczne są dziecinną igraszką; nie są już one walką, uciemieżonych z ciemieżcą, lecz buntem nędzy przeciw dobrobytowi. Wtedy wszystko się wali w gruzy.

Bunty chłopskie to — jak trzęsienia ziemi — trzęsienia ludu.

Temu właśnie niebezpieczeństwu, grożącemu może Europie w końcu osiemnastego wieku, zapobiegła Rewolucja Francuska, ten wspaniały akt uczciwości.

Rewolucja Francuska jest niczym innym, jak ideałem uzbrojonym w miecz; powstała, jednym szybkim. ruchem zatrzęsnęła bramę zła i otworzyła podwoje dobra.

Postawiła zagadnienie, obwieściła prawdę, przepędziła niezdrowe wyziewy, uzdrowiła wiek, na tron wyniosła lud.

Rzec by można, że po raz wtóry stworzyła człowieka, dając mu drugą duszę — prawo.

Wiek dziewiętnasty dziedziczy i korzysta z dzieła rewolucji, tak że dziś katastrofa społeczna, o której mówiliśmy przed chwilą, jest po prostu niemożliwa. Ślepy, kto ją zapowiada, głupi, kto się jej boi! Rewolucja to szczepionka przeciw buntom chłopskim.

Dzięki rewolucji zmieniły się warunki społeczne. Choroby feudalne i rnonarchiczne nie krążą już w naszej krwi. Znikło średniowiecze z kart naszej konstytucji. Minęły dla nas czasy, gdy straszliwe wrzenie wewnętrzne wydzierało się na zewnątrz, gdy słyszało się pod stopami przebiegające ukryte drżenie głuchego grzmotu, gdy na powierzchni cywilizacji występowały jakieś kretowiska, gdy ziemia pękała, gdy otwierały się sklepienia jaskiń i gdy nagle wychodziły spod ziemi, głowy potworów.

Sens rewolucji jest wartością moralną. Rozwój poczucia prawa pociąga za sobą rozwój poczucia obowiązku. Uprawnieniem każdego człowieka jest wolność, która kończy się tam, gdzie zaczyna się wolność drugiego człowieka, jak to pięknie powiedział Robespierre. Od 1789 roku cały naród mieści się w pojęciu jednostki, której godność zwrócono; nie ma takiego nędzarza, który, posiadając prawo, nie miałby swego miejsca w społeczeństwie; każdy głodomór czuje w sobie dostojeństwo Francji; godność obywatela jest wewnętrzną zbroją; kto jest wolny, jest uczciwy; kto ma prawo głosu, rządzi. Stąd nieprzekupność; stąd

kres niezdrowych pożądań; stąd bohaterkie unikanie każdej pokusy.

Uzdrowiająca siła rewolucji jest tak potężna, że w dni wyzwolenia, takie, jak 14 lipca, 10 sierpnia znika motłoch. Pierwszy okrzyk mas osiagających prawdę i wielkość to: „Śmierć złodziejom!” Postęp jest uczciwym człowiekiem. Kto eskortował w 1848 roku furgony ze skarbami Tuileries? Gałganiarze z przedmieścia Św. Antoniego. Łachmany trzymały straż przy skarbcu. Cnota opromieniała swym blaskiem tych obdartusów. Na furgonach, w skrzyniach ledwo domkniętych albo wcale nie zamkniętych, między setkami olśniewających klejnotów leżała stara korona Francji, cała wysadzana diamentami, ozdobiona królewskim rubinem. „Regentem”, wartości trzydziestu milionów.

A oni bosso pilnowali tej korony.

A zatem nie ma już buntów chłopskich. Żal mi zręcznych ludzi. Dawny strach stracił swoją moc i nie można się już nim posługiwać w polityce. Pękła główna sprężyna czerwonego widma. Wszyscy już o tym wiedzą. Straszak przestał straszyć. Ptaki nie lękają się stracha; siadają na nim pośmięcuszki, a ludzie śmieją się z niego.

ROZDZIAŁ IV

Dwa zadania: czuwać i nie tracić nadziei

Czy w tym stanie rzeczy znikło wszelkie niebezpieczeństwo społeczne? Z pewnością nie. Nie ma już buntów chłopskich. W tym względzie społeczeństwo może być spokojne, krew mu już nie uderzy do głowy; ale niech się zatroszczy o to, w jaki sposób oddycha. Nie trzeba lękać się apopleksji, ale grożą suchoty. Suchoty społeczne zaś zwą się nędzą.

Śmierć nie tylko uderza, ale i draży.

Powtarzamy niezmiennie, że pierwszym obowiązkiem braterskim — niech o tym nie zapominają życzliwe serca — i pierwszą koniecznością polityczną — niech to wiedzą serca samolubne — jest myśleć w pierwszym rzędzie o wydziedziczonych i cierpiących masiach, wspomagać je, oświecać i kochać, wspaniale rozszerzać im horyzonty, dostarczać hojnie wykształcenia pod każdą postacią, świecić przykładem pracy, a nigdy przykładem lenistwa, zmniejszać ciężar indywidualnego brzemienia, rozszerzając pojęcie celu ogólnego, ograniczać biedę, nie ograniczając dostatku, stworzyć szerokie pole dla działalności publicznej i politycznej, mieć jak Briareus sto rąk, by je wyciągać ze wszystkich stron ku słabym i uciśnionym, używać zbiorowej siły do tego wielkiego zadania, jakim jest otwarcie warsztatów dla wszystkich rąk, szkół dla wszystkich zdolności i pracowni dla wszystkich umysłów, podnieść płace, zmniejszyć trud, zrównoważyć „ma" i „winien", czyli przystosować posiadanie dowysiłeków i zaspokojenie do potrzeb, słowem, sprawić, by ku pożytkowi cierpiących i ciemnych aparat społeczny wydał z siebie więcej światła i dobrobytu.

Dodajmy jeszcze, że wszystko to jest dopiero początkiem. Istotne zagadnienie brzmi: praca nie może być prawem nie będąc również uprawnieniem.

Nie tu jednak miejsce, by się szerzej nad tą sprawą, rozwodzić.

Jeśli natura zwie się Opatrznością, społeczeństwo powinno się zwać przezornością.

Rozwój intelektualny i moralny jest równie nieodzowny jak poprawa bytu materialnego. Wiedza — to wiatyk; myśl jest pierwszą koniecznością; prawda, jest pokarmem jak ziarno. Rozum nie karmiony nauką, i mądrością słabnie. Współczujemy głodnym żołądkom, lecz współczujemy i duchom, którym brak stawy.

Jeśli istnieje coś bardziej wstrząsającego niż ciało, które kona z braku chleba, to chyba tylko dusza, która ginie z braku światła.

Cały postęp zmierza do usunięcia tego zła. Pewnego dnia zdziwią się ludzie. Gdy rodzaj ludzki dźwignie się wzwyż, najniższe warstwy w naturalny sposób wydobędą się z kręgu niedoli. Nędza zniknie przez samo podniesienie poziomu.

Błędem, byłoby wątpić w to błogosławione rozwiązanie.

To prawda, że w obecnej chwili przeszłość jest bardzo mocna. Odradza się. Zdziwiająca jest to odmłodzenie trupa. Oto idzie, zbliża się. Wydaje się zwycięzcą, ten umarły jest zdobywcą. Nadciąga ze swą armią zabobonów, z mieczem despotyzmu i sztandarem, ciemnoty; od jakiegoś czasu wygrał już z dziesięć bitew. Posuwa się naprzód; grozi, śmieje się, staje u naszych bram. Ale nie traćmy nadziei. Sprzedajmy pole, na którym Hannibal rozłożył się obozem.

My, którzy wierzymy, czegoż mamy się obawiać?

Idea nie cofa się, podobnie jak bieg rzeki.

Ale niech się zastanowią ci, którzy odrzucają przyszłość. Mówiąc postępowi: „nie”, skazują nie przyszłość, lecz siebie. Narażają się na smutną chorobę, zaszczepiają sobie przeszłość. W jeden tylko sposób można odrzucić Jutro — umrzeć.

Nie chcemy żadnej śmierci; śmierć ciała oby przyszła najpóźniej, śmierć myśli oby nie przyszła nigdy.

Tak, zagadka sama się wyjaśni, sfinks przemówi; problem zostanie rozwiązany. Tak! Ludowi zarysowanemu przez wiek osiemnasty nada ostateczną formę wiek dziewiętnasty. Tylko głupiec może o tym wątpić! Przyszły rozkwit, niedaleki rozkwit powszechnego dobrobytu jest boskim zrządzeniem losu.

Ogarniające wszystko potężne siły rządzą sprawami ludzkimi i doprowadzają je wszystkie w określonym czasie do pewnego logicznego punktu, to znaczy do równowagi, to znaczy — do sprawiedliwości. Siła, w której się zespala ziemia i niebo, rodzi się z ludzkości i kieruje ludzkością; siła ta czyni cuda; cudowne rozwiązania są dla niej równie łatwe, jak niezwykle wydarzenia. Wspomagana przez wiedzę pochodzącą od jednego człowieka i wydarzenia pochodzące od innego nie lęka się w stawianiu problemów sprzeczności, które ogółowi wydają się niepodobieństwem. Równie zręcznie wydobywa rozwiązanie ze zbliżenia poglądów, jak naukę ze zbliżenia faktów; wszystkiego można się spodziewać po tej tajemniczej sile postępu, która pewnego (pięknego dnia zachód i wschód stawia naprzeciw siebie w głębi grobowca i każe imanom rozmawiać z Bonapartem we wnętrzu wielkiej piramidy.

Zanim to nadejdzie, nie czas na odpoczynki, wahania i przerwy we wspaniałym pochodzie umysłów.

Filozofia społeczna jest z istoty swej nauką pokoju. Rozładowanie gniewów przez badanie antagonizmów jest jej celem a powinno być jej skutkiem. Bada, wnika, analizuje; później wiąże. Działa w drodze redukcji, strącając wszelką nienawiść.

Widziano nieraz, że społeczeństwo pada pod naporem wichru, "który rozpętał się nad ludźmi, historia obfituje w takie zagłady ludów i mocarstw; pewnego dnia ta nieznana siła, ten huragan przelatuje i unosi ze sobą wszystko: obyczaje, prawa, wierzenia. Znikły jedna po drugiej cywilizacje Indii, Chaldei, Persji, Asyrii, Egiptu. Dlaczego? Nie wiemy. Jakie były przyczyny tych katastrof? Nie wiemy. Czy te społeczeństwa mogły być uratowane? czy same zawiniły? Czy z uporem trwały przy jakimś fatalnym występku, który je zgubił? W jakim stopniu są te okropne zagłady narodu lub rasy śmiercią samobójczą? Pytania bez odpowiedzi. Mrok okrywa te skazane cywilizacje.

Toną, a więc musiały przeciekać; i nic więcej „o tym nie można powiedzieć. Z przerażeniem patrzymy, jak w głębinach morza, zwanego przeszłością, poza potężnymi falami wieków toną ogromne okręty: Babilon, Niniwa, Tars, Teby, Rzym, pod przerażającym tchnieniem ust ciemności. Tam są ciemności, lecz tutaj jest jasność. Nie znamy chorób starożytnych cywilizacji, znamy ułomności naszej. Mamy prawo widzieć ją w pełnym świetle, podziwiamy jej piękno i obnażamy jej skazy. Gdzie widzimy schorzenie, zapuszczamy sondę, a gdy cierpienie zostało stwierdzone, badanie jego przyczyny prowadzi do znalezienia-lekarstwa. Cywilizacja nasza, dzieło dwudziestu wieków, jest zarazem potworem i cudem; warto ją ocalić. I będzie ocalona. Ulżyć jej — to już wiele; oświecić ją — to też niemało. Wszystkie wysiłki współczesnej filozofii społecznej powinny dążyć do tego celu. Myśliciel dzisiejszy ma wielkie zadanie: badać stan zdrowia cywilizacji.

Powtarzamy, że to badanie dodaje odwagi, na tym wezwaniu do odwagi chcemy zakończyć tych kilka stron, stanowiących surowe intermezzo bolesnego dramatu. Pod śmiertelnością społeczną kryje się nieśmiertelność ludzika. Glob ziemski nie umiera dlatego, że tu i ówdzie ma rany kraterów i lizaje solfatar, że wulkan wzbiera jak wrzód i wyrzuca ropę. Choroby społeczeństw nie zabijają człowieka!

A jednak ten, kto śledzi leczenie społeczne, czasem powątpiewająco kręci głową. Najsilniejsi, najbardziej kochający, najrozumniejsi miewają chwile zwątpienia.

Czy przyszłość nadejdzie? Pytanie to wydaje się niemal uzasadnione wobec

straszliwego mroku dokoła. Ponure spotkanie egoistów i nędzarzy. U egoistów — przesady, ciemnota kosztownej edukacji, żarłoczność wzmożona przez upojenie, oszołomienie pomyślnością, która przytępia słuch, lęk przed cierpieniem, wyradzający się u niektórych w odrazę do tych, co cierpią, bezlitosna sytość, „ja” tak wyolbrzymione, że zamyka duszę; u nędzarzy chciwość, zawiść, nienawiść na widok dostatku innych, potężne wstrząsy bestii ludzkiej dążącej do nasycenia, zasnute mrokiem serca, smutek, potrzeby, fatalność, nieczysta i prostacka ciemnota.

Czy trzeba nadal wznosić oczy ku niebu? Czyliż ten punkt świetlisty, który się na nim rysuje, jest z rzędu tych jasności, co gasną? Lęk ogarnia na widok ideału, zagubionego w przestworzach, drobnego, samotnego, ledwo dostrzegalnego, świecącego, ale otoczonego czernią wszystkich potęg groźby, potwornie spiętrzonych wokół niego. Jednakże równie jest on bezpieczny jak gwiazda w paszczach chmur.

KSIĘGA ÓSMA

UPOJENIA I SMUTKI

ROZDZIAŁ I

Pełnia światła

Czytelnik domyślił się zapewne, że Eponina, poznawszy przez kratę mieszkankę ulicy Plumet, dokąd posłała ją Magnon, naprzód oddaliła bandytów od tej ulicy, a potem zaprowadziła tam Mariusza. Mariusz po kilku dniach ekstazy przed kratą ogrodu, party tą siłą, która żelazo przyciąga do magnesu, a zakochanego do domu ukochanej, wszedł nareszcie do ogrodu Kozety jak Romeo do ogrodu Julii. Przyszło mu to nawet łatwiej; Romeo musiał przeskakiwać mur, Mariusz odsunął tylko w starym ogrodzeniu jeden z prętów, rozchwiany u nasady jak zęby zgrzybiałego człowieka. Był szczupły i przesunął się bez trudu.

A że nikt nigdy tą ulicą nie przechodził, on zaś jedynie nocą wślizgiwał się do ogrodu, nie było obawy, aby go ktoś zobaczył.

Od owej błogostawionej i świętej chwili, w której pocałunek zaręczył te dwie dusze, Mariusz przychodził tam co wieczór. Gdyby w tym okresie życia Kozeta zakochała się w człowieku pozbawionym skrupułów i rozpustnym, byłaby zgubiona; istnieją bowiem wspaniałomyślne natury, które oddają się całe, do takich właśnie natur należała Kozeta. Jedną z cech wielkoduszności kobiet jest uległość. Miłość, gdy osiągnie pełnię, łączy się z jakimś niebiańskim zaślepieniem wstydlivosti.

Na ileż jednak niebezpieczeństw narażacie się, o szlachetne dusze! Często dajecie nam serce, a my bierzemy ciało. Serce wam zostaje i z drzeniem wpatrujecie się w nie w ciemnościach. Miłość nie zna celów pośrednich — gubi lub zbawia. Cały los człowieka zawiera się w tym dylemacie; żadna siła fatalna nie stawia tego dylematu: zguba albo zbawienie, tak nieubłaganie, jać miłość. Miłość jest życiem, jeśli nie jest śmiercią; kolebką i trumną także. To samo uczucie szepcze w sercu człowieka: „nie" i „tak". Ze wszystkich dzieł Boga serce ludzkie daje najwięcej światła i — niestety — najwięcej mroku.

Bóg sprawił, że miłość, którą napotkała Kozeta, należała do rzędu tych, co zbawiają.

Przez cały miesiąc maj 1832 roku co noc, w biednym zapuszczonym ogrodzie, wśród coraz bujniejszych i coraz wonniejszych krzewów spotykały się dwie istoty, utkane z samej materii czystości i niewinności, przepojone niebiańskim szczęściem, bliższe aniołom niż ludziom, nieskalane, uczciwe, upojone, promienne, będące dla siebie nawzajem światłem jaśniejącym wśród mroków. Kozecie wydawało się, że Mariusz ma koronę, Mariuszowi — że Kozeta ma nimb nad głową. Dotykali się, patrzyli na siebie, brali się za ręce, tulili do siebie; ale istniała pewna granica, której nie przekraczali; nie dlatego, by jej strzegli — nie wiedzieli o niej. Mariusz czuł nieprzekraczalną zaporę — czystość Kozety; Kozeta czuła niezawodne oparcie — uczciwość Mariusza. Pierwszy pocałunek był zarazem ostatnim. Od tej pory Mariusz ośmielał się tylko musnąć czasem ustami rękę, szal lub pukiel włosów Kozety. Nie była dlań kobietą, lecz cudowną wonią. Oddychał nią. Ona nie odmawiała mu niczego, on niczego śnie żądał. Kozeta była szczęśliwa, Mariusz — zadowolony. Żyli w tym cudownym stanie, który nazwać można by olśnieniem jednej duszy przez drugą. Był to niewysłowiony pierwszy uścisk dwóch niepokalanych duchów w sferze ideału. Spotkanie dwóch łabędzi na Jungfrau.

W tym okresie miłości, kiedy zmysły milczą ogarnięte wszechmocą ekstazy, Mariusz, ten czysty i seraficzny Mariusz, byłby zdolny raczej pójść do dziewczyny ulicznej niż unieść suknię Kozety i odstąpić jej stopy. Gdy pewnego razu, w noc księżycową, Kozeta schyliła się, by podnieść coś z ziemi, i gdy stanik rozchylił się, odsłaniając nieco piersi, Mariusz odwrócił oczy.

Co działo się między tymi dwoma istotami? Nic. Ubóstwiały się.

Nocą, gdy byli razem, ogród wydawał im się miejscem świętym, żyjącym własnym życiem. Wszystkie kwiaty otwierały kielichy i słały ku nim upajające wonie; a oni otwierali swe dusze, które spływały na kwiaty. Zmysłowa, bujna roślinność drżała pełna wzbierających soków i upojenia wokół tych dwóch niewinnych istot, a oni wypowiadali słowa miłości, które dreszczem przejmowały drzewa.

Czym były te słowa? Tchnieniem. Niczym więcej. Lecz tchnienie to wystarczało, by wzburzyć i wzruszyć całą przyrodę. Magiczną ich moc trudno byłoby zrozumieć, czytając w książce te rozmowy przeznaczone dla wiatru, który miał unosić je i rozsnuwać po liściach jak dym. Odejmiście od szeptów dwojga zakochanych melodię, która płynie z duszy i wtóruje słowom, niby akompaniament na lirze, a zostanie wam tylko cień; powiecie wówczas: „Jak to? Tylko tyle? Nic więcej? Tak, dziecinada, powtarzanie ciągle tego samego, wybuchy śmiechu z byle powodu, błażostki, głupstwa — to właśnie to, co jest najwznioślejsze i najgłębsze na świecie, jedyne rzeczy, które warto mówić i których warto słuchać.

Kto nigdy nie słuchał i nigdy nie mówił tych nie-dorzecznych, śmiesznych słów, jest człowiekiem głupim i złym. Kozeta mówiła do Mariusza:

— Czy wiesz?...

(Wśród tego wszystkiego bowiem, w niebiańskiej niewinności, sami nie wiedząc, jak się to stało, zaczęli sobie mówić po imieniu.)

— Czy wiesz? Mam na imię Eufrazja.

— Eufrazja? Skąd znowu, przecież nazywasz się Kozeta!

— Ach, to tylko takie nieładne przezwisko, które mi dano, kiedy byłam małą. Eufrazja to moje prawdziwe imię. Nie podoba ci się?

— Owszem... Ale Kozeta też brzmi ładnie.

— Bardziej ci się podoba niż Eufrazja?

— Chyba tak...

— No to i mnie także. Rzeczywiście, Kozeta to ładne imię. Nazywaj mnie Kozeta.

Mówiła to z uśmiechem który zmieniał ich dialog w idyllę, godną jakiegoś niebiańskiego gaju. Kiedy indziej, wpatrując się w Mariusza, wołała:

— Pan jest piękny, mój panie, i ładny, i mądry, wcale nie jest pan głupi, jest pan o wiele bardziej ode mnie wykształcony, ale nie ustępuję panu pod jednym względem: kocham cię.

Mariuszowi, tonącemu w błękitach, wydawało się, że to gwiazda wyśpiewała poemat.

Albo też, gdy zakaszłał, Kozeta uderzała go lekko po ramieniu i mówiła:

— Proszę nie kaszleć, mój panie! Tu nie wolno kaszleć bez mojego pozwolenia. To brzydko tak mnie niepokoić swoim kaszlem. Chcę, żebyś był zdrow, bo przecież gdybyś chorował, ja byłabym bardzo nieszczęśliwa. Powiedz, jakżeby mogło być inaczej?

Było to po prostu boskie.

Raz Mariusz, powiedział Kozecie:

— Wyobraź sobie, że przez pewien czas myślałem, że ci na imię Urszula.

Śmiali się z tego przez cały wieczór. Kiedyś, wśród innej rozmowy, wymknęły mu się słowa:

— Och, raz w Ogrodzie Luksemburskim miałem ochotę połamać do reszty pewnego inwalidę.

Tu nagle uciął i nie powiedział nic więcej. Musiałby wspomnieć Kozecie o jej podwiązce, a to było dla niego niepodobieństwem. Tu wznosiła się nieznana przeszkoda — ciało — przed którą ta bezgraniczna niewinna miłość cofała się, zdjęta jakimś świętym lękiem.

Mariusz tak właśnie wyobrażał sobie życie z Kozetą. Niczego więcej nie było mu trzeba: przychodzić co wieczór na ulicę Plumet, odsuwać usłużny pręt w ogrodzeniu, siedzieć na ławce, ramię przy ramieniu, patrzeć poprzez drzewa na migotliwe blaski zapadającej nocy, załamaniem spodni na kolanie dotykać szerokiej sukni Kozety, głaskać jej paznokcie, mówić jej po imieniu, wachać ten sam kwiat — zawsze, w nieskończoność. Tymczasem chmury przepływały nad ich głowami. Każde tchnienie wiatru unosi więcej marzeń człowieka niż obłoków nieba.

Nie można powiedzieć, by ta czysta, płochliwa (miłość była zupełnie pozbawiona zalotności. „Prawienie komplementów” ukochanej jest pierwszą formą pieśczości, półodwagą, która próbuje swych sił. Komplement — to jakby pocałunek poprzez zasłonę. Jest w nim dotknięcie zmysłowości słodkiej, lecz ukrytej. Serce cofa się przed zmysłowością, by mocniej kochać. Przepojone marzeniem czułości Mariusza były — rzecz można — niebiańskie.

Ptaki przelatujące hen, w górze, w bliskości aniołów, muszą słyszeć podobne słowa. A przecież było w nich też i życie, człowieczeństwo i tyle poczucia rzeczywistości, na ile Mariusza było stać. Były to słowa, które mówi się w zacisznym ustroniu, preludium do słów, które się będzie mówiło w alkowie, liryczne wynurzenia; połączenie sonetu i strofy poematu, wdzięczne hiperbole miłosnego gruchania, bukiet wszelkich odcieni uwielbienia, tchnący delikatną, niebiańską wonią, niewymowny szczebiot dwóch serc.

— Jakaś ty piękna! — szeptał Mariusz. — Nie śmiem patrzeć na ciebie. I dlatego wpatruję się w ciebie z zachwytem. Jesteś samym wdziękiem. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Gdy twój pantofelek wysunie się spod sukienki — drzę cały. Jakie czarodziejskie światełko błyska z każdej twojej ledwie poczętej myśli. Jesteś zadziwiająco rozumna. Wydaje mi się czasem, że jesteś snem. Mów, słucham cię, podziwiam. O Kozeto! Jakie to dziwne i cudowne, ja od zmysłów odchodzę! Jesteś precudna, panienko. Przez mikroskop patrzę na twoją nóżkę, a przez teleskop na duszę.

A Kozeta mówiła:

— Kocham cię trochę więcej, więcej o ten cały czas, który upłynął od rana.

W tych rozmowach pytania i odpowiedzi padały bezładnie, lecz zawsze zmierzały zgodnie do jednego celu: miłości.

Kozeta była ciąa naiwnością, przejrzystością, bielą, czystością, promiennością. Rzec by można, że była świetlista. Postać jej przywodziła każdemu na myśl kwiecień i jutrzenkę. Oczy miała jak skąpane w rosie. Była światłością poranka w postaci kobiety.

Że Mariusz, ubóstwiając Kozetę, podziwiał ją, to rzecz zrozumiała. Ale trzeba przyznać, że ta mała pensjonarka, świeżo wypuszczona z klasztoru, rozmawiała z czarującą bystrością i wypowiadała niekiedy najrozmaitsze myśli pełne subtelności i prawdy. Jej szczebiot był rozmową.

Nie myliła się w niczym i o wszystkim miała trafny sąd. Kobieta czuje i mówi, wiedzona tkliwym instynktem serca, który się nie myli. Nikt tak jak ona nie potrafi mówić rzeczy miłych, a zarazem głębokich. Słodycz i głębia — oto istota kobiety; oto istota nieba.

W tej pełni szczęścia — co chwila łzy napływały im do oczu. Rozgnieciona boża krówka, piórko, które spadło z gniazdka, złamana gałązka tarniny — napełniały ich litością i w swym zachwyceniu, spowitym mgłą melancholii, najbardziej — zda się — pragnęli płakać. Najistotniejszą oznaką miłości jest rozrzewnienie, niekiedy prawie nie do zniesienia.

Ale równocześnie — sprzeczność ta jest grą światła — śmiali się chętnie i z taką czarującą swobodą, tak poufale, że czasem sprawiali wrażenie niemal dwóch chłopców. Jednakże — choć nie wiedzą o tym serca upojone czystością — wieczna natura jest zawsze przy nich. Jest — wraz ze swym celem brutalnym i wzniosłym zarazem; i nawet w najniewinniejszym spotkaniu czystych 'dusz wyczuwa się cudowną i tajemniczą różnicę, jaka dzieli parę kochanków od pary przyjaciół.

Kozeta i Mariusz ubóstwiali się.

To, co wieczne i niezmienne, nie przestaje istnieć. Dwie istoty kochają się, uśmiechają się do siebie, śmieją, przekomarzają, splatają dłonie, mówią sobie: „ty” — a wieczność się nie zmienia. Para kochanków kryje się w wieczornym zmroku, jak ptaki i róże, serca ich promieniają z ich oczu urzekając się nawzajem; toczą ciche rozmowy, szepczą — a tymczasem nieogarniony, równomierny ruch gwiazd wypełnia nieskończoność.

ROZDZIAŁ II

Upojenie pełnią szczęścia

Oszołomieni szczęściem, żyli na pół przytomna. Nie spostrzegła, że właśnie w tym miesiącu cholera dziesiątkowała Paryż. Zwierzyli się sobie ze wszystkiego, ale te zwierzenia nie posunęły się o wiele dalej poza wymianę imion. Mariusz powiedział Kozecie, że jest sierotą, nazywa się Mariusz Pontmercy, jest adwokatem i utrzymuje się z pisania różnych rzeczy dla księgarzy; że ojciec jego był pułkownikiem, że to był bohater i że on, Mariusz, poróżnił się ze swym dziadkiem, który jest bogaty. Napomknął też, że jest baronem, ale to nie wywarło na Kozecie żadnego wrażenia. Mariusz — baronem? Nie rozumiała tego, nie wiedziała, co to słowo znaczy. Mariusz był Mariuszem. Ona zaś ze swej strony zwierzyła mu się, że wychowała się w klasztorze PetitPicpus, że ona również nie ma matki, że ojciec jej nazywa się pan Fauchelevent i jest bardzo dobry, wspomaga hojnie biednych, ale sam jest biedny i odmawia sobie wszystkiego, jej dogadzając we wszystkim.

Dziwna rzecz, w tej jakiby symfonii, w której żył Mariusz, odkąd widywał się z Kozetą, niedawna nawet, przeszłość stała się dla niego tak odległą i tak się zatarła, iż opowiadania Kozety wystarczyły mu całkowicie. Nie przyszło mu nawet do głowy, by opowiedzieć jej o nocnej przygodzie w ruderze, o Thenardierach, o spalonej ręce, osobliwym zachowaniu i dziwnej ucieczce jej ojca. Na razie zapomniał o tym; wieczorem nie wiedział nawet, co robił rano ani gdzie jadł obiad, ani z kim rozmawiał; w uszach brzmiały mu pienia, które zagłuszały każdą inną myśl, żył tylko w godzinach, kiedy widywał Kozetę. Wtedy był w niebie, nic więc dziwnego, że nie pamiętał o ziemi.

Oboje ślaniali się w upojeniu pod niepojętym brzemieniem rozkoszy duchowych. Tak żyją owi somnambulicy, których świat zwie parą zakochanych.

Niestety, któż tego nie doświadczył? Czemuż nadchodzi chwila, w której człowiek opuszcza ten raj? I czemu życie toczy się potem dalej?

Kochanie zastępuje myślenie. Miłość — to żarliwe zapomnienie o wszystkim, co nie jest miłością. Nie wymagajcie logiki od namiętności. Jak w mechanizmie niebieskim nie ma idealnej figury geometrycznej, tak i w sercu ludzkim nie ma doskonale logicznych skojarzeń. Dla Kozety i Mariusza nie istniało nic poza Mariuszem i Kozetą. Cały świat zapadł się dokoła nich. Przeżywali złotą chwilę. Przed nimi nie było nic, za nimi nie było nic. Mariusz nie zdawał sobie prawie sprawy, że Kozeta ma ojca. Umysł miał jakby przysłonięty zachwytem. O czym więc rozmawiała ta para kochanków? Wiemy już: o kwiatach, jaskółkach,

zachodach słońca, wschodzie 'księżycy — tych wszystkich ważnych sprawach. Powiedzieli sobie wszystko z wyjątkiem wszystkiego. Owo „wszystko” kochanków to „nic”. Ale ojciec, rzeczywistość, tamta rudera, bandyci, tamta przygoda, po co o tym myśleć?. Mariusz nie był nawet pewny, czy rzeczywiście przeżył ten przykry sen. Byli razem — we dwoje, ubóstwiali się — to tylko było rzeczywistością. Wszystko inne nie istniało. Prawdopodobnie takie zatarcie się w pamięci przeżytego piekła jest nieodłączne od dojścia do raju. Człowiek nie wie, czy naprawdę widział demony? Czy one w ogóle istnieją? Czy drżał przed nimi, czy cierpiał? Już nie wie tego: wszystko zaślania, różany obłok.

Na takich to wyżynach żyły te dwie istoty w sferze nieprawdopodobieństwa istniejącego w naturze: zawieszony między nadirem a zenitem, między człowiekiem a aniołem, ponad ziemskim błotem, poniżej sfer niebieskich, w chmurach; będące bardziej duszą i eks-tazą niż krwią i ciałem, już zbyt wysublimowane, by stąpać po ziemi, jeszcze zbyt obarczone człowieczeństwem, by ulecieć w błękity, w zawieszeniu, jak atomy, które czekają na chemiczną reakcję; pozornie niedosięte dla losu, nie wiedzące nic o tej grząskiej koleinie, zwanej wczoraj, dziś i jutro; zachwycone, upojone, zwiewne, nieraz tak bezcielesne, że zdolne do ucieczki w nieskończoność, prawie gotowe do odlotu w wieczność.

Ukołysani, śnili na jawie. O cudowny letargu rzeczywistości przytłoczonej ideałem!

Choć Kozeta była niewymownie piękna, Mariusz nieraz zamykał przy niej oczy. Mając oczy zamknięte, najlepiej widzi się duszę.

Nie zastanawiali się, dokąd ich to zaprowadzi; uważali, że już doszli do celu. Dziwne jest uroszczenie ludzi, którzy chcą, by miłość gdzieś wiodła.

ROZDZIAŁ III

Pierwsze smugi cienia

Jan Valjean nie domyślał się niczego.

Kozeta, z natury mniej marzycielska niż Mariusz, była wesoła i to wystarczyło, by Jan Valjean czuł się szczęśliwy. Myśli Kozety, jej tkliwe uczucia, obraz Mariusza wypełniający duszę nie mąciły niezrównanego blasku jej czystego, pogodnego czoła. W tym wieku dziewczyna nosi swoją miłość jak anioł lilię. Jan Valjean był tedy spokojny. Poza tym, gdy między kochankami istnieje porozumienie, wszystko układa się pomyślnie, osobę trzecią, która mogłaby zakłócić ich miłość, trzymają w doskonałej nieświadomości, przy pomocy nielicznych środków ostrożności, zawsze jednakich u wszystkich zakochanych. Tak więc Kozeta nigdy i w niczym nie sprzeciwiała się woli Jana Valjean.

Chciał iść na przechadzkę? Dobrze, ojczulku. Chciał pozostać w domu? Doskonale! Chciał spędzić razem z nią wieczór? Była zachwycona. A że szedł do siebie zawsze o dziesiątej, więc w te wieczory Mariusz wchodził do ogrodu dopiero po tej godzinie, gdy usłyszał z ulicy, że Kozeta otwiera oszklone drzwi na ganek. Rzecz jasna, że za dnia Mariusz nigdy się tam nie pokazywał. Jan Valjean zapomniał o jego istnieniu. Raz tylko, pewnego ranka, zapytał Kozety: „Co to? Masz ubielone plecy?” To poprzedniego wieczora Mariusz w uniesieniu przycisnął ją do ściany.

Stara Toussaint kładła się wcześniej i po skończonej pracy myślała tylko o spaniu, toteż, podobnie jak Jan Valjean, nie wiedziała o niczym.

Mariusz nigdy nie wchodził do domu. Razem z Kozetą kryli się we wnęce koło ganku, żeby ich nikt nie mógł usłyszeć ani zobaczyć z ulicy; siedzieli tam, często za całą rozmowę ściskając sobie ręce po dwadzieścia razy na minutę i spoglądając na gałęzie drzew. Gdyby wtedy piorun padł o trzydzieści kroków ód nich, nawet by go nie zauważyli, tak przenikały się pochłaniając nawzajem ich marzenia.

Czystość promieniejąca. Godziny nieskalane, prawie całkowicie do siebie podobne. Taka miłość składa się z płatków lilii i piórek gołębiczy.

Cała szerokość ogrodu dzieliła ich od ulicy. Ilekroć Mariusz wchodził lub wychodził, starannie wsuwał na swoje miejsce pręt w ogrodzeniu, żeby nic się nie rzucało w oczy.

Odchodził zazwyczaj koło północy i wracał do Courfeyraca. Ten zaś mówił do Bahorela:

— Czy dasz wiarę? Mariusz wraca teraz o pierwszej w nocy.

Bahorel odpowiadał:

— Cóż chcesz? Cicha woda brzegi rwie.

Czasami Courfeyrac zakładał na krzyż ręce, przybierał poważną minę i mówił do Mariusza:

— Źle się prowadzisz, młodzieńcze!

Jako człowiek praktyczny, niechętnym okiem patrzył na odbłask niewidzialnego raju na twarzy Mariusza; nie był przyzwyczajony do wyjątkowych namiętności, irytowały go i nieraz usiłował przywołać Mariusza do rzeczywistości.

Pewnego ranka zwrócił się doń z przyganą:

— Mój drogi, robisz wrażenie kogoś, kto mieszka na księżycu — królestwo marzenia, prowincja ułudy, stolica Bańka Mydlana. No, chłopcze, powiedz, jak jej na imię?

Ale nikt nie mógł Mariuszowi „rozwiązać języka”. Raczej dałby sobie wyrwać paznokcie niż wydrzeć te trzy święte zgłoski, z których składało się najcudniejsze imię: Kozeta. Prawdziwa miłość jest promienna jak świt i niema jak grób. Mariusz zmienił się dla Courfeyraca o tyle, że jego milczenie promieniało szczęściem.

W tym uroczym maju Mariusz i Kozeta poznali to nieprawdopodobne szczęście:

Sprzeczać się i mówić sobie „pan”, „pani”, aby po tym milej było mówić sobie „ty”.

Długo i szczegółowo opowiadać o ludziach, którzy ich nic a nic nie obchodzą; jeszcze jeden dowód, że w owej zachwycającej operze, zwanej miłością, libretto nie ma wielkiego znaczenia.

Mariusz — słuchać Kozety mówiącej o strojach.

Kozeta — słuchać Mariusza rozprawiającego o polityce.

Słuchać, siedząc blisko siebie, turkotu wozów w ulicy Babilońskiej.

Patrzeć razem na gwiazdę w przestworzach lufo na świetlika w trawie.

Milczeń razem, co jest jeszcze większą rozkoszą niż rozmowa. Itd., itd. Tymczasem zbliżały się rozmaite powikłania.

Pewnego wieczora Mariusz spieszył na schadzkę bulwarem Inwalidów; szedł, jak zwykle, ze spuszczoną głową; miał już skręcić w ulicę Plumet, gdy usłyszał tuż przy sobie głos:

— Dobry wieczór, panie Mariuszu. Podniósł głowę i poznał Eponinę.

Doznał dziwnego wrażenia. Ani razu nie pomyślał o tej dziewczynie, od czasu gdy zaprowadziła go na ulicę Plumet; nie widział jej już później i zupełnie o niej zapomniał. Miał w stosunku do niej dług wdzięczności, jej zawdzięczał swoje obecne szczęście, a jednak to spotkanie było mu niemiłe.

Błędem jest mniemać, że szczęśliwa i czysta miłość prowadzi człowieka do stanu doskonałości; prowadzi go tylko — jak widzieliśmy — do stanu zapomnienia. W takich okolicznościach człowiek zapomina być złym, lecz zapomina również być dobrym. Znika gdzieś wdzięczność, obowiązek, pamięć rzeczy ważnych i niemiłych. Kiedy indziej — Mariusz inaczej zachowałby się wobec Eponiny. Ale teraz, pochłonięty Kozetą, nie zdawał sobie prawie sprawy, że to Eponina, Eponina Thenardier, że nosi nazwisko zapisane przez jego ojca, nazwisko, dla którego jeszcze parę miesięcy temu gotów był na wszystko. Ukazujemy tu Mariusza takim, jakim był w istocie. W blasku cudownej miłości nawet obraz ojca zbladł nieco w jego duszy.

Odpowiedział tedy z pewnym zakłopotaniem:

— A, to pani, panno Eponino!

— Dlaczego pan nazywa mnie panią? Czy zrobiłam panu co złego?

— Nie — odpowiedział.

Oczywiście, nie miał do niej żadnej urazy. Przeciwnie. Ale czuł, że teraz, kiedy był na ty z Kozetą, nie mógł postąpić inaczej; nie mógł mówić Eponinie po imieniu. Ponieważ milczał, zawołała:

— No, niech pan powie...

Tu urwała. Zdawało się, że tej dziewczynie, niedawno tak bez troskiej i zuchwałej, zabrakło słów. Usiłowała się uśmiechnąć i nie mogła. Powiedziała jeszcze:

— Więc?...

Po czym znowu umilkła i spuściła oczy.

— Do widzenia, panie Mariuszu — rzekła nagle i odeszła.

ROZDZIAŁ IV

Szkieł

Nazajutrz 3 czerwca — a 3 czerwca 1832 roku to data godna pamiętania z powodu ważnych wypadków, które jak ciężkie burzowe chmury zawisły wówczas nad Paryżem — Mariusz szedł o zmroku tą samą drogą, co poprzedniego wieczora, z sercem pełnym tych samych rozkosznych myśli, kiedy między drzewami bulwaru spostrzegł zmierzającą ku niemu Eponinę. Dwa dni . ż rzędu, tego za wiele. Zawrócił szybko, skręcił z bulwaru, zmienił kierunek i poszedł na ulicę Plumet ulicą Monsieur.

Wobec tego Eponina poszła za nim aż do ulicy Plumet, co jej się nigdy nie zdarzyło. Dotychczas bowiem wystarczało jej, że go widziała, kiedy przechodził bulwarem, i nie starała się z nim spotkać. Wczoraj dopiero spróbowała z nim pomówić.

Szła więc za Mariuszem, który nie wiedział o tym. Zobaczyła, jak odsunął pręt kraty i wśliznął się do środka.

— O — rzekła. — Wchodzi do domu!

Podeszła do kraty i, dotykając po kolei prętów, łatwo odnalazła ten, który Mariusz, odsunął. Szepnęła ponuro:

— Co to, to nie, Lizetto!

Usiadła na podmurowaniu kraty, tuż koło ruchomego pręta; jakby go pilnowała. W tym właśnie miejscu krata stykała się z murem sąsiedniej posesji, tworząc ciemne wgłębienie, w którym Eponina znikła zupełnie.

Siedziała tak przeszło godzinę, bez ruchu, milcząca, pogrążona w myślach.

Około dziesiątej jeden z nielicznych przechodniów ulicy Plumet, jakiś stary człowiek, który spieszył do domu i szybkim krokiem mijał to miejsce odludne i nie cieszące się dobrą sławą, idąc wzdłuż kraty, zbliżywszy się do załamania między kratą a murem, usłyszał głuchy i groźny szept:

— Nie dziwiłabym się, gdyby tu co wieczór przychodził!

Przechodzień rozejrzał się dokoła, nie zobaczył nikogo, nie odważył się zajrzeć w ciemny kąt i przeraził się bardzo. Przyśpieszył kroku.

Dobrze zrobił, że się pośpieszył, gdyż wkrótce sześciu mężczyzn, którzy szli wzdłuż muru osobno w pewnej odległości jeden od drugiego i wyglądali na jakiś pijany patrol, weszło na ulicę Plumet.

Pierwszy, który doszedł do kraty ogrodu, zatrzymał się tam, czekając na resztę; po chwili zebrała się cała szóstka.

Zaczęli rozmawiać po cichu:

— To tu — rzekł jeden.

— Czy tu zabywa szkiele? — zapytał drugi.

— Nie wiem. Na wszelki wypadek miniam dla niego gałkę do sfrygania.

— Miniasz plaster, żeby sprawić lipko? — Miniam.

— Krata jest stara — dodał piąty, który miał głos borzuchomowcy.

— To klawo — rzekł ten, który odezwał się drugi. — Nie zaśpiewa pod smykiem i nie będzie dużo kramu ze sznitem.

Szósty, który od tej pory nie odezwał się ani słowem, zaczął oglądać kratę, jak to przed godziną robiła Eponina, ujmując ręką kolejno każdy pręt i ruszając nim ostrożnie. Tak doszedł wreszcie do prętu, który Mariusz obłuźnił. Gdy już go chwycił, jakaś ręka wysunęła się nagle z cienia i spadła mu na ramię, coś pchnęło go silnie w pierś i ochrypy głos powiedział z cicha: " — Jest szkiele!

Jednocześnie wyrosła przed nim postać bladej dziewczyny.

Mężczyzna doznał wstrząsu, jaki wywołuje zawsze niespodziewane wydarzenie. Najeżył się i stał się straszny; nie ma nic groźniejszego niż widok spłoszonych drapieżników. Ich przerażenie jest przerażające. Cofnął się i wybełkotał:

— Co to za łajdaczka?

— Twoja córka.

Istotnie, to Eponina mówiła do Thenardiera.

Z ukazaniem się dziewczyny pięciu pozostałych, to znaczy Claquesous, Gueulemer, Babet, Montparnasse i Brujon zbliżyli się bez szmeru, bez pośpiechu, bez słowa, ze złowrogą powolnością, właściwą tym ludziom nocy.

Każdy z nich miał w ręku jakieś ohydne narzędzie. Gueulemer trzymał zakrzywione obcęgi, zwane przez bandytów „wydrą”.

— A ty co tu robisz? Czego chcesz? Zwariowałaś? — krzyknął Thenardier, o ile można krzyczeć szeptem. — Po coś tu przylazła i przeszkadzasz nam w pracy?

Eponina wybuchnęła śmiechem i rzuciła mu się na szyję.

— Jestem tu, bo tak mi się podoba. Cóż to, nie wolno posiedzieć sobie na kamieniu? To wy jesteście tu niepotrzebni. Czego tu chcecie, kiedy to przecież sucharek. Powiedziałam już Magnon, że tu nie ma nic do roboty. Pocałujże mnie, kochany ojczulku. Dawno cię nie widziałam! Więc już wyszedłeś?

Thenardier spróbował uwolnić się z objęć Eponiny i mruknął:

— Dobra, dobra, jużes mnie pocałowała. Tak, wyszedłem, już nie siedzę. A teraz zmiataj stąd.

Ale Eponina nie wypuściła go z uścisku i zasypała nowymi pieśczołami.

— Jak to zrobiłeś, ojczulku? Musisz być nie lada mądrałą, żeś się stamtąd umiał wydostać. Opowiedz no mi. A matka? Gdzie jest matka? Powiedz mi, co się dzieje z mamą?

Thenardier odrzekł:

— Jest zdrowa, nie wiem zresztą, puść mnie. Powiadam ci, idź stąd!

— A właśnie że nie chcę — odpowiedziała Eponina z miną rozkapryzonego dziecka. — Nie widzieliśmy się przez cztery miesiące, ledwo cię uściskałam, a ty mnie odpędzasz.

I znów objęła ojca za szyję.

— Co za głupstwa — rzekł Babet.

— Spieszmy się! — rzekł Gueulemer. — Bo jeszcze gliny nadejdą.

Głos brzuchomówcy wyskandował dwuwiersz:

*Dziś nie Wielkanoc, moja dziełatko,
By się fladować z mamą i z tatką.*

Eponisna odwróciła się do pięciu bandytów:

— A, to pan Brujon. Dzień dobry panu, panie Babet, dzień dobry, panie Claquesous. Cóż to, pan mnie nie poznaje, panie Gueulemer? Jak się masz, Montparnasse?

— Dobra, dobra, każdy cię już poznał — rzekł Thenardier. — A teraz dobranoc, do widzenia, zjeżdżaj stąd i daj nam święty spokój.

— Teraz lisy wychodzą na żer, a nie kwoczki — rzekł Montparnasse.

— Widzisz przecie, że idziemy tu na klawisz — dodał Babet.

Eponina ujęła Montparnasse'a za rękę.

— Uważaj — powiedział — bo się zatniesz; mam knyp otwarty.

— Mój kochany — rzekła Eponina ze słodyczą — trzeba mieć zaufanie do ludzi. Jestem chyba córką mojego ojca. Panie Babet, panie Gueulemer, przecież to ja miałam zbadać tę sprawę.

Rzecz godna uwagi: Eponina nie mówiła językiem złodziejskim. Od czasu poznania Mariusza ten szkaradny żargon nie mógł jej przejść przez gardło.

Ręką wątlą i kościstą jak dłoń szkieletu ścisnęła wielką rękę Gueulemera i mówiła dalej:

— Wiecie dobrze, że nie jestem głupia. Zazwyczajufacie mi. Oddałam wam niejedną przysługę. Otóż wywiedziałam się o wszystkim i powiadam wara, szkoda czasu i atłasu. Przysięgam, że w tym domu nie ma nic do roboty.

— Tu są samotne kobiety — rzekł Gueulemer.

— Nie, już się wyprowadziły.

— Ale świece się nie wyprowadziły! — rzekł Babet. I poprzez górne gałęzie drzew pokazał Eponinie światółko, które poruszało się na strychu pałacyku.

Mimo spóźnionej pory stara To uissaint nie spała jeszcze i rozwieszała bieliznę.

Eponina zaryzykowała ostatnią próbę:

— Ależ to biedni ludzie — rzekła. — W całym domu nikt nie ma złamanego szeląga.

— Wynoś się do diabła! — zawołał Thenardier. — Jak przetrząśniemy chałupę i? przewrócimy wszystko do góry nogami od piwnicy po strych, to ci powiemy, co tam jest, czy patyki, czy lisy, czy szmelc.

I odepchnął ją, chcąc przejść.

— Kochany przyjacielu Montparnasse — rzekła Eponina — ty jesteś poczciwy

chłopak, proszę cię, nie wchodźcie!

— Uważaj, mówię ci, bo się możesz zaciąć! — odparł Montparnasse.

Thenardier odezwał się właściwym sobie, stanowczym tonem:

— Zjeżdżaj, córko, i daj ludziom spokojnie labdać. Eponina puściła rękę Montpamasse'a, którą uchwyciła, i spytała:

— Chcecie więc wejść do tego domu?

— Ano niby! — odrzekł z szyderczym śmiechem brzuchomówca.

Teraz dziewczyna oparła się o kraty i patrząc prosto w twarz sześciu uzbrojonym po zęby bandytom, których, rysy nabrały w nocy szatańskiego wyrazu, rzekła cichym i stanowczym głosem:

— Ale ja nie chcę.

Zatrzymali się zdumieni. Tylko brzuchomówca śmiał się szyderczo. Eponina mówiła dalej:

— Posłuchajcie uważnie, przyjaciele. To nie żarty. Teraz ja mówię. Jeżeli wejdziecie do ogrodu, jeżeli tylko dotkniecie tej kraty, będę krzyczeć, walić do drzwi, obudzę ludzi i sprowadzę żandarmów, żeby was wszystkich nakryli.

— Ona to zrobi — rzekł cicho Thenardier do Brujona i brzuchomówcy.

Przytaknęła ruchem głowy i dodała:

— Zaczynając od mojego ojca!

Thenardier zbliżył się do córki.

— Nie za blisko, staruszkule! — zawołała. Cofnął się, mrużąc przez zęby:

— Co się jej stało? — i dodał: — Suko!

Eponina wybuchnęła jakimś okropnym, śmiechem:

— Jak wam się podoba, ale nie wejdziecie. Nie jestem suką, jestem córką wilka. Jest was sześciu — i cóż z tego? Wy jesteście mężczyźni, a ja jestem kobietą, ale nie boję się was wcale. Powiadam wam, że nie wejdziecie do tego domu, bo tak mi się podoba. Zbliźcie się tylko, a zacznę szczekać. Powiedziałam wam, że tu jest szkieł. Ten szkieł — to ja. Gwiżdżę na was. Wynoście się stąd, mam was dosyć! Idźcie, gdzie chcecie, ale tu nie przychodźcie, zabraniam wam! Wy z

nożami, ja z pantoflem, wszystko mi jedno, zbliżcie się tylko!

Postąpiła krok ku bandytom. Była straszna. Znowu wybuchnęła śmiechem.

— Dalibóg, że się nie boję! I tak w lecie będę zdychała z głodu, a w zimie będę marzła. Śmieszne są te głupie chłopy, myślą, że nastraszą dziewczynę! Nastraszą — czym? Pęknać można ze śmiechu! Dlatego, że macie kochanki-szurgoty, co włożą ze strachu pod łóżko, jak na nie rozdieracie gębę, myślicie, żeście tacy straszni? Ja tam niczego się nie boję!

Utkwiła wzrok w Thenardierze i dodała: — Nawet ciebie!

Po czym mówiła dalej, wodząc po bandytach nabiegłymi krwią oczami upiora:

— A cóż mi z tego, że jutro znajdą mnie tu, na ulicy Plumet, zadźganą nożem przez własnego ojca albo za rok wyłowią z Saint-Cloud czy na Łabędziej Wyspie razem ze starymi, zgniłymi korkami i ścierwem potopionych psów?

Tu musiała przerwać i zaniosała się suchym kaszlem; oddech wydobywał się chrapliwie z jej wątlej, zapadłej piersi.

Po czym mówiła dalej:

— Niech tylko krzyknę, a zbiegną się ludzie i adiu Fruziu! Was jest sześciu, ale ja starcze za cały świat.

Thenardier uczynił ruch w jej kierunku.

— Nie zbliżaj się! — krzyknęła. Zatrzymał się i rzekł łagodnie:

— Nie, to nie, nie zbliżę się, ale ty nie mów tak głośno. Cóż to, córeczko, chcesz nam przeszkadzać w pracy? A przecież musimy zarabiać na chleb. Nie kochasz już swojego ojca?

— Nie zawracaj głowy — odrzekła Eponina.

— Musimy przecież z czegoś żyć, musimy jeść...

— Zdychajcie!

To powiedziawszy, usiadła na murku przy kracie nucąc:

*Rączki pulchniutkie,
Nóżki zgrabniutkie,
Napróžno tracę czas.*

Oparła łokieć na kolanie, brodę na -dłoni i z obojętną miną machała nogą. Przez dziury w sukni widać było chude obojczyki. Stojąca obok latarnia oświecała jej profil i postać. Trudno było wyobrazić sobie coś bardziej zdecydowanego i zdumiewającego.

Bandyci, widząc ze zdumieniem i złością, że jedna dziewczyna trzyma ich w szachu, stanęli w cieniu latarni i zaczęli się naradzać, wzruszając ramionami, upokorzeni i wściekli.

Eponina przyglądała im się ze spokojnym i groźnym, wyrazem twarzy.

— Coś w tym jest —.. rzekł Babet. — Ona ma jakiś powód. Może zakochała się? Ale szkoda marnować okazję. Dwie kobiety i stary, który mieszka w podwórzu. W oknach wiszą wcale niezłe firanki. Stary to pewno bałtacz. Myślę, że to dobry interes.

— No to wejdźcie! — zawołał Montparnasse. — Bierzcie się do roboty. Ja tu zostanę z dziewczyną i jeżeli się ruszy...

Tu błysnął w świetle latarni ostrzem noża, który trzymał otwarty w rękawie.

Thenardier milczał i zdawał się gotów na wszystko.

Brujon, który był dla nich niemal wyrocznią i jak wiadomo „naraił” robotę, jeszcze się nie odezwał. Zdawał się zamyślony. Miał opinię człowieka, który nie cofa się przed niczym, i wiadomo było, że raz, dla fantazji, obrabował posterunek żandarmerii. Poza tym układał wiersze i piosenki, dzięki czemu miał wielki autorytet.

Babet zagadnął go:

— Nic nie mówisz, Brujon?

Brujon milczał jeszcze chwilę, pokręcił głową w tę i w tamtą stronę i wreszcie zdecydował się przemówić:

— Posłuchajcie: dziś rano widziałem dwa bijące się wróble, dziś wieczór natykam się na kłójącą się kobietę. To zły znak. Idźmy stąd.

I poszli.

Odchodząc Montparnasse mruknął:

— Wszystko jedno, ale gdyby co do czego, to bym ją stuknął.

Babet odpowiedział:

— A ja nie. Nigdy nie podnoszę ręki na damę.

Na rogu ulicy przystanęli i wymienili półgłosem kilka zagadkowych zdań następującej treści:

— Gdzie będziemy spać tej nocy?

— Pod Pantinem.

— Thenardier, masz przy sobie klucz od kraty?

— No, pewnie.

Eponina, która nie spuszczała z nich oczu, zobaczyła, że zawracają w stronę, z której przyszli. Wstała i zaczęła pełznąć za nimi wzdłuż murów i domów. Tak doprowadziła ich do bulwaru. Tu rozeszli się w różne strony. Eponina widziała, jak sześciu mężczyzn zagłębiło się w ciemność jak gdyby rozptywając się w mroku.

ROZDZIAŁ V

Nocne sprawy

Po odejściu bandytów ulica Plumet odzyskała swój spokojny wygląd nocny.

To, co się działo przed chwilą na tej ulicy, nie zdziwiłoby leśnych ostępów.

Knieje, zarośla, wrzosowiska, splątane gałęzie, bujne zielska żyją ponurym życiem; dzikie kłębowisko dostrzega tam nagłe pojawienie się tego, co niewidzialne; to, co znajduje się poniżej człowieka, poprzez mgłę widzi tam to, co jest poza człowiekiem; i rzeczy, o których my, ludzie, nie wiemy, spotykają się tam ze sobą w ciemnościach nocy. Najeżona i dzika przyroda wzdraga się, gdy nadciąga coś, w czym wyczuwa nadprzyrodzoność. Ciemne moce znają się między sobą i w tajemniczy sposób równoważą. Kły i pazury boją się tego, co nieuchwytnie. Krwiożercza zwierzęcość, nienasycona żarłoczność w pogoni za łupem, instynkty zbrojne w szpony i szczęki, których jedynym motywem działania i jedynym celem jest zaspokojenie głodu, patrzą i z niepokojem wietrzą niewzruszony, widmowy kształt, który sunie spowity całunem, stoi w długiej powiewnej szacie i wydaje się żyć jakimś strasznym martwym życiem. Ta zwierzęcość, będąca samą materią, odczuwa mglisty lęk przed zetknięciem się z nieogarnioną tajemniczością, skupioną w nieznannej istocie. Przed ciemną postacią, spotkaną na swej drodze, zatrzymuje się nagle każde dzikie zwierzę. To, co wyłania się z mogiły, onieśmiela i niepokoi to, co wyłazi z legowiska. Dzika istota boi się istoty złowróznej, wilki uciekają przed upiorem.

ROZDZIAŁ VI

Mariusz do tego stopnia wraca do rzeczywistości, że zostawia Kozecie swój adres

Podczas kiedy ten pies w ludzkiej postaci warował przy kracie ogrodu i sześciu bandytów ustępowało przed jedną dziewczyną, Mariusz był przy Kozecie.

Nigdy niebo nie było bardziej wygwieżdżone i piękniejsze, drzewa bardziej drżące, woń ziół bardziej przenikliwa; nigdy głosy ptaków, usypiających wśród listowia, nie były słodsze; nigdy wszechświat harmonią, swej pogody nie wtórował tale zgodnie wewnętrznej muzyce miłości; nigdy Mariusz nie był bardziej zakochany, szczęśliwy, upojony zachwytem. Ale zastał Kozetę smutną. Musiała przed chwilą płakać. Miała zaczerwienione oczy.

Była to pierwsza chmurka w tym czarownym śnie.

Mariusz zapytał:

— Co ci jest? Odpowiedziała:

— Powiem ci.

Potem usiadła na ławce przy ganku, a gdy on siadał przy niej drżąc z niepokoju, mówiła dalej:

— Ojciec powiedział mi dziś rano, żebym się przygotowała do podróży, że ma jakieś sprawy do załatwienia i może wyjedziemy.

Mariusz zadrżał od stóp do głów.

U kresu życia — umrzeć znaczy odejść, u początku życia — odejść znaczy umrzeć.

Od sześciu tygodni Mariusz z każdym dniem, powoli, nieznacznie, stopniowo brał Kozetę w posiadanie. Posiadanie czysto idealne, lecz głębokie. Jak to już wyjaśniliśmy, w okresie pierwszej miłości bierze się duszę dużo wcześniej niż ciało; później bierze się ciało dużejwcześniej niż duszę; a czasem duszy nie bierze się wcale. Ludzie tego pokroju co Faublas i Prudhomine dodają: „bo dusza nie istnieje”; ale, na szczęście, sarkazm ten jest bluźnierstwem. Mariusz posiadał więc Kozetę, posiadał tak, jak posiada duch, ale otulił ją całą swą duszą i trzymał zazdrośnie z niezachwianym przeświadczeniem posiadania. Do niego należał jej uśmiech, oddech, woń szaty, świetlista głębia niebieskich

żrenic, atlasowa skóra ręki, którą gładził, rozkoszne znamię na szyi, wszystkie myśli.

Umówili się, że co noc będą śnić o sobie, i dotrzymywali słowa. Posiadał więc wszystkie sny Kozety. Wpatrywał się i nieraz muskał oddechem małe kędziorki wijące się na jej karku i był przeświadczony, że każdy, najmniejszy włoszek należał do niego — do Mariusza. Podziwiał i uwielbiał jej stroje, kokardy, rękawiczki, mankiciki, pantofelki, niby przedmioty święte, których był panem i władcą. Myślał że jest panem tych ślicznych szylkretowych grzebyków, wpiętych w jej włosy, i nawet mówił sobie — był to głuchy i niewyraźny szept budzącej się żądz — że każda tasiemka u jej sukni, każde oczko w pończosze, każda zakładka w staniku na. leży do niego. Siedząc przy Kozecie, czuł, że jest przy swojej własności, przy swojej rzeczy, przy swoim tyranie i swojej niewolnicy. Zdawało się, że dusze ich tak zespoliły się ze sobą, że gdyby chcieli je rozdzielić, nie mogliby ich rozpoznać: „To moja.” — „Nie, to moja.” „Zapewniam cię, że się mylisz. To jestem ja.” — „To, co bierzesz za siebie, to właśnie jestem ja.” Mariusz stał się jak gdyby częścią Kozety, a Kozeta częścią Mariusza. Czuł, że Kozeta w nim żyje. Mieć Kozetę, posiadać Kozetę było dlań tym, samym co oddychać. I teraz właśnie, gdy żył tą wiarą, upojeniem, posiadaniem dziewiczym, niezwykłym i absolutnym, gdy czuł się wszechwładnym panem, padły nagle słowa: „Wyjeżdżamy”, i brutalny głos rzeczywistości zawołał: „Kozeta nie jest twoja!”

Mariusz obudził się. Od sześciu tygodni żył — jak wspominaliśmy — poza życiem. Słowo „Wyjechać” szorstko przywołało go do życia.

Nie znalazł odpowiedzi. Kozeta poczuła tylko, że ma bardzo zimną rękę. Teraz ona z kolei zapytała:

— Co ci jest?

Odpowiedział tak cicho, że go ledwie dosłyszała:

— Nie rozumiem, co powiedziałaś.

— Dziś rano ojciec mi powiedział — powtórzyła — żebym przyszykowała wszystkie moje rzeczy i była gotowa, że da mi swoją bieliznę do zapakowania, że musi wyjechać, że wyjeżdżamy, że potrzebny będzie duży kufer dla mnie, a mały dla niego, że wszystko trzeba przygotować w ciągu tygodnia, że może pojedziemy do Anglii..

— Ależ to potworne! — zawołał Mariusz.

To pewne, że w tej chwili żadne nadużycie władzy, żadna przemoc, żaden gwałt najstraszniejszych tyranów, żaden postępek Buzyrysa, Tyberiusza czy

Henryka VIII nie dorównywał zdaniem Mariusza okrucieństwem temu, że pan Fauchelevant zabierał córkę do Anglii, bo tam miał interesy do załatwienia.

Zapytał słabym głosem:

— Kiedy wyjeżdżasz?

— Nie powiedział kiedy.

— A kiedy wrócisz?

— Nie powiedział kiedy. Mariusz wstał i zapytał chłodno:

— Jedzie pani, panno Kozeto?

Kozeta podniosła na niego swoje śliczne pełne udręki Oczy i odpowiedziała jak nieprzytomna:

— Gdzie?

— Do Anglii. Jedzie pani?

— Dlaczego mi mówisz: pani?

— Pytani, czy pani jedzie?

— Cóż mam zrobić? — odrzekła składając ręce. — A więc jedzie pani?

— Jeżeli ojciec jedzie?

— A więc jedzie pani?

Kozeta ujęła rękę Mariusza i ścisnęła ją bez słowa.

— Dobrze — rzekł Mariusz. — A zatem ja pojedę gdzie indziej.

Kozeta wyczuła raczej, niż zrozumiała znaczenie tych słów, zbladła tak bardzo, że w ciemności widać było jej białą twarz. Wyjąkała:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

Mariusz popatrzył na nią, potem zwolna podniósł oczy ku niebu i odrzekł:

— Nic.

Kiedy spuścił oczy, ujrzał, że Kozeta uśmiecha się do niego. Uśmiech kochanej kobiety świeci jasnością. widoczną w nocy.

— Jacyż my jesteście niemądry! Mariuszu, mam pomysł!

— Jaki?

— Jedź z nami! Powiem ci dokąd! Przyjedź tam, gdzie ja będę!

Mariusz obudził się już zupełnie. Spadł z obłoków do rzeczywistości i zawołał:

— Jechać z wami? Oszalałaś? Na to trzeba pieniędzy, a ja ich nie mam. Jechać do Anglii! Ależ ja jestem winien, sam już nie wiem ile, ale chyba z dziesięć luidorów Courfeyracowi, jednemu z moich przyjaciół, którego nie znasz. Mam stary kapelusz, nie wart trzech franków, surdut z poobrywanymi guzikami z przodu, podartą koszulę, dziurawe łokcie i dziurawe buty.. Od sześciu tygodni nie myślę o tym i nic ci niemówiłem. Jestem nędzarzem, Kozeto! Widujesz mnie tylko w nocy i darzysz swoją miłością, ale gdybyś mnie zobaczyła w dzień, obdarzyłabyś mnie jałmużną. Jechać do Anglii! Ależ ja nie mam nawet na opłacenie paszportu.

Oparł się gwałtownie o stojące w pobliżu drzewo splótłszy ręce nad głową i przytulając czoło do kory; nie czuł ani jej szorstkości, która kaleczyła mu skórę, ani gorączki, która młotem biła mu w skroniach, nieruchomy, bliski upadku, jak posąg rozpaczy.

Długo stał w tej pozycji. W takich otchłaniach możnatrwać wieczność. Wreszcie odwrócił się. Usłyszał za sobą stłumiony szmer cichy i żałosny.

To szlochała Kozeta.

Płakała tak od dwóch, godzin obok pogrążonego w myślach Mariusza.

Podszedł do niej, padł na kolana i chyląc się powoli do ziemi ujął koniec jej stopy, która wychyliła się spod sukienki, i pocałował ją.

Nie broniła mu. Są chwile, w których kobieta — niby chmurna bogini — przyjmuje kult miłości.

— Nie płacz — rzekł.

— Jeżeli ja mam wyjechać, a ty nie możesz wyjechać z nami! — wyszeptała.

Zapytał znowu:

— Kochasz mnie?

Odpowiedziała mu wśród łkań tym niebiańskim słowem, które najczarowniej brzmi przez łyzy:

— Ubóstwiam cię!

A on ciągnął dalej głosem, który był jak najczulsza pieśczoła:

— Nie płacz. Proszę, zrób to dla mnie i przestań płakać.

— A ty mnie kochasz? — zapytała. Wziął ją za rękę:

— Kozeto, nigdy nikomu nie dawałem słowa honoru, boję się słowa honoru. Czuję wtedy obecność ojca. Otóż daję ci najświętsze słowo honoru, że jeżeli ty wyjedziesz — ja umrę.

Wymówił te słowa tonem pełnym tak uroczystego i spokojnego smutku, że Kozeta zadrżała. Poczowała chłód, którym przejmuje bliskość tego, co tchnie grozą i prawdą jednocześnie. Dreszcz przerwał jej szloch.

— A teraz posłuchaj — rzekł. — Nie czekaj na mnie jutro.

— Dlaczego?

— Czekaj na mnie pojutrze.

— Ach, dlaczego?

— Zobaczysz.

— Cały dzień nie widzieć ciebie? To niemożliwe!

— Poświęćmy jeden dzień, żeby mieć może całe życie.

Tu Mariusz dodał półgłosem do siebie:

— Ten człowiek nie zmienia nigdy swoich zwyczajów i nikogo jeszcze nie przyjął w dzień.

— O kim mówisz? — spytała Kozeta.

— Ja? Ja nic nie mówię.

— Więc czego się spodziewasz?

— Poczekaj dwa dni.

— Chcesz tego?

— Tak, Kozeto.

Ujęła jego głowę w obie dłonie, wspięła się na palce i zajrzała mu w oczy, szukając w nich nadziei dla siebie. Mariusz mówił dalej:

— Myślę, że powinnaś znać mój adres, bo kto wie, co się może zdarzyć. Mieszkam u przyjaciela, nazwiskiem Courfeyrac, przy ulicy Szklarskiej numer 16.

Sięgnął do kieszeni, wyjął scyzoryk i wyrył nim na tynku ściany: „Szklarska numer 16.”

Tymczasem Kozeta znów zaczęła wpatrywać mu się w oczy.

— Powiedz mi, Mariuszu, jaki masz pomysł. Ty coś wymyśliłeś. Powiedz mi, ach, powiedz mi, żebym mogła spać spokojnie.

— Co wymyśliłem? Oto, że niemożliwe, żeby Bóg chciał nas rozłączyć. Czekaj na mnie pojutrze.

— A cóż ja będę robiła przez ten czas? — zapytała Kozeta. — Ty jesteś swobodny, możesz iść, gdzie chcesz. Szczęśliwi ci mężczyźni! A ja zostanę sama. O, jak mi będzie smutno! Co chcesz zrobić jutro wieczorem, powiedz?

— Chcę spróbować pewnej rzeczy.

— A więc będę się modlić i myśleć o tobie przez cały czas, żeby ci się powiodło. Nie pytam o nic, bo nie chcesz. Jesteś moim panem. Jutro zaśpiewani wieczorem tę pieśń z *Eurianty*, którą tak lubisz i której słuchałeś kiedyś wieczorem pod moim oknem. Ale pojutrze przyjdiesz wcześniej. Będę cię czekała punktualnie o dziewiątej. Uprzedzam! Mój Boże, jak to smutno, że dni są takie długie! Słyszysz — punkt o dziewiątej będę w ogrodzie.

— I ja też.

I bez słowa, kierowani jedną myślą,, porwani tym prądem elektrycznym, który nieustannie przebiega między kochankami, oboje upojeni rozkoszą w cierpieniu samym, padli sobie w ramiona, nie wiedząc o tym, że usta ich złączyły się w pocałunku, podczas gdy wzniesione ku niebu oczy, pełne zachwyty i skąpane we łzach, wpatrywały się w gwiazdy.

Mariusz wyszedł, ulica była pusta. Eponina odprowadzała właśnie bandytów na bulwar.

Gdy Mariusz rozmyślał, z głową opartą o drzewo, przyszedł mu pewien pomysł, pomysł, który — niestety — sam uważał za niemożliwy i niedorzeczny. Powziął rozpaczliwe postanowienie.

ROZDZIAŁ VII

Stare serce spotyka się z młodym

Dziadek Gillenormand miał w owym czasie dziewięćdziesiąt jeden lat z okładem. Mieszkał nadal wraz z panną Gillenormand przy ulicy Panien-Kalwaryjskich numer 6. Był to, jak pamiętamy, jeden z tych starców minionych czasów, którzy czekają śmierci wyprostowani i których ani brzemień lat, ani z gryzoty nie zdołają ugiąć.

Jednakże od pewnego czasu córka jego mawiała . „Ojciec się posunął." Nie policzkował już sług i z mniejszą energią walił laską w podest schodów, gdy Bask spóźniał się z otwarciem drzwi. Rewolucja lipcowa wzburzyła go zaledwie na sześć miesięcy. Z umiarkowanym podnieceniem wyczytał w „Monitorze" takie zestawienie wyrazów: pan HumiblotOonte — par Francji. Starzec był właściwie bardzo przygnębiony. Nie załamywał się ani nie poddawał, bo to nie leżało ani w jego naturze fizycznej, ani moralnej, ale czuł, że słabnie wewnątrz. Od czterech lat czekał na Mariusza z niezachwianym przekonaniem — to jest wła-ścaiwe określenie — że ten ladaco prędzej czy później zadzwoni *do* jego drzwi; a teraz zdarzały się ponure godziny, kiedy mówił sobie, że jeśli Mariusz każe czekać na siebie jeszcze dłużej... Nie śmierci się bał, ale myśli, że może nigdy już nie zobaczy Mariusza. Nie zobaczyć Mariusza — dotąd podobna myśl ani razu nie powstała mu w głowie; teraz zaś zaczęła się pojawiać i przejmowała go trwogą. Jak to zawsze bywa przy uczuciach wrodzonych i prawdziwych, nieobecność wzmogła jeszcze małość dziadka do niewdzięcznego wnuka, który poszedł w świat. W grudniowe mroźne noce najczęściej myślimy o słońcu. Pan Gillenormand nie był zdolny lub wydawało mu się, że nie jest zdolny uczynić — on, dziadek — pierwszego kroku pojednawczego. „Krew by mnie załała!" — mówił. Nie miał sobie nic do wyrzucenia, ale myślał o Mariuszu z najgłębszą tkliwością i niemą rozpaczą starca, który odchodzi! w ciemność.

Zaczął też tracić zęby, co zwiększało jeszcze jego przygnębienie.

Pan Gillenormand — nie przyznając się wszakże sobie do tego, wprawiłoby go to w złość i zawstydziło głęboko — nie kochał nigdy żadnej ze swych kochanek tak gorąco jak Mariusza.

Kazał sobie powiesić naprzeciw łóżka — tak, aby budząc się mieć go od razu przed oczami — stary portret swojej drugiej córki, zmarłej pani Pontmercy, zrobiony, gdy miała lat osiemnaście. Wpatrywał się ciągle w ten portret. Pewnego razu powiedział przyglądając mu się:

— Uważam, że jest podobny.

— Do mojej siostry? — podchwyciła panna Gillenormand. — O tak.

A starzec dodał:

— I do niego także.

Pewnego dnia, kiedy siedział, ściągnąwszy kolana, z przymkniętymi oczyma, w postawie wyrażającej wielkie przygnębienie, córka ośmieliła się zapytać:

— Ojcze, czy zawsze czujesz tę samą urazę?... Urwała nie mając odwagi dokończyć.

— Do kogo? — zapytał.

— Do biednego Mariusza?

Podniósł swą starą głowę, położył na stole wychudłą i pomarszczoną dłoń i zawołał z największą irytacją i przejęciem:

— Biedny Mariusz, powiadasz waćpanna? Ten panicz to hultaj, ladaco, fircyk, niewdzięcznik bez serca i bez duszy, zarozumialec, szelma!

I odwrócił głowę, by córka nie dostrzegła łzy w jego oku.

W trzy dni później przerwał milczenie, w którym się pograżył od czterech godzin, by znienacka odezwać się do córki:

— Miałem już honor prosić raz pannę Gillenormand, żeby nigdy ze mną o tym nie mówiła.

Ciotka Gillenormand zrezygnowała z wszelkich prób i postawiła taką wnikliwą diagnozę: „Ojciec nie bardzo kochał moją siostrę od czasu, gdy popełniła to głupstwo. Mariusza nie cierpi — to oczywiste. „Od czasu, gdy popełniła to głupstwo" — znaczyło — od czasu, gdy poślubiła, pułkownika.

Zresztą, jak to było do przewidzenia, pannie Gillenormand nie udało się podstawić na miejsce Mariusza swego ulubieńca, oficera lansjerów. Ewentualny następca, Teodul, nie podobał się. Pan Gillenormand nie zgodził się na zamianę. Pustki serca nie zapełni byle co. Ze swej strony Teodulowi, choć miałby chętkę na spadek po dziadku, nie uśmiechały się zabiegi o jego względy. Starzec nudził lansjera, a lansjer drażnił starca. Pan porucznik Teodul był niewątpliwie wesoły, ale gadatliwy; frywolny, ale wulgarny; hulaka, ale w złym guście; miał kochanki, to prawda, i wiele o nich mówił, to także prawda;

ale mówił w niewłaściwy sposób. Każda jego zaleta miała jakąś wadę. Pana Gillenormand nużyły jego przechwałki na temat przygód miłosnych w okolicy koszar przy ulicy Babilońskiej. Na domiar złego porucznik Gillenormand przychodził czasem w mundurze z trójkolorową kokardą — to czyniło go nie do zniesienia. Ojciec rzekł w końcu do córki:

— Dość mam twojego Teodula. Przyjmuj go sama, jeśli chcesz. Ja w czasie pokoju nie gustuję w wojakach. Z dwojga złego chyba wolę już prawdziwych rębajłów od tych fircyków, co paradują z szablą u boku. Szczęk ostrzy w czasie bitwy jest ostatecznie lepszy od brząkania szablą po bruku. A przy tym puszyć się jak junak i ścisnąć w pasie jak kokietka, nosić gorset pod zbroją, to już podwójna głupota. Prawdziwy mężczyzna równie unika fanfaronady, jak pretensjonalności. Nie jest ani zabijaką, ani lalką. Bierz sobie swojego Teodula.

Na próżno perswadowała mu córka:

— Przecież to ojca stryjeczny wnuk!

O ile jednak dla pana Gillenormand rodzony wnuk był wszystkim, o tyle stryjeczny niczym.

W istocie, ponieważ był człowiekiem rozumnym — przez porównanie z Teodulem coraz bardziej żałował Mariusza.

Pewnego wieczora, było to 4 czerwca, co nie przeszkadzało, że u pana Gillenormand palił się suty ogień na kominku, starzec odesłał córkę, która szyła w przyległym pokoju. Został sam w swojej sypialni ozdobionej pasterskimi scenami, nogi oparł o kratę kominka i na pół zasłonięty dużym parawanem z koromandelskiej laki, siedział wygodnie w swoim wyściełanym fotelu i trzymał w ręku książkę, ale jej nie czytał, oparty o stół, na którym płonęły dwie świece pod zielonym abażurem. Ubrany był na wzór elegantów z czasów swojej młodości i przypominał stary portret Garata. Gdyby tak wyszedł na ulicę, zwracano by na niego uwagę, toteż córka wkładała mu, gdy wychodził, szeroki płaszcz z peleryną, który okrywał jego strój. W domu chodził w szlafroku tylko po wstaniu z łóżka i przed pójściem spać. „To postarza” — mawiał.

Dziadek Gillenormand myślał o Mariuszu z wielką małością i goryczą i, jak zwykle, gorycz wzięła górę. Zgorzkniała tkliwość zaczynała w końcu wrzeć i przemieniała się w oburzenie. Doszedł już był do tego, że usiłował pogodzić się z losem i składał broń przed swoją boleścią. Tłumaczył sobie właśnie, że teraz Mariusz nie ma już powodu do powrotu. Że gdyby miał wrócić, to byłby to już zrobił dawniej, że trzeba pożegnać się z nadzieją. Starał się oswoić z myślą, że wszystko skończone i że umrze nie zobaczywszy „tego panicza”. Ale cała jego natura buntowała się przed tą myślą i stare ojcowskie serce nie mogło się z nią

pogodzić. „Jak to — powracał mu wciąż na myśl ten sam smutny refren — więc on już nie wróci?” Skłonił łysą głowę na piersi, a gniewny i żaloszny wzrok utkwiał błędnie w popiele kominka.

Gdy trwał tak pogrążony w głębokie] zadumie, wszedł stary sługa Baskijski i zapytał:

— Czy pan przyjmie pana Mariusza?

Starzec wyprostował się blady i podobny do trupa podniesionego galwanicznym wstrząsem. Cała krew spłynęła mu do serca. Wyjąkał:

— Jakiego pana Mariusza?

— Me wiem — odparł Baskijski zatrwożony i zbity z tropu wyglądem swego pana. — Nie widziałem go. To Nikoleta powiedziała mi: „Przyszedł młody panicz, powiedz panu, że to pan Mariusz.”

Pan Gillenormand wyjąkał cicho:

— Prosić.

Nie zmienił postawy, siedział z trzęsącą się głową i oczyma utkwionymi w drzwi. Otworzyły się. Wszedł młodzieniec. Był to Mariusz.

Mariusz zatrzymał się w drzwiach, jak gdyby czekając na zachętę, żeby się zbliżyć.

W cieniu rzucanym przez abażur, nie można było dostrzec jego nędznej odzieży. Widać było tylko twarz spokojną i poważną, ale dziwnie smutną.

Pan Gillenormand, osłupiały ze zdumienia i radości, siedział przez długą chwilę, widząc tylko jasność, jakby stanęło przed nim cudowne zjawisko. Był bliski omdlenia; widział Mariusza poprzez olśnienie. Tak, to był on, Mariusz!

Nareszcie! Po czterech latach! Objął go całego, żeby tak rzec, jednym spojrzeniem. Wydał mu się pięknym, szlachetnym, wytwornym, dorosłym, dojrzałym, pełnym wdzięku mężczyzną o ujmującym i dystyngowanym zachowaniu. Chciał wyciągnąć ku niemu ramiona, przywołać go do siebie, biec ku niemu, serce topniało mu z uniesienia, moc najczulszych słów przepętniała mu piersi. Cała ta czułość objawiła się w końcu, dotarła do warg i — prawem kontrastu stanowiącym istotę jego natury — znalazła wyraz w szorstkich słowach. Zapytał opryskliwie:

— Czego pan sobie życzy?

Mariusz odpowiedział z zakłopotaniem:

— Panie...

Pan Gillenormand pragnął, żeby Mariusz padł mu w ramiona. Był niezadowolony z Mariusza i z siebie. Czuł własną opryskliwość i chłód Mariusza. Świadomość, że przepełnia go tkliwość i rozrzewnienie, które umie okazać tylko z taką szorstkością, napełniała go nieznośnym, drażniącym bólem. Powróciła gorycz.

Przerwał Mariuszowi zrędlwym tonem:

— Więc po co pan przychodzi?

To „więc” znaczyło: jeśli nie po to, by mnie uściskać. Mariusz spojrział na dziadka, którego blada twarz wydawała się z marmuru.

— Panie...

Starzec przerwał surowo:

— Czy przychodzi pan prosić o przebaczenie? Czy uznał pan swą winę?

Chciał naprowadzić Mariusza na właściwą drogę, myślał, że „dziecko” się ugnie. Mariusz drgnął, żądano od niego, by się zaparł ojca; spuścił oczy i odpowiedział:

— Nie, panie.

— Wobec tego — wybuchnął gwałtownie starzec, z przejmującą i gniewną boleścią — czego pan chce ode minie?

Mariusz splótł ręce, postąpił krok naprzód i rzekł cichym, drżącym głosem:

— Panie, miej litość.

Te słowa poruszyły pana Gillenormand; powiedziane wcześniej byłyby go rozczuliły, ale przychodziły za późno. Starzec wstał wsparty na lasce obiema rękami; wargi miał białe, głowa mu drżała, ale jego wysoka postać górowała nad pochylonym Mariuszem.

— Litość nad tobą, mój panie? Młodzieniec prosi o litość dziewięćdziesięcioletniego starca? Wchodzisz w życie, a ja je opuszczam. Ty chodzisz do teatru, na bale, do kawiarni, grasz w bilard, jesteś dowcipny, podobasz się kobietom, jesteś ładnym chłopcem; a ja wśród lata spluwam w ogień rozpalony na kominku. Jesteś bogaty jedynym prawdziwym bogactwem, a ja mam wszystkie nędze starości — niemoc, samotność! Ty masz wszystkie

zęby, zdrowy żołądek, jasne oko, siłę, apetyt, zdrowie, wesołość, czarną, gęstą jak las czuprynę, a ja straciłem już nawet i siwe włosy, tracę zęby, tracę nogi, tracę pamięć; wciąż mi się mylą nazwy trzech ulic — ulicy Charlot, ulicy Chaume i ulicy Saint-Claude — do tego już doszedłem. Ty masz przed sobą słoneczną przyszłość, ja już w niej nic nie widzę, tak głęboko zapadłem w ciemność. Ty jesteś zakochany — to pewne, minie nikt na świecie nie kocha — i ty mnie prosisz o litość! Dalibóg, Moliere o tym zapomniał. Jeśli takie żarciki stroicie w sądach, panowie adwokaci, no to wam serdecznie wieszczę. Jesteście śmieszni.

I sędziwy starzec ciągnął głosem gniewnym i poważnym:

— No, czegoż pan chce ode mnie?

— Panie — rzekł Mariusz — wiem, że moja obecność jest mu niemiła, ale przyszedłem tylko poprosić o pewną rzecz i zaraz odejdę.

— Głupiec jesteś, mój panie! — odrzekł starzec. — Kto ci mówi, żebyś odchodził?

Było to tłumaczenie tych czułych słów, które miał w sercu: „Przepraszam mnie! Rzuć mi się na szyję!” Pan Gillenormand czuł, że za chwilę Mariusz go pożegna, że zraził go swym przyjęciem, odpychał szorstkością; powtarzał to sobie i nękała go coraz to większa boleść, a że boleść natychmiast przeobrażała się u niego w gniew, więc opryskliwość jego wzrastała. Chciał, żeby Mariusz zrozumiał, a Mariusz nic nie rozumiał. To doprowadziło starca do wściekłości. Mówił dalej:

— Jak to! Ubliżyłeś, mój panie, mnie — swemu dziadkowi, rzuciłeś mój dom, poszedłeś licho wie gdzie, doprowadziłeś ciotkę do rozpacz, żyłeś sobie kawalerskim życiem — oczywiście to wygodniej — miłostki, swawole, powroty do domu Bóg wie o jakiej porze, bawiłeś się, nie dałeś mi znaku życia, robiłeś długi i nawet słówkiem nie poprosiłeś, żebym je zapłacił, robiłeś burdy i awantury i teraz po czterech latach przychodzisz do mnie i tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Ten gwałtowny sposób zachęcania do czułości sprawił tylko tyle, że Mariusz zamilkł. Pan Gillenormand skrzyżował ręce na piersi, co u niego było gestem szczególnie władczym, i rzekł z goryczą:

— Skończmy z tym. Pan przyszedł prosić mnie o coś. O cóż więc? O co? Proszę mówić.

— Panie — rzekł Mariusz, że spojrzeniem człowieka, przed którym otwiera się przepaść — przychodzę prosić o pozwolenie wstąpienia w związek małżeński.

Pan Gillenormand zadzwonił. Baskijski uchylił drzwi.

— Poproś moją córkę.

W chwilę później drzwi otworzyły się znowu; panna Gillenormand ukazała się w nich, ale nie weszła. Mariusz stał w milczeniu ze spuszczonej rękami i miną przestępcy. Pan Gillenormand chodził wszerz i wzdłuż po pokoju. Odwrócił się do córki i rzekł:

— Nic takiego. To pan Mariusz. Przywitaj się z nim.

Pan Mariusz chce się żenić. To wszystko. Możesz już odejść.

Urywany i chrapliwy głos starca był oznaką niezwykłego uniesienia. Ciotka spojrzała z przerażeniem na Mariusza. Zdawało się, że go ledwie poznaje, nie uczyniła żadnego gestu, nie powiedziała ni pól słowa i znikła na skinienie ojca szybciej niż źdźbło trawy porwane huraganem.

Pan Gillenormand oparł się o kominek.

— Żenić się! W dwudziestym pierwszym roku życia! Gracko się uwinąłeś. O nic więcej nie chodzi, tylko o pozwolenie! Prosta formalność. Siadaj no, mój panie. A więc, przez ten czas, kiedy to nie miałem zaszczytu oglądać cię, mieliście rewolucję. Jakobini górą. Pan zapewne jest zadowolony. Wszak od czasu gdy zostałeś baronem, jesteś republikaninem. Umiecie to pogodzić ze sobą: republika jest przyprawą do baronostwa. Czy pan dostał może order za rewolucję lipcową? Brał pan udział w zdobyciu Luwru? Niedaleko stąd, na ulicy Sw. Antoniego, naprzeciwko ulicy Nonnains-d'Hyeres, na wysokości trzeciego piętra tkwi w murze domu kula armatnia z napisem, 28 lipiec 1830. Mech pan sobie to obejrzy. Piękny widok. Śliczne rzeczy wyprawiają pańscy przyjaciele! A propos, zdaje się, że na miejscu pomnika księcia de Berry budują fontannę. Zatem pan chce się żenić? Z kim? Czy Wolno mi o to zapytać bez popełnienia niedyskrecji?

Zatrzymał się i zanim Mariusz zdążył odpowiedzieć, dodał gwałtownie:

— A więc masz stanowisko? Zrobiłeś majątek? Ile zarabiasz na adwokaturze?

— Nic — odpowiedział Mariusz z jakąś-stanowczością i odwagą niemal ponurą.

— Nic? Utrzymujesz się więc z tych tysiąca dwustu liwrów, które ci posyłam?

Mariusz nie odpowiedział. Pan Gillenormand ciągnął dalej:

— A więc, rozumiem, panna jest bogata?

— Jak ja.

— Co? Nie ma posagu?

— Nie ma.

— Jakie sperandy?

— Chyba żadne.

— Goła jak mysz kościelna? A kim jest jej ojciec?

— Nie wiem.

— Jak się nazywa?

— Panna Fauchelevant.

— Fauche... jak?

— Fauchelevant.

— Pfi! — rzekł starzec.

— Panie! — krzyknął Mariusz.

Pan Gillenormand przerwał mu tonem człowieka, który mówi do siebie:

— Otóż to! Dwadzieścia jeden lat, bez stanowiska, tysiąc dwieście liwrów rocznie, pani baronowa Pontmercy będzie kupować u straganiarki włoszczyznę za dwa su.

— Panie — podjął Mariusz, widząc % obłądnym przerażeniem, że ostatnia nadzieja się rozwiewa — zaklinam pana na miłość Boską, błagam ze złożonymi rękami, błagam pana na klęczkach — pozwól mi ją poślubić.

Starzec kaszlał i mówił z przenikliwym ponurym śmiechem:

— Ach! Ach! Powiedziłeś sobie: „Niech wszyscy diabli, pójdę do tego głupiego ramola, tego starego piernika. Jaka szkoda, że nie mam jeszcze dwudziestu pięciu lat! Wysłałbym mu zawiadomienie z wyrazami poważania i obyłbym się bez pozwolenia! Ale i tak powiem mu: «Stary idioto, aż nadto cię uszczęśliwiam swymi odwiedzinami, mam ochotę ożenić się, mam ochotę poślubić panną jakąś tam, córką czyjąś tam, ja nie mam butów, ona nie ma koszuli, wszystko w porządku, mam ochotę utopić moją karierę, przyszłość, młodość, życie, mam ochotę dać nurka w nędzę z żoną na karku, tak mi się właśnie podoba, ty się na

to musisz zgodzić . I stara mumia się zgodzi!" Jazda, mój chłopcze, uwiąż sobie kamień u szyi, ożeń się z tą twoją Pousselevent, Coupelevent... Nigdy, mój panie, nigdy!

— Dziadku!

— Nigdy!

To „nigdy" starzec wymówił takim tonem, że Mariusz stracił wszelką nadzieję. Powolnym, chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój, jakby umierał raczej, niż odchodził. Pan Gillenormand wiódł za nim oczyma, a kiedy drzwi się otworzyły i Mariusz miał wyjść, w paru susach przebiegł pokój z energią porywczych i rozpieszczonych starców, chwycił wnuka za kołnierz, gwałtownie wciągnął go do pokoju, pchnął na fotel i rzekł:

— Opowiedz mi o wszystkim.

Tę przemianę wywołało jedno słówko „dziadku", które wyrwało się Mariuszowi.

Mariusz patrzył na niego błędnym wzrokiem. Ruchliwa twarz pana Gillenormand wyrażała już tylko szorstką, lecz niewymowną dobroć. Dobry dziadunio zajął miejsce surowego dziadka.

— No, słucham, opowiedz mi swoje miłostki, wypowiadaj się, gadaj wszystko, do diaska. Ach, te młokosy — cóż to za głupcy!

— Dziadku! — powtórzył Mariusz.

Twarc starca rozjaśniła się niewymownym blaskiem.

— O tak! Tak! Nazywaj mnie dziadkiem, a zobaczysz!

Było coś tak dobrego, tkliwego, szczerego i ojcowskiego w szorstkości starca, że Mariusz przechodząc nagle od rozpacz do nadziei poczuł się jakby ogłuszony i upojony. Siedział przy stole, światło świecy ukazywało jego zniszczone ubranie, któremu pan Gillenormand przyglądał się ze zdumieniem.

— Otóż, mój dziadku... rzekł Mariusz.

— Widzę — przerwał mu pan Gillenormand — że ty naprawdę nie masz ani grosza. Jesteś ubrany jak opryszek.

Poszperał w szufladzie, wyjął sakiewkę i położył na stole.

— Masz tu sto luidorów — rzekł. — Kup sobie kapelusz.

— Mój dziadku — mówił dalej Mariusz — mój kochany dziaduniu, gdybyś wiedział! Ja ją kocham. Nie wyobrażasz sobie, pierwszy raz zobaczyłem ją w Ogrodzie Luksemburskim, bo tam przychodziła na spacer. Z początku nie zwracałem na nią uwagi, a później — sam nie wiem, jak się to stało — zakochałem się. Ach! Jaki byłem nieszczęśliwy! Teraz wreszcie widuję ją codziennie, u niej. Ojciec jej nie wie o niczym, wyobraź sobie, że mają wyjechać, spotykamy się co wieczór w ogrodzie, ojciec chce ją zabrać do Anglii, więc powiedziałem sobie: „Pójdę do dziadka i opowiem mu wszystko.” Oszalałbym, umarłbym, zachorowałbym, utopiłbym się. Muszę się z nią koniecznie ożenić, inaczej zwariuję. Oto cała prawda, chyba niczego nie zapomniałem. Ona mieszka w ogrodzie, otoczonym kratą, przy ulicy Plumet. Niedaleko Inwalidów.

Dziadek usiadł rozpromieniony obok Mariusza. Słuchając go i delektując się brzmieniem jego głosu, delektował się też powolnym zażywaniem dużego niucha tabaki. Usłyszawszy słowa „ulica Plumet”, przerwał i resztę tabaki rozsypał na kolana.

— Ulica Plumet? Powiadasz ulica Plumet? Czekać no. Czy tam w pobliżu nie ma koszar? Ależ tak, to to samo. Twój kuzyn Teodul mówił mi o niej; ten lansjer, oficer. Kokietka, mój chłopcze, kokietka! Ależ tak, do diaska, ulica Plumet. Dawniej nazywała się Blomet. Teraz przypominam sobie. Słyszałem o tej dzierlatce zza kraty na ulicy Plumet. W ogrodzie. Istna Pamela. Masz niezły gust, podobno wcale urodziwa. Między nami mówiąc, zdaje się, że ten głupi oficerek trochę się do niej umizgał. Nie wiem, jak daleko zaszedł. Ale to nie ma znaczenia, a przy tym nie trzeba mu zbyt wierzyć. On lubi przechwałki. Mariuszu, moim zdaniem, dobrze robisz, że się kochasz. To przystoi twemu wiekowi. Wolę cię jako kochankę niż jako jakobina. Wolę, żebyś się kochał w spódniczce, co mówię, w dwudziestu spódniczkach, do licha, niż w jednym panu Robespierre! Co do mnie, to muszę sobie oddać sera- . wiedliwość, że spośród sankiulotów lubiłem tylko kobiety. Ładne dziewczątka jest zawsze ładnym dziewczątkiem, tak jest i basta! A co do twojej małej, to przyjmuje cię bez wiedzy tatusia. Tak zwykle bywa. I ja też miewałem podobne awanturki, i to nie jedną. Wiesz, co się robi w takich razach? Nie bierze się sprawy zbyt serio; nie robi się z tego tragedii; nie kończy się ślubem i wizytą u pana mera przepasanego szarfą. Jest się po prostu mądrym chłopcem ze zdrowym sensem w głowie. Kochajcie, ludzie, ale się nie żeńcie. Przychodzisz więc do dziadka, który w gruncie rzeczy jest wielkim poczciwiną i zawsze ma parę rulonów złota w starej szufladzie; powiadasz mu: dziadku, tak i tak. A dziadek powiada: najzwyczajniejsza w świecie historia. Młodość musi się wyszumieć, starość musi to, zrozumieć. Ja byłem kiedyś młody, ty będziesz kiedyś stary. Tak, mój chłopcze, oddasz to swojemu wnukowi. Masz dwieście pistolew, baw się, u licha!

Znakomicie, tak trzeba właśnie załatwiać sprawę. Nie trzeba się żenić, ale to

niczemu nie przeszkadza. Rozumiesz mnie?

Mariusz, skamieniały, nie mogąc wymówić słowa, potrząsnął głową na znak, że nie rozumie.

Staruszek parsknął śmiechem, przymrużył pomarszczoną powiekę, uderzył go ręką po kolanie, spojrzał w oczy z miną tajemniczą i promieniejącą i rzekł tkliwie, wzruszając ramionami:

— Zrób z niej swoją kochankę, głuptasie!

Mariusz zbladł. Nie rozumiał nic z tego wszystkiego, co przed chwilą mówił dziadek. Gadanina o ulicy Blomet, Pameli, koszarach i lansjerze przesunęła się przed nim jak senny majak. Nic z tego nie mogło odnosić się do Kozety, która była czysta jak lilia. Staruszek bredził. Ale to bredzenie zakończyło się słowem, które Mariusz zrozumiał, a które dla Kozety było śmiertelną zniewagą. Powiedzenie: „zrób z niej swoją kochankę”, jak miecz przeszło serce surowego młodzieńca.

Wstał, podniósł z ziemi kapelusz i stanowczym, pewnym krokiem podszedł ku drzwiom. Tu odwrócił się, skłonił się głęboko dziadkowi, podniósł głowę i rzekł:

— Przed pięciu laty znieważył pan mego ojca; dziś znieważa pan moją żonę. O nic już pana nie proszę. Żegnam.

Dziadek Gillenormand, zdumiony, otworzył usta, wyciągnął ramiona, chciał wstać, ale zanim zdołał wymówić słowo, drzwi się zamknęły i Mariusz znikł.

Starzec siedział chwilę nieruchomo, jak rażony gromem, nie mogąc przemówić ani odetchnąć, jakby czyjaś dłoń zacisnęła mu gardło. Wreszcie zerwał się z fotela, pobiegł do drzwi, o ile można biegać, mając lat dziewięćdziesiąt jeden, otworzył je i zawołał:

— Na pomoc! Na pomoc!

Nadbiegła córka, potem służba. Starzec rzeził żałośnie:

— Biegnijcie za nim! Złapcie go! Co ja mu złego zrobiłem? Oszalał! Poszedł sobie! Ach, mój Boże, mój Boże! Teraz już nie wróci!

Podszedł do okna, które wychodziło na ulicę, otworzył je starymi, drżącymi dłońmi, wychylił się więcej niż do połowy ciała i podczas gdy Bask i Nikoleta trzymali go z tyłu, wołał:

— Mariuszu! Mariuszu! Mariuszu! Mariuszu!

Ale Mariusz nie mógł go już słyszeć, właśnie w tej chwili skręcał w ulicę Św. Ludwika.

Starzec gestem rozpaczony parę razy podniósł ręce do skroni, cofnął się chwiejnym krokiem i opadł na fotel bez sił, bez głosu, bez łez, potrząsając głową i poruszając nieprzytomnie ustami, a w oczach i sercu miał już tylko ponurą głębię podobną do nocy.

KSIĘGA DZIEWIĄTA

DOKĄD IDĄ?

ROZDZIAŁ I

Jan Valjean

Tego samego dnia, około czwartej po południu, Jan Valjean siedział sam na stoku jednego z najmniej uczęszczanych, wałów Pola Marsowego. Czy to przez ostrożność, czy dlatego, że chciał zebrać myśli, czy może po prostu skutkiem nieuchwytniej zmiany przyzwyczajęń, jaka dokonuje się powoli w każdym ludzkim istnieniu, Jan Valjean rzadko teraz wychodził z Kozetą. Miał na sobie robotniczą bluzę, spodnie z szarego płótna, a szeroki daszek czapki zakrywał mu twarz. Jeśli chodziło, o Kozetę, był teraz spokojny i szczęśliwy; rozwiało się Wszystko, co przez pewien czas niepokoilo go i dręczyło; ale od tygodnia czy dwóch pojawiły się nowe troski. Pewnego dnia, przechadzając się po bulwarze, spostrzegł Thenardiera; dzięki przebraniu Thenardier go nie poznał. Ale od tego czasu Jan Valjean widział go kilkakrotnie i nabrał teraz pewności, że Thenardier krąży w tej dzielnicy. Był to dostateczny powód, by powziąć zasadniczą decyzję. Bliskość Thenardiera oznaczała wszystkie niebezpieczeństwa na raz.

Poza tym Paryż nie był spokojny; zaburzenia polityczne stwarzały tę niedogodność dla człowieka mającego coś do ukrywania w życiu, że policja stała się bardzo niespokojna i podejrzliwa; tropiąc takich ludzi, jak Pepin lub Morey, łatwo mogła trafić na człowieka w rodzaju Jana Valjean.

Ze wszystkich tych względów nie mógł być spokojny.

Wreszcie nowy i niewytłumaczony fakt, po którym jeszcze nie ochłonał, zaostriżył jego czujność. Tego właśnie ranka, wstawszy, wcześniej od innych domowników, spacerował po ogrodzie, zanim otworzyły się okiennice u Kozety, gdy nagle spostrzegł na ścianie napis, wyskrobany zapewne gwoździem: „Szkłarska numer 16.”

Napis był świeży, litery bieleły na poczerńiałym ze starości tynku, kępa pokrzyw rosnących pod murem przyprószona była jeszcze zeszkrobany wapnem. Zapewne ktoś napisał to ubiegłej nocy. Co to mogło być? Adres? Znak dla innych? Przestroga dla niego? Nie ulegało w każdym razie wątpliwości, że ktoś wtargnął do ogrodu, że przychodzili do niego jacyś nieznani ludzie. Przypomniał

sobie osobliwe zdarzenia, które niegdyś zaniepokoiły Kozetę. Snuł na tej kanwie domysły. Nie wspomniał Kozecie o napisie na ścianie, nie chcąc jej przestraszyć.

Zważywszy to wszystko, Jan Valjean postanowił opuścić Paryż, a nawet Francję i przenieść się do Anglii. Uprzedził o tym Kozetę. Chciał wyjechać w ciągu tygodnia. Siedział na Polu Marsowym, na zboczu wału i różne myśli cisnęły mu się do głowy: Thenardier, policja, napis na murze, wyjazd, trudności związane ze zdobyciem paszportu.

Zajęty rozmyślaniami spostrzegł po cieniu, rzucanym przez słońce, że ktoś zatrzymał się tuż za nim, na *szczyście* wału. Nim zdążył się odwrócić złożona we czworo kartka papieru upadła mu na kolana, jakoby czyjaś ręka rzuciła ją ponad jego głowę. Wziął kartkę, rozwinął i przeczytał słowa, napisane ołówkiem dużymi literami:

Wyprowadźcie się.

Jan Valjean zerwał się, ale na wale nie było już nikogo; rozejrzał się dokoła i spostrzegł jakąś istotę, większą niż dziecko, mniejszą niż dorosły mężczyzna, ubraną w szarą bluzę i popielate welwetowe spodnie; stworzenie to przesunęło się na drugą stronę wału i zsunęło do rowu otaczającego Pole Marsowe.

Jan Valjean wrócił natychmiast do domu, pogrążony w niespokojnych myślach.

ROZDZIAŁ II

Mariusz

Mariusz wyszedł od pana Gillenormand zdruzgotany. Wchodził do domu dziadka z niewielką nadzieją, opuszczał go w bezbrzeżnej rozpacz.

Ci, którzy obserwowali pierwsze porywy serca, rozumieją, z łatwością, że oficer lansjerów, ów niemądry kuzyn Teodul, nie zostawił śladu w jego umyśle. Najmniejszego. Zdawałoby się, że poeta dramatyczny mógłby wysnuć pewne powikłania z rewelacji, jaką dziadek niespodzianie uczył wnuka. Jednakże ile zyskałby na tym dramat, tyle straciłaby prawda. Mariusz był w wieku, w którym nie wierzy się w zło; później dopiero nadchodzi czas, kiedy człowiek wierzy we wszystko. Podejrzenia — to zmarszczki; nie ma ich wczesna młodość. To, co do głębi przejmuje Otella, bez śladu sływa po Kandydzie. Podejrzewać Kozetę! Mariusz łatwiej popełniłby każdą inną zbrodnię.

Zaczął błąkać się po ulicach, zwykła ucieczka ludzi cierpiących. Nie mógłby sobie później przypomnieć, o czym wówczas myślał. O drugiej nad ranem wrócił. do Courfeyraca i w ubraniu rzucił się na swój materac.

Był już biały dzień, gdy zasnął owym okropnym, ciężkim snem, w którym myśli nieustannie snują się po głowie. Kiedy się obudził, zobaczył w pokoju Courfeyraca, Enjolrasa, Feudly i Combeferre'a w kapeluszach, gotowych do wyjścia i bardzo czymś przejętych.

Courfeyrac zapytał go:

— Czy pójdziesz na pogrzeb generała Lamarque ?

Mariuszowi wydało się, że Courfeyrac mówi po chińsku.

Wyszedł z domu wkrótce po nich. Wsunął do kieszeni pistolety, które Javert powierzył mu podczas przygody w dniu 3 lutego i które u niego pozostały. Pistolety były nabite. Trudno byłoby powiedzieć, jaka ponura myśl kierowała nim, gdy je z sobą zabierał.

Przez cały dzień wałęsał się bez celu; chwilami padało, lecz on tego nie spostrzegał; kupił sobie na obiad bułkę za jednego su, włożył do kieszeni i zapomniał o niej. Podobno kąpał się w Sekwanie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Bywają chwile, gdy człowiek ma żar pod czaszką. Taką chwilę przeżywał Mariusz. Nie spodziewał się już niczego, niczego się już nie lękał; o ten krok posunął się naprzód od poprzedniego dnia. Z gorączkową

niecierpliwością czekał wieczoru. Świeciła mu jedna tylko jasna myśl, że o dziewiątej zobaczy Kozetę. Ta ostatnia chwila szczęścia była mu teraz całą przyszłością; po niej — ciemność. Chwilami, gdy krążył po najbardziej odludnych bulwarach, zdawało mu się, że z Paryża dochodzi jakaś dziwna wrzawa. Budził się wtedy nieco z zadumy i zadawał sobie pytanie: „Czy tam się biją?”

O zmroku, punkt o dziewiątej — tak, jak obiecał Kozecie — był na ulicy Plumet. Gdy zbliżył się do kraty, zapomniał o wszystkim. Od czterdziestu ośmiu godzin nie widział Kozety, teraz znów ją zobaczy — wszelkie inne myśli pierzchły, została tylko niewysłowiona głęboka radość. Chwile, w których przeżywamy całe wieki, są zawsze tak wszechwładne i cudowne, że całkowicie wypełniają serce.

Mariusz odsunął pręt i wbiegł do ogrodu. Nie było Kozety tam, gdzie zwykle na niego czekała. Przedarł się przez gęstwinę krzewów i podszedł do wnęki przy ganku. „Tam na mnie czeka” — myślał. Ale Kozety nie było. Podniósł oczy i zobaczył, że okiennice są zamknięte. Obszedł cały ogród dokoła, ogród był pusty. Wówczas, oszalały z miłości, pijany, przerażony, nieprzytomny z bólu i niepokoju, jak człowiek, który wraca do swego domu w nieszczęsną godzinę, zastukał w okiennice.. Stukał raz i drugi, narażając się na to, że okno się otworzy i wyjrzy z niego chmurna twarz ojca, który zapyta: „Czego pan chce?” To było już niczym wobec tego, co przeczuwał. Zastukawszy zawołał: „Kozeto! Kozeto! — krzyknął. — Kozeto! — powtórzył gwałtownie. Nikt nie odpowiedział. Wszystko skończone. Nikogo nie było w ogrodzie, nikogo nie było w pałacyku.

Mariusz, utkwiał pełen rozpaczony wzrok w ponurym domu, ciemnym i cichym jak grób, a bardziej pustym od grobu. Spojrzał na kamienną ławkę, gdzie tyle czarownych godzin spędził z Kozetą. A potem usiadł na stopniach ganku ze słodkim spokojem i niezłomnym postanowieniem w sercu, błogostawił w myśli swej miłości i powiedział sobie, że skoro Kozeta odjechała, jemu pozostała tylko śmierć.

Nagle usłyszał głos, który zdawał się dochodzić z ulicy i wołał poprzez drzewa:

— Panie Mariuszu! Zerwał się.

— Co? — zapytał.

— Czy pan tam jest, panie Mariuszu?

— Jestem.

— Panie Mariuszu — wołał głos — pańscy przyjaciele czekają na pana przy barykadzie na ulicy Konopnej.

Ów głos wydał mu się znajomy. Przypominał ochrypły i szorstki głos Eponiny. Mariusz podbiegł do kraty, pchnął ruchomy pręt, wysunął głowę i zobaczył, że ktoś, wyglądający na młodego chłopca, szybko biegnąc gonie w mroku.

ROZDZIAŁ III

Pan Mabeuf

Sakiewka Jana Valjean w niczym nie ulżyła doli pana Mabeuf; w swej nieskazitelnej dziecięcej prawości nie przyjął bowiem tego daru nieba; nie wierzył, aby gwiazda mogła się zamienić w złote monety. Nie odgadł też, że dar nieba był darem Gavroche'a. Zaniósł sakiewkę do komisariatu swej dzielnicy, jako przedmiot zgubiony, po. który może zgłosi się właściciel. Sakiewka została zgubiona na dobre. Nikt się po nią oczywiście nie zgłosił i nie wspomogła także pana Mabeuf.

Zresztą pan Mabeuf podupadał coraz bardziej.

Doświadczenia z indygiem powiodły się w Ogrodzie Botanicznym nie lepiej niż w jego ogródku w wiosce Austerlitz. Od roku już zalegał z zapłatą pensji swojej gospodyni; teraz zaś, jak widzieliśmy, zalegał z opłatą komornego. Lombard sprzedał po upływie trzynastu miesięcy płyty miedziorytowe *Flory*, jakiś kotlarz zrobił z nich rondle. Gdy zabrakło płyt, nie mogąc uzupełnić nawet zdekompletowanych egzemplarzy swej *Flory*, które posiadał jeszcze, sprzedał jakiemuś antykwariuszowi za nędzną sumkę ryciny i tekst jako „braki”. Z dzieła całego życia nie pozostało mu nic. Zwolna przejadał pieniądze otrzymane za egzemplarze *Flory*.

Gdy zobaczył; że i te skromne zasoby wyczerpują się, zaprzestał uprawy ogrodu, który teraz leżał odłogiem. Od dawna już — i to od bardzo dawna — zrezygnował z dwóch jajek i kawałka wołowiny, które czasem zjadał na obiad. Żywił się chlebem i kartoflami. Sprzedał ostatnie meble, potem wszystko, co miał w podwójnej ilości z pościeli, ubrania i nakrycia, wreszcie zielniki i sztychy; pozostały mu jeszcze najcenniejsze książki, niektóre niezwykle rzadkie, między innymi: *Wersety historyczne Biblii* w wydaniu z 1560 roku, *O Konkordancji Wielorakich Biblii* Piotra de Besse, *Perły Małgorzaty* Jana de La Haye z dedykacją dla królowej Na worry, księga *O obowiązkach i godności ambasadora* imć pana de Villiers-Hofman, *Florilegium rabbinicum* z 1664 roku, Tybulla z 1567 roku z wspaniałym napisem: *Venetiis, in oedibus Manutianis*; wreszcie egzemplarz Diogenesa Laercjusza drukowany w Lyonie w 1644 roku, w którym znajdują się słynne watykańskie warianty rękopisu 41 z XIII wieku i dwa weneckie warianty rękopisu: 393 i 394, tak owocnie zba. dane przez Henryka Estienne, wreszcie wszystkie ustępy pisane dialektem doryckim, które znajdują się jedynie w sławnym rękopisie z XII wieku, będącym w posiadaniu biblioteki w Neapolu. Pan Mabeuf nie palił nigdy na kominku w swoim pokoju i kładł się za dnia, by oszczędzić świecy. Zdawać by się mogło, że nie ma sąsiadów; spostrzegł, że go

unikano, gdy wychodził. Nędza dziecka budzi oddźwięk u matki, nędza młodzieńca budzi oddźwięk u młodej dziewczyny, nędza starego człowieka nie obchodzi nikogo. Ze wszystkich niedoli ta jest najbardziej wystygła. Wszelako pan Mabeuf nie wyzbył się do szczętu swej dziecięcej pogody. Oczy ożywiały mu się, gdy spoczęły na książkach, i starzec uśmiechał się, gdy spoglądał na swojego

Diogenesa Laercjusza. Oszklona szafa była jedynym meblem, który mu pozostał poza niezbędnymi sprzętami. Pewnego dnia matka Plutarch powiedziała mu:

— Nie mam za co kupić obiadu.

Obiadem nazywała kawałek chleba i kilka kartofli.

— A na kredyt? — zapytał pan Mabeuf.

— Wie pan przecie, że nie chcą dawać na kredyt.

Pan Mabeuf otworzył bibliotekę, długo oglądał swoje książki, jedną po drugiej, jak ojciec zmuszony do zdziesiątkowania swego potomstwa i nie mogący się zdecydować na wybór ofiary, wreszcie gwałtownie chwycił jedną, włożył ją pod pachę i wyszedł. Wrócił po dwóch godzinach, nic już nie niosąc pod pachą, położył na stole trzydzieści su i rzekł:

— To na obiad.

Matka Plutarch spostrzegła, że od tej chwili pogodna twarz starca zasnuła się cieniem, który nie ustąpił już nigdy.

Nazajutrz, na trzeci dzień, codziennie trzeba było robić to samo. Pan Mabeuf wychodził z książką, a wracał z pieniędzmi. Ponieważ zaś antykwariusze wiedzieli, że sprzedaje przyciśnięty biedą, dawali dwadzieścia su za książkę, za którą zapłacił niegdyś dwadzieścia franków; nieraz u tego samego księgarza. I tak, książka po książce, cała biblioteka poszła w świat. Czasami mówił:

„Przecież mam już osiemdziesiąt lat, jak gdyby miał jakąś ukrytą nadzieję, że prędzej doczeka końca swych dni niż końca swej biblioteki. Stawał się coraz smutniejszy. Raz tylko rozpogodził się: wyszedł ze swoim Robertem Estienne, którego sprzedał za trzydzieści pięć su na wybrzeżu Malaquais, a wrócił z egzemplarzem aldyna, który kupił za czterdzieści su na ulicy Gres. „Jestem winien pięć su!” — rzekł rozpromieniony do matki Plutarch. Tego dnia nie jadł obiadu.

Należał do Towarzystwa Ogrodniczego. Wiedziano tam, że żyje w niedostatku. Prezes Towarzystwa odwiedził go, obiecał, że pomówi o nim z ministrem rolnictwa i handlu, i uczynił to. „Ależ oczywiście! Oczywiście! — zawołał

minister. — Stary uczyony! Botanik! Spokojny człowiek! Trzeba coś dla niego zrobić!"

Nazajutrz pan Mabeuf otrzymał zaproszenie na obiad do ministra. Drżąc z radości pokazał je matce Plutaroh:

— Jesteśmy uratowani! — powiedziały.

W oznaczonym dniu udał się do ministra. Spostrzegł, że jego pognieciony krawat, stary niemodny surdut i trzewiki wyglansowane jajkiem zdziwiły lokai. Nikt się do niego nie odezwał ani słowem, nawet pan minister. Koło dziesiątej wieczorem, czekając wciąż, że ktoś się nim zainteresuje, usłyszał, jak ministrowa, piękna, wydekoltowana dama, do której nie śmiał się zbliżyć, zapytała:

— Któż to jest ten stary jegomość?

Wrócił do siebie pieszo o północy pod ulewnym deszczem. Udając się do ministra sprzedał jeden ze swych elzewirów na dorożkę.

Co wieczór, nim udał się na spoczynek, miał zwyczaj czytać parę stron swego Diogenesa Laercjusza. Znał na tyle grekę, że mógł rozkoszować się niezwykłością posiadanego tekstu. Nie miał już żadnej innej radości. Tak upłynęło parę tygodni. Nagle matka Plutarch zachorowała. Jeśli istnieje rzecz smutniejsza niż niemożność kupienia chleba u piekarza, to chyba tylko jedna — niemożność kupienia lekarstwa w aptece. Pewnego wieczoru lekarz przepisał chorej bardzo drogą miksturę. Poza tym stan jej pogorszył się, trzeba było nająć kobietę do pielęgnowania. Pan Mabeuf otworzył bibliotekę — była pusta. Ostatnia książka powędrowała już do antykwariatu. Został tylko Diogenes Laercjusz.

Wziął cenny unikat pod pachę i wyszedł; było to czwartego czerwca 1832 roku. Udał się pod bramę św. Jakuba do następcy Royola i wrócił ze stu frankami. Położył kupkę pięciofrankowych monet na nocnym stoliku starej służącej i bez słowa poszedł do swego pokoju.

Nazajutrz o świcie usiadł na obalonym słupku w ogrodzie. Przez żywopłot można było widzieć, że siedział cały ranek nieruchomo, z pochyloną głową, ze wzrokiem utkwionym błędnie w zwiędłe rabatki. Chwilami padał deszcz, ale starzec zdawał się nie zwracać na to uwagi. Po południu w Paryżu wybuchła niezwykła wrzawa. Przypominało to strzały karabinowe i krzyki tysięcznych tłumów.

Ojciec Mabeuf podniósł głowę. Spostrzegł przechodzącego ogrodnika i zapytał:

— Co się dzieje?

Ogrodnik, niosący motykę na ramieniu, odpowiedział najspokojniej: — To rozruchy.

— Jak to rozruchy?

— No tak, biją się.

— Dlaczego się biją?

— Ba! — rzekł ogrodnik.

— A gdzie? — zapytał pan Mabeuf.

— W stronie Arsenалу.

Ojciec Mabeuf wrócił do domu, wziął kapelusz, machinalnie poszukał jakiejś książki, żeby ją włożyć pod pachę, nic nie znalazł, powiedział: „Aha, prawda!”, i z nieprzytomną miną wyszedł.

KSIĘGA DZIESIĄTA

5 CZERWCA 1832 ROKU

ROZDZIAŁ I

Zewnętrzny aspekt zagadnienia

Co składa się na rozruchy? Wszystko i nic.

Powolne wyzwalamie energii elektrycznej, nagły wybuch płomienia, błędząca po omacku siła, przelotny podmuch. Ten podmuch napotyka myślące głowy, marzycielskie umysły, cierpiące dusze, rozpalone namiętności, skowyczące nędzy i porywa je.

Dokąd?

Jak los zdarzy. Poprzez państwo, poprzez prawo, poprzez dostatek i zuchwalstwo innych ludzi.

Podrażnione przekonania, zgorzkniały entuzjazm, serdeczne oburzenie, tłumione instynkty wojenne, uniesienia młodej odwagi, wielkoduszne zaślepienie, ciekawość, chęć zmiany, pragnienie rzeczy nieznanych, uczucie, które powoduje, że człowiek z przyjemnością czyta afisz nowej sztuki i czeka w teatrze na gwizdek maszynisty; niesprecyzowana nienawiść, urazy, zawody, każda próżność, która uważa się za ofiarę losu, niedola, złudzenia, ambicje nie mające ujścia, każdy, kto w ogólnej katastrofie widzi dla siebie wyjście, a wreszcie, na najniższym szczeblu, motłoch, to łatwo zapalne bagno — oto elementy rozruchów.

To, co największe, i to, co najmniejsze; istoty błakające się poza nawiasem wszystkiego, czyhające tylko na odpowiednią chwilę, cyganeria, typy spod ciemnej gwiazdy, włóczędzy uliczne, ci, którzy sypiają w kamiennej pustyni miasta pod zimnym stropem chmur zamiast dachu nad głową, i ci, którzy żądają kawałka chleba powszedniego od przypadku, a nie od pracy, nieznanymi ludziami z otchłani nędzy i upadku, bosonodzy oberwańcy — oto, co przystaje do rozruchów.

Ten, kto nosi w sercu tajemny bunt przeciw jakiemuś aktowi władzy państwowej, życia czy losu, jest bliski rozruchom i gdy tylko one wybuchną,

zaczyna drżeć i czuje, że go porywa zawierucha.

Rozruchy — to swego rodzaju trąba powietrzna w społeczeństwie, która powstaje nagle w pewnych warunkach temperatury i Wirując wzbija się w górę, toczy, grzmi, niszczy, znosi, miazdży, burzy, wyrywa z korzeniami, pociągając za sobą natury mocne i słabe, ludzi wielkiego i małego ducha, pnie drzew i źdźbła słomy.

Biada temu, kogo porywa, i temu, na kogo uderza, Jednego rozbija o drugiego.

Kogo ogarnie, temu udziela jakiejś niezwykłej mocy. Pierwszego lepszego człowieka przepaja potęgą wydarzeń; wszystko przemienia w pociski. Kamienie brukowe zamienia w kule armatnie, tragarzy w generałów.

Jeśli można dawać wiarę pewnym wyroczniom podstępnej polityki, to z punktu widzenia władzy niegroźne rozruchy są pożądane. Istnieje teoria, że rozruchy — o ile nie obalają rządu — umacniają go. Poddają próbie armię, jednoczą burżuazję, wyrabiają muskuły policji, sprawdzają siłę kośćca społecznego. To gimnastyka, a nawet niemal higiena. Władza po rozruchach czuje się tak? rześka jak człowiek po masażu.

Przed trzydziestu laty patrzono na rozruchy z innego jeszcze punktu widzenia.

W każdej dziedzinie istnieje teoria, która sama mieni się „zdrowym rozsądkiem”. Filint przeciwko Aleestowi ; próba pogodzenia prawdy i fałszu; wyjaśnienie, upomnienie, nieco wyniosła łagodność, która będąc połączeniem nagany i usprawiedliwienia uważa się z tego powodu za mądrość, a częstokroć jest tylko pedanterią. Z tego właśnie wywodzi się cała szkoła polityczna, zwana systemem, „złotego środka”. Między wodą zimną a gorącą ona reprezentuje stronnictwo letniej wody. Szkoła owa, mimo swej fałszywej głębi najzupełniej powierzchowna — rozważa skutki nie badając przyczyn i z wysokości swej pseudomądrości gromi wzburzenie ulicy.

Szkoła ta głosi:

Rozruchy, które zaważyły na dziele 1830 roku, pomniejszyły i skalały to wiekopomne wydarzenie. Rewolucja lipcowa — to wspaniały huragan ludowy, po którym wyłoniło się nagle czyste niebo. Rozruchy napędziły nowych chmur i wypaczyły tę rewolucję, którą cechowała zrazu tak niezwykła jednomyślność, sprowadzając ją do rzędu kłótni. Podobnie jak każdy postęp dokonujący się nagłymi skokami, rewolucja lipcowa miała swoje ukryte szczyby, rozruchy obnażyły je; można powiedzieć: „O, to jest pęknięte!” Po rewolucji lipcowej czuło się wyzwolenie; po rozruchach czuło się katastrofę.

Wszelkie rozruchy powodują zamknięcie sklepów, zmniejszenie kapitałów,

panikę na giełdzie, przerwę w handlu, zahamowanie rozwoju interesów; przyspieszają bankructwa, pieniądź znika, fortuny prywatne zostają zachwiane, kredyt publiczny podważony, przemysł zdezorientowany, kapitały odpływają, płace zniżkują, wszędzie panuje strach. Ten stan odbija się we wszystkich miastach. Otwierają się przepaście. Obliczono, że pierwszy dzień rozruchów kosztuje Francję dwadzieścia milionów, drugi — czterdzieści, trzeci — sześćdziesiąt.

Trzydniowe rozruchy kosztują więc sto dwadzieścia milionów, czyli — biorąc pod uwagę jedynie rezultat finansowy — tyleż co katastrofa, zatopienie czy przegrana bitwa, w której zginęłaby flota złożona z sześćdziesięciu okrętów liniowych.

Zapewne, z historycznego punktu widzenia rozruchy nie są pozbawione swoistego piękna; walki uliczne nie mniej są wzniosłe i patetyczne od walk leśnych; w jednych tchnie dusza lasu, w drugich bije serce miasta; jedne mają swego Jana Chouan , drugie . swego Jeanne'a . Rozruchy rzuciły czerwony, lecz wspaniały snop światła na najistotniejsze cechy charakteru paryżan: na ich wielkoduszność, 'poświęcenie, burzliwą wesołość; ukazały studentów, którzy dowiedli, że męstwo jest częścią inteligencji, ukazały niezłomność gwardii narodowej, biwaki sklepikarzy, fortece ulicznych ków, pogardę śmierci u zwykłego przechodnia. Zmierzyły się ze sobą szkoły i' legie. Właściwie między walczącymi istniała tylko jedna różnica: różnica wieku; rasa była ta sama; ci sami ludzie, gdy mają lat dwadzieścia, ze stoicyzmem umierają za swe idee, gdy mają lat czterdzieści — za rodziny. Wojsko, któremu, przypada zawsze smutna rola podczas wojny domowej, przeciwstawiało rozwagę zuchwalstwu. Rozruchy ujawniły nieustraszonosć ludu i były zarazem szkołą odwagi dla stanu mieszczańskiego.

Dobrze, ale czy to wszystko warte jest rozlewu krwi? A do rozlewu krwi dodajcie jeszcze zasnutą chmurami przyszłość, zahamowanie postępu, niepokój wśród najzacniejszych obywateli, rozpacz uczciwych liberałów, radość, obcego absolutyzmu z powodu tych ran, które rewolucja zadała sobie sama, triumf zwyciężonych z roku 1830, mówiących: „Mówiliśmy, że tak będzie! Dodajcie, że jeśli nawet Paryż urósł, to Francja z całą pewnością zmałała Dodajcie — niczego bowiem nie należy ukrywać — masakry, co tak często hańbiły zwycięstwo porządku, który się rozsrożył, nad wolnością, która się rozszalała. Ogólnie biorąc rozruchy były rzeczą zgubną.

Tak przemawia owa niby mądrość, którą się tak chętnie zadawała ten niby lud, mieszczaństwo.

My jednak odrzucamy zbyt szerokie — a co za tym idzie — i zbyt wygodne określenie: rozruchy. Nie wszystkie ruchy ludowe są sobie równe. Wie

zastanawiamy się też, czy rozruchy kosztują tyle co bitwa. Dlaczegoż bowiem brać pod uwagę bitwę? Tutaj wyłania się zagadnienie wojny. Czy wojna jest mniejszą plagą niż rozruchy? I czy rozruchy są zawsze plagą? A gdyby 14 lipca kosztował nawet sto dwadzieścia milionów? Osadzenie Filipa V w Hiszpanii kosztowało Francję dwa miliardy. Nawet za tę samą cenę — wolelibyśmy 14 lipca. Zresztą odrzucamy te cyfry które wydają się argumentem, a są tylko pustym słowem. Gdy chodzi o rozruchy, badamy istotę tego zjawiska. We wszystkim, co mówi przedstawiona wyżej doktryna, jest mowa wyłącznie o skutku, my- zaś szukamy przyczyny.

Sprecyzujmy naszą myśl.

ROZDZIAŁ II

Istota zagadnienia

Istnieją rozruchy, istnieją też powstania; i jedne, i drugie są wybuchem gniewu; pierwszy z nich jest bezpodstawny; drugi — uzasadniony. W państwach demokratycznych, jedynych, które oparte są na sprawiedliwych podstawach, zdarza się czasem, iż jakiś odłam społeczeństwa uzurpuje sobie władzę; wtedy ogół powstaje, a konieczność dochodzenia swoich praw może posunąć aż do chwycenia za broń. We wszystkich tych zagadnieniach, należących do zakresu suwerenności zbiorowej, wojna ogółu przeciw frakcji jest powstaniem, atak frakcji na ogół jest rozruchami; zależnie od tego, czy Tuilerie są siedzibą króla czy Konwentu, zostają zaatakowane słusznie lub niesłusznie. To samo dzieło niesłusznie jest skierowane przeciw tłumom 10 sierpnia, a słusznie 14 Vendemiaire'a, Pozornie, to samo, w istocie, co innego. Szwajcarzy bronią fałszu, Bonaparte broni prawdy. To, czego dokonało wolne i suwerenne głosowanie, nie może zostać zburzone przez rozruchy uliczne. Tak samo przedstawia się sprawa, gdy chodzi o zdobycze cywilizacji; instynkt mas, wczoraj trafny i dalekowzroczny, jutro może być stępiony. Ta sama wściekłość skierowana przeciw Terray'owi jest słuszna i usprawiedliwiona, skierowana przeciw Turgotowi jest niedorzeczna. Zniszczone maszyny, splądrowane spichrze, zerwane szyny, zburzone doki, tłumy skierowane na fałszywą drogę, lud źle pojmujący istotę postępu, Ramus zabity przez studentów, Rousseau obrzucony kamieniami i wypędzony ze Szwajcarii — to rozruchy. Gdy Izrael powstaje przeciw Mojżeszowi, Ateny przeciw Fokionowi, Rzym przeciw Scypionowi — to rozruchy; gdy Paryż atakuje Bastylię — to powstanie. Żołnierze buntujący się przeciw Aleksandrowi, majtkowie przeciw Krzysztofo;wi Kolumbowi — to ten sam bunt, zbrodniczy bunt. Dlaczego? Dlatego że Aleksander uczynił to dla Azji mieczem, co Kolumb dla Ameryki (busolą; obaj odkryli nowe światy. Ten dar nowego świata jest dla cywilizacji tak wielkim pomnożeniem światła, że w tym wypadku wszelki opór jest występkiem. Nieraz lud sam sobie nie dochowuje wiary. Tłum bywa zdrajcą ludu. Czy można sciebie na przykład wyobrazić dziwniejszą historię niż długi i krwawy protest „przemysłowców solnych, niewygasający bunt słusznej sprawy, który w decydującej chwili, w dniu ocalenia, w godzinie zwycięstwa ludu, kuma się z tronem, przemienia w ruch Szuanów i z powstania przeciw królowi staje się buntem w obronie króla? Ponure arcydzieło ciemnoty! Przemysłownik urywa się z królewskiej szubienicy i — mając jeszcze kawał powroza u szyi — przypina białą kokardę. Okrzyk: „Precz z podatkami!, rodzi okrzyk: „Niech żyje król!". Mordercy z nocy Św. Bartłomieja, krwawi kaci wrześniowi, zbójce z Awinionu, zabójcy Coligny'ego, pani de Lamballe i Brune'a, partyzanci hiszpańscy,

„Zieloni”, długowłose bandy pana z Cadenet, towarzysze Jehudy, rycerze księcia d'Angouleme — oto rozruchy. Wandeia to wielkie rozruchy katolickie.

Głos powstającego prawa, prawa w ruchu, można poznać; nie zawsze dobywa on się z wrzenia wzburzonych tłumów; bywają szaleńcze gniewy, bywają pęknięte dzwony. Nie każdy dzwon na trwogę dźwięczy szlachetnym spiżem. Rozkołysanie namiętności i ciemnoty nie przypomina w niczym wstrząsów spowodowanych przez postęp. Powstawajcie, zgoda, lecz po to, byście stawali się wielcy. Pokażcie mi, w którą stronę krocycie. Powstanie jest zawsze ruchem naprzód. Każde inne poruszenie jest złe. Każde gwałtowne cofnięcie — to rozruchy, cofanie się wtecz — to zamach przeciw rodzajowi ludzkiemu. Powstanie to napad wściekłości, która ogarnia prawdę; z bruków, które zrywa, powstanie krzesze iskry prawa; ten sam bruk tylko błotem obryzguje rozruchy. Danton przeciw Ludwikowi XVI — to powstanie; Hebert przeciw Dantonowi — to bunt.

Toteż jeśli w pewnych wypadkach powstanie może być, jak rzekł Lafayette, najświętszym obowiązkiem, rozruchy mogą być najzgubniejszym zamachem stanu.

Istnieje też pomiędzy nimi pewna różnica temperatury. Powstanie często bywa wulkanem, rozruchy często bywają słomianym ogniem.

Bunt — mówiliśmy to — zawiera się niekiedy w samej władzy. Polignac jest buntownikiem, Kamil Desmoulins — rządzącym.

Niekiedy, powstanie jest zmartwychwstaniem.

Ponieważ rozwiązywanie wszystkich kwestii przez głosowanie powszechne jest zdobyczą ostatnich czasów, a całe poprzedzające ten fakt dzieje od czterech tysięcy lat pełne są pogwałceń prawa i cierpienia ludu, przeto każda epoka historii przynosi ze sobą protest, na jaki ją stać. Za cesarów nie było powstań, ale był Juwenal.

Facit indignatio zastępuje Grakchów.

Za cesarów mamy wygnańca z Assuanu, mamy też twórcę *Roczników*.

Nie wspominamy już o wielkim wygnańcu z Patmos; on także, w imię świata idealnego, występuje przeciwko światu rzeczywistemu, stwarza z wizji druzgocącą satyrę i na Rzym-Niniwę, Rzym-Babilom, Rzym-Sodomę ciska płomienny odblask Apokalipsy.

Jan na skale — to sfinks na swym postumencie. Można go nie rozumieć; jest Żydem i mówi po hebrajsku. Ale twórca *Roczników* to Łatyńczyk, a raczej

Rzymianin.

Neronowie zaprowadzili rządy czarne, toteż winni być odmalowani w czarnych barwach. Nie wystarczy posługiwać się rylcem historii; trzeba wlać w nacięzawiątą prozę, taką, która gryzie.

Despoci przydają się na coś filozofom. Słowo spętane to słowo groźne. Pisarz podwaja i potraja siłę swojego pióra, gdy tyran narzuca ludowi milczenie. Z tego milczenia wypływa pewna tajemnicza pełnia, która wsącza się w myśli i zastyga w niej spiżowym kształtem. Ucisk w historii powoduje zwięzłość historyka. Niejedna sławna proza swoją granitową zwartość zawdzięcza tyranowi.

Tyrania zmusza 'pisarza do ścisłości, co jego dziełu dodaje mocy. Ostrze okresów cycerońskich, wystarczające zaledwie dla Verresa, stąpiłoby się na Kaliguli . Im mniej zamaszyste zdanie, tym cios mocniejszy. Myśl Tacyty to ramię ściągnięte do uderzenia:

Uczciwość wielkiego serca ludzkiego, skoncentrowana w zdaniu słusznym i prawdziwym, poraża jak grona.

Podkreślamy, mimochodem, godny uwagi fakt, że Cezar żyje po Tacycie. Przypadli mu w udziale Tyberiusze. Cezar i Tacyt to dwa następujące *po sobie* zjawiska; do spotkania ich nie dopuścił tajemniczo ten, który na teatrum wieków kieruje wejściami i zejściami ze sceny. Cezar jest wielki, Tacyt jest wielki; Bóg oszczędza te dwie wielkości, nie pozwalając, by się zderzyły. Mąż sprawiedliwy atakując Cezara mógłby go zaatakować zbyt ostro i dopuścić się niesprawiedliwości. Bóg tego nie chce. Wielkie wojny w Afryce i w Hiszpanii, rozgromienie piratów w Cylicji, wniesienie cywilizacji do Galii, Bretanii i Germanii — cała ta chwała przysłania Rulbifcon . Objawia się w tym jak gdyby subtelna pobłażliwość sprawiedliwości boskiej, która nie chce wydać sławnego uzurpatora na łaskę i niełaskę groźnego historyka, ratuje Cezara przed Tacytem i przyznaje geniuszowi okoliczności łagodzące.

I pod genialnym despotą despotyzm pozostaje despotyzmem. Zepsucie szerzy się pod rządami wielkich tyranów, ale jeszcze ohydniejsza zaraza moralna szerzy się pod rządami tyranów podłych. Nic nie przysłania hańby tych rządów; a ci, co nam dostarczają przykładów — Tacyt czy Juwenal — tym skuteczniej smagają na oczach ludzkości tę bezprzykładną sromotę.

Rzym bardziej cuchnie za Witeliusza niż za Sulli. Za Klaudiusza i za Domicjana podłość jest na miarę brzydoty tyranów. Nikczemność niewolników to bezpośrednie dzieło despoty; trujące miazmaty wydobywają się z owych znieprawionych sumień, w których: odbija się obraz ich pana; władze publiczne

są plugawe, serca skarłałe, sumienia pływkie, dusze robaczywe; tak dzieje się za Karakalli, tak dzieje się za Kommodiusza, tak dzieje się za Heliogabala, za Cezara natomiast z senatu rzymskiego wydziela się tylko woń właściwa orlemu kałowi. Stąd spóźnione, zdawałoby się, wystąpienia Tacytów i Juwenali. Demonstrator przybywa wówczas, ikiedy zjawiska są oczywistością.

Ale Juwenal i Tacyt — podobnie jak w czasach biblijnych Izajasz, a w średniowieczu Dante — to jednostki; rozruchy i powstanie to tłum, który raz myli się, a raz ma rację.

U źródeł rozruchów leży zazwyczaj fakt materialny, powstanie jest zawsze zjawiskiem natury moralnej. Uosobienie rozruchów to Masaniello, powstania — Sipartakus. Powstania wywodzą się z ducha, rozruchy — z żołądka. Imć Brzuch irytuje się, ale, z pewnością, nie zawsze się myli. Jeśli chodzi o kwestię głodu, to rozruchy takie, jak na przykład w Buzancy, były w swym założeniu wzniosłe i sprawiedliwe. Niemniej jednak są to tylko rozruchy. Dlaczego? Dlatego, że mając w gruncie rzeczy rację, obrały błędną formę postępowania. Srogie, choć będące w swym prawie, okrutne, choć silne, zadawały ciosy na chybił trafił; jak oślepiiony słoń, trutowały wszystko, co napotkały na drodze; zostawiły za sobą trupy starców, kobiet i dzieci; same nie wiedząc dlaczego, wylały krew bezbronnych i niewinnych istot. Nakarmienie ludu jest dobrym celem, rzeź nie jest dobrym sposobem.

Wszelki protest zbrojny, nawet najbardziej uprawniony, nawet 10 sierpnia czy 14 lipca — zaczyna się zawsze od zamieszek. Wystąpienie prawa poprzedza głuchy pomruk i bryzgająca piana. Początkiem powstania są rozruchy, podobnie jak początkiem rzeki jest strumień. Zazwyczaj powstanie dociera do oceanu rewolucji. Niekiedy jednak, mimo że płynie z niebotycznych gór królujących nad horyzontem moralnym — sprawiedliwości, słuszności, mądrości, prawa — mimo że bierze swój początek wśród nieskalanych śniegów ideału, mimo że musi przebyć długą drogę ze skały na skałę, że odbija niebo w przeźroczu swych wód, że wzbiera tysiącem dopływów w swym majestatycznym triumfalnym biegu, powstanie gubi się nagle w jakimś mieszczkańskim bagnie, niby Ren w trzęsawiskach.

Ale to należy do przeszłości; przyszłość będzie inna. Głosowanie powszechne ma tę wspaniałą właściwość, że niszczy same podstawy rozruchów i dając powstaniom prawo głosu, wytrąca im broń z ręki. Koniec wojen, zarówno walk ulicznych, jak i walk granicznych, oto nieunikniemy postęp.. Jakikolwiek jest dzień dzisiejszy, dzień jutrzejszy to Pokój.

Jednakże *bourgeois*, we właściwym tego słowa znaczeniu, prawie nie odróżnia odcieni między powstaniem a rozruchami. Dla niego wszystko to jest rokoszem, zwykłą rebelią, buntem psa przeciw panu, próbą ugryzienia, którą trzeba

ukarać łańcuchem i budą, naszczekiwaniem, ujadaniem; tali sądzi aż do dnia, kiedy łeb psa nagle spotężnieje i zamajaczy w cieniu jako głowa lwa.

Wówczas *bourgeois* woła: „Niech żyje lud!” Po tych wyjaśnieniach zapytajmy, czym są w historii wypadki z czerwca 1832 roku. Czy to rozruchy, czy powstanie? - Powstanie.

Może się zdarzyć, że przedstawiając te groźne wydarzenia, użyjemy czasem słowa „rozruchy”, będzie się to odnosić jedynie do oceny faktów zewnętrznych; nigdy bowiem nie zapominamy o różnicy pomiędzy formą: rozruchy, a treścią: powstanie.

Wypadki z 1832 roku miały w swym nagłym wybuchu i ponurym wygaśnięciu taką wielkość, że nawet ci, którzy widzieli w nich jedynie rozruchy, mówią o nich z szacunkiem. Ich zdaniem wypadki te są pozostałością 1830 roku. Wzburzone umysły — powiadają. — nie. mogą się uspokoić w ciągu jednego dnia. Rewolucja nie urywa się nagle, jak ucięta nożem. Zanim powróci do zupełnego spokoju, zawsze jeszcze tu i ówdzie wznosi się i opada, jak masyw górski przechodzący powoli w równinę. Alpy muszą mieć swoją Jurę, a Pireneje — Asturię...

Ten patetyczny przełom w historii współczesnej, zwany we wspomnieniach mieszkańców Paryża „epoką zamieszek”, jest z całą pewnością, charakterystycznym momentem wśród burzliwych chwil naszego stulecia.

Jeszcze jedno słowo, nim podejmiemy tok opowiadania.

Wydarzenia, które opowiemy za chwilę, należą do owej żywej i dramatycznej rzeczywistości, którą historyk nieraz pomija z braku czasu i miejsca. A właśnie ona, kładziemy na to nacisk, jest życiem, drganiem i biciem ludzkiego serca. Mówiliśmy już chyba, że drobne szczegóły są, jeśli tak rzecz można, listowiem wielkich wydarzeń i giną w bezkresach historii. Tak zwana „epoka zamieszek” obfituje w takie szczegóły. Śledztwa sądowe — z innych powodów niż historia — nie wszystko odsłoniły i nie wszędzie chyba dotarły do sedna sprawy. A więc, oprócz szczegółów znanych i opisanych, wydobędziemy tu na jaw pewne sprawy, o których nikt nie wie, fakty, które zatarło zapomnienie jednych lub śmierć innych ludzi. Większość aktorów tego potężnego widowiska znikła; już nazajutrz zamilkli; ale to, co tu opowiemy — możemy śmiało rzec — widzieliśmy na własne oczy. Zmienimy kilka nazwisk, bo historia opowiada, nie denuncjuje, ale odmalujemy prawdę.

W granicach pisanej przez nas książki ukażemy jedną tylko stronę wydarzeń owych dni 5 i 6 czerwca 1832 roku i jeden epizod — z pewnością najmniej znany. Ale uczynimy to w taki sposób, że pod ciemną zasłoną, którą uniesiemy,

czytelnik dostrzeże prawdziwe oblicze owego straszliwego wydarzenia społecznego.

ROZDZIAŁ III

Pogrzeb sposobnością odrodzenia

Wiosną 1832 roku, mimo że od trzech miesięcy cholera mroziła umysły i swoją posępną grozą tłumiała ich wzburzenie, Paryż od dawna gotów był do wybuchu. Jak już mówiliśmy, wielkie miasto przypomina naładowane działo, wystarczy jednej iskry, by wystrzeliło. W czerwcu 1832 roku tą iskrą stała się śmierć generała Lamarque.

Lamarque był mężem okrytym chwałą i człowiekiem czynu. Kolejno za Cesarstwa i Restauracji dał dowody odwagi obu rodzajów, jakie były konieczne w tych dwóch epokach: odwagi na polu bitwy i odwagi na trybunie. Za Restauracji był równie wymowny jak "poprzednio mężny. Rąbał słowem jak szablą. Podobnie jak jego poprzednik Foy, zastąpiwszy jako dowódca, zastąpił potem jako obrońca wolności. Zasiadał między lewicą a skrajną lewicą, kochany przez lud za to, że stanął po stronie przyszłości, kochany przez tłumy za to, że wiernie służył niegdyś cesarzowi. Wraz z hrabią Gerardem i Drouetem był jednym z marszałków *in petto* Napoleona. Traktaty z 1815 roku oburzyły go jak oso basta zniewaga. Do Wellingtona pałał żywiołową nienawiścią, która podobała się tłumowi, i od siedemnastu lat zwracając mało uwagi na współczesne wydarzenia, z godnością nosił w sercu żal po Waterloo. W agonii przyciskał do piersi szpadę, którą ofiarowali mu oficerowie Stu Dni. Napoleon umarł ze słowem „armia” na ustach, Lamarque — ze słowem „ojczyzna”.

Śmierci jego — której się spodziewano — lud lękał się jako bolesnej straty, rząd zaś jako okazji do zamieszek. Ta śmierć była żałobą. Jak wszystko, co gorzkie, żałoba może się przemienić w rewoltę. Tak też się stało.

4 czerwca i nazajutrz rano, w dzień wyznaczony na pogrzeb Lamarque'a, przedmieście Św. Antoniego, w pobliżu którego miał przechodzić kondukt, przybrało groźny wygląd. Gwarną sieć uliczek napełniał zgiełk i wrzawa. Każdy zbroił się, jak mógł. Stolarze zabrali ze swych warsztatów sztaby, „żeby wyważać drzwi”. Jeden z nich zrobił sobie sztylet z szydła odłamując jego haczyk i ostrząc rękojeść. Inny, ogarnięty gorączkowym pragnieniem, by jak najprędzej „uderzyć”, od trzech dni sypiał w ubraniu. Pewien cieśla, nazwiskiem Lombier, spotkał kolegę, który go zagadnął „Dokąd, idziesz?” — „Wiesz, nie mam broni!” — „No więc co?” — „Idę do warsztatu po cyrkiel!” — „Na co ci cyrkiel?” — „Sam nie wiem” — odrzekł Lombier. Niejaki Jacqueline, człek pomysłowy i przedsiębiorczy zaczepiał przechodzących robotników: „Chodź no ze mną!” Fundował im wina za dziesięć su i pytał: „Masz pracę?” — „Nie.” — „To idź *da* Filspierre'a, który mieszka między rogatką Montretil a

rogatką Charonne, on ci da pracę." Filapierre dawał naboje i broń. Niektórzy znani przywódcy „roznosili pocztę”, to *znaczy* biegali od jednego do drugiego, aby zebrać swoich ludzi. W szynku „Barthelemy” koło rogatki Tróne i u Capela przy ulicy Petit-Chapeau pijący rozprawiali z powagą. Słyszał było, jak mówili: „Gdzie masz pistolet?” — „Pod kapotą. A ty?” — „A ja pod koszulą.

Na ulicy Traversiere przed zakładem Rolanda i na placu przed Spalonym Domem, koło warsztatu ślusarskiego Berniera, stały grupki szepczących ludzi. Wśród nich najbardziej zapalonym wydawał się niejaki Mavot, który nigdy nie zagrzał miejsca w żadnym warsztacie dłużej niż przez tydzień, odprawiany przez majstrów, bo ciągle trzeba było się z nim kłócić”. Poległ następnego dnia na barykadzie przy ulicy Menilmontant. Pretot, który miał również zginąć w walce, pomagał dzielnie Mavotowi i gdy go pytano: „Czego ty chcesz?”, odpowiadał: „Powstania!”. Robotnicy zgromadzeni na rogu ulicy Bercy czekali na człowieka nazwiskiem Lemarin, organizatora spisku na przedmieściu SaintMarceau. Hasła podawano sobie z ust do ust niemal jawnie.

Tak więc 5 czerwca, w dzień na przemian deszczowy i słoneczny, kondukt pogrzebowy generała Lamarque posuwał się ulicami Paryża z oficjalną asystą wojskową przez ostrożność nieco wzmocnioną. Dwa bataliony z bębnami spowitymi w krepę i karabinami obróconymi lufą do ziemi, dziesięć tysięcy gwardzistów z szablami u boku oraz artyleria gwardii narodowej eskortowały karawan, który ciągnęła młodzież. Tuż za nimi kroczyli oficerowie ze schroniska Inwalidów, z gałązkami wawrzynu w ręku. Dalej postępował niezliczony, podniecony, dziwny tłum: członkowie Towarzystwa Przyjaciół Ludu, studenci prawa, studenci medycyny, uchodźcy najrozmaitszych narodowości, sztandary hiszpańskie, włoskie, niemieckie, polskie, sztandary trójbarwne w poziome pasy, wszystkie flagi świata, dzieci wywiejające zielonymi gałązkami, kamieniarze i cieśle, którzy właśnie strajkowali, drukarze, łatwi do rozpoznania dzięki czapkom z papieru; szli dwójkami lub trójkami, wznosząc okrzyki, uzbrojeni w kije, a niektórzy w szable, szli w nieładzie, a przecież ożywieni jednym duchem; szli jak beładna ciżba, to znów jak regularna kolumna.

Poszczególne grupy wybierały sobie dowódców; jakiś mężczyzna uzbrojony w parę pistoletów, widocznych z daleka, zdawał się dokonywać przeglądu szeregów, które się przed nim rozstępowały. Na ulicach przyległych do bulwarów, na drzewach, na balkonach, w oknach, na dachach — wszędzie mrowie głów: mężczyźni, kobiety, dzieci. W oczach widzów czaił się niepokój; jeden tłum, uzbrojony, maszerował, drugi tłum, wylękły — patrzył.

Rząd obserwował również. Obserwował z dłonią na rękojeści szabli. Na placu Ludwika XV widać było cztery szwadrony konnych karabinierów w pogotowiu, z pełnymi ładownicami, nabitymi fuzjami i muszkietonami, z trębaczami na czele; w Dzielnicy Łacińskiej i w Ogrodzie Botanicznym rozstawiono na ulicach

oddziały gwardii miejskiej; w Hali Win stał szwadron - dragonów, na placu Greve połowa dwunastego pułku lekkiej jazdy, druga-połowa znajdowała się koło Bastylli, szósty dragonów - koło Celestynów. Dziedziniec - Luwru pełen był artylerii. Reszta wojska, nie licząc oddziałów z okolic Paryża, czekała w koszarach. Za niepokoiony rząd zawiesił nad groźnym tłumem dwadzieścia cztery tysiące żołnierzy w mieście i trzydzieści tysięcy na peryferiach.

Wśród uczestników konduktu krążyły najróżniejsze wieści: mówiono o intrygach legitymistów; mówiono o księciu Reichstadt, którego Bóg naznaczył piętnem śmierci w tej właśnie chwili, kiedy lud ofiarowywał mu władzę. Jakiś nierozpoznany osobnik obwieszczał, iż w oznaczonej godzinie dwaj pozyskani dla sprawy majstry otworzą ludowi bramy fabryki broni. Na odsłoniętych czołach większości ludzi kroczących w kondukcje zapał łączył się ze smutkiem.

W tym tłumie przejętym gwałtownym, lecz szlachetnym wzruszeniem widziała się też tu i ówdzie twarze naprawdę zbrodnicze i nieczne usta szepczące: „Do grabieży!” Niektóre wzburzenia mącą wodę ode dna i dobywają błoto na powierzchnię. Objaw, któremu nieobca jest „dobrze wyszkolona” policja.

Kondukt posuwał się z gorączkową powolnością od domu żałoby przez bulwary do placu Bastylli. Co pewien czas padał deszcz, ale tłum nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Nie brakło incydentów: oprowadzono trumnę dokoła kolumny Vendôme; posypały się kamienie, gdy księżę Fitz-James ukazał się na balkonie z nakrytą głową, kogut galijski został zerwany z ludowego sztandaru i rzucony w błoto, przy bramie Św. Marcina zraniono szablą policjanta, jakiś oficer z dwunastego pułku lekkiej jazdy powiedział głośno: „Ja jestem republikaninem!” studentów politechniki, którzy przybyli wbrew zakazom przełożonych, tłum powitał okrzykami: „Niech żyje politechnika! Niech żyje Republika!” Na placu Bastylli dołączyły się do konduktu długie, groźne szeregi mieszkańców przedmieścia Św. Antoniego i jakieś straszliwe wrzenie zaczęło ogarniać tłum.

Słyszano, jak pewien człowiek mówił do towarzysza: „Widzisz tego jegomościa z ryzą bródką? To on da znak, kiedy trzeba będzie zacząć strzelać.” Wydaje się, że ta sama ryza bródka pełniła i później podobną funkcję; w innych zamieszkach, w tak zwanej sprawie Quenisseta.

Karawan minął plac Bastylli, przejechał wzdłuż kanału, przebył mały most i dotarł do esplanady koło mostu Austerlitzkiego. Tam zatrzymał się. Z lotu ptaka to mrowie ludzkie musiało wyglądać jak kometa, której głowa leżała na esplanadzie, a ogon rozpostarty na wybrzeżu Bourdon przykrywał plac Bastylli i ciągnął się aż do bramy Św. Marcina.

Wokół karawanu utworzył się wielki krąg. W olbrzymim tłumie zapanowała

cisza. Przemówił Lafayette żegając Lamarque'a. Była to chwila wzruszająca i wspaniała; odkryły się wszystkie głowy, wszystkie serca mocniej zabiły. Nagle w grupie otaczających karawan zjawił się mężczyzna na koniu, cały w czerni, z czerwonym sztandarem w rękę; niektórzy twierdzili później, że była to czerwona czapka zatknięta na pikę. Lafayette odwrócił głowę. Exelmans opuścił kondukt.

Ten czerwony sztandar wywołał burzę i znikł w niej. Od bulwaru Bourdon aż po most Austerlitzki tłum, niby wzburzone morze, zakołysał się wołając: „Lamarque do Panteonu! Lafayette na ratusz!” Wśród entuzjastycznych okrzyków tłum młodzień i zaczęła ciągnąć karawan Lamarque'a w kierunku mostu Austerlitzkiego, a powóz Lafayette'a przez bulwar Morland.

W grupie otaczającej i oklaskującej Lafayette'a, zauważono i pokazywano sobie pewnego Niemca, Ludwika Snydera, zmarłego później w wieku 100 lat, który brał również udział w wojnie 1776 roku i bił się pod Trenton pod dowództwem Washingtona, a pod Brandywine pod dowództwem Lafayette'a.

Tymczasem na lewym brzegu ruszyła miejska konnica i zagroziła most, a na prawym brzegu dragoni wysunęli się od strony Celestynów i rozwinęli się szykiem wzdłuż wybrzeża Morland. Ludzie ciągnący Lafayette'a zauważyli ich nagle za zakrętem i zawołali: „Dragon! Dragon!” Oni zaś, z pistoletami w ołstrach, z szablami w pochwach i muszkietonami przy siodłach, jechali stępą w zupełnym milczeniu, w postawie wyczekującej i groźnej.

Na dwieście kroków przed małym mostem stanęli. Dorożka Lafayette'a podjechała ku nim — dragoni rozstąpili się, przepuścili ją, a potem znowu zwarli szeregi.

W tym momencie tłum stanął z wojskiem twarzą, w twarz. Kobiety zaczęły uciekać w popłochu.

Co stało się w owej fatalnej minucie? Nikt nie umiałby dać na to odpowiedzi. Była to tajemnicza chwila, w której starły się ze sobą dwie chmury. Jedni mówią, że od Arsenału doleciał głos trąbki, dającej sygnał ataku, inni, że jakieś dziecko zraniło sztyletem dragona. Pewne jest tylko, że nagle padły trzy strzały: pierwszy zabił dowódcę szwadronu, Choleta, drugi głuchą staruszkę, która zamykała okno w swoim mieszkaniu przy ulicy Contrescarpe, trzeci trafił w epolet jednego z oficerów. Jakaś kobieta krzyknęła: „Zaczynają za wcześnie!” I nagle zobaczono, że na wprost wybrzeża Morland szwadron dragonów, który pozostawał dotychczas w koszarach, wypada galopem z obnażonymi szablami i pędzi przez ulicę Bassompierre i bulwar Bourdon, zmiatając wszystko przed sobą.

Już nic więcej nie trzeba; rozpętuje się burza, sypie się grad kamieni, . wybucha strzelanina, wielu ludzi, rzuca się do podnóża skarpy i przechodzi przez wąską, odnogę Sekwany, dziś zasypaną; składy drzewa na. wyspie Louviers, jakby zawczasu przygotowana reduta, pokrywają się walczącymi; padają słupy, rozlegają się strzały z pistoletów, zaczyna rosnać barykada; młodzież, odepchnięta przez wojsko, biegnie wraz z karawanem przez most Austerlitzki i atakuje gwardię narodową; przybywają karabinierzy, dragoni siekają szablami, tłum rozprasza się na wszystkie strony, wrzawa, wojenna ogarnia Paryż, ludzie krzyczą: „Do broni!” biegną, padają, uciekają, stawiają opór. Gniew roznieca; powstanie jak wiata ogień.

ROZDZIAŁ IV

Wrzenie tamtych dni

Nie ma osobliwszej rzeczy niż pierwszy dreszcz zamieszek. Wszystko wybucha wszędzie równocześnie. Czy to było przewidziane? Tak. Czy było przygotowane? Nie. Skąd się rodzi? Z ulicznego bruku. Skąd się bierze? Z nieba. Tu powstanie ma charakter spisku, ówdzie — improwizacji.. Pierwszy lepszy człowiek obejmuje przewodnictwo tłumów i wie, dokąd chce. Pełen grozy początek zaprawiony jakąś potężną radością. Zrazu wszędzie wybucha zgiełk, zamykają się sklepy, znikają stragany; później zaczynają padać pojedyncze strzały; ludzie uciekają; kolby karabinów walą w bramy; słysząc, jak na podwórkach służące śmieją się mówiąc: „Zanosi się na awanturę!”

Nie minął kwadrans i oto, co działo się niemal równocześnie w dwudziestu różnych punktach Paryża.

Na ulicy Sainte-Croix-de-la-Bretonnerie ze dwudziestu młodych ludzi z brodami i długimi włosami weszło do szynku; po chwili wyszli niosąc poziomo trójbarwny sztandar, spowity krepą; na czele kroczyło trzech uzbrojonych mężczyzn; jeden miał szablę, drugi — strzelbę, trzeci — pikę.

Na ulicy Nonnains-d'Hyeres jakiś dostatnio ubrany jegomość o donośnym głosie, brzuchaty, łysy, z czarną brodą i nieposłusznie sterczącym szczeniastym wąsem, którego niesposób ułożyć porządnie, otwarcie proponował przechodniom naboje.

Mężczyźni z gołymi ramionami obnosili po ulicy Saint-Pierre-Montmartre czarną chorągiew, na której białe litery tworzyły napis: „Republika albo śmierć!” Na ulicy Jeuneurs, Cadran, Mantorgueil i Mandar pojawiały się podniecone grupki wymachując sztandarami, na których widniało napisane złotymi literami słowo: „sekcja”, i numer.

Na jednym z tych sztandarów pasy czerwony i niebieski dzielił wąski i prawie niedostrzegalny biały paseczek.

Na bulwarze Sw. Marcina rozgrabiono wytwórnę broni, poza tym trzy sklepy rusznikarzy, pierwszy przy ulicy Beaubourg, drugi przy ulicy Mtehel-le-Comte, trzeci przy ulicy Tempie. W ciągu paru minut tysiące rąk pochwyciło i uniosło dwieście trzydzieści karabinów, przeważnie dwustrzałowych, sześćdziesiąt cztery szable i osiemdziesiąt trzy pistolety. Aby więcej ludzi mogło się uzbroić, jedni brali karabiny, inni bagnety.

Naprzeciw wybrzeża Greve uzbrojeni w muszkiety ludzie zajmowali miejsca w oknach, aby stamtąd strzelać. Jeden z nich miał muszkiet bębenny. Dzwonili do mieszkań, wchodziłi i zabierali się do robienia naboji. Jedna kobieta opowiadała później: „Nie wiedziałam nawet, co to są naboje, dopiero mąż mi powiedział.”

Do sklepu z osobliwościami na ulicy Vieilles-Haudriet-tes włamała się grupa ludzi i zabrała jatagany oraz broń turecką.

Na ulicy Perłowej leżał trup murarza, który padł od kuli karabinowej.

Prawy i lewy brzeg Sekwany, wybrzeża, bulwary, Dzielnicę Łacińską i Hale ogarnęło podniecenie: robotnicy, studenci, sekcyjni czytali proklamacje, wołali „Do broni!”, tłukli latarnie, wyprzęgali konie z pojazdów, zrywali bruk z ulic, wyważali bramy domów, wyrwali drzewa, przeszukiwali piwnice, toczyli beczki i układali płyty chodników, kamienie, meble, deski wznosząc barykady.

Zmuszano mieszczan do pomocy. Powstańcy wchodziłi do domów, żądali od kobiet szabel i karabinów nieobecnych mężów i pisali na drzwiach kredą hiszpańską: „Broń została wydana.” Niektórzy kwitowali „własnym nazwiskiem” odbiór szabli i karabinu i mówili: „Proszę się jutro zgłosić po nie *na merostwo*.”

Rozbrajano na ulicach pojedyncze patrole i członków gwardii narodowej, udających się do swej komendy. Oficerom zrywano szlify. Na ulicy Cmentarnej pewien oficer gwardii narodowej, ścigany *przez* tłum, uzbrojony w kije i florety, ledwo się zdołał schronić w jakimś domu, skąd mógł się wydostać dopiero nocą i w przebraniu.

W dzielnicy Sw. Jakuba studenci tłumnie opuszczali hotele i biegłi w górę ulicy Sw. Jacka do kawiarni „Postęp” lub też schodzili w dół do kawiarni „Pod Siedmioma Bilardami” przy ulicy Matburins. Tam przed wejściem młodzi ludzie, stojący na kamiennych słupkach, rozdawali broń. Splądrowano składy drzewa przy ulicy Transnonain, by zdobyć materiał na zbudowanie barykady. W jednym tylko punkcie Paryża, przy zbiegu ulic Saint-Avoye i Simom-le-Franc, mieszkańcy stawili opór i rozebrali barykadę. W jednym też punkcie powstańcy cofnęli się; otworzywszy ogień na oddział gwardii narodowej, uciekli ulicą Óorderie porzucając zaczętą barykadę przy ulicy Tempie. Oddział gwardii znalazł na barykadzie czerwony sztandar, paczkę naboji i trzysta kul do pistoletów. Sztandar został podarty i gwardia zatknęła sobie jego strzępy na bagnety.

Wszystko, co opowiadamy tu powoli i kolejno, wybuchło na raz we wszystkich punktach miasta, wśród wrzawy i zgiełku, niczym snop błyskawic wśród jednego huku grzmotu.

W niespełną godzinę w jednej tylko dzielnicy Hal wyrosło, jak spodziemi, dwadzieścia siedem barykad; Pośrodku stał dom oznaczony numerem 50, słynna reduta Jeanne'a i jego stu sześciu towarzyszy; osłonięta z jednej strony barykadą na ulicy Saint-Merry, z drugiej — barykadą na ulicy Maubuee, reduta ta panowała nad trzema ulicami: ulicą Arcis, Św. Marcina i Aubry-le-Boucher, która na nią wprost wychodziła.

Dwie barykady, stykające się pod kątem prostym, ciągnęły się jedna na ulicy Montorgueil w stronę Żebraczej Dużej, druga — na ulicy Geoffray-Langevin w stronę ulicy Sainte-Avoye. Nie będziemy tu wspominali niezliczonych barykad w dwudziestu innych dzielnicach Paryża, na Bagnie czy na wzgórzu Świętej Genowefy, ani barykady przy ulicy Menilmontant, w której widać było wrota wyrwane z zawiasów; ani też innej, zbudowanej z wyciągniętego i przewróconego kocza, przy małym moście koło Hôtel-Dieu, o trzysta kroków od prefektury policji.

Na barykadzie przy ulicy Menetriers dostatnio ubrany mężczyzna rozdawał pieniądze pracującym. Do barykady przy ulicy Greneta nadjechał konno jakiś nieznajomy i wręczył człowiekowi, który wyglądał na dowódcę, coś na kształt rulonu pieniędzy. „Masz — powiedział — na opłacenie wydatków, na wino i resztę.” Młody blondyn bez krawata biegał między barykadami, nosząc rozkazy. Inny, z obnażoną szablą i niebieską czapką policjanta na głowie, rozstawiał strażę. Winiarnie i stróżówki przemieniono w obręb barykad na kordegardy. Zresztą rozruchy rozwijały się według najlepszych reguł taktyki wojskowej. Wąskie, strome i kręte uliczki, pełne załomków i zakrętów stanowiły świetnie wybraną pozycję, szczególnie najbliższa okolica Hal — sieć uliczek bardziej powikłana niż drogi leśne. Mówiono, że Stowarzyszenie Przyjaciół Ludu objęło dowództwo powstania w dzielnicy Sainte-Avoye. Przeszukując trupa' mężczyzny, zabitego na ulicy Ponceau, znaleziono przy nim plan Paryża.

W rzeczywistości kierowała rozruchami jakaś nieznana gwałtowność, która była w powietrzu. W mgnieniu oka powstanie jedną ręką wzniosło barykady, a drugą opanowało wszystkie prawie posterunki garnizonu.

W niespełną trzy godziny, niby smuga zapalonego prochu, powstańcy zajęli i opanowali na prawym brzegu: Arsenał, siedzibę merostwa na placu Królewskim, całą dzielnicę Bagno, fabrykę broni Popincourt, Galiote, Wieżę Ciśnień i wszystkie ulice w okolicy Hal; na lewym zaś brzegu koszary Weteranów, więzienie Św. Pelagii, plac Maubert, prochownię Dwa Młyny i wszystkie rogatki. O piątej po południu byli panami Bastylli, Lingerie i Blancs-Manteaux, a ich strażę przednie podchodziły pod płas Zwycięstw i zagrażały bankowi, koszarom Petits-Peres oraz poczcie. Rozruchy ogarnęły trzecią część Paryża.

Wszędzie zawiązały się gigantyczne starcia; na skutek zaś rozbrajania oddziałów rządowych, rewizji po domach i szybkiego opanowania sklepów z bronią — walka, w której zrazu padały kamienie, przemieniła się w strzelaninę.

Około szóstej wieczorem pasaż Saumon stał się terenem walk. Na jednym jego krańcu znajdowali się powstańcy, na drugim wojsko; strzelano do siebie od kraty do kraty. Pewien widz, marzyciel, autor niniejszej książki, chcąc z bliska przyjrzeć się wulkanowi, znalazł się w tym pasażu wzięty w dwa ognie. Od kul chroniło go tylko niewielkie zagłębienie między słupami oddzielającymi sklepy; blisko pół godziny musiał przetrwać w tej dość trudnej sytuacji.

Tymczasem biły werble, gwardia narodowa wciągała mundury i spieszenie chwyciła broń, oddziały wychodziły z merostw, pułki wychodziły z koszar. Naprzeciw pasażu Ancre zasztyletowano dobosza. Drugiego napadła na ulicy Łabędziej trzydziestoosobowa grupa młodzieży, przedziurawiła mu bęben i odebrała szablę. Trzeci został zabity na ulicy Grenier-Saint-Lazare. Na ulicy Michel-le-Comte poległo trzech oficerów, jeden po drugim. Wielu gwardzistów, rannych na ulicy Lombards, wycofało się.

Niedaleko Cour Batave oddział gwardii narodowej znalazł czerwony sztandar z napisem: „Rewolucja republikańska nr 127”. Byłaż to istotnie rewolucja?

Powstanie utworzyło w centrum Paryża rodzaj niezdobytej, skomplikowanej i ogromnej twierdzy.

Tani znajdowało się ognisko ruchu, tam najwyraźniej tkwiło sedno sprawy. Reszta — to były tylko utarczki bez większego znaczenia. Dowodził tego również fakt, że tam nie zaczęto jeszcze walki.

W niektórych pułkach żołnierze byli niezdecydowani, pogłębiało to jeszcze straszliwą niepewność wydarzenia. Przypominali sobie owacje, jakimi lud przyjął w lipcu 1830 roku neutralność 53 pułku liniowego. Dowodzili nimi dwaj mężowie dzielni i wypróbowani w bojach, marszałek Lobau i generał Bugeaud; Bugeaud jako podkomendny Lobaua. Mocne patrole złożone z batalionów piechoty, otoczone całą kompanią gwardii narodowej i poprzedzane przez prefekta policja, przepasanego wstęgą, miały przeprowadzić rekonesans na ulicach, ogarniętych powstaniem. Powstańcy zaś rozstawiali swoje widety na skrzyżowaniach ulic i zuchwale wysyłali patrole poza obręb barykad. Obie strony obserwowały się nawzajem. Rząd — mimo że miał wojsko w ręku — wahał się; zbliżała się noc; z Saint-Merry dolatywał dźwięk dzwonów, bijących na trwogę. Ówczesny minister wojny, marszałek Soult, który widział Austerlitz, chmurnie patrzył na sytuację.

Ci starzy żeglarze bowiem, przyzwyczajeni do regularnych posunięć i kierujący

się zawsze taktyką, tą busolą bitwy, stają bezradni wobec potężnej, spienionej fali, zwanej gniewem ludu. Nie łatwo chwycić w żagle wichry rewolucji.

Podmiejska gwardia narodowa zgromadziła się w pośpiechu i w bezładzie. Z Saint-Denis nadjechał cwałem batalion 12 pułku, 14 pułk piechoty przybywał z Courbevoie; baterie szkoły wojskowej zajęły stanowiska na placu Carrousel; z Vincennes nadciągały armaty.

Tuileries opustoszały. Ludwik Filip zachowywał pogodę ducha.

ROZDZIAŁ V

Osobliwości Paryża

Mówiliśmy już, że w ciągu dwóch ostatnich lat Paryż widział niejedno powstanie. Poza dzielnicami objętymi powstaniem oblicze tego miasta cechuje zazwyczaj podczas rozruchów przedziwny spokój. Paryż bardzo łatwo przyzwyczaja się do wszystkiego — to tylko roz-ruchy! — i tyle ma spraw, że nie przejmuje się byle czym. Tylko miasta kolosy przedstawiają podobne widowisko. Tylko te ogromne skupiska mogą być równocześnie widownią wojny domowej i zachowywać jakiś niezwykły spokój. Zazwyczaj, gdy powstanie się zaczyna, gdy słycać werble, pobudki, marsze wojskowe, sklepikarz powiada tylko: „Zdaje mi się, że jest jakaś bijatyka na ulicy Sw. Marcina.” Albo: „Na przedmieściu Sw. Antoniego.” Często dodaje beztrasko: „Gdzieś w tamtej okolicy.”

Potem, gdy już wyraźniej dolatują przeraźliwe i złowieszcze odgłosy strzelaniny i salwy plutonów, sklepikarz mówi: „Ale grzeją! Patrzcie no, ale grzeją!”

Po chwili, jeśli rozruchy zbliżają się i zdobywają teren, czym prędzej zamyka swój sklepik i szybko naciąga mundur na grzbiet, innymi słowy zabezpiecza swoje towary, a naraża życie.

Strzelanina rozlega się na skrzyżowaniach ulic, w pasażach, w zaułkach, barykady przechodzą z rąk do rąk, krew się leje, pociski siekają po fasadach domów, kule zabijają mieszkańców w ich sypialniach, trupy zalegają ulice. O kilka ulic dalej słycać z kawiarni stuk kul bilardowych.

Grupki ciekawych rozmawiają i śmieją się o dwa kroki od ulic objętych walką; teatry są otwarte, grają w nich wodewile. Jeżdżą dorożki, ludzie wychodzą na obiad do restauracji; niekiedy w tej samej nawet dzielnicy, gdzie toczą się bitwy. W 1831 roku przerwano strzelaninę, by przepuścić orszak weselny.

Podczas powstania 12 maja 1839 roku, na ulicy Sw. Marcina jakiś ułomny staruszek, ciągnąc ręczny wózek nakryty trójkolorową płachtą; pełen karafek z jakimś płynem, kuśtykał od barykady do wojska i od wojska do barykady, proponując z całkowitą bezstronnością szklanę soku kokosowego raz rządowi raz anarchii.

Trudno o coś równie niezwykłego i na tym polega właśnie owa charakterystyczna właściwość rozruchów paryskich, której nie ma żadna inna stolica. Bo na to trzeba dwóch rzeczy: wielkości Paryża i jego wesołości. Na to

trzeba miasta Woltera i Napoleona.

Tym razem wszakże, gdy 5 czerwca 1832 roku chwycono za broń, wielkie miasto odczuło coś, co mogło okazać się silniejsze od niego. Złękło się. Wszędzie, w najodleglejszych nawet i najmniej „zainteresowanych” dzielnicach, drzwi, okna i okiennice pozamykane były w biały dzień. Ludzie odważni zbroili się, tchórze kryli się. Znikł gdzieś niefrasobliwy, a zaaferowany przechodzień. Wiele ulic świeciło pustką jak o czwartej nad ranem. Podawano sobie niepokojące szczegóły, rozpowszechniano fatalne wiadomości: że oni opanowali bank; że w jednym tylko klasztorze Saint-Merry było ich sześciuset, że okopali się i zabarykadowali w kościele; że piechota nie jest pewna; że Armand Carrel odwiedził marszałka Clauzel, a marszałek mu powiedział: „Niech pan najpierw ma choćby jeden pułk!”; że Lafayette, chociaż chory, powiedział im: „Jestem po waszej stronie! Pojadę z wami wszędzie, gdzie tylko się znajdzie miejsce dla mojego krzesła!”; że trzeba się mieć na baczności; że w nocy znajdą się ludzie, którzy będą grabić samotne domy w mniej zamieszkałych stronach Paryża (w tym można poznać bujną wyobraźnię policji, tej Anny Radcliffe rządu); że na ulicy Aubry-le-Boucher'd ustawiono baterię; że Lobau i Bugeaud zmówili się i o północy, a najdalej o świcie, cztery kolumny mają ruszyć równocześnie na samo centrum powstania jedna od strony Bastylii, druga od bramy Sw. Marcina, trzecia do strony placu Greve, a czwarta od Hal; że wojska mają opuścić Paryż i wycofać się na Pole Marsowe; że nie wiadomo jeszcze, co się może zdarzyć, ale z całą pewnością tym razem sprawa jest poważna. Niepokojono się niezdecydowaniem marszałka Soulta. „Dlaczego od razu nie uderza?” Istotnie, zastanawiał się on głęboko. Zdawało się, że stary lew zwierzył w cieniu jakiegoś nieznanego potwora.

Nadszedł wieczór; teatry były nieczynne; po ulicach nerwowo krążyły patrole; rewidowano przechodniów; zatrzymywano podejrzane osoby. O dziewiątej wieczorem było przeszło osiemset osób aresztowanych; w prefekturze policji — przepełnienie; w Conciergerie — przepełnienie, w więzieniu La Force — przepełnienie. Zwłaszcza w Conciergerie długi korytarz piwniczny, zwany „paryską ulicą”, był pokryty wiązkami słomy; leżał na nich stłoczony tłum więźniów, których krzepił płomienną przemową „człowiek z Lionu” — Lagrange. Chrzęst słomy poruszanej przez tylu ludzi szeleścił niby ulewny deszcz. Gdzie indziej więźniowie nocowali pod gołym niebem, na dziedzińcach, pokotem. Wszędzie panował niepokój i jakieś niezwykle dla Paryża drżenie.

Barykadowano domy; żony i matki niepokoiły się; naokoło słychać było jedynie słowa: „On nie wrócił! Ach, mój Boże!” Gdzieś z oddali dolatywał czasem turkot przejeżdżającego pojazdu. Stojąc w progu domu, przysłuchiwano się wrzawie, krzykom, hałasom, głuchym i niewyraźnym odgłosom i mówiono: „To konnica”, albo „To jaszczce w galopie”; przysłuchiwano się trąbkom, bębnom, strzelaninie, a nade wszystko żalosnemu dźwiękowi dzwonu bijącego na trwogę w

klasztorze Saint-Merry. Czekano na pierwszy strzał armatni. Uzbrojeni mężczyźni ukazywali się nagle zza rogu ulic i znikali krzycząc: „Wracać do domów!” Rzucano się czym prędzej ryglować drzwi. Ludzie mówili: „Jak się to skończy?” Z minuty na minutę, w miarę jak zapadała noc, zdawało się, że potężna łuna rozruchów coraz posępniej zabarwia Paryż swym blaskiem.

KSIĘGA JEDENASTA

ATOM BRATA SIĘ Z HURAGANEM

ROZDZIAŁ I

Nieco wyjaśnień na temat źródeł poezji Gavroche'a. Wpływ pewnego członka Akademii Francuskiej na tę poezję

W chwili gdy wskutek zetknięcia się przed Arsenalem wojska z ludem wybuchło powstanie, powodując cofanie się tłumu, który postępował za trumną i na całej długości bulwarów ciążył, rzecz można, na czole konduktu — zrobił się przerażający zamęt. Ciżba zakołysała się, szeregi załamały, wszyscy zaczęli biec, uciekać, jedni z okrzykami, rwąc się do natarcia, inni umykając, pobladli z trwogi. Szeroka rzeka ludzka, która pokrywała bulwary, w mgnieniu oka rozlała się w prawo i w lewo i wartkimi, strumieniami wtargnęła w dwieście ulic równocześnie z gwałtownością przerwanej śluzy. W tej właśnie chwili obdarty malec, który szedł ulicą Menilmontant z gałązką zerwanego niedawno na wzgórzach Belleville złotego deszczu w rękę, zobaczył na wystawie sklepu ze starzyzną stary, kawaleryjski pistolet. Rzucił na bruk swoją gałązkę i zawołał:

— Paniusiu, pożyczam sobie od was ten figiel.

I uciekł z pistoletem.

W kilka minut później tłum przerażonych mieszczan, pierzchający ulicą Amelot i ulicą Basse, spotkał chłopca, który wywijał pistoletem i śpiewał:

W nocy nic nie widać wcale,

We dnie widać doskonale,

Nad pisemkiem zagadkowym

Mieszczuch łamie sobie głowę.

Hej! ratujcie wasze dusze,

Wy, spiczaste kapelusze!

To mały Gavroche szedł na wojnę.

Na bulwarze spostrzegł, że pistolet nie ma kurka.

Od kogo nauczył się tej piosenki, którą wyśpiewywał sobie w takt kroków, od kogo nauczył się innych piosenek, które chętnie śpiewał przy każdej sposobności? Nie wiemy. Może sam je ułożył? Gavroche znał zresztą wszystkie popularne wówczas piosenki i urozmaicał je własnym szczebiotem. Chochlik i andrus, łączył głosy przyrody z głosami Paryża. Repertuar ptaków przeplatał repertuarem pracowni malarskich. Znał młodych malarzy, plemię blisko spokrewnione z jego światem. Przez parę miesięcy terminował u drukarza. Pewnego razu posłano go z jakimś poleceniem do pana Baour-Lormian, jednego z czterdziestu nieśmiertelnych. Gavroche był urwisem literatury.

Mówiąc nawiasem, Gavroche wcale się nie domyślał, że w ową szkaradną noc deszczową, kiedy to ofiarował dwóm malcom gościnę w swoim słońiu, był narzędziem Opatrzności dla swoich rodzonych braci. Wieczorem — bracia, nad ranem — ojciec; oto, co działał owej nocy. Opuściwszy ó świcie ulicę Ballets, czym prędzej wrócił do słońia, z mistrzowską zręcznością wydobył z niego obu brzdąców, podzielił się z nimi zaimprovizowanym śniadaniem, po czym odszedł powierzając dzieci dobrej matce ulicy, która właściwie wychowała go również. Przed rozstaniem umówił się z nimi wieczorem w tym samym miejscu i wygłosił taką pożegnalną orację:

— Teraz daję drapaka albo inaczej mówiąc — nogę, czyli, jak powiadają na królewskim dworze — wieję! Słuchajcie, mikrusy, jeżeli nie znajdziecie tatusia i mamusi, wracajcie tu wieczorem. Dam wam coś do dzioba i położą spać. — Jednakże dzieci, czy to zabrane przez żandarma i odstawione do przytułku, czy skradzione przez jakiegoś cyrkowca, czy też po prostu zabłąkane w niezmiernym labiryncie Paryża — nie pokazały się więcej. Na dnie naszego społeczeństwa pełno jest takich zagubionych śladów.

Gavroche już nie zobaczył malców. Od owej nocy upłynęło dziesięć, a może dwanaście tygodni. Nieraz drapał się w głowę i stawiał sobie pytanie: „Gdzie, u diaska, podziały się moje dzieciaki?”

Tymczasem z pistoletem w garści dotarł na ulicę Pont-aux-Choux. Zauważył, że tylko jeden sklep jest tam jeszcze otwarty, i to — rzecz godna zastanowienia — sklep z ciastkami. Opatrzność chyba zrządziła, iż nadarzała mu się sposobność zjedzenia jeszcze jednego ciastka z jabłkami, zanim wkroczy w nieznanne. Gavroche przystanął, obmacał spodnie, przetrząsnął kamizelkę, wywrócił kieszenie, nie znalazł nic, ani grosza, i zaczął wołać: „Ratunku!”

Ciężko jest wyrzec się ciastka, i to ostatniego w życiu.

Mimo to Gavroche ruszył w dalszą drogę.

Kilka minut później był już na ulicy Sw. Ludwika. Przechodząc ulicą Parku Królewskiego poczuł, że musi sobie powetować stratę nieosiągalnego ciastka, i zaczął w biały dzień zdzierać afisze teatralne, co sprawiło mu niebywałą rozkosz.

Nieco dalej, widząc przechodzącą grupkę zażywnych osobników, których zaliczył do posiadaczy, wzruszył ramionami i splunął przed siebie filozoficzną żółcią:

— Rentiery, jakie to spaść! To wpruwa, że kicha drągiem stoi, 'to brodzi w dobrym żarciu. Spytajcie ich, co robią z pieniędzmi — sami nie wiedzą. Żrą je chyba! Ile brzuch pomieści.

ROZDZIAŁ II

Gavroche maszeruje

Trzymać w garści pistolet bez kurka i wywijać nim. na ulicy jest tak ważną funkcją społeczną, że Gavroche'owi z każdym krokiem przybawało werwy. Wyśpiewywał *Marsyliankę* przeplatając ją okrzykami:

— Wszystko w porządku, dolega mi okrutnie lewa łapa. Reumatyzm minie pokręcił, ale jestem zadowolony, obywatele. Trzymajcie się mocno, mieszczuchy! Już ja wam zaśpiewam wywrotowe piosenki! Co to są szpicle? To psy. Nie, dobry, dobry burek, nie ubliżajmy psom! Chciałbym przecież mieć kurek u pistoletu. Idę z bulwaru, moi drodzy, gorąco tam, gotuje się, kipi jak w garnku! Czas zebrać szumowiny. „Naprzód, obywatele! Nieczysta krew niech wsiąknie w naszą błoń!” Oddaję życie za ojczyznę, nie zobaczę już swojej łubej — koniec, kropka, adiu Fruziu! Ale pal sześc, niech żyje radość! Bijmy się, psiakrew, dosyć mam despotyzmu.

W tej chwili koń przejeżdżającego ulicą gwardzisty narodowego potknął się i padł. Gavroche położył pistolet na bruku, pomógł gwardziście wstać i podnieść konia. Po czym wziął swój pistolet i ruszył dalej.

Na ulicy Thorigny panowała cisza i spokój. Apatia ta, właściwa dzielnicy Bagno, stanowiła jaskrawy kontrast z rozlegającą się dokoła wrzawą. Na progu domu gawędziły cztery kumoszki. Szkocja ma tria czarownic, Paryż ma kwartety kumoszek; złowrogą wróżbę: „Będziesz władcą”, którą Makbet usłyszał na wrzosowisku Armuyr, podobne głosy mogłyby wykrawać Bonapartemu na rogu ulicy Baudoyer.

Kumoszki z ulicy Thorigny pochłaniały własne sprawy. Były *to* trzy stróżki i jedna gałganiarka z koszem i hakiem.

Wszystkie cztery jakby, stały w czterech kątach starości, którymi są: zgrzybiałość, niedołęstwo, nędza i smutek.

Gałganiarka była pokorna. W tym świecie otwartym na cztery wiatry gałganiarka kłania się nisko, stróżka protekcyjnie kiwa głową. A to dlatego, że śmietnik — niepodzielna domena stróżki — może być chudy lub tłusty, zależnie od fantazji tego, kto nim rządzi. I miotła może być łaskawa.

Gałganiarka, kosz na śmieci przepętniony wdzięcznością, uśmiechała się — i to jakim uśmiechem! — do trzech stróżek. Rozmawiały mniej więcej w ten sposób:

— Jak tam, moja pani, czy kot pani jest zawsze taki zły?

— Mój Boże, pani wie, że koty zawsze źle żyją z psami. A psy się skarżą.

— Dudzie też.

— Pchły z kotów nie czepiają się człowieka.

— Ii, to głupstwo, ale psy są niebezpieczne. Pamiętam taki rok, kiedy było tyle psów, że aż stało o tym w gazetach. To było wtedy, kiedy w Tuilerych trzymali duże barany, które ciągnęły powozik króla Rzymskiego. Pamiętacie, panie, króla Rzymskiego?

— Ja wolałam księcia Bordeaux.

— A ja znałam Ludwika, XVII. Wolę Ludwika XVII.

— Ależ mięso jest drogie, pani Patagon!

— Niech mi pani nawet nie mówi o jatkach, okropność! Okropność! Zamiast mięsa same kości! Tutaj do rozmowy wtrąciła się gałganiarka:

— Tak, tak, moje panie; i handel nie idzie. Śmiecie są kiepskie. Ludzie nic nie wyrzucają, sami wszystko zjadają.

— Są biedniejsi od was, matko Vargouleme.

— Co to, to prawda — zgodziła się pełna szacunku gałganiarka. — Ja mam mój zawód.

Po chwili milczenia gałganiarka, ulegając wrodzonej naturze ludzkiej potrzebie popisania się, dodała:

— Jak wracam rano, przetrząsam kosz, przebieram i sortuję (miało to zapewne znaczyć: sortuję) śmiecie.

Mam tego w izbie całe stosy. Gałgany kładę do koszyka, ogryzki do szaflika, płótno do szafki, wełnę do komody, stare papierzyska w kącie pod okno, rzeczy do jedzenia do miski, kawałki szkła do komina, stare buty za drzwi, a kości pod łóżko. Gavroche przystanął z tyłu i słuchał:

— Hej, paniusie — zawołał — a cóż wam się tak zebrało na rozmowy o polityce?

Natarły na niego z czterech stron, jazgocząc zapamiętałe:

— Widzicie mi zbója!

— Co on trzyma w garści? Pistolet!

— Popatrzcie no tylko, taki smarkaty oberwaniec!

— Nie usiedzi spokojnie, póki nie obali rządu! Gavroche, pełen pogardy, ograniczył swoją zemstę do gestu, podnosząc koniec nosa dużym palcem, szeroko rozczapierzonej dłoni. Gałganiarka krzyknęła:

— A, paskudny obdartusie!

Ta, którą nazywano panią Patagon, klasnęła w dłonie z oburzenia:

— Znosi się na coś niedobrego, jak amen w pacierzu! W sąsiednim domu mieszka taki młokos z bródką, co widywałam go, jak się prowadzał pod rękę z jakąś dzierlatką w różowym czepeczku, a dziś — patrzę, niesie karabin! Kuma Bacheux mówi, że w zeszłym tygodniu były rozruchy w... w... wyleciało mi z głowy! — w Pontoise. A teraz ten wstrętny urwis z pistoletem!

Podobno ulica Celestynów zapchana armatami. I co ma robić rząd z takimi nicponiami, którzy nie wiedzą, co wymyślić, byle ludziom zatruć życie! A już zaczynał się jaki taki spokój po tych wszystkich nieszczęściach, Boże miłosierny! Ta biedaczka królowa; widziałam, jak ją wieźli na wózku. I znowu tabaka podrożeje! Okropność! Zobaczysz, łotrze, pójdę patrzeć, jak cię będą gilotynować.

— Kapie ci z nosa, prababciu — rzekł Gavroche. — Wytrzymaj trąbę.

I ruszył dalej.

Na ulicy Pavee przypomniał sobie gałganiarkę i wygłosił następujący monolog.

— Niesłusznie obrażasz rewolucjonistów, matko Smieciaro. Ten pistolet walczy i o twoją sprawę; o to, żebyś miała w swoim koszu więcej rzeczy do jedzenia.

Nagle usłyszał za sobą jakiś hałas; to stróżka Patagon szła za nim i z daleka wygrażała mu pięścią, wrzeszcząc:

— A ty, bękarcie jeden!

— Bękart jestem, powiadasz? — rzekł Gavroche. — Gwiżdżę na to.

Po chwili, przechodząc przed pałacem Lamoignon, rzucił okrzyk:

— Naprzód! Do boju!

I wpadł w melancholijny nastrój. Spojrzał na swój pistolet z wyrzutem, jakby go

chciał wzruszyć.

— Ja idę na wojnę — rzekł do niego — a ty ani drgniesz!

Widok burka, bywa, odwróci uwagę od kurka. Przebiegał właśnie przez ulicę jakiś wychudzony pudel. Gavroche zaczął się nad nim litować.

— Biedny piesku — powiedział — chyba połknąłeś beczkę, bo ci widać wszystkie obręcze.

I skierował się w stronę Wiązu Św. Gerwazego.

ROZDZIAŁ III

Słuszne oburzenie golibrody

Zacny golibroda, ten sam, co wypędził dwóch malców, którym Gavroche udzielił schronienia w gościnnym wnętrzu słońca, stał w tej chwili w swym zakładzie i golił starego legionistę, weterana z czasów cesarstwa. Gawędzili. Golibroda naturalnie gadał coś o rozruchach, potem o generale Lamarque, a od Lamarque'a przeszli do cesarza. Zawiązała się tedy rozmowa między golibrodą a żołnierzem, którą Prudhomme, gdyby był przy niej obecny, przyozdobił pięknie wstawkami i zatytułował: *Dialog brzytwy i miecza*.

— Jak cesarz jeździł konno, proszę pana? — pytał golibroda.

— Źle, nie umiał spadać z konia. Toteż nigdy nie spadał.

— A ładne miał konie? Musiał mieć piękne konie, co?

— Przyjrzałem się dobrze jego wierzchowcowi tego dnia, kiedy mnie dekorował krzyżem. Była to ścigła siwa klaczka. Uszy miała daleko rozstawione, głęboka w łęku, drobna główka z czarną strzałką, długa szyja, mocne wiązania, pierś wypukła, pięknie sklepiona i po tężny zad. Wysoka była — miała z piętnaście piędzi.

— Piękne zwierzę! — rzekł golibroda.

— To był koń jego cesarskiej mości.

Golibroda poczuł, że te słowa wypadają uczcić chwilą milczenia: zastosował się do tego, po czym podjął na nowo:

— Cesarz był ranny tylko raz, nieprawdaż?

Stary żołnierz odpowiedział spokojnym i autorytatywnym tonem człowieka, który był naocznym świadkiem wydarzenia:

— Tak, w piętę. Pod Ratyzboną. Nigdy nie był tak pięknie ubrany jak tego dnia. Wyglądał jak z pudełeczka.

— A pan, panie weteranie, zapewne nieraz był ranny?

— Ja? — odparł żołnierz. — Ach, drobnostka. Pod Marengo dostałem dwa razy szablą przez kark. Pod Austerlitz kulkę w prawe ramię, pod Jena drugą kulkę w

lewe biodro. Pod Friedlandem pchnięcie bagnietem — o, tu pod Borodino pokłuto mnie lancami, pod Lutzen odłamek granatu urwał mi kawałek palca... Ach, a jeszcze pod Waterloo oberwałem kartaczem w udo. To wszystko.

— Jak to pięknie umierać na polu bitwy! — zawołał golibroda tonem godnym Pindara. — Słowo honoru, zamiast zdychać powoli na barłogu, złożony chorobą, zdychać dzień po dniu, otoczony miksturami, kompresami, lewatywami i doktorami, stokroć wolałbym dostać kulą armatnią w brzuch!

— Toś pan niewybredny! — odrzekł żołnierz. Ledwo wymówił te słowa, gdy straszliwy brzęk wstrząsnął sklepem. Szyba wystawowa rozprysła się nagie w kawałki. Perukarz zbladł.

— O Boże! — krzyknął. — Jest!

— Co?

— Kula armatnia.

— Masz pan tę kulę! — powiedział żołnierz podnosząc coś, co toczyło się po ziemi. Był to kamień.

Golibroda skoczył do rozbitej szyby i zobaczył Gavroche'a zmykającego ile sił w nogach w stronę Rynku Świętojańskiego: Przechodząc koło zakładu golibrody Gavroche, któremu sprawa dwóch malców wciąż jeszcze leżała na wątrobie, nie mógł się oprzeć pokusie, by nie pozdrowić go, i rzucił mu kamieniem w szybę.

— Patrz pan! — wrzasnął golibroda, który z białego zrobił się siny — taki to robi szkody dla samej przyjemności robienia szkody. I co ja temu andrusowi zrobiłem?

Rozdział IV

Starzec zadziwia dziecko

Tymczasem na Rynku Świętojańskim, gdzie posterunki były już rozbrojone, Gavroche „nawiązał łączność” z grupą, której przewodził Enjolras, Courfeyrac, Combeferre i Feuilly. Wszyscy byli jako tako uzbrojeni. Bahorel i Jan Prouvaire odszukali ich i przyłączyli się do grupy. Enjolras miał myśliwską dwururkę, Combeferre karabin gwardii narodowej z numerem pułku, a za pasem dwa pistolety, które widać było spod rozpiętego surduta; Jan Prouvaire — stary kawaleryjski muszkietem, Bahorel — karabin. Courfeyrac wymachiwał laską z obnażonym sztyletem. Feuilly z gołą szablą w dłoni kroczył na czele wołając:

— Niech żyje Polska!

Szli z wybrzeża Morland, bez krawatów, bez kapeluszy, zadyszani, przemoczeni deszczem, z błyskawicami w oczach. Gavroche zagadnął ich spokojnie:

— Dokąd idziemy?

— Chodź z nami! — rzekł Gourfeyrac.

Tuż za Feuilly szedł albo raczej podskakiwał Bahorel, który podczas rozruchów czuł się jak ryba w wodzie. Miał na sobie szkarłatną kamizelkę i sypał ciętymi dowcipami. Jakiś przechodzień wstrząśnięty widokiem jego kamizelki wrzasnął przerażony:

— Czerwoni idą!

— Czerwoni! Czerwoni! — przedrzeźniał go Bahorel. — Śmieszne obawy, mieszczaninie! Ja tam nie truchleję na widok maku polnego ani nie drżę ze strachu przed „Czerwonym Kapturkiem”. Wierz mi, mieszczaninie, strach przed czerwienią zostawmy rogatemu bydłu!

Wtem spostrzegł, że na narożniku wisi ogłoszenie zgoła pokojowej treści, a mianowicie dyspensa arcybiskupa Paryża, zezwalająca jego „owieczkom” na spożywanie jajek w okresie wielkiego postu. Bahorel zawołał:

— Owieczki, czyli mniej uprzejmie mówiąc — barany!

I zerwał z muru list pasterski. Postępkiem tym zjednął sobie wielkie uznanie Gavroche'a. Od tej chwili malec nie spuszczał zeń oczu.

— Słuchaj, Bahorel — zauważył Enjolras — nie masz racji. Trzeba było zostawić ten list w spokoju, nie z nim walczymy. Niepotrzebnie marnujesz swój gniew. Oszczędzaj go. Nie wolno strzelać bez rozkazu, trzeba trzymać w ryzach zarówno karaibin, jak i porywy duszy.

— Każdy postępuje, jak mu serce dyktuje — odciął się Bahorel. — To arcydzieło biskupa drażni mnie, chcę jeść jajka bez niczyjego pozwolenia. Ty jesteś z gatunku zimnego ognia, a ja się bawię. A zresztą, nie marnuję sił, nabieram tylko rozpędu; i jeśli podarłem ten list pasterski, to tylko po to — me Hercule! — by sobie zaostrzyć apetyt.

Słowa „me Hercule!” zaciekały Gavroche'a. Korzystał z każdej sposobności, by się czegoś nauczyć, a ten wróg afiszów zdobył jego szacunek. Zapytał go:

— Co to znaczy „me Hercule!”? Bahorel odpowiedział:

— To znaczy „psiakrew” po łacinie.

Tu Bahorel zobaczył w oknie bladego młodzieńca z czarną bródką, który przyglądał się przechodzącym; zapewne należał do Przyjaciół Abecadła.

Krzyknął do niego:

— Prędko, szykuj naboje! *Hannibal ante portas.*

— Oj, to prawda! Pogubią draby portki! — powiedział Gavroche, który już teraz rozumiał po łacinie.

Towarzyszył im hałaśliwy orszak: studenci, aktorzy, młodzi ludzie należący do Kugurdy z Aix, rzetmieślnicy, robotnicy portowi uzbrojeni w kije i bagnety; niektórzy podobnie jak Combeferre z pistoletami za pasem. Wśród tej gromady szedł jakiś starzec, który musiał być w bardzo podeszłym wieku. Nie miał broni i chociaż zamyślony, starał się dotrzymywać innym kroku, by nie pozostać w tyle. Zauważył go Gavroche.

— A to co za jeden? — zapytał Courfeyiraca.

— Jakiś starowina. Był to pan Mabeuf

ROZDZIAŁ V

Starzec

Opowiedzmy, co się stało.

W czasie szarży dragonów Enjolras wraz z przyjaciółmi znajdował się na bulwarze Bourdon, obok spichrzy zbożowych. Enjoiras, Courfeyrac i Combeferre byli wśród tych, którzy skręcili w ulicę Bassompierre, krzycząc: „Na barykady!” Na ulicy Lesdiguières spotkali wolno idącego starca.

Zwróciło ich uwagę, że staruszek szedł zygzakiem, jak gdyby był pijany. Ponadto kapelusz trzymał w ręku, mimo że padało przez całe rano, a i teraz kropił dość rześisty deszcz. Courfeyrac poznał ojca Mabeuf. Znał go, gdyż nieraz odprowadzał Mariusza do drzwi jego domu. Wiedział, że stary skarbnik parafii i bibliofil był człowiekiem spokojnym i więcej nawet niż nieśmiałym, toteż zdumiał się niepomiernie, widząc go w tym podnieconym tłumie, o dwa kroki od szarży konnicy, prawie wśród strzelaniny, z odkrytą głową, przechadzającego się pod deszczem i kulami.

Podszedł do niego i między dwudziestopięcioletnim powstańcem a osiemdziesięcioletnim starcem zawiązał się taki dialog.

— Panie Mabeuf, niech pan wraca do domu.

— Dlaczego?

— Tutaj sztykuje się bitka.

— To dobrze.

— Będą tu strzelać, będą siec szablami, panie Mabeuf...

— To dobrze.

— Będą walić z armat.

— To dobrze. A wy dokąd idziecie? — Idziemy obalić rząd.

— To dobrze.

I poszedł za nimi. Od tej chwili nie odezwał się ani słowem. Krok jego stał się nagle pewny i sprężysty. Robotnicy chcieli go ująć pod rękę. Potrząsnął głową

na znak odmowy. Wysunął się prawie na czoło kolumny; miał ruchy człowieka, który idzie, a twarz człowieka — który śpi.

— A to zawzięty staruszek! — szeptali studenci. Szeregi obiegała wieść, że to dawny członek Konwentu, stary królobójca.

Tłum skręcił w ulicę Szklarską. Mały Gavroche szedł, jako trębacz, na czele i wyśpiewywał na całe gardło:

Księżyc przegląda się w strumyku,

Chodźmy, Karolciu, do gaiku,

Stamtąd przyjemny wieje chłód.

Tu, tu, tu,

Do Chatou.

Mam jednego tylko Boga, jednego

króla i jeden grosz, i jeden but!

Raz dwa wróbelki o poranku

Upiły się rosą z tymianku.

Tęgi był tymiankowy miód!

Zi, zi, zi,

Do Passy.

Mam jednego tylko Boga, jednego

króla i jeden grosz, i jeden but!

Wilczki, niecnoty, tak się schlały,

Że na nos się powywracali.

Aż śmiał się z nich tygrysi ród.

Don, don, don,

Do Meudon.

Mam jednego tylko Boga, jednego

króla i jeden grosz, i jeden but!

Zaprzestań swarów, dąsów, krzyków,

Chodźmy, Karolciu, do gaiku,

Stamtąd przyjemny wieje chłód.

Tin, tin, tin,

Do Pantin.

Mam jednego tylko Boga, jednego

króla i jeden grosz, i jeden but.

Szli w kierunku Saint-Merry.

ROZDZIAŁ VI

Ochotnicy

Tłum rósł z każdą chwilą. Koło ulicy Billettes przyłączył się do niego wysoki, szpakowaty mężczyzna, którego krzepką, surową i śmiałą postawę Courfeyrac, Enjokas i Combeferre spostrzegli od razu, choć go nie znali. Gavroche, który śpiewał, gwizdał, hałasował, wybiegał naprzód i stukał w okiennice sklepów kolbą swojego pistoletu bez kurka, tak był tym zajęty, że nie zwrócił uwagi na przybysza.

Tak się zdarzyło, że przechodzili ulicą Szklarską koło mieszkania Courfeyraca.

— Doskonała okazja! — rzekł Courfeyrac. — Zapomniałem sakiewki i zgubiłem kapelusz.

Odłączył się od grupy i przeskakując po cztery stopnie wbiegł do swego mieszkania, wziął stary kapelusz i sakiewkę. Zabrał też sporą kwadratową skrzynię, wielkości dużej walizki, która była ukryta pod brudną bielizną. Kiedy pospiesznie zbiegał na dół, dozorczyńni zawołała go:

— Panie de Courfeyrac!

— Jak się pani nazywa, pani dozorczyńni? — rzucił jej w odpowiedzi Courfeyrac.

Dozorczyńni zgłupiała.

— Przecie pan dobrze wie; ja jestem tu stróżką i nazywam się matka Veuvain.

— No, to jeśli jeszcze raz nazwie mnie pani panem de Courfeyrac, ja będę panią nazywać matką de Veuvain. A teraz o co chodzi? Co się stało?

— Ktoś czeka na pana.

— Kto taki?

— Nie wiem.

— Gdzie?

— U mnie w stróżówce.

— A niech go wszyscy diabli!

— Ale tato czeka tu przeszło godzinę! — nalegała stróżka.

W tej samej chwili jakiś młody robotnik, chudy, blady, niski, piegowaty, ubrany w podartą bluzę i połatane welwetowe spodnie, bardziej podobny do przebranej dziewczyny niż do mężczyzny, wyszedł ze stróżówki i zapytał Courfeyraca głosem, który nie przypominał wcale kobiecego głosu:

— Proszę pana, gdzie jest pan Mariusz?

— Nie ma go w domu.

— A czy wróci wieczorem?

— Nie wiem.

I Courfeyrac dodał:

— Ja na pewno nie wrócę.

Chłopak przyjrzał mu się uważnie i zapytał:

— A czemu?

— A temu!

— Gdzie pan idzie?

— Co cię to obchodzi?

— Może zanieść panu kuferek?

— Idę na barykady.

— Czy mogę pójść z panem?

— Jak sobie chcesz! — odrzekł Courfeyrac. — Ulica jest otwarta, bruk jest dla wszystkich.

I wybiegł z domu, by dogonić przyjaciół. Połączywszy się z nimi, oddał kuferek jednemu z towarzyszy. Upłynął dobry kwadrans, nim spostrzegł, że młody robotnik istotnie przystał do nich.

Tłum nie zawsze idzie tam, gdzie chce. Wytłumaczyliśmy już, że unosi go podmuch wiatru. Minęli ulicę Saint-Merry i znaleźli się — sami nie wiedząc jak — na ulicy Sw. Dionizego.

KSIĘGA DWUNASTA

„KORYNT”

ROZDZIAŁ I

Historia „Koryntu” od czasów jego założenia

Paryżanie, którzy wchodząc dziś w ulicę Rambuteau od strony Hal widzą na prawo, naprzeciw ulicy Zakręt, sklep koszykarski, a nad nim zamiast szyldu koszyk wyobrażający postać cesarza Napoleona Wielkiego z napisem: „Pod Napoleonem z wikliny uplecionem”, nie przypuszczają nawet, że przed niespełna trzydziestu laty miejsce to było widownią straszliwych wydarzeń.

Tu właśnie znajdowała się ulica Konopna, na dawnych tabliczkach pisana Konopiana, i sławny szynk, zwany „Koaryntem”.

Czytelnik pamięta to wszystko, co mówiliśmy już o wzniesionej w tym miejscu barykadzie, którą zresztą zaćmiła całkowicie barykada z ulicy Saint-Merry. Na tę właśnie sławną barykadę z ulicy Konopnej — dziś pograżoną w mroku niepamięci — (pragniemy rzucić snop światła.

Dla jasności opowiadania niech nam będzie wolno uciec się do prostego sposobu, którego użyliśmy już przy opisie bitwy pod Waterloo. Kto chce mieć dokładne pojęcie o rozmieszczeniu domów stojących w owym czasie koło kościoła Sw. Eustachego w północno-wschodnim rogu Hal paryskich, tam gdzie dziś kończy się ulica Rambuteau, niech sobie wyobrazi duże N, górnym końcem, sięgające ulicy Św. Dionizego, a podstawą wsparte o Hale, którego pionowe ramiona tworzyłyby ulice Duża Żebracza i Konopna, a linię ukośną — ulica Mała Żebracza. Stara uliczka Zakręt przecinała, owe trzy linie krętym zygzakiem, tak że splątany labirynt tych czterech ulic tworzył na powierzchni stu sążni kwadratowych — między Halami i ulicą Sw. Dionizego z jednej strony, a ulicą Łabędzią i ulicą Dominikańską z drugiej — siedem wysepek domów o najdziwniejszej konfiguracji, różnej wielkości, rozrzuconych bezładnie i jakby przypadkowo, a oddzielonych od siebie wąskimi szczelinami, niby bloki kamienne w warsztacie kamieniarza.

Użyliśmy określenia „wąskie szczeliny”; trudno byłoby dać dokładniejsze wyobrażenie o tych ciemnych, ciasnych i krętych uliczkach ośmiopiętrowych rudery. Rudery tę były tak zniszczone, że na ulicy Konopnej i Małej Żebraczej

podtrzymywały je belki oparte o ściany przeciwległych domów. Ulica była wąska, a rynsztok szeroki, przechodzień szedł zawsze po mokrym bruku, ocierając się o sklepy podobne do piwnic, o grube słupy obite żelazem, o olbrzymie stosy śmieci i bramy zbrojne w potężne, odwieczne kraty. Z przebicciem ulicy Rambuteau wszystko to znikło.

Nazwa ulicy — Zakręt —: znakomicie oddaje kręte linie tej plątaniny. Nieco dalej, jeszcze lepiej odzwierciedla ją nazwa dochodzącej do niej ulicy — Przeskok.

Skręcając z ulicy Św. Dionizego w ulicę Konopną przechodzień widział, że zwięża się ona przed nim jak wydłużony lejek. Na końcu tej ulicy, bardzo zresztą krótkiej — rząd wysokich domów zagradzał mu drogę od strony Hal, co skłoniło go do przypuszczenia, że znajduje się w ślepej uliczce, gdyby nie dwa ciemne przesmyki w prawo i w lewo, któredy mógł się przemknąć.

Była to uliczka Zakręt, której jeden koniec wychodził na ulicę Dominikańską, drugi zaś na ulicę Łabędzią i Małą Żebraczą. W głębi tego zaułka, na rogu prawego przesmyku, stał dom niższy od innych, tworzący coś w rodzaju cypla.

W tym właśnie domu, tylko dwupiętrowym, wiódł od trzystu lat beztroski żywot słynny szynk. Napełniał on wesołą wrzawą miejsce, o którym stary Teofil wspomina w dwuwierszu:

*Grzechocze straszny szkielet kochanka,
Co się powiesił tutaj z miłości.*

Miejsce było dobre i szynk przechodził z ojca na syna.

Za czasów Maturyna Regnier gospoda nazywała się „Pot-auK-Roses”, a że panowała wówczas moda na rebusy, więc za szyld służył jej słupek pomalowany na różowo. W ubiegłym stuleciu zacny Natoire, jeden z mistrzów fantastyczności, dziś wzgardzony przez zwolenników akademizmu, zaproszywszy sobie kilka razy głowę w tej gospodzie przy tym samym stole, przy którym upijał się Regnier, w dowód wdzięczności wymalował na różowym słupku — winne grono. Uszczęśliwiony właściciel zmienił nazwę szynku i kazał napisać złotymi głoskami: „Pod Winogronami Koryntu”. Stąd wzięta się nazwa „Korynt”. Skrótów są charakterystyczne dla pijaków. Skrót bowiem jest zygzakiem zdania „Korynt” z czasem zatriumfował nad „Pot-aux-Roses”. Ostatni z dynastii szynkarzy, ojciec Hucheloup, nieświadomy dawnych tradycji, pomalował słupek na niebiesko.

Salka z kontuarem na parterze, salka z bilardem na piętrze, drewniane kręte

schody przebijające sufit, wino na stołach, dyna na ścianach, świece palące się w biały dzień — tak wyglądała owa gospoda. Schody z drewnianą klapą w podłodze dolnej salki prowadziły do piwnicy. Na drugim piętrze mieszkali małżonkowie Hucheloup. Wchodziło się tam, po stromych schodach, przypominających raczej drabinę, przez ukryte drzwi z głównej sali na pierwszym piętrze. Na strychu były dwa mansardowe poddasza, tam gnieździły się służące. Kuchnia mieściła się na parterze przy sali z bufetem. Ojciec Hucheloup przyszedł może na świat ze zdolnościami chemika, został jednak kucharzem; w jego szynku nie tylko się piło, ale i jadło. Hucheloup wynalazł wyborny specjał, który podawano tylko u niego, były to faszzerowane karpie, zwane *carpes au gras*. Jadło się je przy łójówce lub świecznikach z czasów Ludwika XVI, na stole obitym ceratą zamiast obrusa. Specjał ten ściągał smakoszy z oddalonych dzielnic miasta.. Pewnego ranka Hucheloup uznał za stosowne poinformować przechodniów o „specjalności swojej kuchni”; umoczył tedy pędzel w czarnej farbie — i znając własne zasady ortograficzne, podobnie jak własne przepisy kulinarne — wymalował na ścianie domu ten niezwykły napis:..

CARPES HO GRAS

Pewnej zimny ulewom i śniegom przyszła ochota zatrzeć „s” na końcu pierwszego słowa i „g” w środku drugiego, tak że zostało tylko

CARPE HO RAS

Tak więc przy pomocy czasu i deszczów skromne gastronomiczne ogłoszenie stało się maksymą filozoficzną.

Okazało się, że ojciec Hucheloup, choć nie znał dobrze francuskiego, znał łacinę, wywiódł z kuchni filozofię i chcąc jedynie zakasować Careme'a dorównał Horacemu. Najciekawsze zaś, że to także miało znaczyć: wstąpcie do mojego szynku.

Dziś nie pozostało już z tego wszystkiego, śladu. W roku 1847 labirynt Zakrętu został rozcięty i szeroko otwarty, obecnie zaś prawdopodobnie nie istnieje wcale. Ulica Konopna i „Korynt” znikły pod brukiem nowej ulicy Rambouteau.

Wspominaliśmy już, że Korynt był miejscem zebrań, jeśli nie zbiórek, Courfeyraca i jego przyjaciół. Gospodę tę wynalazł Grantaire. Wszedł do niej z powodu napisu „*Coerpe horas*”, a powrócił z powodu dania *carpes au gras*. Młodzi pili tam, jedli, krzyczeli; płacili mało, płacili jak popadło, nie płacili wcale — ale zawsze czekało ich gościnne przyjęcie. Ojciec Hucheloup był zacnym człowiekiem.

Ten zacny, jak dopiero powiedzieliśmy, Hucheloup był oberżystą wąsatym — zabawna odmiana! Miał zawsze nadąsaną i niezadowoloną minę, jak gdyby chciał odstraszyć klientów; zrzędził na swoich gości i wydawało się, że bardziej skłonny jest kłócić się z nimi niż podawać im zupę. Podtrzymujemy jednak to, co już raz powiedzieliśmy — czekało tu każdego gościnne przyjęcie. Te jego dziwactwa ściągały gości, a zwłaszcza młodzież, która mówiła: „Chodźmy posłuchać zrzędzenia ojca Hucheloup.” Hucheloup był niegdyś fehmistrzem. Często nagle wybuchał śmiechem. Szczery śmiech — pocziwa dusza! Był w gruncie rzeczy komikiem z pozorami tragika. Najbardziej lubił budzić strach wśród otoczenia; podobnie jak owe tabakierki w kształcie pistoletu. Zamiast strzału — kichnięcie.

Żona jego, matka Hucheloup, była osobą brodatą i wyjątkowo szpetną.

Około roku 1830 ojciec Hucheloup umarł, zabierając z sobą do grobu tajemnicę przyrządzania faszerowanych karpi. Niepocieszona wdowa prowadziła nadal gospodę, ale kuchnia się bardzo zepsuła, stała się wstrętą, a wino, zawsze kiepskie, stało się okropne. Jednakże Courfeyrac i jego przyjaciele chodzili nadal do „Koryntu”. „Przez cześć dla wspomnień” — mówił Bossuet.

Astmatyczna i rozlana wdowa Hucheloup miała sielskie wspomnienia, którym swoista jej wymowa odbierała ckliwość. We własny specjalny sposób opisywała rzeczy, które urozmaicały sielskie reminiscencje jej młodości. Zapewniała, że niegdyś lubiła słuchać śpiewu „słowików w zagrodzie”.

Sala na pierwszym piętrze, w której mieściła się restauracja, była obszerną długą izbą, zastawioną stołkami, taboretami, krzesłami, ławkami, stołami i starym, kulawym bilardem. Wchodziło się tam po krętych schodach przez kwadratowy otwór w rogu sali przypominający właz okrętowy.

Sala ta, oświetlona jednym tylko wąskim oknem i palącą się stale lampą, wyglądała na norę. Wszystkie sprzęty o czterech nogach zachowywały się tak, jakby miały trzy. Jediną ozdobę ścian bielonych wapnem stanowił nagryzmołony węglem czterowiersz ku czci pani Hucheloup:

Z bliska lęk srogi budzi, a zdumiewa, z dala. Wielka brodawka zdobi czubek jej nochala, I drżysz, że przy kichnięciu nochal ją wychlusta Lub sam pewnego razu utonie w jej ustach.

Pani Hucheloup z niewzruszonym spokojem przechodziła sto razy dziennie obok tego wiernego opisu swej urody. Dwie służące, których nie nazywano nigdy inaczej, jak Matelota i Gibelota, pomagały jej podawać dzbany z sinawym winem i rozstawiać gliniane miski z jakąś polewką przed zgłodniałymi gośćmi.

Matelota, tęga, okrągła, rada i krzykliwa, dawna faworytka nieboszczyka Hucheloup, była brzydsza od wszystkich mitologicznych potworów, ponieważ jednak nie wypada, by sługa górowała czymś nad swą panią, była mniej szpetna niż matka Hucheloup. Gibelota, wysmukła, delikatna i limfatycznie blada, z podkrążonymi oczami, ciężkimi powiekami, zawsze wyczerpana i słaba, dotknięta czymś, co można by nazwać chronicznym zmęczeniem, wstawiała pierwsza, kładła się ostatnia i usługiwała wszystkim — nawet drugiej służącej — z milczącą słodyczą, uśmiechając się, mimo znużenia, jakimś sennym półuśmiechem.

Nad bufetem wisiało lustro.

Na drzwiach wiodących do sali restauracyjnej można było odczytać zdanie wypisane kredą przez Courfeyraca:

„Racz się, jeśli możesz, jedz, jeśli masz odwagę.”

ROZDZIAŁ II

Wesoły początek

Laigle z Meaux, jak wiemy, mieszkał częściej u Joly'ego niż gdzie indziej. Mieszkanie było dla niego tym, czym gałąź dla ptaka. Dwaj przyjaciele mieszkali razem, jedli razem, spali razem. Wszystko uważali za wspólną własność, bodajże i Musichettę również. Byli nierozłączni jak bracia syjamscy. Rano 5 czerwca poszli na śniadanie do „Koryntu”.

Joly miał nos zapchany z powodu silnego kataru, Laigle zaczął już także ki-chać. Laigle miał ubranie wytarte, ale Joly był dobrze ubrany.

Około dziewiątej rano otworzyli drzwi „Koryntu”.

Weszli na pierwsze piętro.

Matelota i Gibelota zapytały, co podać..

— Ostrygi, ser i szynkę — rzekł Laigle. Usiedli za stołem.

Szynk świecił pustakami; poza nimi dwoma nie było tam nikogo.

Gibelota, poznawszy Joly'ego i Laigle'a, postawiła na stole butelkę wina.

Zabierali się właśnie do ostryg, gdy w otworze schodów ukazała się głowa i odezwał się głos:

— Przechodziłem tędy. Na ulicy zaleciał mnie rozkoszny zapach sera z Brie. Jestem!

Był to Grantaire. Wziął taboret i usiadł przy stole. Na jego widok Gibelota przyniosła jeszcze dwie butelki. Razem trzy.

— Masz zamiar wypić te dwie butelki? — zapytał Laigle Grantaire'a.

Grantaire odparł:

— Wszyscy są domyślni, ty jeden bezmyślny. Nigdy dwie butelczyny nie zdziwiły żadnego mężczyzny.

Laigle i Joly zaczęli od jedzenia, Grantaire od picia. Szybko wypróżnił pół butelki.

— Masz chyba dziurę w brzuchu! — rzekł Laigle.

— A ty na łokciu — odparł Grantaire. I wychyliwszy szklankę dodał:

— Tak, tak, Orle mów pogrzebowych, masz stare ubranie!

— Oczywiście — rzekł Laigle — z tego wniosek, że mój przydzwiek i ja żyjemy w zgodzie. Dostosował się do mnie i nie zawadza mi, przyjął kształt moich brzydkich kształtów, nie krępuje mi ruchów; czuję go tylko dlatego, że mnie grzeje. Stare ubrania są jak starzy przyjaciele.

— To prawda — wtrącił się Joly. — Stare, biłe ubrania są jak starzy, bili przyjaciele.

— Aleś ty zakatarzony! — rzekł Grantaire.

— Czy idziesz z bulwaru? — zapytał go Laigle.

— Nie.

— Widzieliśmy przed chwilą razem, jak przechodziło czoło konduktu.

— Majestatyczny widok! — rzekł Joly.

— Jaki spokój tutaj na tej uliczce! — zawołał Laigle. — Kto by pomyślał, że w Paryżu wszystko wywraca się do góry nogami? Widać od razu, że niegdyś była tu dzielnica klasztorów. Wymieniają je Du Breul i Sauval, a także ksiądz Lebeuf. Pełno tu było klasztorów, roilo się od mnichów trzewiczkowych, bosych, golonych, brodatych, szarych, czarnych, białych, franciszkanów, minimów, kapucynów, karmelitów, małych augustianów, wielkich augustianów, starych augustianów — całe mrowie!

— Nie mówmy o mnichach — przerwał Grantaire — bo zaraz mam ochotę podrapać się.

Po czym wykrzyknął:

— Pfe! — połknąłem nieświeżą ostrygę! I już ogarnia mnie znów hipochondria. Ostrygi są nieświeże, służące szpetne. Nienawidzę rodzaju ludzkiego! Przechodziłem przed chwilą koło wielkiej wypożyczalni książek przy ulicy Richelieu. Ten stos skorup po ostrygach, który ludzie zwą biblioteką, napawa mnie wstrętem do myślenia. Ile zmarnowanego papieru! Ile atramentu! Ile niepotrzebnej bazgraniny! Tyle tego napisano! Jakiż to dureń powiedział, że człowiek jest bezpiórym dwunogiem.

Spotkałem też jedną znajomą, ładną dzie-wuszkę, śliczną jak wiosna, godną imienia Floreal. Nędznica była w siódmym niebie, zachwycona, rozradowana, uszczęśliwiona, bo wczoraj jakiś okropny ospowaty bankier raczył obdarzyć ją swoimi wzglądami. Niestety! Kobieta z równą zaciekleścią tropi dzierżawcę podatków jak eleganta. Kotki polują zarówno na ptaszki, jak i na myszy. Jeszcze przed dwoma miesiącami panienczka żyła sobie grzecznie na poddaszu, wszywając miedziane kółka do gorsetów, czyli — jak to się mówi — była szwaczką, miała polowe łóżko, doniczkę z kwiatkiem i była zadowolona. A teraz — jest bankierową. Ta metamorfoza dokonała się w przeciągu ubiegłej nocy. Dziś rano spotkałem tę nieszczęsną ofiarę rozpromienioną i radosną.

Najokropniejsze jest to, że szelma była 'dziś równie ładna jak wczoraj. Nic w jej twarzy nie mówiło o finansiście. Róże tym górują czy też tym ustępują kobietom, że ślady, które zostawiają na nich liszki, są widoczne. Ach! Moralność nie istnieje na tym świecie! Niech zaświadczy o tym mirt — symbol miłości, laur — symbol wojny, ta głupia gałązka oliwna — symbol pokoju, jabłoń, której owocem omal nie udławił się Adam, i liść figowy — protoplasta spódniczek. Co do prawa zaś, to chcecie wiedzieć, czym jest prawo? Oto Galowie patrzą pożądlivym okiem na Kluzję — Rzym ochrania Kluzję i pyta Galów, czym im ona zawiniła. Brennus odpowiada: „Tym samym, czym wam zawiniła Alba, czym wam zawiniła Fidena, czym wam zawinili Ekwowie, Wolskowie i Sabińczycy. Byli waszymi sąsiadami. Kluzyjczycy są naszymi. My rozumiemy sąsiedztwo w ten sam sposób co wy. Wyście ukradli Albę, my bierzemy Kluzję.” — „Nie weźmiecie Kluzji” — rzekł Rzym. Brennus wziął Rzym i zawołał potem:

„*Vae Victis!*” Oto macie prawo! Ach, ileż jest drapieźców na tym świecie! Ile orłów! Ile orłów! Na samą myśl o nich dostaję gęziej skóry!

Wyciągnął swoją szklanę do Joly'ego; Joly ją napełnił, Grantaire wypił i ciągnął dalej, nie przerywając prawie monologu dla tej szklaneczki wina, której nikt — nawet on — nie zauważył:

— Brennus, zdobywca Rzymu, to orzeł; bankier, który sobie bierze gryzetkę, to orzeł. Tu i tam równy bezwstyd! Nie wierzymy więc w nic! Istnieje jedna tylko rzecz realna: trunek! Bez względu na wasze zapatrywania, bez względu na to, czy opowiadacie się za chudym kurem — jak kanton Uri, czy za tłustym — jak kanton Glaris —mniejsza o to, pijcie! Mówiliście mi o tym, co się działo na bulwarze, o kondukcje pogrzebowym *et catetera*. A więc znowu rewolucja? Dziwi mnie to ubóstwo środków, jakimi Pan Bóg rozporządza. Co chwila musi na nowo oliwić zawiasy wydarzeń. To się coś zacina, to staje. Więc prędko — rewolucja. Pan Bóg ma zawsze czarne ręce od tej wstrętnej mazi. Na jego miejscu postępowałbym znacznie prościej: nie naprawiałbym co chwila tej maszyny, prowadziłbym rodzaj ludziki spokojnie, nizałbym oczka zdarzeń jedno po drugim, *nie* zrywając wątku; nie stosowałbym środków wyjątkowych i nie uciekałbym się do niezwykłych wydarzeń. Zjawisko, które nazywacie postępem,

poruszają dwa motory: ludzie i wydarzenia. Ale, niestety, od czasu do czasu musi się pojawić coś wyjątkowego. Zarówno ludziom, jak i wydarzeniom nie wystarcza zwykła gromada: wśród ludzi trzeba geniuszy, wśród wydarzeń — rewolucji. Wielkie wydarzenia są regułą; porządek rzeczy nie może się bez nich obejść; patrząc na komety człowiek miałby ochotę twierdzić, że samo niebo nie potrafi obyć się bez aktorskich występów. W chwili kiedy najmniej się tego spodziewamy, Pan Bóg przylepia meteor na murze swego firmamentu. Pojawia się jakaś dziwaczna gwiazda z olbrzymim ogonem. I Cezar zostaje zabity. Brutus przebija go sztyletem, a Pan Bóg kometa. Trach — i oto zorza północna, i oto rewolucja, i oto wielki człowiek; rok 1793 wypisany wielkimi literami, w głównej roli Napoleon, kometa z 1811 roku zdobi górę afisza. Ach, piękny szafirowy afisz, rozgwieżdżony niezwykłymi blaskami! Bum! bum!

przedstawienie nadzwyczajne! Spójrzcie tylko, w górę, gapie! Wszystko jest rozwichrzone — gwiazda i dramat. Dobry Boże — za dużo tego i za mało. Te wyjątkowe, nadzwyczajne środki wydają się wspaniałe, a są ubogie. Opatrzność ucieka się do forteli, moi przyjaciele. Wybucho rewolucja — o czym to świadczy? Że z Panem Bogiem jest krucho. Kiedy przerwie się łączność między przeszłością a teraźniejszością, a Pan Bóg nie może związać końca z końcem, urządza zamach stanu. Doprawdy, to mnie utwierdza w moich podejrzeniach, co do sytuacji finansowej Jehowy. Widok tylu niedostatków na górze i na dole, takiej małostkowości, chciwości, skąpstwa i niedoli na niebie i na ziemi, poczynając od ptaszka, któremu brak ziarnka prosa, a kończąc na mojej osobie, której brak stu tysięcy funtów renty, widok mocno wyświechtanych losów ludzkości, nawet losów królewskich, przez które prześwituje sznurek osnowy przeznaczenia (niech świadczy o tym powieszenie księcia Kondeusza) — widok zimy, tej dziury w zenicie, przez którą dmucha zimny wiatr, widok tylu łachmanów na purpurze świeżej jutrzeńki wstającej zza szczytu wzgórze, widok kropli rosy, tych fałszywych pereł, widok szronu, tych fałszywych diamentów, widok rozprężonej ludzkości i połatanych wypadków, tylu plam na słońcu i tylu dziur na księżycu, takiej nędzy dookoła każe mi przypuszczać, że Pan Bóg nie jest bogaty. Wprawdzie zachowuje jeszcze świetne pozory, ale pod nimi wyczuwam niedostatek. Urządza rewolucję tak, jak handlowiec urządza bal, gdy mu kasa świeci pustką. Nie trzeba sądzić bogów po pozorach. Poprzez wyłoczone niebo dostrzegam ubogi wszechświat. Świat bankrutuje. I dlatego jestem niezadowolony. Patrzcie, mamy dziś 5 czerwca, a na dworze ciemno jak w nocy; od rana czekam, żeby się trochę rozjaśniło, ale się nie rozjaśnia, i *założą* się, że dziś się już nie rozjaśni. To jest nieakuratność źle płaconego subiekta. Tak, wszystko, jest kiepsko urządzone, nic do niczego nie pasuje, stary świat nie jest piękny, przyłączam się do opozycji. Wszystko idzie na opak. Wszechświat mnie irytuje. To tak jak z dziećmi: ci, co by chcieli je mieć, nie mają, a ci, co ich wcale nie chcą — mają. Rezultat z tego taki, że jestem wściekły. A ponadto przygnębia mnie widok tego łyska — Laigle'a z Meaux. Upokarza mnie myśl, że jestem w tym samym wieku co ta łysa pała. Zresztą,

krytykuję, ale nie znieważam. Świat jest taki, jaki jest. Mówię to wszystko bez złych intencji, tylko dla spokoju sumienia. Raczej przyjąć, Ojciec Przedwieczny, wyrazy mego najgłębszego poważania. O, na wszystkich świętych Olimpu i wszystkich bogów nieba, nie jestem stworzony na paryżanina, bym jak piłka odbijana dwiema raketami przelatywał wciąż od gromady włóczędów do gromady zabijaków! Stworzony jestem raczej na Turka, który całymi dniami patrzy na wschodnie dzierlatki, wiodące cudne płasy egipskie, równie lubieżne jak sny cnotliwego człowieka, lub na wieśniaka z Beauce czy weneckiego szlachcica otoczonego pięknymi donzellarni, czy na księżatko niemieckie, które dostarcza związkowi germańskiemu pół żołnierza i spędza czas na suszeniu skarpet na płocie swojej zagrody, czyli granicy swojego państwa. Taki los powinien być przypaść mi w udziale. Tak! Powiedziałem, że jestem stworzony na Turka, i wcale tego nie cofam. Nie pojmuję, czemu Turcy mają kiepską opinię. Mahometowi nie brak dobrych stron: szacunku dla wynalazcy serajów pełnych hurys i raju pełnego odalisek! Nie znieważajmy mahonietanizmu, jedynej religii, która ma ogród rozkoszy. Po czym, powtarzam, pijmy! Ziemia — to wielka bzdura. Podobno ci durnie będą się bić, będą sobie rozkwaszać nosy, mordować się, i to w pełni lata, w pięknym miesiącu czerwcu, kiedy każdy z nich mógłby z pięknym dziewczęciem pod rękę upajać się na polach zapachami olbrzymiej filiżanki herbaty — skoszonego siana. Za wiele doprawdy popełnia się niedorzeczności! Stara stłuczona latarnia, którą widziałem przed chwilą u handlarza starzyzną, nasuwa mi pewne refleksje. Najwyższy czas oświecić rodzaj ludzki. I znowu mi smutno! Tak to bywa, gdy ostryga i rewolucja staną kością w gardle! Staję się znów ponury. Och, ten ohydny, stary świat! Człek na nim haruje, marnuje, trąca, rujnuje, morduje, nawet się do niego przyzwyczajają.

Po tym napadzie elokwencji Grantaire dostał zasłużonego napadu kaszlu.

— A propos rewolucji — rzekł Joly — stanowczo Bariusz busi być zakochady.

— A czy wiadomo w kim? — zapytał Laigle.

— Die.

— Nie?

— Przecie bówię: die.

— Amory Mariusza! — wykrzyknął Grantaire. — Już to widzę! Mariusz jest niby mgła, musiał wynaleźć : sobie mgiełkę. Mariusz jest z rodziny poetów. A poeta znaczy to samo co wariat. *Timbroeus Apollo*.

Mariusz i jego Maria czy Maryla, czy Marysia, czy Marycłina muszą stanowić

pocieszoną parą kochanków. Wiem dobrze, jak to jest: pogrążeni w ekstazie zapominają o pocałunkach! Nieskalani na ziemi, łączą się w nieskończoności. To dusze obdarzone zmysłami. Na gwiazdach splatają się w miłosnym uścisku!

Grantaire zabierał się do drugiej butelki, a może i do drugiej tyrady, gdy w kwadratowym otworze schodów pojawiła się nowa postać. Był to niespełna dziesięcioletni chłopiec, obdarty, malutki, o żółtym pyszczku, żywym spojrzeniu i rozwichrzonej czuprynie; ociekał deszczem, ale uśmiechał się. Bez wahania dokonał wyboru między trzema przyjaciółmi — choć najwyraźniej nie znał żadnego z nich — i zwrócił się do Laigle'a z Meaux:

— Czy-to pan jest panem Bossuet? — zapytał.

— Istotnie, tak mi na imię — odparł Laigle. — Go powiesz?

— Zaraiz. Jeden taki wysoki blondyn mówi mi na bulwarze: „Znasz matkę Hucheloup?” Mówię mu: „A jakże! Na ulicy Konopnej, wdowa po starym.” To on mówi: „Idź tam. Zastaniesz u niej pana Bossuet i powiesz mu ode mnie: ABC.” To jakiś kawał, co? Dał mi dziesięć su.

— Joly, pożycz mi dziesięć su — rzekł Laigle i odwracając się do Grantaire'a dodał; — Grantaire, pożycz mi dziesięć su.

Te dwadzieścia su dał dziecku.

— Dziękuję panu — rzekł chłopczyk.

— Jak ci na imię? — spytał Laigle.

— Jestem Dudek, przyjaciel Gavroche'a.

— Zostań tu z nami — rzekł Laigle.

— Zjedz coś z nami — rzekł Grantaire. Chłopiec odpowiedział:

— Nie mogę, idę w pochodzie. To ja krzyczę: „Precz z Polignakiem!”

I cofnąwszy nogę jak najdalej do tyłu, co oznacza ukłon pełen najgłębszego szacunku, odszedł. Po wyjściu dziecka Grantaire rzekł:

— To był okaz smarkacza najczystszej wody. Jest mnóstwo odmian smarkaczy: smarkacz-notariusz to goniec, smarkacz-kucharz to kuchcik, smarkacz-piekarz to piekarczyk, smarkacz-lokaj to groom, smarkacz-marynarz to chłopiec okrętowy, smarkacz-żołnierz to mały dobosz, smarkacz-malarz to malarczyk, smarkacz-dworzanin to paż, smarkacz-król to delfin, a smarkacz-bóg to

bambino.

Tymczasem Laigle zastanawiał się nad czymś głęboko; rzekł półgłosem:

— ABC — to znaczy: pogrzeb Lamarque'a.

— A wysoki blondyn — zauważył Grantaire — to Enjolras, który cię o tym zawiadamia.

— Pójdziemy? — zapytał Bossuet.

— Deszcz leje — rzekł Joly. — Przysięgałeś, że pójde w ogień, ale die przysięgałeś, że pójde w wodę. Die chcę się bocznie zakatarzyć.

— Ja zostaję tutaj — powiedział Grantaire. — Wolą obiad od karawanu.

— Z tego wniosek, że zostajemy — orzekł Laigle.— A więc pijmy. Zresztą można nie być na pogrzebie, a wziąć udział w rozruchach.

— Ach, rozruchy! To coś dla bnie! — zawołał Joly. Laigle zatarł ręce.

— Oto wreszcie poprawiny rewolucji z 1830 roku. Rzeczywiście jest ona dla narodu przyciasna i uciska go tu i ówdzie!

— Wasza rewolucja niewiele mnie obchodzi — rzekł Grantaire. Nie czuję wstrętu do obecnego rządu. To korona złagodzona bawełnianą szlafmycą, berło zakon-czone parasolem. Myślę, że w taki dzień jak dzisiaj Ludwik Filip będzie mógł użyć swej królewskiej godności w dwojaki sposób: przeciw ludowi — wyciągnąć berło, a przeciw niebu — parasol.

Salka była ciemna, gęste chmury wygnały z niej resztki światła dziennego. W szynku ani na ulicy nie było nikogo, wszyscy pobiegli patrzeć, „co się dzieje”.

— Czy to południe, czy północ? — zawołał Bossuet. — Nie widać końca nosa! Gibeloto, światła.

Grantaire, smutny, pił dalej.

— Enjolras mną gardzi — mruzczał. — Enjolras powiedział sobie: „Joly jest chory. Grantake pijany.” Więc wysłał Dudka do Bossueta. Gdyby tak malec po mnie przyszedł, poszedłbym za nim. Tym gorzej dla Enjolrasa! Nie pójda na ten jego pogrzeb!

Powziąwszy taką decyzję, Bossuet, Joly i Grantaire nie ruszyli się z szynku. Około godziny drugiej stół, przy którym siedzieli, zastawiony był pustymi butelkami. Palły się na nim dwie świece, jedna w zupełnie zzieleniałym

miedzianym lichtarzu, druga osadzona w szyjce pękniętej karafki. Grantaire nakłonił do picia Bossueta i Joly'ego; Bossuet i Joly nakłonili Grantaire'a do wesołości.

Jemu zaś od południa nie wystarczało już wino, to skromne źródło marzeń. U prawdziwych pijaków wino cieszy się pobłażliwym uznaniem. Pijaństwo ma swą czarną i białą magię; wino jest tylko białą magią. Grantaire był śmiałkiem w krainie pijackich majaków. Roztwierająca się przed nim groźna czeluść pijaństwa nie odstraszała go, przeciwnie, pociągała. Porzucił butelki i chwycił za kufel. A kufel — to otchłań. Nie mając pod ręką opium ani haszyszu, a chcąc zamroczyć umysł, uciekł się do strasznej mieszaniny wódki, angielskiego piwa i absyntu, która wywołuje tak straszliwe zamroczenia.

Te trzy wyziewy: piwa, wódki i absyntu obciążają duszę łożem. W tym potrójnym mroku topi się niebiański motyl; z mgły przybierającej niewyraźny kształt skrzydła nietoperza — rodzą się trzy milczące furie: Koszmar, Noc i Śmierć — i krążą nad uśpioną Psyche.

Grantaire nie doszedł jeszcze do tego ponurego stanu. Przeciwnie. Był niezmiernie wesoły, a Bossuet i Joly wtórowali mu. Trącali się szklankami. Grantaire do dziwnego wymawiania słów i myśli dodawał jeszcze bredzenie gestów. Z godnością oparł lewą dłoń na kolanie, tak że ramię tworzyło 'kąć prosty, i z rozwiązanym krawatem, siedząc okrakiem na stołku, z pełną szklanką w prawej ręce, rzucał w stronę grubej Mateloty słowa pełne namaszczonej powagi:

— Niechaj otworzą podwoje pałacu! Niechaj każdy człowiek zostanie członkiem Akademii i ma prawo całować panią Hucheloup. Pijmy! A zwracając się do pani Hucheloup dodawał:

— Niewiasto starożytna i obyczajem uświęcona, zbliż się, abym mógł cię podziwiać.

Joly zaś wołał:

— Bateloto i Gifoeloto, die dawajcie już pić Gran-taire'owi. Przejadł boc pieniędzy! Od rana przepił szalodą subę: dwa fradki i osiebdziesiąt pięć cedtybów!

Grantaire wykrzykiwał znowu:

— Kto bez mojego pozwolenia zdjął gwiazdy z nieba i postawił je zamiast świecy na stole?

Bossuet, mocno pijany, zachował spokój.

Siedział na parapecie otwartego okna, moknąc na deszczu, i spoglądał na przyjaciół.

Nagle usłyszał wrzawę, odgłos szybkich kroków i wołania: „Do broni!” Odwrócił się; na rogu ulicy Sw. Dionizego, u wylotu ulicy Konopnej zobaczył Enjolrasa ze strzelbą w ręku, Gavroche'a ze swym pisto-letem, Feuilly'ego z szablą, Courfeyraca ze szpadą, Jana Prouvaira z muszkietonem, Combeferre'a ze strzelbą, Bahorela z karabinem, a za nimi uzbrojony, wzburzony tłum.

Od wylotu ulicy Konopnej dzieliła go zaledwie odległość strzału z karabinu. Bossuet przyłożył do ust obie ręce na kształt tuby i zawołał:

— Courfeyrac! Hej! Courfeyrac!

Courfeyrac usłyszał wołanie, dostrzegł Bossueta, zrobił parę kroków ulicą Konopną, krzycząc: „Czego chcesz?”, co skrzyżowało się z „Gdzie idziesz?”

— Stawiać barykadę! — odparł Courfeyrac.

— Stawiaj ją tutaj! Doskonałe miejsce! Tutaj!

— Masz rację, Orle — rzekł Courfeyrac. Na jego znak tłum skręcił w ulicę Konopną.

ROZDZIAŁ III

Grantaire'a zaczynają ogarniać ciemności nocy

Miejsce było istotnie wybornie dobrane; szeroka u wylotu ulica zwężała się przy końcu i tworzyła ślepy zaułek, ponieważ zamykał ją „Korynt”; uliczkę Zakręt łatwo było zabarykadować tak z lewej, jak i z prawej strony, natarcie możliwe było jedynie od ulicy Sw. Dionizego, to znaczy od czoła i na odsłoniętej przestrzeni. Podchmielony Bossuet miał orientację trzeźwego Hannibala.

Wtargnięcie tłumu wzbudziło panikę na całej ulicy. Przechodnie znikli. W mgnieniu oka na prawo, na lewo, w głębi zamknęły się wszystkie sklepy, warsztaty, bramy, okiennice, okna i okienka od parteru aż po dachy. Jakaś przerażona staruszka wywiesiła przed oknem jako osłonę od kul materac umocowany na dwóch żerdziach do suszenia bielizny.

Jedynie dom, w którym mieścił się szynk, pozostał otwarty, a to dla tej prostej przyczyny, że tam właśnie wtargnął tłum.

— O, mój Boże, mój Boże! — jęczała matka Huche-loup.

Bossuet wyszedł naprzeciw Courfeyraca. Joly stanąwszy w oknie wołał:

— Courfeyrac, czemu nie wzięłeś parasola? Będziesz biały katar!

Tymczasem w ciągu paru minut wyrwano dwadzieścia prętów żelaznych z kraty przy wystawie szynku i rozebrano bruk na przestrzeni dziesięciu sążni.

Gavroche i Bahorel zabrali po drodze i przewrócili wózek murarza nazwiskiem Anceau; znajdujące się na wózku trzy baryłki wapna ustawili rzędem, a na nich ułożyli warstwę kamieni z bruku. Enjolras otworzył piwnicę i wszystkie puste beczki wdowy Hucheloup stanęły przy beczkach z wapnem; Feuilly rękami nawykłymi do malowania kruchych płytek wachlarzy podparł wózek i baryłki dwoma wielkimi stosami ciosanych kamieni, zdobytych, jak wszystko, w mgnieniu oka i przyniesionych nie wiadomo skąd. Wyrwano belki podtrzymujące fasadę sąsiedniego domu i umieszczono je na beczkach. Gdy Bossuet i Courfeyrac obejrzel się, ulica była już do połowy zamknięta sztańcem nieco wyższym od człowieka. Jedynie ręka ludu zdolna jest wznosić budowle z dzieła zniszczenia.

Gibelota i Matelota stanęły wraz ze wszystkimi do pracy. Gibelota zносиła gruz. Swoje znużenie oddała na usługi barykadzie. Podawała kamienie z równie sennym wyrazem twarzy, jak podawała wino.

U wylotu ulicy przejechał omnibus zaprzężony w parę siwych koni.

Bossuet przesadził stos kamieni, pobiegł, zatrzymał omnibus, kazał wysiąść pasażerom, pomógł zejść „damom”, odprawił woźnicę i wrócił prowadząc za uzdę konie ciągnące pojazd.

— Wara omnibusom przejeżdżać przed „Koryntem”! — rzekł. — *Non licet omnibus adire Corinthum.*

Po chwili konie puszczone luzem ruszyły przed siebie ulicą Zakręt, a omnibus przewrócony bokiem tarasował do reszty ulicy.

Matka Hucheloup przestraszona schroniła się na pierwsze piętro.

Błędnym wzrokiem patrzyła dokoła, nic nie widząc, i pojękiwała z cicha.

Okrzyki przerażenia nie śmiały precyzyjnie się jej przez gardło.

— Koniec świata! Koniec świata! — szeptała.

Joly wycisnął całusa na jej tłustej, pomarszczonej i czerwonej szyi i powiedział do Grantaire'a:

— Zawsze byłem zdania, mój drogi, że niewieścia szyjka to rzecz niezmiernie delikatna.

Ale Grantaire dosiądał najwyższych, sfer zachwycenia. Kiedy Matelota weszła na piętro, chwycił ją w pól i stojąc przy oknie wybuchał raz po raz śmiechem.

— Matelota jest szpetna! — krzyczał. — Matelota to ideał brzydoty! To chimera! A oto tajemnica jej przyścia na świat: pewien Pigmalion z czasów gotyku, rzeźbiąc maskary na katedrze, zakochał się pewnego dnia w najokropniejszej z nich. Ubłagał Miłość, by ją ożywiła, i stąd wzięta się Matelota. Spójrzcie na nią, obywatele! Ma włosy koloru chromianu ołowiu, jak kochanka Tycjana; to zacna dziewczyna. Ręczę, że się będzie dzielnie biła! W każdej zacnej dziewczynie jest materiał na bohatera! A matka Hucheloup — też odważna kobita. Spójrzcie tylko na jej wąsy!

Odziedziczyła je po nieboszczyku mężu! Huzar w spódnicy, powiadam wam! Będzie się także biła! We dwie napędzą strachu całej dzielnicy. Towarzysze, obalimy rząd! To prawda równie niezbita jak i to, że istnieje piętnaście kwasów pośrednich między kwasem margarynowym a kwasem mrówczanym. Zresztą nic a nie mnie to nie obchodzi. Panowie, mój ojciec nie znosił mnie dlatego, że nie rozumiałem matematyki. Rozumiem tylko miłość i wolność! Jestem Grantaire, dobry chłop! Nigdy nie miałem pieniędzy, więc się do nich nie

mogłem przyzwyczać, a co za tym idzie, nigdy mi ich nie brakło; gdybym jednak był bogaty, nie byłoby biednych na świecie. Zobaczylibyście! O, gdyby tak dobrzy ludzie mieli pełne kiesy, wszystko wyglądałoby lepiej! Wyobrażam sobie Jezusa bogatego jak Rotszyld! Ile by działał dobrego! Mateloto, pocałuj mnie. Jesteś namiętna i wstydliva; twe policzki proszą o pocałunek braterski, a usta kuszą do pocałunków kochanka!

— Cicho bądź, opoju! — rzekł Courfeyrac. Grantaire odrzekł:

— Jestem kapitułem i laureatem turnieju poetyckiego.

Enjolras, który ze strzelbą w ręku stał na szczycie barykady, zwrócił ku niemu swoją piękną, surową twarz. Jak wiadomo, Enjolras miał w sobie coś ze Spartańczyka i z purytanina. Zginąłby w Termopilach u boku Leonidasa i wraz z Cromwellem puściłby z dymem Droghedę.

— Grantaire! — zawołał. — Wynoś się! Niech ci gdzie indziej wino paruje z głowy! Tu jest miejsce upojenia, nie pijaństwa! Nie okrywaj hańbą barykady!

Te gniewne słowa wywarły osobliwy skutek. Rzekłbyś że Grantaire'owi ktoś chlusnął w twarz szklanką zimnej wody. Wydawało się, że nagle wytrzeźwiał.

Usiadł przy stole koło okna, oparł się łokciami, popatrzył na Enjolrasa z niewymowną czułością i rzekł:

— Ty wiesz, że ja w ciebie wierzę!

— Ruszaj stąd!

— Pozwól mi się tu przespać.

— Prześpij się gdzie indziej! — krzyknął Enjolras. Grantaire, ciągle wpatrując się w niego czułym i mętym wzrokiem, odrzekł:

— Pozwól mi tutaj spać, nim tutaj umrę. Enjolras rzucił mu pogardliwe spojrzenie.

— Ty, Grantaire, niezdolny jesteś wierzyć, myśleć, chcieć, niezdolny żyć ani umrzeć.

Grantaire odpowiedział poważnie:

— Zobaczysz!

Wybełkotał jeszcze parę niezrozumiałych słów, po czym głowa opadła mu ciężko na stół i — jak to często bywa w drugim stadium pijackiego

zamroczenia, w które nagle popadł na skutek słów Enjolrasa — po chwili Grantaire spał już głęboko.

ROZDZIAŁ IV

Próby pocieszenia wdowy Hucheloup

Bahorel, zachwycony barykadą, wykrzykiwał:

— A to wydekoltowana pięknie ulica, aż miło spojrzeć!

Courfeyrac, demolując częściowo szynk, starał się pocieszyć wdowę po szynkarzu.

— Skarżyliście się kiedyś, matko Hucheloup, że wam spisano protokół i kazano zapłacić karę, bo Gibelota trzepała przez okno dywanik, prawda?

— A jakże, drogi panie Courfeyrac. Ach, mój Boże, i ten stół także chce pan wstawić w tę okropność? I nawet za dywanik i tę doniczkę, co to spadła z okna na ulicę, rząd kazał mi zapłacić sto franków grzywny. Co za niegodziwość!

— No, widzicie, matko Hucheloup, teraz pomścimy wasze krzywdy.

Matka Hucheloup w takim odszkodowaniu jakoś nie umiała dopatrzeć się korzyści dla siebie. Otrzymała podobną satysfakcję, jak owa Arabka, która, spoliczkowana przez męża, pobiegła do ojca, domagając się zemsty. „Ojcie — mówiła — winieneś memu mężowi odpłacić zniewagą za zniewagę!” Ojciec zapytał: „W który policzek uderzył cię mąż?” — „W lewy.” Ojciec uderzył ją w prawy policzek i rzekł: „No to teraz jesteś już zadowolona. Idź i powiedz mężowi, że on uderzył moją; „córkę, ale ja uderzyłem jego żonę!”

Deszcz ustał. Nadciągali nowi ochotnicy. Robotnicy przynieśli pod bluzami beczkę prochu, koszyk z butelkami witriolu, parę pochodni karnawałowych i kosz lampionów, „pozostałych z obchodu imienin króla”. Uroczystość ta odbyła się niedawno, przypadała bowiem na dzień maja. Opowiadano, że amunicja pochodziła od kupca kolonialnego z przedmieścia Sw. Antoniego, nazwiskiem Pepin. Stłuczono jedyną latarnię znajdującą się na ulicy Konopnej, latarnię na ulicy Sw. Dionizego i wszystkie latarnie na sąsiednich uliczkach: Zakręt, Łabędziej, Dominikańskiej, Dużej i Małej Żebraczej.

Rej wodzili: Enjolras, Combeferre i Courfeyrac. Wznoszono już jednocześnie dwie nowe barykady: przylegające do domu, w którym mieścił się „Korynt”, i tworzące kąt prosty; większa z nich zamykała ulicę Konopną, druga — uliczkę Zakręt od strony ulicy Łabędziej. Ta ostatnia, bardzo wąska, zbudowana była z samych beczek i kamieni brukowych. Pracowało przy niej około pięćdziesięciu ludzi; trzydziestu z nich miało strzelby, gdyż po drodze w sklepie rusznikarza

zaciągnęli większą pożyczkę.

Trudno o osobliwsze i bardziej pstre zbiorowisko ludzi. Jeden miał długi kaftan, szablę kawaleryjską i dwa kawaleryjskie pistolety, drugi bez surduta, w okrągłymi kapeluszu różek z prochem zawiesił sobie przy boku, trzeci uzbrojony w szydło rymarza osłonił pierś plastronem z dziewięciu arkuszy szarego papieru. Był też i taki, co krzyczał: „Wytraćmy ich do ostatniego i skonajmy na ostrzach własnych bagnetów!” Ten właśnie nie miał bagnetu. Inny włożył na surdut kurtkę z bawolej skóry i ładownicę gwardii narodowej ozdobioną napisem wyszytym czerwoną wełną: „Porządek publiczny”. Widziało się tam mnóstwo karabinów oznaczonych numerami pułków, niewiele kapeluszy, ani jednego krawata, dużo obnażonych ramion, kilka pik. Dodajcie do tego różnicę wieku i różnicę twarzy; drobni, bladzi młodzieńcy obok spalonych na brąz robotników portowych. Wszyscy się śpieszyli i, pomagając sobie nawzajem, rozmawiali o szansach powodzenia — że nadejdą posiłki o trzeciej nad ranem, że jeden pułk jest pewny, że Paryż powstanie. Przeróżające rozmowy zaprawione jakąś serdeczną wesołością. Rzekłbyś, że to bracia — a oni nie znali nawet swych imion. Piękno wielkich niebezpieczeństw polega na tym, iż ukazuje braterstwo obcych sobie ludzi.

W kuchni rozpalono ogień i w formie do lania kul topiono dzbany, łyżki, widelce, słowem, całą cynową zastawę szynku. Nie zapomniano o piciu. Kapsle i lofki przewracały się na stołach między szklankami wina. W salce bilardowej matka Hucheloup, Matelota i Gibelota, różnie odmienione przez strach, pierwsza — ogłupiała, druga — zadyszana, trzecia — rozbudzona, skubały szmaty na szarpie; pomagali im w tej pracy — napawając je przerażeniem — trzej powstańcy, tęgie zuchy, kudłate, wąsate i brodate, którzy skubali płótno zręcznie jak bieliźniarki.

Wysoki mężczyzna, którego Courfeyrac, Combeferre i Enjolras zauważyli w momencie, gdy przyłączył się do gromady na rogu ulicy Billettes, pomagał bardzo wydajnie przy budowie małej barykady. Gavroche pracował przy dużej. Młody robotnik, który czekał na Courfeyraca w domu i pytał o pana Mariusza, znikł mniej więcej w chwili, kiedy przewrócono omnibus i Gavroche podniecony i tryskający radością wprawiał wszystko w ruch. Biegał tam i z powrotem, wchodził, schodził, hałasował, promieniał. Zdawało się, że jest po to, by wszystkim dodawać ducha. Czy miał jakąś podniętę? Tak, swoją nędzę. Czy miał jakieś skrzydła? Tak, swoją radość. Był wirem. Widziało go się stale, słyszało go się ciągle. Wypełniał sobą przestrzeń, był wszędzie na raz. Ta wszechobecność była niemal irytująca; nie dawał chwili wytchnienia. Potężna barykada czuła go na sobie. Dokuczał gapiom, podniecał próżniaków, dodawał sił zmęczonym, niecierpliwiał zamyślonych, jednych pobudzał do wesołości, innych do wysiłku, jeszcze innych do gniewu, wszystkich wprowadzał w ruch; to ukłął ostrym słowem studenta, to przygadał robotnikowi, tu przysiadł, tam

przystanął chwilkę, odbiegał, fruwał nad zgiełkiem i pracą, skakał od jednych do drugich, mruczał, bzykał i dokuczał wszystkim — mucha wielkiego zaprzęgu Rewolucji . Jego drobne ramiona były w ciągłym ruchu, drobne płuca wysilały się w nieustannym krzyku:

— Nuże! Więcej kamieni! Więcej beczek!... Więcej tego tam! Czy już nic nie ma? Zatkaną mi tę dziurę gruzem! Niska jest ta wasza barykada. Musi urosnąć. Dawajcie na nią, co się da, kładźcie, co się da, pchajcie, co się da! Zburzcie dom! Macie tu oszklone drzwi!

Tutaj ludzie pracujący przy barykadzie zakrzyczeli go:

— Oszklone drzwi? A na co drzwi oszklone, ty knocie?

— Sam taki — odciął się Gavroche. — Oszklone drzwi na barykadzie to świetna rzecz! Nie przeszkadzają w ataku, ale utrudniają zdobycie pozycji. Cóż to, nigdy nie przełaziliście kraść jabłka przez mur, na którym były potłuczone butelki? Szklane drzwi ślicznie obetną odciski gwardzistom, kiedy zechcą wleźć na naszą barykadę. Do licha, szkło jest zdradliwe jak diabli! Co tu gadać! Nie cierpicie na bujną wyobraźnię, towarzysze!

Zresztą był wściekły, że ma pistolet bez kurka. Chodził od jednego do drugiego prosząc:

— Strzelbę! Ja chcę strzelbę! Czemu nie dają mi strzelby?

— Strzelba? Tobie? — rzekł Combeferre.

— A czemu nie? — odrzekł Gavroche. — Przecież miałem strzelbę w 1830 kiedyśmy się posprzecjali z Karolem X.

Enjolras wzruszył ramionami.

— Jak będziemy mieli pod dostatkiem broni . dla dorosłych, to damy i dzieciom.

Gavroche odwrócił się z dumną miną i rzekł:

— Jeśli zginiesz przede mną, biorę twoją.

— Ty smarkaczu! — powiedział Enjolras.

— Ty żółtodzióbie! — odparł Gawoche.

Jakiś elegant, który zabłądził tu przypadkiem i wałęsał się u wylotu ulicy, ściągnął ich uwagę. Gavroche krzyknął:

— Chodźże do nas, młodzieńcze! Cóż to, nic nie chcesz zrobić dla kochanej ojczyzny?

Elegant uciekł.

ROZDZIAŁ V

Przygotowania

Myliły się dzienniki ówczesne, twierdząc, że barykada przy ulicy Konopnej — „ów bastion prawie nie do zdobycia” — jak ją nazywały, sięgała wysokości pierwszego piętra. W rzeczywistości jej średnia wysokość nie przekraczała sześciu lub siedmiu stóp. Zbudowana została w ten sposób, że walczący mogli albo skryć się za nią, albo też wyglądać ponad nią, a nawet wejść na szczyt szanca po czterech rzędach płyt kamiennych, ułożonych w ten sposób, że tworzyły stopnie od strony wewnętrznej. Na zewnątrz front, barykady, zbudowany z kamieni brukowych i beczek połączonych belkami i deskami wetkniętymi między szprychy kół wózka Anceau i .przewróconego omnibusu, miał wygląd najeżony i splątany. Między murami domów a przeciwległym do szynku krańcem barykady pozostawiono wąskie przejście, którym mógł się precyzyjnie przemieszczać pojedynczy człowiek; umożliwiało to wydostanie się stamtąd na ulicę. Dyszel omnibusu, związany sznurami, sterczał prostopadle w górę, a przytwierdzony doń czerwony sztandar powiewał nad barykadą.

Mała barykada na ulicy Zakręt, ukryta za domem, w którym mieścił się szynk, była niewidoczna. Obie razem tworzyły prawdziwą redutę. Enjolras i Combeferre uznali za właściwe nie zamykać drugiej części ulicy Zakręt, stanowiącej poprzez ulicę Dominikańską wyjście na Hale; prawdopodobnie chcieli w ten sposób zachować łączność z miastem, a nie obawiali się ataku od strony tej niebezpiecznej i trudno dostępnej uliczki.

Nie biorąc pod uwagę wolnego przejścia tworzącego „przekop” — jakby to nazwał Folard w swym strategicznym języku — jak również wąskiego przejścia zostawionego na ulicy Konopnej, obwarowana przestrzeń, w którą wrzynał się dom szynku, tworzyła rodzaj nieregularnego czworoboku, zamkniętego ze wszystkich stron. Odległość między głównym szansem a wysokimi domami zamykającymi ulicę wynosiła ze dwadzieścia kroków, tak że można by powiedzieć, iż barykada opierała się o owe domy, zamieszkałe wprawdzie, lecz głuche i ślepe od dołu po dachy.

Prace przy barykadzie wykonano bez żadnych przeszkód w ciągu niespełna godziny; ani razu garstce tych dzielnych ludzi nie ukazała się berymyca czy ostrze bagnetu. Nieliczni przechodnie, którzy w tym momencie rozruchów odważyli się jeszcze zapuścić w ulicę Sw. Dionizego, rzuciwszy okiem w ulicę Konopną, spostrzegali barykadę i przyspieszali kroku.

Po skończeniu pracy przy obu barykadach i wywieszeniu sztandaru —

wyciągnięto z szynku stół; stanął na nim Courfeyrac. Enjolras przyniósł kwadratowy kuferek i Courfeyrac go otworzył. Kuferek był pełen naboji. Na ten widok najmężniejsi nawet zadrżeli i zaległa cisza.

Courfeyrac z uśmiechem rozdał naboje.

Każdy dostał trzydzieści ładunków. Wielu powstańców miało proch i ci zaczęli wyrabiać nowe naboje ze stopionych kul. Baryłkę prochu ustawiono na osobnym stole koło drzwi i zachowano jako rezerwę.

Werble rozsiane po całym Paryżu nie przestawały grać, ale w końcu stały się już monotonnymi odgłosem, na który powstańcy przestali zwracać uwagę. Odgłos ten to zbliżał się złowieszczymi falami, to znów oddalał.

Wszyscy razem nabili strzelby i karabiny, bez pośpiechu, z jakąś uroczystą powagą. Enjolras rozstawił poza barykadą trzy straże: jedną na ulicy Konopnej, drugą na ulicy Dominikańskiej, trzecią na rogu ulicy Małej Żebraczej.

Gdy barykady były już gotowe, stanowiska wyznaczone, strzelby nabite, straże rozstawione, powstańcy — samotni wśród tych grozą ziejących ulic, którymi nikt nie przechodził, otoczeni milczącymi i jakby wymarłymi domami, w których nie drgał żaden ruch ludzki, otuleni coraz gęstszą zasłoną zapadającego zmierzchu, w tej ciszy i w tych mrokach tragicznych i groźnych, w których czuło się, że coś nadciąga, odcięci od świata, uzbrojeni, zdecydowani na wszystko, spokojni — czekali.

ROZDZIAŁ VI

W oczekiwaniu

Czym zajmowali się w tych godzinach oczekiwania?

Musimy odpowiedzieć, albowiem należy to do historii.

Podczas gdy mężczyźni wyrabiali naboje, a kobiety skubały szarpie, gdy wielki rondel pełen roztopionej cyny i ołowiu, przeznaczonych do odlewania kul, dymił na rozpalonym piecu, gdy straż z bronią na ramieniu czuwały nad barykadą, a Enjolras, którego uwagi nic nie zdołało rozproszyć, czuwał nad strażami — Combeferre, Courfeyrae, Jan Prouvaire, Feuilly, Bossuet, Joly, Bahorel i jeszcze paru innych odszukali się i zebrali razem, jak za najspokojniejszych dni studenckiej gawędy, i w kącie szynku przemienionego w koszary, o dwa kroki od reduty, którą zbudowali własnymi rękoma, gdy ostatnia ich godzina była już tak blisko, ci piękni młodzieńcy, oparłszy o krzesła karabiny gotowe do strzału — zaczęli recytować miłosne wiersze.

Jakież to były wiersze? Oto one:

Pamiętasz słodczy tamtych dni? To życie?

Byliśmy wtedy tak młodzi oboje,

Że dla serc naszych, serc w ciągłym zachwycie

Miłość jedynym była niepokojem!

Jeśliby dodać moje, twoje lata,

Ledwie czterdzieści razem by wyniosło.

W małej kliteczce, naszej stronie świata,

Nawet i zima była dla nas wiosną.

Piękne dni szczęścia! Dni tkliwe!

Dni czułe! Manuel dumny! Paryż wniebowzięty!

Foy gromowładny! A ja wciąż się kłutem

O szpilkę, którą twój stanik był spięty.

Kiedym do „Prado” szedł z tobą pod rękę,

By uczcić pierwszy krok w adwokaturze,

Byłaś tak śliczna i szłaś z takim wdziękiem,

Że się za tobą oglądały róże.

Szept ich słyszałem: „Jak pięknie rozkwitła!

Aromat z włosów na jej suknię spłynął!

Pod pelerynką ma złożone skrzydła,

Czepeczek z pąka ledwie się rozwinął.”

Szliśmy przed siebie i każdy przechodzień,

Gdy nas zobaczył, uśmiechniętych wzajem,

Myślał, że jakiś miłosny czarodziej

Skojarzył kwiecień tkliwy z pięknym majem.

Myśmy zamknęli się na cztery spusty,

By jeść miłości owoc zakazany.

Ledwie mi prośba wykwitła na usty,

Już przez twe serce byłem wysłuchany.

Sorbona była bukolicznym gajem,

*Co noc do świtu miejscem mych zachwyceń;
W ten sposób serce wrażliwe poznaje
Z mapy Czułości Łacińską Dzielnicę.*

*Plac Maubert wdzięczny, plac Dauphine był boski!
Gdy w naszej klitce, tym szczęścia ognisku,
Na smukłe nogi wciągałaś pończoszki,
To jakby gwiazda wzeszła mi na stryszku!*

*Platonam wielbił! Wywietrzało wszystko,
Kwiat, coś mi dała kwiat uśmiechu twego,
Wyjaśniał lepiej dobroci zjawisko
I od Malebranche'a i od Lamennais'go.*

*Byliśmy sobie posłuszni wzajemnie.
Stryszku słoneczny! Wiązać ci sznurówkę,
Rankiem w koszulce widzieć cię codziennie,
Jak nad lusterkiem chylisz wdzięczną główkę!*

*Któż by zapomniał! Ja śnię od tej pory
Czasy jutrzeńek, złotych nieboskłonów,
Wstążek i kwiatów, jedwabiów i mory,
Gdzie miłość uczy się swego żargonu.*

W doniczce kwitł nam gaj tulipanowy,

Halka służyła w oknie za firankę;

Ja niosłem do ust kubek fajansowy,

A ty japońską cienką filiżankę.

Spalona mufka lub zguba szafira!

Nieszczęścia! Myśmy z nich do łez się śmiali.

Albo ten portret boskiego Szekspira:

Jedną kolację tylko nam zań dali.

Prócz ciebie pragnień nie miałem już żadnych;

Zebrałem warg twych, miłosierne były.

Dante in folio był stołem biesiadnym,

A za biesiadę kasztany służyły.

Gdym po raz pierwszy usta twe całował

W moich radosnych i szczęśliwych progach,

Wyszłaś z mych ramion spłoszona, pąsowa,

A jam zbladł: wtedy uwierzyłem w Boga.

Pamiętasz szczęście, które przeżyliśmy,

Podarte łaszki, potargane loki?

Pamiętasz, ile westchnień, marzeń, myśli

Z serc uleciało do niebios wysokich!

Pora, miejsce, wspomnienia młodości, parę gwiazd, które rozbłysły na niebie, cmentarny spokój opustoszałych ulic, straszliwe niebezpieczeństwo nadciągających, wypadków nadawały patetycznego uroku tym wierszom półgłosem wypowiedzianym w mroku przez Pana Prou-vaire, który — jak wspominaliśmy — był tkliwym poetą.

Tymczasem zaś na małej barykadzie zapalono lampion, a na dużej woskową pochodnię, podobną do tych, które w zapusty oświetlają z przodu powozy pełne zamaskowanych ludzi jadących do Courtille. Pochodnie te, jak wiadomo, pochodziły z przedmieścia Sw. Antoniego.

Pochodnię, umieszczoną w czymś w rodzaju klatki z płyt chodnika, zamkniętej z trzech stron i chroniącej płomień od wiatru, ustawiono tak, by całe światło padało na sztandar. Ulica i barykada tonęły w ciemnościach, nie widać było nic, tylko ten sztandar wspaniale oświetlony jakby przez olbrzymią ślepą latarnię.

To światło zabarwiało szkarłat sztandaru jakąś groźną purpurą.

ROZDZIAŁ VII

Ochotnik z ulicy Billettes

Zapadła już ciemna noc, a nic nowego się nie stało. Słyszeć było tylko głuchą wrzawę, a niekiedy strzelaninę, ale słabą i odległą. Ta zwłoka oznaczała, że rząd chce zyskać na czasie i gromadzi siły. Pięćdziesięciu ludzi czekało na sześćdziesiąt tysięcy.

Enjolras czuł, że ogarnia go niecierpliwość, jaka ogarnia ludzi silnych duchem u progu groźnych wydarzeń. Poszedł na poszukiwania Gavroche'a. Ten zabrał się właśnie do fabrykowania naboju w dolnej izbie przy skąpym świetle dwóch świec ustawionych przezornie na kontuarze, na stołach bowiem rozsypany był proch. Blask tych dwóch świec nie przenikał na zewnątrz. Powstańcy nie zapalali światła na górnych piętrach.

Ale w tej chwili uwagę Gavroche'a pochłaniał bynajmniej nie wyrób naboju, lecz coś całkiem innego.

Mężczyzna z ulicy Billettes wszedł właśnie do izby i usiadł przy stole w najciemniejszym kącie. Przy rozdziale broni przypadł mu w udziale wielkokalibrowy karabin, który teraz trzymał między kolanami. Do tej pory Gavroche, zajęty tysiącem „bardzo zabawnych” rzeczy, nie widział go wcale.

Gdy nieznajomy wszedł, Gavroche -machinalnie śledził go wzrokiem, podziwiając jego broń, lecz gdy mężczyzna usiadł, chłopak zerwał się nagle. Ten, kto śledziłby nieznajomego do tego momentu, zauważyłby, że człowiek ten obserwował przez cały czas ze szczególną uwagą barykadę i gromadkę powstańców, lecz odkąd wszedł do izby, pogrążył się w -rozmyślaniach i zdawał się nie widzieć, co się dokoła niego dzieje. Chłopak podszedł do zamyślnego mężczyzny i zaczął obchodzić go na palcach dokoła, jak gdyby się bał go obudzić. Równocześnie jego dziecinna twarzyczka, tak zuchwała i tak poważna zarazem, tak łobuzerska i tak rozumna, tak wesoła i tak bolesna, przybierała całą gamę odcieni składających się na mimikę dorosłego mężczyzny, które znaczyły: „Ależ nie! Niemożliwe! Czy mnie oczy mylą? Chyba przywidzenie? Czyżby to był on? Nie! nie! Ależ tak! "ależ nie!" itd. Gavroche kołysał się na piętach, zaciskał w kieszeniach obie pięści, wykręcał szyję jak ptak i wysilając całą swą przenikliwość wysuwał dolną wargę jak mógł najdalej. Był zdumiony, niepewny, niedowierzający, przekonany, olśniony. Miał minę głównego eunucha, który na targu niewolnic odkrył pomiędzy pyzatymi dziewczynami — Wenus, minę znawcy, który w stosie kiczów znalazł Rafaela. Wszystko w nim pracowało — instynkt węszył, myśl kojarzyła. Przytrafiło mu się najwyraźniej coś

niezwykle ważnego.

Gdy był całkowicie pochłonięty swymi rozważaniami, zagabnął go Enjolras.

— Jesteś mały — rzekł do niego — nikt cię nie zobaczy. Wyjdź na barykadę, prześliznij się wzdłuż domów, przejdź się po ulicach dokoła i powiedz mi, co się dzieje.

Gavroche wyprostował się.

— A więc i malcy mogą się na coś przydać! Jak to dobrze! Już lecę! A tymczasem niech pan ufa małym, a niedowierza dużym...

I zadartszy głowę, a znizywszy głos, dodał wskazując na nieznajomego:

— Widzi pan tego drągala?

— Więc co?

— To szpicel!

— Jesteś pewien?

— Blisko dwa tygodnie temu ściągnął mnie za ucho z parapetu mostu Królewskiego, gdzie sobie zażywałem świeżego powietrza.

Enjolras oddalił się pospiesznie i szepnął kilka słów do stojącego niedaleko robotnika z portu win. Robotnik wyszedł z izby i natychmiast wrócił w towarzystwie trzech innych. Tych czterech mężczyzn, czterech barczystych tragarzy ustawiło się za stołem, przy którym siedział nieznajomy z ulicy Billettes, nie zwracając na siebie jego uwagi. Widać było, że gotowi są w każdej chwili rzucić się na niego.

Wtedy Enjolras podszedł do nieznajomego i zapytał:

— Kto pan jest?

Na to niespodziewane pytanie mężczyzna drgnął. Głęboko zatopił spojrzenie w czystych źrenicach Enjolrasa, widać było, że zrozumiał jego myśli. Uśmiechnął się uśmiechem najwyższej pogardy, siły i determinacji i odpowiedział z wyniosłą powagą:

— Rozumiem... A więc: tak.

— Jesteś pan szpiclem?

— Jestem funkcjonariuszem prawowitej władzy.

— Nazwisko?

— Javert.

Enjolras skinął na czterech ludzi. W mgnieniu oka nim zdążył się odwrócić, Javert został schwytany za kołnierz, powalony na ziemię, skrępowany i zrewidowany.

Znaleziono przy nim okrągłą kartkę wklejoną między dwa szkieleta, po jednej stronie wyryte było godło państwowe i słowa: „Nadzór i czujność”, po drugiej napis: „Javert, inspektor policji, lat 52”, i podpis ówczesnego prefekta policji, Gisquetta.

Miał przy sobie także zegarek i sakiewkę, w której było kilka sztuk złota. Zostawiono mu jedno i drugie. Na dnie kieszonki od zegarka znaleziono zaklejoną w kopercie kartkę. Enjolras rozwinął ją i odczytał pięć wierszy napisanych własnoręcznie przez prefekta policji: „Natychmiast po wykonaniu swej misji politycznej inspektor Javert przeprowadzając wywiad upewni się, czy złoczyńcy grasują istotnie na prawym brzegu Sekwany koło mostu Jeny.”

Po skończonej rewizji podniesiono Javerta, skrępowano mu z tyłu ręce i przywiązano go na środku sali do owego sławnego słupa, od którego niegdyś gospoda wzięła swoją nazwę,

Gavroche, fetory był świadkiem tej sceny i wyrażał aprobatę milczącym kiwaniem głowy, podszedł teraz do Javerta i rzekł:

— Mysz złapała kota.

Wszystko odbyło się tak szybko, że w szynku zwrócono na całe wydarzenie uwagę, gdy już było po wszystkim. Javert nawet nie krzyknął.

Na widok Javerta przywiązanego do słupa nadbiegł Courfeyrac, Bossuet, Joly, Combeferre, a także inni powstańcy rozproszeni na obu barykadach.

Przyparty plecami do słupa i tak owiązany sznurami, że nie mógł nawet drgnąć, Javert trzymał głowę wysoko z nieustraszonym spokojem człowieka, który nigdy w życiu nie skłamał.

— To szpicel! — rzekł Enjolras, po czym zwrócił się do Javerta: — Na dwie minuty przed - wzięciem barykady będzie pan rozstrzelany!

Javert odpowiedział swym najbardziej władczym tonem:

— Czemu nie zaraz?

— Bo nie chcemy marnować prochu.

— To załatwcie tę sprawę nożem.

— Szpiclu —rzekł piękny Enjolras — jesteście sędziami, nie mordercami.

Po czym zwrócił się do Gavroche'a:

— A ty ruszaj i roto, co ci kazałem!

— Już lecę — krzyknął Gavroche. I zatrzymując się przed wyjściem:

— Ale, ale! Niech pan mi da jego karabin! I dodał jeszcze:

— Zostawiam wam grajka, ale jego fujarka mnie się należy.

Zasalutował i wesoło prześliznął się przez przejście dużej barykady.

ROZDZIAŁ VIII

Wiele znaków zapytania przy niejakim Le Cabuc, który może nazywał się inaczej

Tragiczny obraz, odmalowany tu przez nas, nie byłby kompletny i czytelnik nie znalazłby w nim pełnego i prawdziwego odbicia owych wielkich chwil, w których powstawało' nowe społeczeństwo i narodziła się rewolucja, kiedy to konwulsyjne drgania łączą się z wysiłkiem, gdybyśmy w niniejszym szkicu pominęli pewne wydarzenie, pełne epickiej i dzikiej grozy. Miało ono miejsce zaraz po odejściu Gavroche'a.

Wiadomo, że tłum jest podobny do kuli śnieżnej — tocząc się rośnie i zbiera mnóstwo niespokojnych ludzi. Ludzie ci nie pytają siebie nawzajem, skąd przychodzą. Pomiedzy ochotnikami, którzy przyłączyli się do grupy dowodzonej przez Enjolrasa, Courfeyraca i Combeferre'a, znajdował się osobnik ubrany w kurtkę tragarza, wytartą na plecach, który wymachiwał rękami, wykrzykiwał i wyglądał na zdziczałego pająka. Człowiek ten, zwany lub przezywany Le Cabuc — zresztą zupełnie nie znany tym, co utrzymywali, że go znają—- mocno pijany albo udający pijanego, rozsiadł się wraz z paroma towarzyszami za stołem wyniesionym z szynku na ulicę. Ów Le Cabuc, dolewając często -tym, którzy sekundowali mu w picciu, zdawał się patrzeć z uwagą na wysoki dom w głębi barykady, który stał na wprost ulicy Sw. Dionizego i swoimi pięcioma piętrami górował nad. całą ulicą. Nagle zawołał:

— Wiecie, towarzysze, skąd powinniśmy strzelać? Z tego domu. Jak się tam usadowimy w oknach, zje diabła, kto wejdzie w tę ulicę!

— A pewno, ale dom jest zamknięty — odrzekł jeden z pijących.

.— Walmy w drzwi!

— Nie otworzą.

— To wyważmy bramę!

Le Caibuc podbiega do bramy, przy której wisiał ciężki młotek, i zaczyna łomotać. Brama się nie otwiera. Le Cabuc łomocze po raz drugi. Nikt nie odpowiada. Po raz trzeci. Ta sama cisza. — Hej! Jest tam kto? — woła Le Cabuc.

Nic się nie rusza.

Wówczas chwyta strzelbę i kolbą wali w bramę. Była to stara, skleciona; niska i

wąska brama z masywnego dębu, wewnątrz obita blachą i okuta żelazem — prawdziwa brama forteczna. Uderzenia kolby wstrząsały całym domem, ale jej nie ruszyły.

Należy jednak przypuszczać, że mieszkańcy przerazili się, gdyż wreszcie na trzecim piętrze rozbłysło światło i otworzyło się małe kwadratowe okienko, w którym ukazała się świeca i głowa siwego i przerażonego starca: był to stróż.

Mężczyzna walący w bramę przestał się dobijać.

— Czego panowie sobie życzą? — zapytał stróż.

— Otwieraj! — rzekł Le Cabuc.

— Ale panowie, ja tego nie mogę zrobić!

— Otwieraj, powiadam!

— Nie mogę, panowie!

Le Cabuc chwycił strzelbę i wycelował w stróża; tamten nic nie widział, gdyż Le Cabuc stał na ulicy, gdzie było zupełnie ciemno.

— Otwierasz czy nie?

— Nie, panowie!

— Nie, powiadasz?

— Powiadam nie, moi zacni pano...

Nie dokończył. Padł strzał, kula przeszła mu szyję, trafiając pod brodę, a wychodząc przez kark. Starzec opadł bezwładnie nie wydawszy jęku. Świeca upadła i zgasła, nie widać już było nic poza tą nieruchomą głową wspartą o brzeg okna i białawym obłoczkiem dymu płynącym w górę.

— Ano macie! — rzekł Le Cabuc opierając o ziemię kolbę strzelby.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy jakaś ręka chwyciła go za ramię, niczym orle szpony, i rozległ się głos:

— Na kolana!

Morderca obejrzał się i zobaczył przed sobą bladą i niewzruszoną twarz Enjolrasa. Enjolras trzymał w ręku pistolet.

Nadbiegł tu na odgłos strzału.

Chwycił lewą ręką Le Cabuca za kołnierz, bluzę, koszulę i szelki.

— Na kolana! — powtórzył.

I jednym władczyńni ruchem ten delikatny dwudziestoletni młodzieniec zgiął jak trzcinę barczystego, rosnącego siłacza i rzucił go w błoto na kolana. Le Cufouc starał się opierać, ale zdawało się, że trzyma go jakaś dłoń o nadludzkiej sile.

Blady z otwartą przy szyi koszulą i rozwianym włosom Enjolras ze swoją kobiecą twarzą był dziwnie podobny w tej chwili do starożytnej Temidy. Rozdęte nozdrza i opuszczone powieki nadawały jego czystemu greckiemu profilowi ten wyraz gniewu i czystości zarazem, który z punktu widzenia starożytnego świata przystoi sprawiedliwości.

Wszyscy zbiegli się, a potem ustawili z daleka w krąg, czując, że nie podobna wyrzec ani słowa wobec rzeczy, która miała się dokonać.

Le Cabuc, pokonany, zaniechał już oporu i drżał na całym ciele. Enjolras wypuścił go i. wyjął zegarek.

— Zastanów się nad sobą. Módl się, albo myśl! Masz jedną minutę!

— Łaski — szepnął morderca; po czym spuścił głowę mrużąc jakieś niezrozumiałe przekleństwa.

Enjolras nie spuszczał wzroku z zegarka; przeczekał minutę, wsunął zegarek do kieszeni, po czym chwycił za włosy Le Cabuca, który z wyciem czepiał się jego kolan, i przyłożył mu lufę pistoletu do ucha. Wielu z tych nieustraszonych ludzi, którzy spokojnie wkroczyli w najstraszliwszą z przygód — odwróciło głowę.

Rozległ się strzał, morderca runął czołem na bruk. Enjolras wyprostował się i powiódł dokoła wzrokiem zdecydowanym i surowym.

Po czym pchnął trupa nogą i rzekł:

— Wyrzucić to za barykadę.

Trzech mężczyzn chwyciło ciało 'nędznika, którym wstrząsały jeszcze pośmiertne drgawki, i przerzuciło je poprzez małą barykadę na uliczkę Zakręt.

Enjolras stał w zamyśleniu. Jakieś wznioste cienie zaczęły powoli zasnuwać jego groźny spokój. Nagle podniósł głos. Zapanowała cisza.

— Obywatele! — rzekł Enjolras. — Uczynek tego człowieka był potworny, mój

uczynek jest przerażający. On zabił — dlatego ja zabiłem jego. Musiałem tak postąpić, bo powstanie ma swoją dyscyplinę. Tutaj morderstwo jest jeszcze większą zbrodnią niż gdziekolwiek indziej; spoczywa na nas wzrok rewolucji, jesteśmy kapłanami republiki, jesteśmy świętymi ofiarami obowiązku, nie wolno, by ktokolwiek miał prawo rzucić oszczerstwo na naszą walkę. Osądziłem więc tego człowieka i skazałem go na śmierć. Musiałem tak postąpić, lecz czuję wstręt do tego postępkę, zatem osądzałem siebie również i zobaczycie niebawem, jaki wydałem wyrok.

Słuchacze zadrżeli.

— Podzielimy twój los! — zawołał Cornibeferre.

— Niech tak będzie — odezwał się znowu Enjolras. — Jeszcze jedno słowo. Wykonując wyrok na tym człowieku, byłem posłuszny konieczności. Ale konieczność — to potwór starego świata; konieczność zwie się Fatum. Otóż takie jest prawo postępu, że potwory uciekają przed aniołami. Fatum znika przed braterstwem. Nie jest to odpowiednia chwila, by wypowiadać słowo: miłość. Jednakże wymawiam je i głoszę jej chwałę. Miłości, do ciebie należy przyszłość. Śmierci, nienawidzę cię, choć posługuję się tobą. Obywatele, w przyszłości nie będzie ani mroków, ani piorunów, ani okrutnej niewiedzy, ani krwawych odwetów. Ponieważ zniknie Szatan, nie będzie też Michała Archanioła. W przyszłości nikt nikogo nie będzie zabijał, ziemia stanie się promienna, rodzaj ludziki będzie żył miłością. Nadejdzie taki dzień, obywatele, kiedy świat stanie się zgodą, harmonią, światłem, radością i życiem. I po to właśnie, aby dzień ten nadszedł, umrzemy.

Enjolras umilkł. Jego czyste; dziewicze wargi zacisnęły się; stał przez jakiś czas nieruchomy jak posąg z marmuru w tym miejscu, gdzie rozlał był krew. Jego nieruchomy wzrok sprawiał, że dookoła mówiono szeptem.

Jan Prouvaire i Combeferre ściskali się milcząco za ręce i przytuleni do siebie w rogu barykady patrzyli pełni zachwyty zaprawionego współczuciem na poważnego młodzieńca, kata i kapłana, świetlistego jak kryształ i twardego jak gład.

Powiedzmy od razu, że po akcji, gdy trupy zostały odstawione do kostnicy i zrewidowane, znaleziono przy Le Cabuou kartę agenta policji. Autor niniejszej książki miał w ręku w 1848 roku specjalny raport w tej sprawie, skierowany do prefekta policji w roku 1832.

Dodajmy też, że — jeśli można dawać wiarę dziwnym, lecz zapewne niebezpiecznym wieściom, które krążyły w policji — owym Le Oabue był Claquesous. Faktem jest, że od chwili śmierci Le Cabuca, zaginęła wieść o

Claquesous. Znikł bez śladu, jakby wchłonęło go niewidzialne. Życie jego było mrokiem, śmierć — nocą.

Grupa powstańców nie otrząsnęła się jeszcze z wrażenia, jakie wywarł na niej ten tragiczny proces, tak szybko wytoczony i tak szybko zakończony, gdy Courfeyrac zobaczył znów na barykadzie owego drobnego młodzieńca, który dziś rano dopytywał się o Mariusza.

Chłopak ten o wyglądzie zuchwałym i beztroskim przyłączył się w nocy do powstańców.

KSIĘGA TRZYNASTA

MARIUSZ WCHODZI W MROK

ROZDZIAŁ I

Z ulicy Plumet do dzielnicy Sw. Dionizego

Głos, który o zmierzchu wezwał Mariusza do pójścia na barykadę przy ulicy Konopnej, wydał mu się głosem przeznaczenia. Pragnął śmierci, oto nadarzała się sposobność; kołatał do drzwi grobu, oto jakaś ręka wyłoniła się z mroku podając mu klucz do mogiły. Te ponure wyjścia, które się otwierają w ciemności — są pokusą dla rozpaczy. Mariusz odsunął pręt, który tyle razy przepuszczał go do ogrodu, wyszedł na ulicę i powiedział:

— Chodźmy!

Oszalały z bólu, nie znajdując ani jednej myśli nawet, na której mógłby się oprzeć, niezdolny nic przyjąć od losu po tych dwóch miesiącach przeżytych wśród upojenia młodością i miłością, przytłoczony wszystkimi na raz zmorami rozpaczy, miał jedno, tylko pragnienie: jak najprędzej skończyć z życiem! Zaczął iść szybkim krokiem. Przypadek zrządził, że był uzbrojony, miał przy sobie pistolet Javerta.

Młodzieniec, który mignął mu przed oczami, znikł gdzieś wśród ulic.

Skręciwszy z ulicy Plumet na bulwar, Mariusz przeszedł przez Esplanadę, most Inwalidów, Pola Elizejskie, plac Ludwika XV i znalazł się na ulicy Rivoli. Sklepy tam były otwarte, pod arkadami palił się gaz, kobiety załatwiały sprawunki, jedzono lody w kawiarni

„Laiter” lub ciastka w Cukierni Angielskiej. Tylko karetki pocztowe odjeżdżały galopem od Hotelu Książęcego i hotelu „Meurice”.

Mariusz wszedł przez pasaż Delorme na ulicę Św. Honoriusza. Tu sklepy były zamknięte, kupcy gawędzili stojąc przed uchylonymi drzwiami, krążyli przechodnie, paliły się latarnie i od pierwszego piętra w górę wszystkie okna były oświetlone jak zwykle. Na placu Palais-Royal stała konnica.

Mariusz szedł dalej ulicą Sw. Honoriusza. W miarę jak oddalał się od Palais-

Royal, coraz mniej widział oświetlonych okien; sklepy były pozamykane na głucho, nikt nie gawędził na progach, ulica stawała się coraz ciemniejsza, a tłum gęstniał. Tu bowiem przechodnie byli tak liczni, że stali się tłumem. Nikt w tym tłumie nie rozmawiał, a jednak wydobywał się z niego głuchy, głęboki pomruk.

Koło fontanny Suchego Drzewa zobaczył „ugrupowania”, nieruchome i ponure szeregi, które stały wśród falującego tłumy jak głązy wśród nurtu rzeki.

U wylotu ulicy Prouvaires tłum nie posuwał się już naprzód. Stanowił mocny, gęsty, zwarty, zbity wał stłoczonych ludzi, którzy rozmawiali szeptem. Nie widać tu było prawie ciemnych ubrań ani okrągłych kapeluszy, lecz bluzy, kaftany, kaszkiety, rozczochrane głowy, ziemiste twarze. Ta masa ludzka falowała niewyraźnie w nocnej mgle. Szept tłumy brzmiał tu ochryple jak syczenie. Chociaż wszyscy stali w miejscu, słychać było tupanie po błocie. Poza linią tej gęstej ciżby w żadnym oknie na ulicy Roule, na ulicy Prouvaires i na przedłużeniu ulicy Św. Honoriusza nie paliła się świeca. Coraz rzadsze i coraz krótsze rzędy latarni ginęły w głębi Lilie. W owych czasach latarnie uliczne przypominały wielkie czerwone gwiazdy zawieszane na sznurach i rzucały na ulicę cień podobny do olbrzymiego pająka. Ulice te nie były puste: widać tam było karabiny ustawione w kozły, poruszające się bagnety, biwakujące wojsko. Żaden ciekawy nie przekroczył tej granicy. Tu ustawał wszelki ruch. Tu kończył się tłum, a zaczynało wojsko.

Mariusza ożywiała wola desperata: wzywano go, więc musiał iść. W jakiś sposób udało mu się przejść przez tłum i biwakujące oddziały, wymknąć się patrolom, obejść strażę. Zboczył, doszedł do ulicy Bethisy i skierował się w stronę Hal. Od rogu ulicy Bourdonnais nie było już latarni.

Wyszedł z zasięgu tłumy, minął granicę wojska i znalazł się w jakimś przerażającym miejscu. Nie było tu przechodniów, nie było żołnierzy, nie było światła; nikogo. Pustka, cisza, noc; i jakieś zimno, które przejmowało do szpiku kości: Wejść w taką ulicę — to: wejść do lochu.

Szedł ciągle naprzód.

Zrobił kilka kroków. Ktoś przebiegł koło niego. Czy to był mężczyzna? Czy kobieta? Jedna osoba — czy kilka? Nie umiałby na to odpowiedzieć. Coś przebiegło i znikło.

Tak krążąc doszedł do jakiejś uliczki, która, jak sądził, była ulicą Garncarską; na środku tej uliczki natknął się na jakąś przeszkodę. Wyciągnął przed siebie ręce; był to przewrócony wózek; nogą wymacał kałuże, wyboje, kupy kamieni wyrwanych z bruku. Widocznie natrafił na barykadę, którą zaczęto budować i

porzucono. Przeskoczył przez spiętrzone stopy kamieni i znalazł się po drugiej stronie. Szedł trzymając się blisko odbojów i kierując się według ścian domów. Minąwszy barykadę, miał wrażenie, że widzi coś białego. Zbliżył się i wówczas rzecz ta przybrała wyraźny kształt. Były to dwa konie, te same, które Bossuet wyprzągnął rano z omnibusu i które błędziły przez cały dzień po ulicach, a teraz stanęły tutaj ze zrezygnowaną cierpliwością bydłęcia, które tak samo nie rozumie postępków człowieka, jak człowiek nie rozumie postępków Opatrzności.

Mariusz wyminął konie; gdy dochodził do ulicy, która, jak mu się wydawało, była ulicą Umowy Społecznej, nie wiadomo skąd padł strzał; jakaś zabłąkana w ciemności kula gwizdnęła mu koło ucha i przebiła nad jego głową mosiężny talerz, wywieszony przed sklepem balwierza. Jeszcze w roku 1846 można było zobaczyć przy ulicy Umowy Społecznej na rogu przy słupach Hal ten przestrelony talerz.

Ów strzał — to był jeszcze znak życia. Od tej chwili Mariusz nic już nie napotkał.

Cała ta wędrówka przypominała zstępowanie w dół po ciemnych schodach.

Szedł jednak dalej.

ROZDZIAŁ II

Paryż z lotu puszczyka

Ktoś, kto w owych chwilach szybowałby nad Paryżem na skrzydłach nietoperza czy sowy, miałby przed oczyma ponury widok.

Cała stara dzielnica Hal, stanowiąca jak gdyby miasto w mieście, przecięta ulicami Sw. Dionizego i Sw. Marcina, labirynt tysięcznych uliczek, z których powstańcy zrobili swoją twierdzę i plac broni, wydałaby mu się olbrzymią, ciemną dziurą wydrążoną w samym centrum Paryża. Wzrok gubił się w niej jak w przepaści. Rozbite latarnie i zasłonięte okna sprawiły, że znikł tu wszelki promyk życia, wszelki głos, wszelki ruch. Niewidzialna policja powstańcza czuwała i utrzymywała porządek — to znaczy noc. Utopić niewielką liczbę w olbrzymiej ciemności, pomnożyć każdego z walczących przez możliwości, które ta ciemność w sobie kryje — to konieczna taktyka powstania.

U schyłku dnia strzelano do każdego okna, w którym zabłysła świeca. Światło gasło, nieraz mieszkaniac domów padał trupem. Toteż teraz zamarł wszelki ruch. W domach panował lęk, żałoba, przerażenie, na ulicach — jakaś święta groza. Nie widać było nawet długich rzędów okien i pięter ani zębatej linii kominów i dachów, ani mglistych odblasków ślizgających się po błotnistym, mokrym bruku. Wzrok, który zapuściłby się z góry w tę gęstą ciemność, dojrzałby może tu i ówdzie rozsiane w pewnych odległościach od siebie niewyraźne światła, ukazujące jakieś dziwaczne, połamiane linie, kontury jakichś niezwykłych budowli, coś podobnego do ogników przesuwających się w ruinach: to właśnie były barykady. Poza tym — jezioro ciemności, przymglone, ciężkie, żałobne, a nad nim nieruchome i złowieszcze sylwetki: wieża Sw. Jakuba, kościół Saint-Merry i parę innych wielkich budowli, z których człowiek robi olbrzymy, a noc — widma.

Wokół tego pustego i niepokojącego labiryntu, w dzielnicach, gdzie nie zamarł ruch miejski i gdzie paliły się rzadkie latarnie, nasz powietrzny obserwator mógłby zauważyć metaliczne błyski szabel i bagnetów, głuchoe odgłosy toczących się dział i roje milczących batalionów, rosnących z minuty na minutę. Groźna obręcz zaciskała i zamykała się powoli wokół powstańców.

Osaczona dzielnica stała się rodzajem straszliwej pieczary; wszystko tu zdawało się pogrążone we śnie i bezruchu i — jak widzieliśmy przed chwilą — w każdej ulicy, do której można było dotrzeć, nie było nic prócz ciemności.

Złowrogie ciemności, pełne zasadzek, pełne zderzeń nieznanych i groźnych.

Przerażające było wejście w te mroki, straszne było przebywanie w nich; wchodzący drżeli przed tymi, którzy na nich czekali; oczekujący drżeli przed tymi, którzy mieli nadejść. Niewidoczni bojownicy zaczajeni za każdym rogiem ulicy; sidła śmierci ukryte w nieprzeniknionej ciemności. Koniec. Tu nie można się było spodziewać innego światła — jak błysk wystrzału, innego' spotkania — jak nagłego i szybkiego pojawienia się śmierci. Skąd? Jak? Kiedy? Tego nikt nie wiedział, ale była ona pewna i nieunikniona. Tu, w tym miejscu jakby wybranym na walkę, rząd i powstanie, gwardia narodowa i stowarzyszenia ludowe, mieszczaństwo i rozruchy miały się zmierzyć ze sobą po omacku. Dla jednych i dla drugich konieczność była ta sama i jedna tylko istniała droga wyjścia: polec albo zwyciężyć. Sytuacja była tak ostateczna, ciemność dokoła tak wszechwładna, że najlękliwsi czuli się zdecydowani na wszystko, najmężniejszych przenikała zgroza.

Obie strony, ożywiła taka sama zaciekłość, gniew i determinacja. Dla jednych — pójście naprzód oznaczało śmierć i nikt nie myślał się cofnąć; dla drugich — śmiercią było pozostać na miejscu i nikt nie myślał uciekać.

Jutro wszystko musiało być zakończone, jedna albo druga strona musiała zatriumfować, powstanie musiało okazać się rewolucją albo bijatyką. Rozumiał to rząd, rozumiały stronnictwa; rozumiał każdy najskomniejszy *bourgeois*. Toteż dręczący lęk sączył się w nieprzeniknioną ciemność otaczającą dzielnicę, gdzie wszystko miało się rozstrzygnąć; toteż wzmagał się niepokój wobec tej ciszy, z której miała się wyłonić katastrofa. Słysząc w niej było tylko jeden głos, rozdzierający jak przedśmiertne rżenie, groźny jak przekleństwo, głos dzwonu na trwogę z kościoła Saint-Merry. Nie było nic przeraźliwszego od zawodzącego w ciemnościach tego oszalałego i zrozpaczonego dzwonu.

Jak to się często zdarza, przyroda zdawała się być w porozumieniu z zamierzeniami ludzi. Nic nie mąciło tej złowrogiej harmonii. Gwiazdy znikły, ciężkie chmury ponurymi zwałami zaległy cały horyzont. Czarne niebo rozpościerało się nad wymarłymi ulicami, niczym olbrzymi całun rozwijający się nad olbrzymią mogiłą.

Podczas gdy jeszcze jedna polityczna walka przygotowywała się w miejscu, które widziało już tyle rewolucyjnych wydarzeń, podczas gdy młodzież, tajne związki i uczelnie w imię zasad, a klasa średnia w imię swoich interesów szykowały się, by się ze sobą zderzyć, zewrzeć i powalić przeciwnika, podczas gdy każdy przyspieszał i przyzywał ostatnią i decydującą godzinę spotkania, z oddali i spoza nieszczęsnej dzielnicy, z najgłębszych dołów nędzy starego, biednego Paryża, przystłoniętego wspaniałością bogatego i szczęśliwego Paryża — dochodził głuchy pomruk groźnego głosu ludu.

Ten straszny i święty głos łączy w sobie ryk dzikiej bestii i słowo boże; przeraża

słabych, a ostrzega mądrych, dobywa się z ziemi jak pomruk lwa, iz nieba jak pomruk gromu.

ROZDZIAŁ III

Kraniec

Mariusz dotarł do Hal.

Tu panowała jeszcze większa cisza, jeszcze większa ciemność, jeszcze większy bezruch niż na pobliskich ulicach. Rzec by można, że lodowaty spokój grobu wyszedł z ziemi i rozpostarł się pod niebem.

Jednakże jakaś czerwona poświata rysowała na tym czarnym tle kontury wysokich dachów kamienic, zamykających ulicę Konopną od strony kościoła Sw. Eustachego.

Był to odblask pochodni z barykady koło „Koryntu”. Mariusz skierował się w stronę tej luny. Doprowadziła go ona do Rynku Warzywnego i dojrzał ciemny wylot ulicy Dominikańskiej. Wszedł w nią. Straż powstańcza, czuwająca po drugiej stronie, nie zauważyła go. Czuł, że jest blisko celu swych poszukiwań i stąpał na palcach. Tak doszedł do zakrętu owego krótkiego odcinka uliczki Zakręt, który — jak czytelnik sobie przypomina — stanowił jedyne niezamknięte przejście, pozostawione przez Enjolrasa dla komunikacji z miastem. Mariusz wysunął głowę zza węgła ostatniego domu po lewej stronie i zajrzał w uliczkę.

Tuż za ciemnym rogiem uliczki Zakręt i ulicy Konopnej, który rzucał szeroką smugę cienia i sam się nią otulał, ujrzał jakieś światła na bruku, fragment szynku, lampion migocący na wnęcie jakiegoś niekształtnego muru i ludzi siedzących w kucki z karabinami na kolanach. Dzieliła go od nich odległość dziesięciu sążni. Było to wnętrze barykady.

Domy, stojące po prawej stronie ulicy, zasłaniały mu resztę szynku, wielką barykadę i sztandar.

Mariuszowi pozostało zrobić tylko jeden krok.

Wtedy nieszczęśliwy młodzieniec usiadł na kamieniu przed baranią, skrzyżował ramiona i zaczął myśleć o ojcu.

Myślał o bohaterskim pułkowniku Pontmercy, o tym dzielnym żołnierzu, który za czasów Republiki strzegł granic Francji, a za Cesarza dotarł do granic Azji, który widział Genitę, Aleksandrię, Mediolan, Turyn, Madryt, Wiedeń, Drezno, Berlin, Moskwę i zostawił na polach zwycięskich bitew w całej Europie krople tej samej krwi, co płynęła w żyłach Mariusza, który posiwiiał przedwcześnie w trudach wojskowej dyscypliny i dowództwa, spędził życie z szablą u boku, z

frędzlami epoletów spadającymi na pierś i kokardą poczerniałą od prochu, z czołem odciśniętym od kasku — pod namiotem, w palu, na biwaku, w ambulansach, i który po dwudziestu latach wrócił z tych wielkich, bojów z szramą na policzku i uśmiechem na ustach, prosty, spokojny, uroczy i czysty jak dziecko, zrobiwszy wszystko, co mógł, dla Francji, a nic przeciwko niej.

Mariusz powiedział sobie, że oto teraz jego dzień, że wybiła wreszcie jego godzina; że on także — w ślad za swoim ojcem — pobiegnie ona spotkanie kulom, dzielny, nieustraszony i zuchwały, nastawi pierś na bagnety, będzie przelewał krew, szukał wroga, szukał śmierci. Teraz on z kolei pójdzie na wojnę, stanie na polu bitwy, a pole bitwy, na którym miał stanąć — to ulica, a wojna, na którą rusza — to wojna domowa!

Ujrzał przed sobą wojnę domową niby otwierającą się przepaść, w którą za chwilę się rzuci.

I zadrżał.

Pomyślał o szpadzie ojca sprzedanej przez dziadka jakiemuś handlarzowi starzyzną, której straty on, Mariusz, tak bardzo żałował. Powiedział sobie, że dobrze zrobiła ta dzielna i nieskalana szpada, iż wymknęła mu się i odeszła gniewnie w ciemności. Jeżeli tak uciekła, to była obdarzona rozumem i widocznie przewidziała przyszłość, przeczuła rozruchy, wojnę rynsztoków, wojnę uliczną, strzały z piwnic, ciosy w plecy. Widocznie ta szpada spod Marengo i Friedlandu nie chciała się znaleźć na ulicy Konopnej, widocznie ona, która służyła niegdyś ojcu, nie chciała teraz służyć synowi. Powiedział sobie, że gdyby miał tę szpadę, dzisiaj, gdyby — wzięwszy ją ze śmiertelnego łoża ojca — ośmielił się użyć jej tej nocy w bratobójczej walce ulicznej, z pewnością przepaliłaby mu dłonie i rozgorzała nad nim jak miecz archanioła! Powinien być szczęśliwy, że jej tu nie ma, że znikła. Stało się dobrze i słusznie; dziadek był prawdziwym stróżem chwały jego ojca.

Lepiej, że szpada pułkownika została wystawiona na licytację, dostała się w ręce handlarza i rdzewiała na kupie żelastwa, niżby teraz miała rozkrwawić pierś ojczyzny.

A potem Mariusz gorzko zapłakał.

To było straszne. Ale co robić? Żyć bez Kozety nie mógł. Skoro Kozeta wyjechała, musi umrzeć. Czyż nie dał jej słowa honoru, że umrze? Odjechała z tą świadomością, to znaczy, że chciała jego śmierci. Jasne też było, że go już nie kocha, jeśli tak wyjechała, nie uprzedziwszy go, bez słowa, bez listu, mimo że miała jego adres! Po co i dlaczego żyć teraz? A poza tym jak to? Doszedł aż tutaj — i cofnie się? Zbliżył się do niebezpieczeństwa — i ucieknie? Widział

barykadę — i wymknie się, wymknie się drżąc ze strachu, mówiąc: „Mam tego dość, zobaczyłem, to wystarczy, to jest wojna domowa, odchodzę!” Opuści przyjaciół, którzy czekają, którym może jest potrzebny, którzy stanowią małą garstkę przeciwko całej armii! Sprzeniewierzy się wszystkiemu na raz: miłości, przyjaźni, danemu słowu. Zasłonić swoje tchórzostwo patriotyzmem! Nie, to niemożliwe! Gdyby duch ojca był tu, w cieniu, i zobaczył, że Mariusz się cofa, wyplazowałby mu grzbiet szpadą i zawołał: „Naprzód, tchórze!”

Oddamy na pastwę myśli Mariusz spuścił głowę.

Nagle podniósł ją w górę. Jak gdyby jakieś potężne sprostowanie dokonało się w jego umyśle. W obliczu grobu następuje jakieś dziwne rozszerzenie horyzontów myśli; w bliskości śmierci widzi się prawdę. I wizja walki, w której, czuł to, weźmie niebawem udział, wydała mu się nie żałosna, lecz wspianała. Dzięki nie wiedzieć jakiej pracy ducha walka uliczna przeobraziła się w oczach jego umysłu. Wszystkie burzliwe pytańniki dumania obiegały go znów tłumnie, lecz przestały niepokoić. Na wszystkie miał odpowiedź.

Dlaczego ojciec miałby się oburzać? Czyż nie zdarza się, że powstanie urasta do godności obowiązku? Cóż mogło być uwłaczającego dla syna pułkownika Pontmercy w przygotowującym się boju? To nie Montairail i nie Champaubert. W tym wypadku nie chodzi o świętą ziemię, ale o świętą ideę. Ojczyzna się skarży, tak, ale ludzkość się cieszy. A zresztą czyż istotnie ojczyzna się skarży? Francja krwawi, ale wolność się uśmiecha, a wobec uśmiechu wolności Francja nie pamięta o swoich ranach. A wreszcie, by spojrzeć z jeszcze wyższego punktu widzenia, kto mówi o wojnie domowej?

Wojna domowa? Co to w ogóle znaczy? Czy istnieje jakaś inna wojna? Czyż każda wojna ludzi nie jest wojną braci? Ocenic wojnę można wyłącznie na podstawie jej celu. Nie ma wojny między narodami ani wojny domowej, jest tylko wojna niesprawiedliwa lub wojna sprawiedliwa. Aż do dnia, kiedy zawarte zostanie przymierze między ludźmi, wojna — przynajmniej ta, która jest walką nadchodzącej przyszłości z ociągającą się przeszłością — może być konieczna. Cóż jej można zarzucić? Wojna przeobraża się w hańbę, szpada przeobraża się w sztylet tylko wówczas gdy godzi w prawo, postęp, rozum, cywilizację, prawdę. Wtedy zarówno wojna domowa, jak i wojna między narodami jest wojną niesprawiedliwą i zwie się zbrodnią. Poza tą świętą sprawą: sprawiedliwością, jakim prawem jedna forma wojny miałaby pogardzać drugą? Jakim prawem szpada Waszyngtona miałaby nie uznawać piki Kamila Dasmoulins? Kto jest większy — Leonidas walczący z najeźdźcą czy Tymoleon walczący z tyranem? Jeden jest obrońcą, drugi oswobodzicielem. Czy należy rzucić klątwę na każde zbrojne powstanie bez względu na jego cel? Wobec tego okryjcie hańbą Brutusą, Marcela, Arnoulda de Blankenheim, Coligny'ego. Wojna podjazdowa? Wojna domowa?

Czemu nie? Taką właśnie wojnę prowadził Ambioryks, Arteveide, Marnix, Pelagiusz . Lecz Amfoioryks walczył z Rzymem, Artevelde z Francją, Mamix z Hiszpanią, Pelagiusz z Maurami; wszyscy walczyli z obcym najeźdźcą. Tak, ale monarchia też jest obca; ucisk jest obcy; „prawo boskie” jest obce. Despotyzm gwałci granice moralne, tak jak napaść gwałci granice geograficzne. Wypędzić Anglika czy wypędzić tyrana to w obu wypadkach wydrzeć zabrane terytorium. Bywają chwile, kiedy protest nie wystarcza; po rozumowaniu i rozważaniach musi nastąpić czyn; gwałt kończy dzieło zaczęte przez ideę. *Prometeusz skowany* zaczyna — Arystogiton kończy; Encyklopedyści oświecają umysły, 10 sierpnia je elektryzuje. Po Aischylosie następuje Trazybul , po Diderocie — Danton. Rzesze chętnie poddają się woli pana. Ich masa wydziela osad apatii. Tłum łatwo scala się 'w posłuszeństwo. Trzeba te rzesze poruszyć, popchnąć, wstrząsnąć brutalnie ludźmi samym dobrodziejstwem wyzwolenia, ranić ich w oczy prawdą, rzucać im groźne snopy światła. Trzeba, by zostali niejako porażeni własnym zbawieniem; to olśnienie zbudzi ich. Stąd konieczność wojen i dzwonów na trwogę. Trzeba, aby się podnieśli wielcy bojownicy, oświecili swą odwagą narody i wstrząsnęli tą biedną ludzkością, na którą rzuca swój cień „prawo boskie”, chwała cesarów, siła, fanatyzm, nieodpowiedzialna władza i absolutna monarchia; trzeba, aby wstrząsnęli ciżbą z ogłupieniem wpatrzoną w te ciemne tryumfy nocy, co jawią się przed nią w swej. zmierzchającej wspaniałości. Precz z tyranem! Ale co? O kimże to mówicie? Czyżbyście Ludwika Filipa nazywali tyranem? Nie, podobnie jak nie nazywamy tyranem Ludwika XVI.

Obaj byli — jak to historia zwykła nazywać — „dobrymi królami”; ale zasady są niepodzielne, logika prawdy jest prostolinijna, właściwością prawdy jest bezwzględność; żadnych, ustępstw zatem; należy położyć kres wszelkiemu naruszeniu praw człowieka; w Ludwiku XVI odnajdujemy prawo boskie, w Ludwiku Filipie zasadę, „ponieważ jest Burbonem”; obaj w pewnej mierze przedstawiają pomniejszenie prawa” i aby znieść uzurpację prawa na świecie, trzeba ich zwalczać; trzeba, Francja bowiem jest zawsze tą, co zaczyna. Gdy we Francji upadnie władca, upadnie wszędzie. Słowem, przywrócić prawdę społeczną, zwrócić wolności tron, ludowi lud, a człowiekowi prawo samostanowienia o sobie, ozdobić na nowo purpurą czoło Francji, przywrócić w całej świetności rozum i sprawiedliwość, usunąć wszelki załążek antagonizmu wyzwalając każdego, zniszczyć przeszkodę, jaką dla wielkiego powszechnego pokoju stanowi monarchia, zrównać ludzi wobec prawa — czyż może być szlachetniejsza sprawa, a zatem wznioślejsza wojna? Takie wojny budują pokój. Potężna twierdza przesądów, przywilejów, zabobonów, kłamstw, zdzierstw, nadużyć, gwałtów, niesprawiedliwości, ciemnoty wznosi jeszcze na świecie swe wieże nienawiści. Trzeba ją zrównać z ziemią. Trzeba zburzyć tego potwornego - kolosa. Zwyciężyć pod Austerlitz to rzecz wspaniała; zdobyć Bastylię to rzecz olbrzymia.

Każdy doświadczył tego na sobie, że dusza — i na tym właśnie polega jej cudowna jedność a zarazem wszechobecność — ma dziwną zdolność chłodnego rozumowania w najbardziej gwałtownych i przełomowych chwilach życia; często się zdarza, że zrozpaczona namiętność i głęboka rozpacz, gdy ucichają już ich ponure monologi, rozważają zagadnienia i dyskutują tezy. Logika Wplata się do konwulsji i wątek sylogizmu nie urywa się w. posępnej burzy myśli. W takim stanie umysłu znajdował się Mariusz.

Podczas gdy tale rozmyślał, przygnębiony, lecz zdecydowany, a mimo wszystko wahający się i właściwie drżący przed tym, co miał uczynić, wzrok jego błędził po wnętrzu barykady. Powstańcy rozmawiali półgłosem, nie ruszając się, i czuło się tam tę niby-ciszę, która cechuje ostatnią fazę oczekiwania. Nad nimi, w okienku trzeciego piętra, Mariusz zobaczył jakiegoś widza czy świadka, który zdawał się przyglądać im ze szczególną uwagą. Był to ów stróż zabity przez Le Calbuca. Z dołu przy świetle pochodni, osłoniętej kamieniami, ledwo widać było tę głowę. W tym słabym i niepewnym świetle, trudno byłoby o dziwniejszy widok jak owa sinawa twarz, nieruchoma, zdumiona, z rozrzuconym włosiem, otwartymi ustami i nieruchomymi, szeroko otwartymi oczami, wychylona na ulicę w pozycji znamionującej ciekawość. Rzec by można, że ten, kto już umarł, przyglądał się tym, co mieli umrzeć za chwilę. Długa smuga krwi, która wyciekła z tej głowy, tworzyła czerwone strużki od okienka pod dachem aż do pierwszego piętra i tu się kończyła.